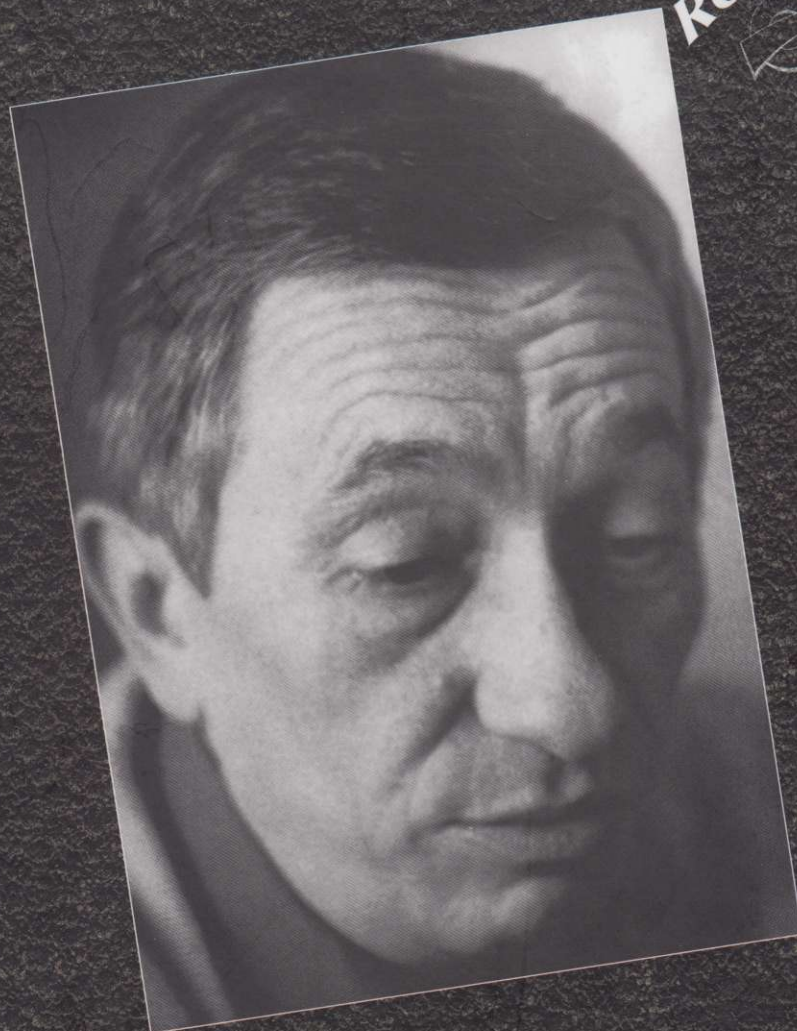
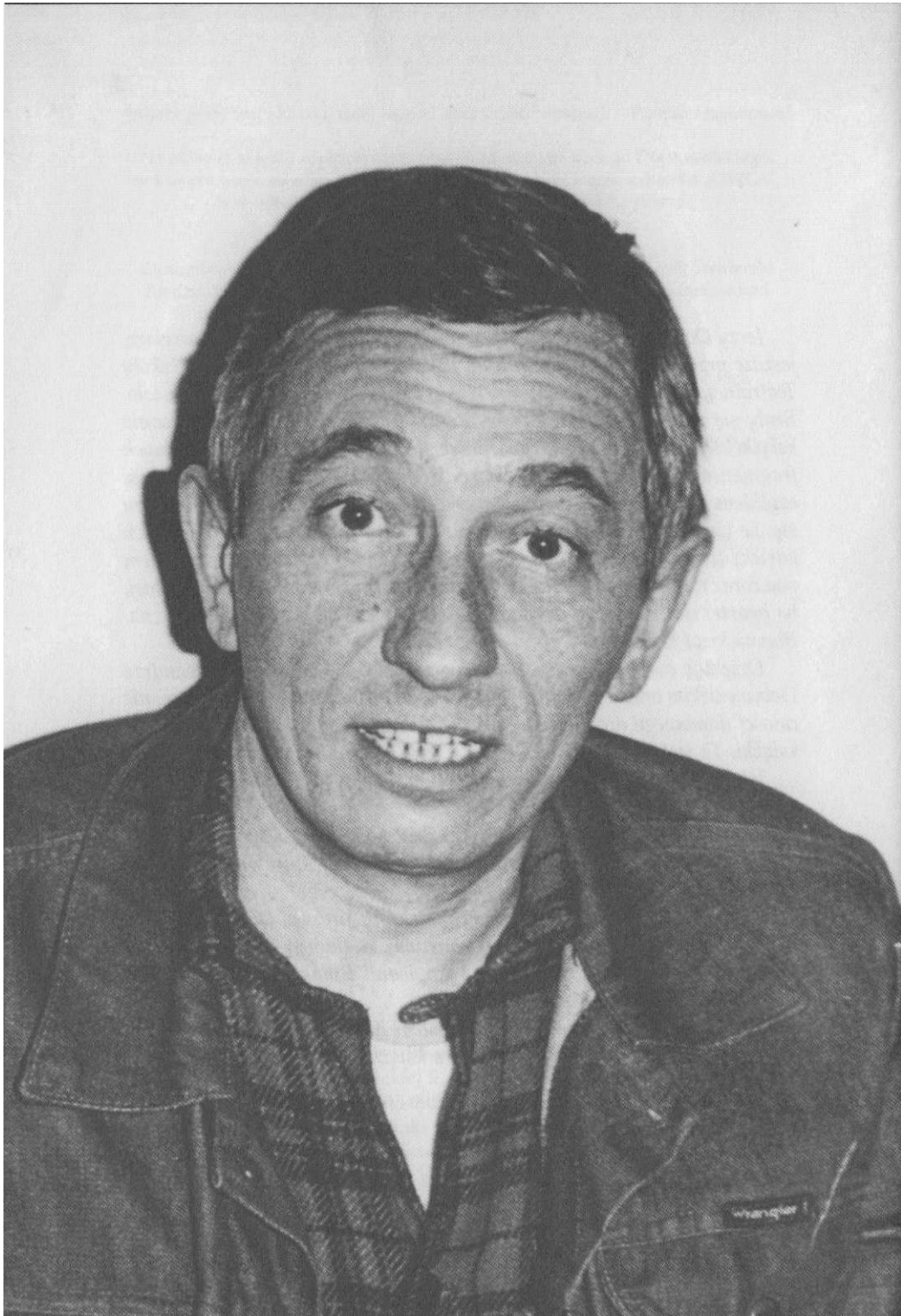


JERZY DOBROWOLSKI

WSPOMNIENIA
MOICH
PAMIĘTNIKÓW

WYDANIE
ROZSZERZONE
DRUGIE





ROZDZIAŁ I

Część pierwsza „Wspomnień moich pamiętników” napisana w 1979 roku

Pan w radio zawsze mówi: „Niestety, nasza audycja zbliża się powoli do końca, ale wrócimy jeszcze niejednokrotnie do tego interesującego tematu, który wymaga oddzielnego omówienia”. Potem już nigdy nie wracają do tego interesującego tematu, który wymaga oddzielnego omówienia, natomiast puszczają jakieś inne audycje, które niestety również zbliżają się powoli do końca.

No i tak to jest.

Różni faceci piszą pamiętniki. Najczęściej, gdy ich życiowa audycja zbliża się powoli do końca. Wtedy wracają do tego interesującego tematu. Ja ich rozumiem.

Babcia mojej żony np. pamięta z drobiazgową dokładnością, jak do Sosnowki przyjechał wtedy ojciec mojej żony. To było w środę, 14 czerwca rano, w 1947-ym. Zona była malutka. Matka żony włożyła ten niebieski płaszcz, później przerobiony na żonę (ale to dopiero w 49-tym, przed samymi Świętami) i pojechała do Jeleniej Góry okazją (z dr. Jaworskim - tym samym, który wyleczył wtedy we wrześniu żonę z dyfterytu) po koce (moją żonę wyleczył, nie swoją - przypisek mój). A do Milanówka przenieśli się wszyscy, tą wojskową ciężarówką, dopiero na jesieni, zaraz po Wszystkich Świętych (przez mjr. Łukaszka albo Łakuszka - babcia nie jest pewna, ale sobie przypomni i później powie). Z tym, że dr Jaworski jeszcze został w Sosnowce, a dopiero potem przeniósł się do Łodzi.

Babcia mówi, że wszystko pamięta. Wszystko. Powiada, że tomy można by pisać. Formalnie tomy.

Ja nie mam ani takiej pamięci, ani takiej wiary jak babcia, ale jak sam teraz nie zacznę, to potem mnie znów wyślizgają. Trudno.

Tytuł mam chyba niezły. Spotykałem się ostatnio z podobnymi i widać drukują - to istotne. No i wygodne. Nie stricte pamiętniki a wspomnienia. Notatek żadnych nie mam, nic mnie nie wiąże, a czego nie pamiętam, to zmyślę. Kto mnie sprawdzi? Gorzej z formą. Pójdę do jakiejś księgarni - myślę - podpatrzę któregoś. Ale pani księgarka powiedziała, że żadnych pamiętników nie ma, wyczerpane. Jak chcę - mogę sobie kupić „Pół wieku” Putramenta. No, dobra.

Wziąłem taksówkę bagażową i zawiozłem te 50 lat do domu. Siedzę, czytam.

Pół wieku. Ho. Ho.

To tak się mówi „pół wieku”, ale czyta się znacznie dłużej.

Nic to. Ważne, że zasadę poznałem. Rzeczą polega ogólnie na tym, żeby te 50 lat nie poszło na marne. Nikt nie miał bowiem dokładnie akurat takiego życiorysu, więc ten niepowtarzalny trzeba utrwalić, żeby wszyscy wiedzieli.

I dla historyków gratka. Patrząc, spór zaciekły wyniknie. Jedni mówią - w tużurku, ulica Bagienna; drudzy - smoking na pidżamę; Ostra Brama. A patrząc do książki - jest: 14 marca 1944 o godz. II¹⁵. Putrament szedł ulicą Sądową w podartym paletku.

Na marginesie:

Autor „Pół wieku” (nie pamiętam już nazwiska), ówczesny właściciel rozległych dóbr między Bugiem a Odrą, znany był w swoim czasie jako zapalony wędkarz i nieprzejednany wróg kłusownictwa. Pamiętne do dziś jego artykuły i eseje na ten temat bulwersowały opinię publiczną.

Zaglądam do tomu „Natasza” i oto oczom zdumionego turysty ukazują się opisy kłusownictwa, które latami uprawiał z upodobaniem na jeziorze Nidzkim autor tomu, łowiąc pod osłoną nocy na tzw. „sznur”.

Trzeba wiedzieć, że łowienie nocą na wodach P. G. Ryb. jest ustawowo zabronione, a „sznur” należy do klasycznego sprzętu kłusowniczego i stosowanie go jest niedozwolone. W tymże tomie szczegółowy wykaz miętusów, węgorzy i rekordowych sandaczy złowionych tą metodą.

Czort z nim. Miętusów i sandaczy nie ma już w Nidzkim, ale to nie tony tych putramentowych, kradzionych ryb zadecydowały o tym. Wkroczyły tu legalnie Państwowe Gospodarstwa Rybne, które latami dokonywały połowów sieciami, włókami, żakami, drgawkami, a na ostatek - gdy już wszystkie tradycyjne metody zawodziły - tłukły wszystko, co żyje, prądem. Legalnie ma się rozumieć.

Chodzi tu o wyrobienie planu. To samo dzieje się z okolicznymi lasami. Chodzi oczywiście nie tylko o plan. Chodzi o to, aby za wszelką cenę jeszcze rok, jeszcze miesiąc, jeszcze tydzień utrzymać się przy korytku. A pisząc to, nie mam na myśli pracowników P. G. Ryb.

Ja wiem, że to truizm. Przez cały kraj przetacza się fala ogólnonarodowych dyskusji na ten temat, pod hasłem: „Co robić, żebyśmy mogli utrzymać się jeszcze trochę? Zgadzamy się na każde rozwiązanie. Polacy, narodziła się klasa robotnicza, a przede wszystkim wy chrześcijanie - ratujcie jakoś nasze stanowiska”.

Wracając do autora „Nataszy” myślę, że w każdym normalnym kraju wkroczyłby w sprawę prokurator. Ale ja nie o tym. Tym bardziej, że przestępstwo uległo zapewne przedawnieniu. Chodzi mi - chociaż to nie jest karalne - o pogardę piszącego dla czytelników i współobywateli. I nie o to, że kłusował, ale że tak bezczelnie i z satysfakcją bezkarnie nas o tym informuje. I, że u niego putrament znaczy znacznie więcej niż zwykły obywatel. A ponieważ on jest właśnie putrament (tak wyszło), więc to naturalne. A i kłusował z zupełnie innych pozycji, niż to do dziś robi ciemny chłop, któremu chodzi tylko o mięso.

Nie wiem, co na to prokurator czy Polski Związek Wędkarski, ale dla mnie to obrzydliwe.



Kiedy to było? Oooo. Dawno. Bardzo dawno. Byłem przy tym prawie od początku i pamiętam jak dziś; chociaż dziś jest zupełnie inaczej.

Telewizja polska powstała mniej więcej w ten sposób:

Prawie wszyscy już mają telewizję, zdaje się - powiedział jeden.

W zasadzie tak - odpowiedział spec od tych zagadnień.

Wobec tego - powiedział ten pierwszy - należy u nas też. Nie bójmy się chirurgicznego cięcia. (Ostatnie zdanie niespecjalnie pasowało do sytuacji, ale pierwszy, ze względu na ładne sformułowanie, już od dłuższego czasu chciał je gdzieś zastosować).

Decyzja zapadła.

Człowiek, któremu zlecono zorganizowanie tej placówki, wykonał następującą operację myślową: „Telewizja, czyli obraz przesyłany przez radio. Radio mamy. Należy więc oddelegować część

pracowników z radia do telewizji, aby uzyskać wykwalifikowane kadry - ja jednak jestem cholernie inteligentny". Projekt podobał się ogólnie, zyskując zwłaszcza w kierownictwie Radia przychylną aprobatę. Polskie Radio bowiem już od dłuższego czasu chciało pozbyć się szeregu pracowników, którzy, choć wysoko protegowani, kwalifikacje posiadali nieco mniejsze od wymaganych. (Wtedy wymaganych).

Było pełno radości i krzyku.

Prześcigano się w tworzeniu całych ciągów zależności. Zwoływano pociotków i znajomych, których też dotychczas niedoceniano w życiu. Robota ruszyła pełną parą. Budżet przeszedł najśmielsze oczekiwania. Po kupnie biurek i segregatorów pozostało luzem jeszcze sporo pieniędzy.

Rzucono projekt zrobienia studia.

Na fali ówczesnego entuzjazmu projekt przeszedł jednogłośnie. (Nikt wówczas nie zdawał sobie jeszcze niestety sprawy, jak dalece konieczność tworzenia programu będzie utrudniała w przyszłości działalność telewizji jako instytucji). Wydzielono na ten cel jeden pokój i założono elektryczność. Grupa pracowników zakupiła ze składnicy złomu w Belgii kamerę telewizyjną. Rusza się, rusza się - wołali przy pierwszej próbie, patrząc urzeczeni na ekran monitora.

To zadecydowało. Powołano natychmiast kilkanaście nowych działów. (Nawiasem mówiąc - zdaje się, że dwa czy trzy z nich egzystują po dziś dzień, ponieważ wymknęły się spod późniejszej reorganizacji i teraz istnieją same dla siebie, nie podlegają nikomu, ale i nie przeszkadzają specjalnie).

Rozgorzała walka o stanowiska. Już wtedy wszystkie chwytły zaczynały być dozwolone. Powstawały zawrotne kariery urzędnicze.

Dyrektor, którego głównym celem zdawało się być zapewnienie programu na antenę, został usunięty. Na jego miejsce został powołany swój chłop. Również w tym czasie została ostatecznie zatwierdzona „nomenklatura” i każdy otrzymał jakiś tytuł. Wszystkie stanowiska, wyjąwszy tylko etat dyrektora, został nadany dożywotnio. (W późniejszych latach odwrócono to zagadnienie - przypisek mój).

Oдноśnie dyrektora, chodziło o zabezpieczenie się na wszelki wypadek, gdyby tenże okazał się mniej swoim chłopem niż się spodziewano lub nagle znalazł się nowy kandydat, jeszcze bardziej

swój chłop niż poprzedni. Nad dyrektorem, na wszelki wypadek, postawiono jeszcze jednego, który nazywał się vice-prezes i też był wymienialny.

Miałem zaszczyt zetknięcia się z kilkoma dyrektorami i vice-prezesami, a nawet możliwość rozmawiania z nimi, prawie jak równy z równym. Szczególnie jeden utkwił mi w pamięci.

Pamiętam to był okres, w którym tytułem próby postanowiono powołać na stanowisko vice-prezesa inteligenta.

To był na pewno swój chłop, tyle że tytuł vice-prezesa był, moim zdaniem, odrobinę jakby za wysoki dla niego, tym bardziej, że jak to się dzieje z podporucznikiem, mówiło się do niego nie vice, a prezesie, co miało wyraźnie niekorzystny wpływ na jego sposób myślenia. (Przypominam, że mówimy cały czas o dawnych latach).

Uczestniczyłem w owym czasie w pracach Komisji ustanawiającej stawki wynagrodzeniowe za pracę w TV dla reżyserów, muzyków, aktorów itp. Myśmy proponowali, vice zatwierdzał. Technicznie wyglądało to tak, że po usłyszeniu kolejnej stawki vice-prezes odchyłał się w fotelu, kontrolował stawkę na suficie i ścinał jedną-trzecią, jedną-drugą wysokości. Jeżeli dziś zostało coś jako trwałe wspomnienie tamtych lat - to właśnie stawki.

Mieliśmy już większość stawek za sobą, gdy nieoczekiwanie stanęliśmy w martwym punkcie. Chodziło o wynagrodzenie dla reżysera w programach tzw. rozrywkowych. Sufit nie przewidywał w ogóle żadnej stawki. Rozdrażniony prezes (vice-prezes) powiedział - a wolno mówić skubaniec z racji swojej funkcji niesłuchanie - Nie bądźcie śmieszni. (Coś mu się pomyliło - trudno byłoby znaleźć w tej chwili bardziej ponurego faceta ode mnie).

Czy w tym widowisku - cedził dalej - są aktorzy?

- Są, panie prezesie.

- Acha. I dla nich teksty napisali autorzy, prawda?

- Prawda, panie prezesie.

- Hmmmm... (pauza) I był też ten, jak wy nazywacie, oscylograf...

- Choreograf? Był. I scenograf, i muzycy, i tancerze, i konferansjer...

- No więc? - Prezes uśmiechnął się z wyższością. Miało to oznaczać, że doprowadził mnie do punktu, w którym nawet ja wyciągnę konkluzję.

- Co, no więc, panie prezesie?

- Zastanówcie się, chwilę się zastanówcie, redaktorze.
- Ja już się od dłuższego czasu zastanawiam, panie prezesie.
- Koniecznie chcecie, żebym postawił kropkę nad i, tak?
- Prosiłbym właśnie.

Prezes uśmiechnął się. Wyraźnie było mu trochę głupio wykazywać swoją wyższość myślową nade mną. Mimo bezspornej wielkości był człowiekiem prostym i skromnym.

- No, pomyślcie, redaktorze i powiedzcie mi, ale tak zupełnie uczciwie. Jeżeli mamy tych wszystkich ludzi - aktorów, autorów, muzyków, tancerzy i tak dalej, i tak dalej, i tak dalej, to za co w takim razie, na Boga (?), mamy jeszcze płacić temu reżyserowi?

Milczałem.

- Jakoś, widzę, redaktorze, zabrakło wam argumentów?
- Rzeczywiście, panie prezesie.



Fajny był też jeden z kolejnych dyrektorów programowych. Wyróżniał się tym, że się nie wyróżniał. Charakteryzował się cichym mówieniem zwłaszcza. Nie mówieniem nawet, a szemraniem.

Brało się to stąd, że w początkowym okresie piastowania swojej funkcji dyrektor nie był tak zupełnie pewien, czy to co mówi ma sens, a takie wyszemranie było mniej obowiązujące. Powiedział, nie powiedział - nie wiadomo.

Nasilał głos tylko dwa razy w roku. Z okazji 1 Maja i rocznicy Rewolucji Październikowej. Tu był znacznie pewniejszy. Chciałem zwrócić uwagę towarzyszy - zwykł mawiać w kwietniu - że zbliża się święto mas pracujących. Mam na myśli Święto 1 Maja, które tradycyjnie obchodzone jest co roku w dniu pierwszego maja każdego roku. I z naszej strony trzeba zrobić wszystko, żeby to wypadło uroczyście i merytorycznie. (Miał kilka takich swoich słówek).

W październiku formułował rzecz odmiennie.

Chciałbym zwrócić uwagę towarzyszy - powiadał - że zbliża się rocznica Wielkiej Rewolucji Październikowej, którą tradycyjnie obchodzimy w listopadzie. Należy zrobić wszystko... Raz tylko dyrektor złamał ustalony porządek rzeczy.

Nieoczekiwanie zabrał oficjalnie głos pomiędzy 1 maja a październikiem. Zdarzyło się to z okazji wizyty u dyrektora Pagartu.

Trzeba wiedzieć, że w tym okresie Pagart cierpiał na jakieś przejściowe trudności finansowe i koniecznie musiał kogoś nabić w butelkę. Mały, czarniawy z Pagartu od razu zwietrzył koniunkturę w TV Projekt mieli taki:

Powołać stałą imprezę pod nazwą „Bulwary naszych stolic”. „Naszych” to znaczy socjalistycznych. Takemu projektowi nie sposób się opierać, ponieważ ze wszech miar jest on słuszny politycznie.

A więc z Sofii, Pragi, Moskwy, Budapesztu itp. przyjeżdżałby trzeci sort wykonawców, aby odśpiewać w Sali Kongresowej po dwie piosenki i rozjechać się do domów.

Projekt głupi, jak wiele innych; perfidia Pagartu polegała na rozwiązaniu strony finansowej. Otóż telewizja, w zamian za możliwość transmitowania imprezy, pokryłaby koszty związane z przejazdem, zakwaterowaniem, wynajęciem sali oraz honoraria dla wykonawców, Pagartowi natomiast przypadłyby w udziale zyski z biletów.

Jako konsultant tego projektu miałem możliwość powiedzenia, co myślę. Nawet mały, czarniawy zorientował się, że przesadził.

Już, już mieliśmy się rozejść, gdy nieoczekiwanie głos zabrał dyrektor.

Ja rozumiem - powiada - tego, taki projekt, merytorycznie w zasadzie, bo przecież tego, tak samo, wiemy, starożytni Grecy zjeżdżali się i występowali w danym mieście, to znaczy razem.

Pagartowcy szybko zaczęli się żegnać.

Domyślałem się, że dyrektor programowy zbyt uczciwie chyba podszedł do swojej funkcji. Prawdopodobnie kupił modny wtedy tom „Dziejów dramatu” Nicolla i uzupełniał wiedzę wieczorami. Nie jego wina, że nawał obowiązków nie pozwolił mu przedrzeć się poza Ajschylosa.

A co do „Bulwarów naszych stolic”, to w kilka lat później zrealizowano ten projekt. Jeden z kolejnych redaktorów, znany pod pseudonimem „Eichmann Humoru”, wprowadził go na antenę pod nazwą „program rozrywkowy”.



O telewizji można nieskończenie.

Dawno, dawno temu, w zamierzonych czasach, kiedy kiełbasę produkowano jeszcze z mięsa, uczestniczyłem na przykład w naradzie na temat budowy Centrum Telewizyjnego.

Nie chce mi się powtarzać tutaj dyskusji, bo i mówiąc szczerze nie warto. Większość mędrców i luminarzy ducha, biorących udział w tym treści mózgow, odeszła już w niepamięć; inni, jako wszechstronni ludzie renesansu, kładą obecnie na mordę inne dziedziny. Chcę tylko, nie bawiąc się w szczegóły, powiedzieć, jakie wtedy, w toku burzliwej dyskusji, przyjęto ostatecznie ogólne założenia, odpowiadające na pytania: gdzie budować, jak budować, z czego budować?

Otóż:

1) Nie w centrum miasta - ponieważ w centrum jest mnóstwo miejsca i wszędzie jest blisko. Nasz inżynier był na Zachodzie i widział, że wszystkie światowe metropolie budują Ośrodki Telewizyjne za miastem, ponieważ w centrum nie mają miejsca. Oni po prostu - powiedział inżynier - nie ucierpieli w czasie wojny i ich miasta nie były zburzone.

2) Daleko za miastem - ze względu na fatalną komunikację i wielkie straty czasu związane z dojazdem.

3) Możliwie blisko lotniska - nie pozwoli to z jednej strony na wysoką zabudowę, z drugiej spowoduje wzmożony hałas oraz zakłócenia w odbiorze.

4) Tzw. „sale prób” dla programów artystycznych zbudować w ten sposób, aby były kopią studiów telewizyjnych. Z tym, że przy realizacji projektu należy przestrzegać następujących zasad.

a) Sala prób nie może w niczym przypominać studia.

b) Sala prób musi być mała, ciasna i możliwie jak najniższa. (Chodzi o to, żeby nie można było tam wnosić i ustawiać dekoracji).

c) Wychodząc z założenia, że prób, trwają około miesiąca, sala prób nie może mieć okien i klimatyzacji.

d) Sala prób nie powinna mieć żadnego wyposażenia.

5) Gdzie się uda, stosować trujące i elektryzujące lakiery i wykładziny plastikowe. (Chodzi o oczy, zakłócenie układów wegetatywnych, złe samopoczucie, nerwowość i ogólne zatrucie).

6) Maksymalnie utrudnić i skomplikować wewnętrzną komunikację i informację.

Dzisiaj oczywiście nie pamiętam już wszystkiego. Tych punktów i podpunktów było kilka skoroszytów, ale to dość łatwo można odtworzyć, odwiedzając Ośrodek Telewizyjny na Woronicza w Warszawie, gdzie wiernie zrealizowano te założenia.

Parę lat temu mieliśmy z kolegą X wystąpić wspólnie w dwóch programach telewizyjnych. Nazwijmy je dla ułatwienia A i B.

Pani redaktor z TV przysłała nam dla wygody teksty do domów, aby zapoznać się z nimi przed próbami i trochę opanować pamięciowo. Mnie przysłała dwa egzemplarze programu A, natomiast koleżdze dla odmiany dwa egzemplarze też programu A. Gdy nazajutrz wyszło to na jaw, w czasie telewizyjnej próby, pani redaktor serdecznie przeprosiła nas za niedopatrzenie, wyjaśniając jednocześnie, że goniec jak zwykle musiał wszystko pokręcić, ale że teraz pani redaktor osobiście przypilnuje i dosłownie za chwileczkę przyniesie właściwe teksty. Proszę państwa - powiedziałem wtedy - biorę tu obecnych na świadków. Za chwilę pani redaktor pobiegnie korytarzami do redakcji, nie będzie jej pół godziny, a gdy wróci, przyniesie rozpromieniona dwa egzemplarze A. Kto się ze mną zakłada?

Śmiechom nie było końca. Pamiętam jednak, że wygrałem wtedy parę tysięcy złotych.

Skąd wiedziałem, że tak się stanie?

Czy byłem zmówiony z panią redaktor?

Czy mam zdolności hipnotyzerskie?

Nie. Natomiast znam trochę zasady naboru pracowników do pracy w redakcjach TV. Odbywa się to tak:

W dużej Sali gromadzi się kandydatki (z ogłoszenia, z łapanki, zesłane z innych instytucji - różnie). Między nimi zakonspirowani fachowcy - obserwatorzy z Działu Personalnego. Serwuje się coca-colę, lemoniadę, wodę mineralną a'discretion. Za darmo - więc piją. Piją i czekają. A fizjologia nie czeka, tylko robi swoje. Wiedzą o tym doskonale obserwatorzy-fachowcy i też czekają. Bo oto nadchodzi powoli moment, gdy płyny chcą opuścić organizm.

Tuś mi bratku. Obserwujemy.

Kandydatki, nie wiedząc o niczym, biorą bezwiednie udział w teście na szybkość kojarzenia i ogólną inteligencję.

Jeżeli parcie na pęcherz skłoni którąś do wyjścia na korytarz - już jest nieźle. Znaczą: pierwsza eliminacja wypadła pomyślnie.

Ale uwaga. Powiększamy stopień trudności.

Na korytarzu dwie pary drzwi. Jedne z kółeczkiem, drugie z trójkącikiem. Pomijamy na razie kandydatki, które biernie stoją czy kucają na korytarzu, a obserwujemy te, które chodząc rozglądają się, jakby czegoś szukały. Czego? Ta grupa najbardziej nas interesuje (twórczy niepokój, chęć poznania nowego, inicjatywa).

A więc enigmatyczna początkowo grupa zaczyna się wyraźnie rozwarstwiać.

Uwaga. Zbliża się moment ostatecznych rozstrzygnięć. Otóż: jeżeli kandydatka wybierze trójkąt, będzie z niej tylko szeregowy pracownik, niestety.

Jeżeli kółko - kierowniczką działu. (Zaglądamy do materiałów pomocniczych testu. Tak jest. Zgadza się: nieprzeciętna inteligencja, zaradność, umiejętność podejmowania samodzielnych decyzji).

Kandydatki, które pozostały w Sali, a nie zmoczyły telewizyjnej tapicerki, to w przyszłości kierowniczką produkcji (upór, zaciętość, wytrzymałość, dbałość o dobro społeczne). Mokre - to ostateczność. Wpisuje się je tylko na listę rezerwową.



Ostatnio znowu wysłuchałem przez radio mojej ulubionej audycji partyzancko-wojskowej. Słucham jej z nieślabnącym zainteresowaniem już od 30 lat. Zmieniają się co prawda autorzy, wykonawcy i tytuły, ale to jest ta sama audycja. Rzecz traktuję z grubszą o świadomości i walce narodu oraz błędach wrogiej grupki. Z tym, że w tej wrogiej też większość szeregowych jest w porządku, tylko oszukana przez dowództwo. Lubię zwłaszcza ten fragment słuchowiska, gdy w nasze ręce dostaje się przypadkiem jeden z tamtej grupki. Dochodzi wtedy w lesie do dialogu:

- Zaraz go rozwalę.
- Zostaw go.
- Potem go rozwalimy. Do komendanta.
- Czekaj.
- Kto cię nasłał? Gadaj.
- Gestapo?
- Nie.
- Rozwalę go.
- Zostaw.
- O. Mature masz.
- Tak i rok studiów.
- Nie wytrzymam. Rozwalę...
- Czekaj.
- Co czekaj? Ta, ta, ta - cekaemem drania.
- Bez sądu?

- A na co sąd?
- Tak nie wolno. Do komendanta trzeba. Mus jest.
- A u komendanta:
- Czołem
- Czołem
- Szpiega złapali.
- Jaki on szpieg?
- Musowo szpieg.
- Nie szpieg on, nie. Swoją, tylko skołowany.
- Za Polskę i honor się bić.....itd., itd.

Kończy się wszystko dobrze, zdaje się nawet, że się nawet pobierają, ale nie o bezpośrednią warstwę fabularną tutaj chodzi. Główna rzecz w tym, że te audycje mają za zadanie utrwalenie tego, co od dłuższego czasu jest powszechnie wiadome. To nawet trochę głupiego robota, bo i tak wiemy swoje. W końcu dzisiaj nie potrzeba już nikogo przekonywać o tym, jak to było naprawdę. Wiemy, kto w czasie niemieckiej okupacji stanowił realną siłę, wiemy, w czym cały naród stanął jak jeden mąż, wiemy, przed kim drżał hitlerowski najeźdźca, wiemy, kto posiadał więcej członków niż obywateli i kto w ogóle powstał wcześniej niż powstał.

Ale nie bądźmy przy tym szowinistyczni i jednostronni. Historycy, aby dać wyraz prawdzie, przyznają, że doliczyli się 8 czy 12 facetów (w tym 6 degeneratów), którzy pod koniec okupacji założyli bierną, obcą i bez sensu organizację, pod jakąś (nie pamiętam w tej chwili) nazwą.

Gdy w początkach lat 50-tych chciał ktoś wydać podręcznik wędkarski lub poradnik fotograficzny, to pisał po prostu podręcznik wędkarski lub poradnik fotograficzny, a następnie zaopatrywał go we wstęp. A we wstępie było tak:

„Przed wojną wędkarstwo było dostępne tylko arystokracji, która rękami wiejskiej biedoty hodowała specjalne białe konie, celem uzyskania z nich białego włosia, przeznaczonego na żyłki do ich ekskluzywnych wędek. Dzisiaj nasze traktory wyparły ich arystokratyczne rumaki, nylonowe żyłki dostępne są powszechnie, a każdy robotnik, po wykonaniu a najczęściej przekroczeniu normy, może wypoczywać z wędką nad wodą, dla dobra wszystkich obywateli”.

Co było dobre na jakimś etapie, niekoniecznie musi być dobre dzisiaj. Trzeba z żywymi naprzód iść - zaleca poeta - i niektórzy idą z tymi żywymi. Z bardzo żywymi, żeby nie powiedzieć wiecznie.

Np. młody marksista średniego pokolenia Ryszard Marek Groński wydał niedawno książkę pt. „Jak w przedwojennym kabarecie” (Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe - dziwne rozgraniczenie - Warszawa 1978).

Co się okazuje? Otóż przed wojną jedynym kabaretem, który istniał naprawdę, kabaretem żywym, słusznym, prawdziwym, masowym, kabaretem o niebywałym zasięgu i sile oddziaływania, kabaretem doprowadzającym do łez rozpaczliwą granatową policję, razem z rządem, sejmem i skorumpowaną burżuazją, był robotniczy kabaret „Czerwona latarnia”. (Co ciekawe - rzeczywiście istniał taki kabaret).

Aby jednak również być w zgodzie z historią, Groński przyznaje uczciwie, że istniał również marginalnie profesjonalny kabaret, pochlebny i obstalunkowy, w którym kilku sprzedajnych autorów i bezideowych wykonawców uprawiało, na zamówienie burżuazji, swój tani proceder poprzez popisy poetyckich linoskoczków, tworząc pustostanie podkultury (lub podobnie). Mowa tu o Tuwimie, Hemarze, Swiatopełku Karpińskim, Słonimskim, Minkiewiczcu oraz Dymyżu, Jarosym, Ordonównie, Zimińskiej, Krukowskim, Sempolińskim, Olszy, Boguckim, w takich nędznych, jak „Qui Pro Quo”, „Stańczyk”, „Czarny Kot”, „Cyrulik” itp., a i to tylko dzięki wzorcom, jakie zaczerpnęli z kabaretów rosyjskich.

Do całości niejaki W Filier napisał postłowie, które tak kończy: „Studium Grońskiego uznać należy za pierwszy krok ku prawdzie. Może w następnej swej książce tenże autor dotrze do niej jeszcze bliżej. Może zrobi to ktoś inny...”

No, panie Groński - do roboty. Bo ktoś inny to zrobi.

Mogę pomóc. Zróbmy następny krok ku prawdzie. W AK na przykład było tylko dwóch, a Słonimskiego w ogóle nie było. Co panu szkodzi? »,

Z programem Polskiego Radia jest trochę tak, jak z literaturą dla dzieci. Wszystkie te piszące ćwierć, pół, trzy-czwarte inteligentki i paru facetów o niesprecyzowanych skłonnościach seksualnych zarzucają księgarnie, kioski, stoiska, wystawy, a siłą rzeczy nas i nasze dzieci, swoją twórczością, zilustrowaną przez równie uzdolnionych ich pociotków - grafików.

Twórczość nie jest ich najmocniejszą stroną, dorabiają więc teorie, które mają uzasadnić ich brak talentu. A więc np., że my, starzy, nie

rozumiemy, a dzieci łąkną. Że to, co one piszą, jest nowoczesne, a stare jest be. Że te brudne plamy i wynaturzone formy to konieczny krok ku nowej estetyce. No i, że nie można pisać tak jak dawniej, bo epoka nie po temu.

Posłuchajcie mnie Koszmarenki.

Można pisać tak jak dawniej, a epoka nie ma nic do tego.

Chcecie nowych treści? Zgoda. Ale coś wam powiem.

Otóż - wyda się Wam to nieprawdopodobne - twórczość dla dzieci łączyła się kiedyś z miłością do nich. Nie chodziło tylko o to, żeby wydać książkę. Twórczość dla dzieci łączyła się ze znajomością ich psychiki, ich potrzeb, dziecięcych zainteresowań i wyobrażeń.

Co prawda, muszę oddać Wam sprawiedliwość, ludzie piszący dla dzieci mieli łatwiej. Byli fachowcami.

Taki autor musiał np. zmieścić się z treścią w zamierzonej stopie wiersza, zachowując do tego rytm i (uwaga) akcent na przedostatniej sylabie słowa (tak, jak to jest np. w języku polskim). Proza zawierała tylko niezbędną ilość słów, uszeregowanych według zasad polszczyzny i gramatyki. I uwaga - teraz będzie niesamowite: słowa były specjalnie dobierane. Dobierane w ten sposób, aby najjaśniej oddać sens tego, co autor chciał dzieciom przekazać. Autor pisząc zastanawiał się, skreślał, poprawiał, radził się dzieci, zmieniał. Autor chciał bowiem - powtarzam - przekazać pewną treść. Oni nie wydawali ogólnie dla dzieci.

Była więc tam i interesująca fabuła, i prawdopodobne postacie, a akcja była logiczna.

Co to znaczy? To znaczy, że gdy Wy piszecie, to kombinujecie tak: A może teraz Janek wejdzie na dach? I piszecie, że Janek wszedł na dach, bo tak Wam się pomyślało. A potem pojechał do cici - Wam się pomyślało. Więc piszecie, że Janek pojechał do cici. No, bo właściwie dlaczego nie, prawda? Nie mógł pojechać? Mógł pojechać. Jak w życiu. Nie było nic o wsi - Wam się pomyślało? No, to następny rozdział: Janek na wsi. I jesteście ogromnie zadowolone, bo co Wam się pomyślało, to napisałyście na papierze, a jak na papierze, znaczy się - literatura. Czyli co? Czyli jesteście co? Jesteście pisarkami, bo brałyście z głowy i pisałyście to na papierze.

I to się zgadza. Z tym, że tamci faceci upierali się jeszcze przy kompozycji i logice. Mówiąc najprościej - dokonywali pewnego wyboru. I jeszcze jedno. W tamtych książkach rzecz kończyła się

zawsze pointą. O co chodzi? Popatrzcie: u Was kończy się w jakimś miejscu ogólnie. Np., że już Wam nie chce się dłużej albo, że na razie wystarczy, albo, że jutro upływa termin złożenia tekstu, więc trzeba kończyć. Albo odwrotnie - trzeba jeszcze dopiąć parę stron, bo coś za mało wyszło. Więc jeszcze na wiwat: Jak Janek zobaczył sputnika. (B. dobre).

A u tamtych - pointa mądra, dowcipna, zaskakująca, a mimo to logicznie wynikająca z treści. I na dodatek dydaktyczna.

Pisarki i Pisarze dla dzieci.

Przerwijcie teraz czytanie. Idźcie na spacer. To, co poniżej - przeczytajcie dopiero po powrocie...

Spokojnie, spokojnie. Można już? Dobrze. Uwaga:

Autorzy książek dla dzieci, czy to wierszy, czy prozy, byli poetami. Może dlatego chcemy z nimi ciągle obcować. Może dlatego wszystkie znajome mi dzieci preferują pewne określone pozycje, a odrzucają inne.

Gdy moje córki segregują książki np. na wakacje i „na kiedyś”, to na pierwszej kupce leżą nieodmiennie: Tuwim, Brzechwa, Makuszyński, z ilustracjami, powiedzmy Olgi Siemaszko, Skarżyńskich, Szancera czy Walentynowicza, a na drugiej Wasza twórczość, czyli barachło, które można wyrzucić, ponieważ dzieci nigdy już do tego nie wrócą.

Rzecz nie sprowadza się oczywiście do pięciu nazwisk, jakie wymieniałem przykładowo jako bezsporne. Chodzi tylko o proporcje. Jeżeli na pierwszej kupce leży 10 książek, to na drugiej 80.

Skąd tyle książek w domu? W domu powinno być znacznie więcej książek, ale po co te 80 - to jest pytanie.

Bo musicie wiedzieć, moje drogie, zacne pisarki, że niedorozwinięty lub zdziecinniały to nie znaczy dziecięcy.

Mylenie tych pojęć przez Wydawnictwa odbija się ciężko na tak zwanej „przyszłości narodu”.

Co to się ma do programu Polskiego Radia? Wszystko. Razem z tym 80. mogą to rozwinąć, ale po co?

Kto zrozumiał, to zrozumiał, a tym od programu to i tak nic by nie dało.

Oprócz poczucia krzywdy naturalnie. Za co, panie prezesie, za co? Za tyle oddania, posłuszeństwa, starania, autocenzury i wazeliny, za tyle cennych inicjatyw? Przecież my już wymyślamy ponad nasze umysłowe możliwości i jeszcze źle?

No dobrze. A jak się to ma do moich wspomnień?

Proszę:

Chciałbym wspomnieć tutaj o ś.p. redaktorze Janie Mietkowskim. To smutne, że odszedł od nas. Miło mi jednak napisać o Nim parę słów. Miło jest móc powiedzieć dobrze o człowieku wiedząc, że nie podłoży mu się świni, że chwaląc, nie można zaszkodzić.

Otóż pod koniec lat 60-tych pojawił się w Polskim Radio red. Mietkowski. Były to dobre czasy, kiedy ludzie odpowiedzialni za jedynie słuszną linię, zafascynowani byli głównie telewizją. Na pewno red. Mietkowski pojawił się znacznie wcześniej. Nie znam ani Jego życiorysu, ani dróg kariery zawodowej i nie to jest tutaj ważne. Wtedy, gdy tworzył program III Polskiego Radia.

Cóż to były za wspaniałe czasy. Naczelny Redaktor Mietkowski nie zasłaniał się sytuacją, cenzurą, specyfiką, nie mówił, że trend, że etap, że masowość. Brał na siebie całą odpowiedzialność i robił program. Dzisiaj należałoby go nazwać „odważnym”, a był to po prostu dobry, mądry i dość wszechstronny program, który dawał słuchaczowi możliwość jakiego-takiego wyboru i własnego sądu o świecie i ludziach.

Kto stał wtedy za red. Mietkowskim, kto go popierał, jakie układy decydowały - nie wiem. A nawet nie chcę wiedzieć. Może popsulooby mi to mój ładny obrazek.

Musiało być coś na rzeczy, skoro red. Mietkowski przeszedł z czasem na stanowisko vice-prezesa w Radio-Komitecie do Spraw Radia i Telewizji (?) i przepadł jako konkretny, rzekłbym wymierny, człowiek. Zniknął.

Wielka to strata dla radiowego programu, który szybko wrócił do wylizanej, byle jakiej i tchórzliwej normy.

A przecież III Program redaktora Mietkowskiego nie spowodował niczego, co obróciłoby się przeciwko podstawom ustroju i społecznego ładu. Nie wywołał również międzynarodowych konfliktów.

Co prawda, Chińczycy trochę szurają, a i Sadat ostatnio lekko świnia, ale nie łączyłbym tego bezpośrednio z naszym programem (Polskiego Radia znaczy się).



Mając wszechstronne zainteresowania, a niesprecyzowany pogląd na temat tego, co naprawdę powinienem robić, zajmowałem się w życiu różnymi dziedzinami. Kiedyś, pamiętam, pasjonował mnie na przykład reportaż. Oto próbka:

Reportaż

„Od paru jesienno-zimowych miesięcy w G. S. Wąwolnica, w Składnicy Węgla występuje zupełny brak tego artykułu. Rolnicy nie mają czym palić, na czym gotować karmy, a wiadomo „świnie węglem się pasą”. Od września niekończące się kolumny furmanek oczekują przed pustą Składnicą. Rolnicy klną, marzną, tracą czas, awanturują się, składają skargi.

Na szczęście jest Kierownik Placówki. Jest to człowiek mądry, dzielny i odpowiedzialny. Kierownik chodził do szkół. Gdyby nie wyjątkowy zbieg okoliczności, prawie ukończyłby w młodości Technikum Specjalistyczne. Ale i tak należał do Organizacji Młodzieżowej, a później, po stażu, został członkiem Organizacji Dla Dorosłych. Na bieżąco bierze udział w odprawach jego szczebla, naradach, konferencjach. Dużo czyta codziennie. Głos Rolnika i Organ Wojewódzki. Również Okólniki, Zarządzenia i Bieżącą Korespondencję. Światło późno gaśnie w jego pokoju. Świat i Ojczyzna nie dają mu odpocząć.

W wyniku tej wieloletniej pracy umysłowej Kierownik ogarnia zagadnienie znacznie szerzej od zwykłego rolnika.

Zwykły rolnik, nie mając węgla, mówi: nie ma węgla, nie ma węgla. Kierownik nie mówi: nie ma węgla, bo Kierownik już w listopadzie zauważył oczekujące furmanki i wie, że nie ma węgla. Więc Kierownik nie mówi: nie ma węgla, nie ma węgla, tylko Kierownik oczekuje na dostawy, które nadejdą.

Na czym Kierownik opiera swój optymizm? Otóż Kierownik opiera swój optymizm na podstawie wiadomości, które posiada. Kierownik wie, że węgla mamy pod dostatkiem. Że zwiększyło się wydobycie, a dokładniej, że Plany Wydobycia rosną stale w górę. A to o 6 milionów ton, a to o 8. Ze górniczy po szychcie nie idą do domów, tylko siadają na progu kopalni i debatują, jakby tu ulżyć jeszcze bardziej rolnictwu, jakby dopomóc w rozwiązywaniu opałowych kłopotów.

Będzie przechodził mimo kolejarz z dyżuru, przysiadzie do grupki górników, pogwarzy, dorzuci swoje uwagi. Dobrze się stało, że akurat spotkał brać górniczą. Szedł właśnie teraz markotny ze stacji do domu i całą drogę kombinował nad usprawnieniem transportu.

Co kolejarza bolało? Kolejarza bolało, że transport szwankuje. I kolejarz zastanawiał się przez drogę: Co by tu zrobić? Ot, idę

sobie wolny po pracy - myśli - a nic mnie nie cieszy. Przyjdę do domu, zjem posiłek, położę się i co? Co mi tam żona, co mi tam dzieci, co mi tam szczęście rodzinne, jeżeli rolnik nie ma węgla? Ech, życie zasrane. Co ja za radość mam z tego życia, jeżeli transport szwankuje?

Łeb już kolejarzowi pęka od troski, aż tu nagle myśl jak błyskawica przeszływa ponury mrok kolejarzkiej czaszki. Rozświetliła się szczerym kolejarzskim uśmiechem, szczerą kolejarzską twarz kolejarza. Już wie, co należy robić. Należy zrobić wszystko, aby usprawnić transport.

Górnicy ściskają rękę kolejarzowi, kolejarz ściska rękę górnikom. Już nic nie boli kolejarza, już nic nie boli górników. Nie boli już nie górników, a jednego, starszego górnika jeszcze boli. Wydobyć - powiada - zgoda, transport - powiada - zgoda, ale nie można - powiada - zgodzić się z marnotrawstwem. Czy tu - powiada - nie zachodzi konieczność przeanalizowania zużycia? Patrzcie - powiada - pracują, a nawet jeszcze się instaluje różne typy niskosprawnych kotłów, o XIX-wiecznych założeniach technologicznych. Czy tu nie należy szukać rezerw? Czy Prezes Rady Ministrów nie powinien w tym wypadku wydać Zarządzenia nr 5/1977, które postanawia, że przedsiębiorstwa przekraczające limity zużycia węgla, będą płacić potrójne ceny za nadprogramowe tony?

Patrzą górnicy i rzeczywiście. Pracują, a nawet jeszcze się instaluje różne typy niskosprawnych kotłów, o XIX-wiecznych założeniach technologicznych. Aj bieda, bieda. Chyba Prezes Rady Ministrów będzie musiał wydać Zarządzenie nr 5/1977, które postanawia.

No, dobrze - mówi młody górnik - ale co zrobić, jeżeli do splotu okoliczności ekonomicznych dołączają się jeszcze zjawiska psychologiczne? Plotka mianowicie i panika? Mam szwagra - mówi - handlowca i muszę wam powiedzieć - mówi - że szwagier z innymi handlowcami w połowie ubiegłego roku z przerażeniem obserwował, że krzywa zakupów węgla wzrasta zupełnie absurdalnie. Ci rolnicy, którzy mieli zapas gotówki, zamieniali je w zapasy węgla. Piwnice na wsi, mówi szwagier - mówi górnik - są obszerne, a można też formować zgrabne kopczyki na podwórku, mówi szwagier, tworząc czarny rynek na czarny towar.

To co ma robić rolnik mniej zasobny, który skrupulatnie liczy złotówki, aby okiełznać panikarskie wykupywanie węgla i zharmonizować jego dostawy z rzeczywistymi potrzebami? Szwagier uważa - mówi górnik - że rolnicy powinni słusznie domagać się

zapadnięcia rządowych decyzji o reglamentacji sprzedaży węgla, a także o częściowym powiązaniu jej z dostawami produktów rolnych, poprzez opracowanie szczegółowych tabel, ile węgla przysługuje na jedną świnie.

Słyszałem - przypomniał sobie kolejny górnik - że jest i inne szkodliwe zjawisko. Podobno uprawnieni, na podstawie norm, do zakupu węgla, chcą go nabywać natychmiast. Myślę, koledzy i tu obecny kolejarz, że zgodzicie się ze mną, że tak gwałtownym żądaniom ani górnictwo, ani zwłaszcza PKP nie sprostą. Jeżeli chodzi o PKP - powiedział kolejarz PKP - to inwestycje ostatnich pięciu lat na PKP zapobiegły komunikacyjnemu paraliżowi, lecz nie zrekompensowały jeszcze zaniedbań poprzednich dziesięcioleci. Zaważyła w tym przypadku - powiada - moda. Otóż w latach 50-tych modna była teoria, iż transport kolejowy będzie miał spadek zadań. Mało tego - powiada - pojawili się w owych czasach wróżbici, którzy wróżyli, że podobnie jak na Zachodzie, kolej zbankrutuje. Tymczasem u nas następował jednak kolosalny wzrost przewozów, czego nie można było przewidzieć. Poza tym kradzieże węgla są faktem bolesnym, a kłopoty z transportem mogą się jeszcze pogłębić.

W tej sytuacji trzeba stwierdzić - stwierdził następny górnik - który do tej pory jeszcze nie stwierdzał - że rozsądny kompromis jest jednak możliwy. Suma drobnych kroczków może dać spore efekty, a potrzebna jest nawet i doraźna improwizacja.

Zgoda, ale pamiętajmy może o jednym - wrócił do tematu pierwszy górnik - Polska jest węglowym mocarstwem. Górnictwo sprostą apetytom, ale uważam, że wożenie węgla do leśniczówek i chat położonych na obrzeżach lasów wydaje się jednak przesadnym już ustępstwem na rzecz nowoczesności. Zbyt niefrasobliwie zużywamy skarby okupywane ciężkim górniczym mozołem.

Zebrani zgodzili się z tą pointą i zostali dobrej myśli.

I jeżeli teraz Kierownik Składnicy Węgla w Wąwolnicy wie o tym wszystkim, a wie o tym wszystkim, to co może zrobić Kierownik Składnicy Węgla w Wąwolnicy? Kierownik Składnicy Węgla w Wąwolnicy nie może nic zrobić, ale może czekać na dostawy, Kierownik Składnicy Węgla w Wąwolnicy.

A jeżeli dłuży się czas oczekiwania na dostawy węgla Kierownikowi Składu Węgla w Wąwolnicy, to Kierownik Składnicy

Węgla w Wąwolnicy może z nudów wysiać telex do Centralnego Związku Spółdzielni Rolniczych „Samopomoc Chłopska”, Oddział Węgla w Katowicach, tej treści: „Na naszym odcinku nieznacznie zarysował się przejściowy brak waszego artykułu (chodzi o węgiel)”, może podpisać „Kierownik Składnicy Węgla w Wąwolnicy” i czekać na dostawy.

A gdyby w dalszym ciągu nudził się Kierownik Składnicy Węgla w Wąwolnicy, to może sumę swojej wiedzy okazjonalnie przekazywać rolnikom. I czekać na dostawy.

Jeżeli natomiast rolnicy stawiliby opór Kierownikowi Składnicy Węgla w Wąwolnicy i nie dawali wiary jego słowom, to Kierownik Składnicy Węgla w Wąwolnicy może w każdej chwili pokazać Tygodnik Ilustrowany „Panorama” z dn. 13 marca 1977 roku, w którym Wojciech Giełżyński, Ewa Juńczyk i Teresa Wojtek prawie tymi samymi słowami zapewniają 5 stron tego periodyku. I czekać na dostawy.

Otóż, co uderza pierwszoplanowo w powyższym reportażu, to styl. Miło stwierdzić, że bezpośredniość relacji, szczerłość w stawianiu problemu oraz głęboko humanistyczny, prawdziwy obraz ludzi pracy, ich głębokiej, chciałoby się powiedzieć prostej, ludzkiej troski o sprawę kraju, że wszystkie te cechy nie umarły naturalną śmiercią pod koniec lat sześćdziesiątych, lecz żyją, ba, rozkwitają na nowo, w umysłach żarliwych, przodujących żurnalistów. I bardzo dobrze. Okazuje się, że na dłuższą metę nie można jednak obyć się bez takich rozwiązań. Ale ja nie o tym.

Uważny Czytelnik zorientował się zapewne, według dat w reportażu, że czytam prasę ze znacznym opóźnieniem. Rok, dwa, a czasami wypadnie poczekać i dłużej. To nie jest ani przypadek, ani lenistwo. To system. Pozwala na pewien dystans. Radzę spróbować, na dowolnym materiale prasowym.

Dla jasności weźmy przykład.

Otóż leży przed nami dzisiejsza gazeta. Na pierwszej stronie, najgrubszą z możliwych czcionką, czytamy: „Dwóch facetów, nazwiska nieważne (to znaczy dla nas nieważne, dla nich ogromnie istotne), odwiedziło wczoraj Ziemię Żuławską. Towarzyszyło im trzecie, miejscowe nazwisko, które zapoznało ich z całokształtem 1 specyfiką regionu Faceci obejrzeni szklarnie i powrócili do Warszawy”.

Już jest marnie, chociaż to dopiero wczoraj. A przeczytajcie za dwa lata. Nawet nazwiska jakieś obce.



„Każdy czas ma swój okres” - pisał w „Snach pod Fumarolą” Stanisław Zieliński. Zdanie to wyjęte z kontekstu całości niewiele znaczy. Kto jednak miał przyjemność obcowania z tą uroczą książką, wie o czym mówię. Ujmując rzecz w skrócie, chodzi o to, że w pewnych specyficznych (bardzo specyficznych) układach społecznych (u Zielińskiego akcja rozgrywa się w jakimś egzotycznym, fikcyjnym państewku) obowiązują, na kolejnych etapach rozwoju (?) różne, za każdym razem inne zawsze irracjonalne kryteria, nie stojące względem siebie w żadnej logicznej relacji.

Po prostu „każdy czas ma swój okres”. Książka trudna być może dla Europejczyka, nie stwarza jednak większych barier dla wyrobionego czytelnika z tej strony Łaby.

Wróćmy jednak do „Wspomnień moich pamiętników”.

W czasach, kiedy masło robiono jeszcze z masła, a spożycie przetworów mięsnych było tak niskie, że w sklepach wisały kabanosy, mieliśmy za to, pamiętam, inne problemy. W początkach lat 50-tych modny był w Warszawie basen Legii. Naturalnie nikt, komu bliskie były podówczas sprawy narodu, nie korzystał wtedy z kąpieli - natomiast nagminnie odwiedzał basen element najmniej wartościowy i bardzo nietypowy, to znaczy inteligencja (żyli jeszcze) i spory odłam studenterii. Pozory wolności i pewna, rzec by można, na owe czasy europejskość tak obiektu, jak i sposobu bycia (prawie jak w zagranicznym filmie) była dla nas ogromnym magnesem. Pławiliśmy się więc dosłownie i w przenośni w tych rozkoszach (był nawet bufet - tak jest), więc, aby ostatecznie zachłysnąć się Europą, zagraliśmy tamże, któregoś słonecznego dnia, na rozłożonym kocyku, w bridge'a.

Otóż to. Byliśmy młodzi, nie znaliśmy umiaru. Nie wiedzieliśmy wtedy, że nie ma rozwiązań idealnych i ekstremalnych spełnień.

Podszedł więc do nas Kierownik Obiektu (wojskowego obiektu - Legia należała formalnie do wojska), w garniturze, jak to na basenie, w towarzystwie żołnierza, w pełnym umundurowaniu i pod bronią, jak to na basenie, karty nam zabrał i podarł, a nas wyrzucił za bramę i zabronił powrotu.

Motywacja była prosta. Kierownik nie mógł dopuścić, aby na terenie, za który był odpowiedzialny, szerzyły się wrogie, burżuazyjno - kapitalistyczne wzorce i reakcyjne, o ile dobrze pamiętam, miazmaty. Tylko jego (kierownika) wyjątkowej dobroci możemy zawdzięczać fakt, że potraktował nas tak łagodnie - dodał.

Oczywiście przeciętny Anglik (Anglicy są strasznie przeciętni) nie zrozumiałby z tego nic. Jak to? Przecież mogliśmy po prostu kategorycznie odmówić wyjścia, a na kierownika złożyć skargę do jego szefa.

Widzi pan, sir, to nie jest dokładnie tak, jak pan myśli, a poza tym to były jednak lata 52-53, a wtedy nawet Anglik by wyszedł".



Ja rozumiem, że Pan nie rozumie. Żyjąc od wieków na wyspie, w izolacji od postępu i w umysłowej stagnacji, przyzwyczał się Pan, że białe zawsze jest białe, a czarne - czarne. To tak nie jest. Pamiętam np., jak w tym samym mniej więcej, co wyżej wspomniany, okresie nie wolno nam było również tańczyć, a nawet słuchać waszej, to znaczy zachodniej muzyki rozrywkowej.

Na studenckie zabawy, pamiętam, przychodzili podówczas nasi „koledzy z dzielnicy”. Ot, pobawić się wspólnie, pokontrolować, uświadomić. Należeliśmy w końcu do tej samej, jedynej już wówczas, Organizacji dla Młodzieży. Nic nas - poza ustrojem, sposobem bycia, poglądami i poziomem umysłowym - nie dzieliło.

Stali więc czujni pod ścianami, w swoich służbowych koszulach zielonych z krawatami, nieduzi, zezowaci i szydzili, nadając, ze swoimi krępyimi koleżankami, ton nieskrępowanej zabawie.

Gdy któraś nasza studencka para wykonywała taneczne podrygi - nie nasze, obce, wrogie - otaczali ją swoim swobodnym kółkiem i kucając wskazywali na nasze, a przecież nie „nasze”, nogi, wołając szyderczo: O,O,O.

Gdy zawstydzenie nie dawało rezultatów i gdy nadal staraliśmy się mimo wszystko małpować reakcyjne wzory - wyrzucano nas z naszej zabawy.

Nazajutrz, na specjalnym zebraniu Organizacji dla Młodzieży, wymagano złożenia publicznej, szczerej naturalnie, samokrytyki i utrudniano, w umotywowanych wypadkach, dalsze studia. Zawiadamiano o wrogich tendencjach władze uczelni. W wypadku

oporniejzych osobników mogło to stwarzać poważne kłopoty, do usunięcia ze studiów włącznie. Władze Uczelni bowiem bardzo skwapliwie respektowały wówczas postulaty Młodzieży. Dzisiaj już same wiedzą, jak trzeba. I to wszystko było słuszne wtedy.

Dzisiaj brodaci i częstokroć do ramion zarosnięci studenci, choć muszą należeć do jedynej wspólnej Organizacji, nie do takiej muzyki wykręcają nie takie wygibasy i to też jest słuszne na danym etapie.

A być może niedaleki jest okres, w którym wprowadzi się np. jednolite kombinezony dla nas wszystkich i to na kolejnym etapie też będzie słuszne.

Bo na jakimkolwiek byliśmy lub będziemy etapie, zawsze będziemy na etapie właściwym, ponieważ przyjęliśmy jedynie słuszną linię.

Ponieważ, wiedzeni nieomylnym instynktem, wybieramy, nieomylnie siłą rzeczy, nieomylnych przywódców, którzy nieomylnie wskazują nam jedynie słuszną drogę.

Pamiętam np. etap, gdy 3-hektarowy gospodarz był naszym wrogiem, kułakiem siedzącym okrakiem na worach z mąką i dolarami, a przyszłość kraju i dobrobyt opierały się na parumorgowej biedocie wiejskiej. I to było wtedy też piekielnie słuszne i niepodważalne.

Nic też więc dziwnego, że niedługo potem, na kolejnym etapie, wprowadzono karę śmierci za posiadanie walut obcych, co radykalnie poprawiło podówczas sytuację, a równocześnie znacznie odciążyło służby penitencjarne.

Dzisiaj dolary, choć w niewielkich ilościach, można już od biedy raz na dwa lata kupić w banku, a niektórzy z nas, z całymi rodzinami, mają w ogóle otwarte konta dewizowe.

Bo jedna, jedyna rzecz nie uległa zmianie na żadnym etapie.

Zawsze o wszystkim decydowała niezmiennie wierność jedynie słusznej linii. A etapowych przejściowych trudności niejednokrotnie nie można po prostu unikać, ponieważ związane są one z dynamiką naszego rozwoju, natomiast zawsze można je przezwyciężyć.

Dzisiaj np. w dobie powszechnej oświaty i nowej 10-letniej szkoły mamy m.in. niewielkie i rzecz jasna przejściowe kłopoty z węglem, transportem i budownictwem. No to co? Sposobów rozwiązania jest kilka.

Można na przykład budować w odpowiednich miejscach dobre, przestronne, nowoczesne i ciepłe szkoły, ale można również do

szkół źle lub w ogóle nieogrzewanych wprowadzić s p e c j a ł - n e ocieplane fartuszki dla dziatwy szkolnej, co może stać się kolejnym przykładem głębokiej troski, jaką partia i rząd przywiązują do zagadnień rozwoju młodego pokolenia.

Tak więc już choćby z tego przykładu widać, jak wszystko jest relatywne.

Kto wie, być może właśnie dlatego nieznaczny odsetek obywateli (ściśle 96% ogółu ludności) nie jest w pełni przekonany o niezbędności kolejnych kroków na drodze postępu i dość trudno na razie pozyskać go dla jedynie słusznej linii.

Przyznaję, że ja sam czasami miewam wątpliwości.



Gdy zna się pisarza osobiście, to jakoś zwraca się baczniejszą uwagę na jego twórczość. Zapamiętuje się publikacje, które - gdyby zostały napisane przez kogoś innego - nie zrobiłyby może takiego wrażenia.

Mnie np. ciągle chodzi po głowie ten Putrament. Nikt nawet nie zauważył pewnie jego eseju o psach, a ja mu to dobrze pamiętam. Chodziło o to, że nie może być na rynku mięsa dla ludzi, skoro różne paniusie i nieodpowiedzialni faceci hodują bezczelnie psy, które zupełnie po świńsku obżerają nas z tego artykułu.

Brawo, brawo, panie Jerzy, dziękujemy. Gdyby Pan, czy pan Włodzimierz Sokorski (też go znam) wpadli na jakieś nowe prawidłości, to szybko publikujcie, bo odczuwa się wyraźny głód (takich publikacji).

Ale to znowu margines. Ja, na tych stronach, wspominam dawniejsze czasy, gdy mieliśmy, mimo wszystko, jednak znacznie mniej psów.

Dobrych kilkanaście lat temu myślałem przez moment, że zwariowałem. Wrażenie to potęgowało się jeszcze przez fakt, że byłem sam w mieszkaniu i nie mogłem się z nikim skontrolować.

Było to w czasie, gdy pasjonowaliśmy się jeszcze wszyscy rowerowym wyścigiem na rzecz pokoju. Telewizorów było jeszcze bardzo mało, gromadziliśmy się przy radioodbiornikach. Reperowałem właśnie mieszkanie, które dostałem przed paroma tygodniami, a na parapecie w pustym pokoju stała bateryjna,

dwuzakresowa „Szarotka”, odbiornik radiowy, który na owe czasy był ostatnim krzykiem postępu technicznego. W owym czasie baterie były jeszcze w powszechnej sprzedaży, więc odbiorniczek grzmiał na pełny gaz swoich możliwości. Ostatni etap Wyścigu. Do mety w Warszawie zostało jeszcze kilkanaście kilometrów. Sprawozdawca plółł swoje standardowe dyrdymałki na temat rewelacyjnej drużyny radzieckiej, ale nie o to chodziło. Ważne było, jak jada nasi?

Tu konieczna jest dygresja.

Pewien nasz wybitny mąż stanu stał się akurat w owych czasach, choć na krótko, najwybitniejszym.

Można by tutaj może potrudzić się o jakiś kalambur na temat krótko-długo, ponieważ wyżej wymieniony był autentycznym krótkowidzem, ale nie w tym rzecz.

Otóż mąż ów wybitny, czy to z własnej chęci, czy też na polecenie innych, może mniej wybitnych, ale wystarczająco mocnych, zaszczycił swą obecnością uroczystość zakończenia Wyścigu, na stadionie X-lecia w Warszawie. Usiadł w łoży honorowej i usiłował coś zobaczyć.

Historia milczy, czy i co chciał zobaczyć i nie to należy do opowiadania, ale fakt, że jego zobaczył sprawozdawca. Ot, gratka. Dopasowywałem właśnie ramę okienną do framugi, gdy sprawozdawca wpadł na pomysł zrobienia wywiadu z mężem. Na żywo, bezpośrednio na antenę. Fakt prawie bez precedensu.

Faceta z mikrofonem przepuści każdy goryl. To jest po prostu silniejsze od goryla. No i stało się.

Po paru słowach wstępu, na temat zaszczytu, jaki nas spotkał, reporter poszedł na bezpośredniość. Panie Przewodniczący - powiedział - niech mi wolno będzie zapytać, o pański osobisty stosunek do naszej sportowej imprezy i jak Pan ocenia walkę na trasie?

Cisza.

Pauza była tak długa, że pomyślałem, że coś się stało z odbiornikiem. Ale nie. Po chwili mąż odezwał się jednak. Po pierwsze - wycedził gniewnie - proszę przyjąć do wiadomości, że jestem k o m u n i s t ą (podkreślenie jego), więc proszę zwracać się do mnie wyłącznie „towarzyszu”. A jeżeli chodzi o Wyścig Pokoju to, mój Boże, (podkreślenie moje), któż nie interesuje się sportową walką?

Wątpię, czy ocalała taśma z tym nagraniem, ale z naszego kręgu językowego słyszało tę rozmowę ładnych kilka milionów ludzi.

Nasuwa się pytanie: Jaką to trzeba mieć sieczkarnię w głowie, aby móc zostać najwybitniejszym mężem stanu i zbudować taką konstrukcję myślową?

Odpowiedź: Nie ma chyba jednoznacznej odpowiedzi, ale sądzę, że zupełnie wyjątkową.

Ja, gdy minął pierwszy szok, próbowałem rzecz jakoś przeanalizować, ale nie. Tego nie dało się ugrzyźć z żadnej strony. Forma zwracania się per pan tkwi od wieków w polskiej tradycji obyczajowej i związana jest trwale i naturalnie z naszym językiem. Wszelkie inne, niektóre o pięknych tradycjach, formy mają wyłącznie charakter środowiskowy i mąż powinien o tym wiedzieć. A jeżeli już próbuje publicznie pouczać sprawozdawcę w jednym (choć mylnie, bo sprawozdawca nie należał do tej samej Organizacji dla Dorosłych, co mąż) to nie wolno mu pomylić się chociaż w drugim, bo wtedy moczy już na całej linii. Tu nasuwa się drugie pytanie: Co powinien popełnić mąż, aby chociaż nieznacznie zmasać tę plamę?

Odpowiedź: Tym razem jest jednoznaczna - samobójstwo.

Fakt, że świecki mąż, deklarując się jako komunista, powołuje się jednocześnie na Pana Boga, nie świadczy prawdopodobnie od razu o jego akcie wiary (choć tu już nic nie wiadomo), ale na pewno świadczy jednak o braku jakiegokolwiek samokontroli. Czyli co? Czyli mąż, nie ćwicząc umysłu na co dzień, nie włada nim biegle. C.b.d.u.*



Parę akapitów temu wspomniałem mimochodem, że dostałem mieszkanie. To prawda. To znaczy - nieprawda. Postanowiłem właśnie krótko to omówić.

Oczywiście każdy współczesny krajan rozumie rzecz jednoznacznie, ale czy ja wiem, kto i kiedy będzie to czytał?

Na przykład prawnuk może wyrobić sobie zupełnie mylne pojęcie o patosie naszych czasów, nie mówiąc już o wspomnianym nieco wyżej Angliku. Co do Anglika, co prawda, sprawa wydaje się być szczególnie karkołomna, bo trzeba by założyć raz - że trafi to w jego ręce, dwa - że będzie znał język polski, trzy - że zechce to przeczytać. Chociaż znając zamiłowanie Anglosasów do science-fiction, można założyć, że ten ostatni warunek jest możliwy.

* Sprawozdawcą był Bogdan Tuszyński, przepytanym towarzysz Ochab. Gdyby ktoś nie wiedział, to c.b.d.u. - co było do udowodnienia.

A zresztą, nie tak karkołomne założenia stawiamy sobie na co dzień, abym tym moim tutaj miał się specjalnie przejmować. Ponieważ zaś w ogóle nie informujemy się zbyt intensywnie, każda rzetelna informacja może się kiedyś przydać.

I jeszcze jedno - my o Anglikach wiemy prawie wszystko z naszej radiowej „Jedynki”, natomiast oni o nas nie przypuszczam.

Napisałem: „Reperowałem właśnie mieszkanie, które dostałem przed paroma tygodniami”.

Dwie sprawy wymagają tutaj wyjaśnienia.

Najpierw ciekawostka językowa. Otóż „dostałem” to u nas nie znaczy, że mi je podarowano, ale że po kilkunastu latach oczekiwania, pozwolono mi, za moje pieniądze, kupić sobie mieszkanie. Z tym - co może będzie dla Pana drugą ciekawostką - mieszkanie to nie będzie odpowiadało moim potrzebom.

To znaczy nie takiej wielkości, jakiej bym pragnął, nie w tej dzielnicy, którą lubię i skąd mam blisko do pracy, nie na tym piętrze itd.

Przydzielono mi je z tzw. klucza. (The Key - rozumie Pan?). Nie. Nie o klucze do mieszkania tutaj chodzi, tylko o mieszkanie z klucza. E, nie dogadamy się w ten sposób. Spróbujmy inaczej.

Gdy dostaje się u nas mieszkanie, to jest to wielkie święto, bo inni jeszcze nie dostali i nieważne już, jakie to mieszkanie, ale że w ogóle mieszkanie, rozumie Pan?

To jeszcze inaczej. Wie Pan, jakie oto jest pytanie?

To be or not to be - takie u nas jest pytanie. Zrozumiał Pan? No, ot taka sobie regionalna specyfika.

Druga sprawa - „reperowałem mieszkanie”.

Dlaczego reperowałem mieszkanie? Czy było zepsute?

Ja wiem, słowo „reperować” kojarzy się logicznie z czymś starym i używanym.

Jasne, facet dostał stare, zdemolowane mieszkanie, więc... Otóż nic podobnego.

(Współczesny Czytelniku Polski. Wybacz mi te truizmy i opuść ten akapit. Piszę do Anglika).

Wiesz, Angliku, mieszkanie było nowe i dlatego wymagało remontu, gdyby było stare w ogóle nie byłoby kłopotu. Już ktoś inny przede mną doprowadziłby je do stanu używalności. Osuszył, uszczelnił, usprawnił, przerobił, dokupił co trzeba, wymienił wannę, zlew, ubikację, armaturę, kuchenkę, uzupełnił braki, położył podłogę, kafelki itd., itd. Słowem - przystosował mieszkanie do mieszkania.

Wystarczy dosłownie 2 - 3 lata, aby nowe mieszkanie tak urządzić, aby było jak nowe. „Im starsze, tym nowsze” mówi nasze przysłowie.

Na taki, a nie inny stan rzeczy, składa się szereg konkretnych przyczyn.

Po pierwsze - skala naszych poczynań, kochany, jest zbyt wielka, zbyt piękna, żebyśmy mogli zajmować się, excuse my saying, duperelkami.

Po drugie - spółdzielcze budownictwo przemysłowe nie jest u nas jedyną formą zaspokajania potrzeb mieszkaniowych obywateli. Stawiamy również i liczymy bardzo na indywidualne budownictwo jednorodzinne. Materiałów jednak na ich budowę nie weźmiemy z powietrza. Musimy je skądś czerpać.

Po trzecie - co oczywiste, robotnik budowlany musi być materialnie zainteresowany swoją pracą. Czerpie więc materiały z państwowej budowy i odsprzedaje je indywidualnym odbiorcom. To jest właśnie ta słynna wartość dodatkowa, którą u nas robotnik wypracowuje dla siebie.

Ja wiem, że to wszystko nie łatwo zrozumieć, ale taka jest cena, niestety, którą trzeba płacić za postęp i nowoczesność.



Popatrzmy: ot, taki sobie pierwszy lepszy tytuł, z dowolnego numeru, dowolnej gazety. Może to być np. „Trybuna Ludu” z dn. 1 marca 1979 r., ale niekoniecznie. Od lat bowiem co kilka dni, cała prasa solidarnie serwuje nam na pierwszych stronach takie czy podobne rewelacje. Czytamy:

S P O T K A N I E S . T R A B A L S K I E G O
z przodującymi rolnikami
i działaczami wiejskimi
W s p o t k a n i u w z i ą ł u d z i a ł
T. TRALALIŃSKI

Oczywiście - aby uniknąć niezamierzonych skojarzeń - nazwiska wymienione powyżej są w tym wypadku zmyślone. Zapożyczyłem je z Tuwima jako ładnie brzmiące i wystarczająco ograne. Ale nie upieram się - mogą być inne. Natomiast treść informacji oddana jest wiernie. I rzecz w tym, że osobiście wolałbym tytuł:

SPOTKANIE S. TRĄBAŁSKIEGO
z zacofanymi rolnikami
i ospałymi działaczami wiejskimi
W spotkaniu wziął udział T. TRALALIŃSKI

Zakładając bowiem, że rolnicy nie są przodujący, ale zacofani, a działacze ospali - takie spotkanie miałoby może cień sensu, ale tak? Po cholere tracić czas?

Chociaż z drugiej strony, w oczach Spotykcaczy (S. Trąbałskiego i T. Tralalińskiego) takie spotkanie z przodującymi może mieć - i pewnie ich zdaniem ma - nie tylko sens, ale i głębokie walory wychowawcze. W tym celu muszą sobie tylko założyć, że jednym z największych marzeń rolnika jest porzucenie na parę dni roli, aby spotkać się ze Spotykcaczami. I oni robią sobie takie założenie. A stąd wniosek jest już prosty: Bądź przodujący, to się spotkasz.

Doping jest tak potężny, że tą drogą będziemy mogli pchnąć rolnictwo na jeszcze wyższy poziom. I my je chyba pchniemy.

Gdyby jednak ten typ działalności nie był w pełni zadowalający, to zawsze można jeszcze podeprzeć się (od podpierać) „Listem do rolników”, wydrukowanym w prasie centralnej. Tamże informacje o nadrzędnych celach, bohaterstwie rolników i kobiet wiejskich oraz szeregówowa analiza pór roku, to znaczy: która następuje po której.

No, ale póki co - stoimy miesiącami w ogonkach, w oczekiwaniu „że coś rzucą”. Jest to niezła forma wypełniania wolnego czasu ludziom pracy, ale są też drobne mankamenty.

Np. „rzucili coś” rzeczywiście, chcesz więc już kupić ochłap, zapłacić, a tu nie ma kasjerki. Znowu trzeba przez dłuższy czas wypełniać wolny czas, no i też zaraz pretensje kogoś z mas pracujących. Ale jest wyjaśnienie. Za nieobecną pracownicą ujmuje się solidarnie inna:

Jeżeli koleżanka wyszła (u nas Angliki, obecnie pracują wyłącznie koleżanki; wyjąwszy tylko apteki, gdzie pracują panie magister), to widocznie musiała. Pan wybaczy (a złośliwie, a chamskie, a obraźliwe bardzo to „pan wybaczy”), ale koleżanka nigdy nie wychodzi, jeżeli nie musi. Więc jeżeli wyszła, to chyba pan widzi, że musiała.

Musiała to musiała. Może rzeczywiście musiała.

I ja bym, sądzą, zrozumiał koleżankę, zważywszy, że czasami też muszę wyjść, gdybym, cholera, od 30 lat nie trafiał wyłącznie na te wychodzące.

Gdybym przez te trzydzieści lat nie tkwił po uszy w chamstwie, lekceważeniu, bezmyślności i prymitywie.

Gdybym nie musiał przez 30 lat znosić codziennie upokorzeń - wynikających z braku jakichkolwiek norm społecznego współżycia. Gdybym przez te lata nie musiał żyć w atmosferze całkowitej nieodpowiedzialności, braku autorytetów i bezbrzeżnej pogardy dla drugiego człowieka.

Gdybym.....ech, szkoda gadać.

Mimo, że uroczyste przeżywamy akurat 35-lecie PRL, zupełnie świadomie napisałem „od lat 30-tu”, a nie 35-ciu.

Różnica bierze się stąd, że przez te pierwsze 5 lat XXXV-lecia pracowaliśmy jednak dość uczciwie.

To była jeszcze pozostałość po niemieckiej okupacji, podczas której brak solidarności i elementarnej przyzwoitości względem siebie - wykończyły nas jako naród.

Nie przetrwalibyśmy po prostu.



Taczak

Włączam sobie niedawno radio (kolegów spikerów i sprawozdawców z TV pragnę tutaj przeprosić za staroświeckość - oczywiście prawidłowo powinno być „włączam”), no więc włączam sobie rano radio, poprzez naciśnięcie włącznika, a tam na łańcach nadają wywiad. Jedna pani redaktor z Wrocławia przeprowadza wywiad z wywiadodawcą z Karpacza, panem Stanisławem Taczakiem, zwanym niżej w skrócie „rotmistrzem Taczakiem”, który w ramach wspomnień XXXV-lecia PRL opowiadał, jak to było naprawdę w 1945 roku i jaki był w tym osobisty udział rotmistrza.

I okazuje się, że udział osobisty rotmistrza był w tym zasadniczy i należy wątpić (może: „want pić” - nie wiem), czy jeleniogórskie w ogóle stanęłyby na nogi bez rotmistrza, zwłaszcza w dziedzinie sportu, turystyki i rekreacji. Było tak:

Gdy po parusetletniej niewoli piastowski Karpacz był już znowu nasz - jako jeden z pierwszych zjawił się w nim rotmistrz, aby po z n i s z c z e n i a c h w o j e n n y c h rzucić się w w i r o d b u d o w y. A rzuciwszy się, zaczął rotmistrz Taczak budować, tworzyć zaplecze sportowe w postaci schronisk, domów noclegowych, domów

turystycznych, odbudowy starych tras narciarskich i turystycznych, oraz wytyczania i budowy nowych. A ile jeszcze trzeba było remontować, odnawiać, rewaloryzować, organizować, uuu, nie na jednego człowieka to siły, choćby i rotmistrza.

Skrzyknął więc rotmistrz paru, anonimowych w wywiadzie, entuzjastów, objął dowództwo, powierzył entuzjastom niektóre, mniej zagrożone odcinki, a entuzjaści jak tam mogli i potrafili pomagali rotmistrzowi i wykonali rotmistrzowski program.

Dalej już prosto - dzięki wieloletniej pracy rotmistrza - sport i turystyka, razem z całym zapleczem stanęły twardo na nogi i tak stoją po dziś dzień, a rotmistrz z czasem przeszedł bardzo zadowolony na zasłużoną emeryturę i się cieszy, że nie zmarnował szansy.

I po co pleść takie głupstwa?

Otóż Karpacz zdobyłem osobiście w 1945 roku. Nieco wcześniej zdobyła go również niezwykczona Armia Czerwona, ale tak szybko maszerowała na Zachód i tak daleko ten rejon leżał od szlaku kolei szerokotorowej, że Karpacz (ówczesny Krumhubel) pozostał w nienaruszonej formie, wspaniały, zadbane, cudownie wyposażony, bogaty w eleganckie pensjonaty, wille, hotele, sprzęt, trasy sportowe, baseny itp. To było cacuszko. Bombonierka.

Na tym tle dość trudno wyobrazić sobie rtm. Taczaka rzucającego się w wir odbudowy po wojennych zniszczeniach.

W dodatku mieszkali tam jeszcze Niemcy, którzy, jak to Niemcy, bez względu na sytuację i stan wojenny utrzymywali miasto i zaplecze nadal w nienagannym stanie.

Dopiero znacznie później przesiedliło się Niemców, gdzie trzeba i zostaliśmy sami, niszcząc systematycznie wszystko.

I dokładnie pamiętam, kto niszczył, kto budował, a ściślej - kładł podwaliny pod dzisiejszy, jakikolwiek Karpacz.

Bo faktem jest, czy to było przyjemne, czy nie, Karpacz przynależał teraz do Polski i że pod polski Karpacz trzeba było kłaść podwaliny i lepszą czy gorszą polską administrację i organizację życia.

Otóż rzeczywiście znaleźli się ludzie, też grupa entuzjastów - wspomniana przez rotmistrza, którzy starali się uratować, co się da przed grabieżą, szabrem, dewastacją oraz bezdenną głupotą władzy i zabezpieczyć na przyszłość dla polskiego kurortu. Jednocześnie organizowali oni życie sportowe i turystyczne, tworząc kluby, ściągając trenerów, udostępniając i obsadzając schroniska, zabezpieczając opuszczone pensjonaty dla najrozmaitszych Zrzeszeń, organizując

zawody, a nawet Mistrzostwa Polski w różnych dyscyplinach sportu, a jednocześnie wychowując młodzież i tworząc, lub chociaż starając się tworzyć, życie kulturalne miasta.

Piszę „starając się”, ponieważ ludzie ci musieli działać z dodatkowym utrudnieniem niejako przeciwko oficjalnej linii politycznej miejscowych i nie tylko, władz, co im już po paru latach nie wyszło na zdrowie.

Nie chcę tu szczegółowo wymieniać wszystkich nazwisk, powinien to zrobić rtm. Taczak w swoim wywiadzie, ale chcę wspomnieć choćby pana Jerzego Ustupskiego, zakopiańczyka, przedwojennego olimpijczyka, działacza (ale w tym prawdziwym, nie współczesnym sensie), prezesa klubu sportowego, dyrektora uzdrowiska, który bodajże najwcześniej podjął działalność organizacyjną w Karpaczu, oraz mjr. Władysława Dobrowolskiego, trenera i działacza, też olimpijczyka, późniejszego dyrektora uzdrowisk Karpacz i Szklarska Poręba, który po powrocie z niemieckiej niewoli całym swoim przedwojennym sercem i humanizmem oddał się sprawie społecznej i tak wiele dokonał dla ówczesnego Karpacza.

Co do mjr. Dobrowolskiego nie chciałbym mnożyć pochwał, aby przy zbieżności nazwisk nie być przypadkiem posądzony o kumoterstwo. Tym bardziej, że to mój ojciec.

Gwoli historycznej prawdy należy tu jednak wyraźnie powiedzieć, iż faktem jest, że w grupie Karpaczan był sobie również pewien miły, kulturalny, ładnie grający na fortepianie, bardzo nieakuratny urzędnik w Biurze Turystycznym, który dodawał sobie przed nazwiskiem rotmistrz, a nazywał się Taczak. Fakt jednak, że większość ówczesnych działaczy społecznych, bądź w sposób naturalny, bądź wymuszony zniknęła z Karpacza, a kilku z nich już nie żyje, nie decyduje jednocześnie o tytaniczności pana Taczaka, ani o zasługach, które, żeby nie urazić rotmistrza, powiedzmy były wspólne.

Przyznaję jednak uczciwie, że w takiej sytuacji łatwiej jest mówić dobrze tylko o sobie i udzielać wywiadu młodej dziennikarce, która przyjmuje wszystko za dobrą monetę, tym bardziej, że timbre całego wywiadu był słuszny i mógł być dobrze przyjęty przez jej naczelnego, który z kolei mógł się w ten sposób wykazać odwaleniem na XXXV-lecie PRL kawałka dobrej propagandowej roboty.

No i tak to było, ale chciałbym tu przy okazji podzielić się jeszcze jednym wspomnieniem, które zbudziło się we mnie niejako na marginesie wywiadu pana rotmistrza.

Otóż Karpacz, miasto-ogród mojej młodości, opuściłem w 48 roku, jako absolwent miejscowego Gimnazjum i Liceum im. Maurycyego Mochnackiego. Nie było to już wtedy to piękne Krumhubel, które ujrzałem w roku 1945, ale był to jeszcze mój Karpacz. Biedny już, podniszczony, rozkradziony, ale ze wszystkimi oznakami dawnej piękności.

Ostało się bowiem jeszcze prawie to wszystko, co podówczas niewarte był wywiezienia i trwało to sobie na przekór historycznym przemianom. Stały płoty, wisiały okiennice, kwitły rododendrony na skwerach, stały jeszcze, choć już zaświnione po pachy, publiczne szalety, piękniły się sady, ogrody i parki, a w nich ławki - ciężkie, często kamienne - bardzo trudne i prawie nieopłacalne do zniszczenia.

A gdyby podówczas nie zaglądać do środka pensjonatów, willi i hoteli, to z zewnątrz prezentowały się one nadal znakomicie. Piękne dachy, całe rynny, ściany bez zacieków, okna z szybami, a większość drzwi niepozabijana deskami.

W górach stały wszystkie odzyskane schroniska.

Po 17 latach, w roku 1965, znalazłem się ponownie w Karpaczu jako uczestnik Zjazdu Absolwentów mojego Gimnazjum.

Nic nie ocalało z tego, co zostawiłem.

Wnętrza domów, już dawniej bardzo ogołoczone, teraz stanowiły ruinę. W miejsce dawnych mebli hotelowych stały żelazne, piętrowe łóżka w poprzębionych, dla potrzeb masowego turysty, pokojach. Padły siatki i płoty, których nikt nie konserwował, odsłaniając jeszcze dokładniej zrujnowane fasady, pozaciekane ściany, sypiący się tynk, futryny bez drzwi, poutrącane zdobienia, gołe okna bez firanek i kłódki, kłódki, skoble i szyny na wielu drzwiach, wejściach i oknach dawnych pensjonatów i hoteli.

Pięć schronisk przestało istnieć. Dwa z nich już wcześniej zaanektował dla siebie WOP Dwa inne - ogromne, bogate i wygodne - spłonęły.

Jedno z nich, schronisko „Księcia Henryka”, przepięknie położone wysoko nad Dużym Stawem, które było rodzajem eleganckiego górskiego hotelu na kilkaset osób, spłonęło do fundamentów razem z budynkami gospodarczymi, restauracją i własną elektrownią.

Nigdy nie dowiedziano się, jak to się stało.

Po prostu któregoś ranka, po bardzo ciemnej i mglistej nocy, Karpaczanie nie dostrzegli już charakterystycznej sylwetki, bryły schroniska na Srebrnej Grani.

Krążyła później plotka, że świadomego podpalenia dokonali ludzie, którzy od paru lat pobierali ciężkie pieniądze z Centrali na renowację schroniska, ale nie znalazła ona nigdy potwierdzenia.

Fałszywość takiego zarzutu może z resztą zaprzeczyć jednoznacznie choćby ten prosty fakt, że w schronisku nie przeprowadzano nigdy żadnej renowacji.

Już raczej można by domniemywać, że podpalenia niezamieszkałego i popadającego powoli w ruinę, opuszczonego schroniska, dokonał po prostu jakiś pijany idiota, ot tak sobie, bez celu, na Nerona. Najbardziej jednak przekonująca wydaje się wersja, że aktu likwidacji dokonała anonimowa grupa miłośników przyrody, chcąc przywrócić Srebrnej Górze i Karkonoszom ich pierwotne, mieszkopierwszokskie, dzikie piękno.

Drugie schronisko „Bronka Czecha” w połowie ocalało, choć nigdy już nie odzyskało dawnej świetności.

Piąty obiekt, nieistotny z punktu widzenia masowej turystyki, nie był właściwie schroniskiem, a małą „niczyją” chatką, ukrytą wysoko wśród kosodrzewiny na stromym stoku Czarnej Kopy. I może nie warto byłoby o tym wspominać, gdyby los chatki, właśnie przez jej niewielkość i nieważność, nie był taki znamieny dla tamtych, ale i tych, czasów.

Nazywało się to „Chata Morgana” i było wyposażone we wszystko, co mogło być potrzebne zbłąkanemu turyście. Od zgromadzonego i narąbanego drzewa, poprzez garnki, talerze, noże, widelce, meble, piec kuchenny, do pościeli, siekiery i ozdobnego pogrzebacza włącznie. Lampa naftowa z zapasem nafty i rzeźbione futryny i półki dopełniały całości. „Za Niemca” była to „Jagdhiitte”, czyli chatka dla myśliwych polujących jesienią na pobliskim rykowisku.

Polska nazwa pochodziła od żartobliwego przekręcenia słowa „fatamorgana”, ponieważ chatka ta, wymyślnie ukryta w trudnym, stromym i bardzo gęsto zarośniętym terenie, miała tę właściwość, że w miarę zbliżania się do niej, to ukazywała się fragmentarycznie na chwilę, to niknęła na długo w kosodrzewinowym gąszczu, aby po kilkunastu minutach ukazać się jakby w zupełnie innym miejscu i była prawie nie do odszukania przez kogoś nieznającego drogi. Odkryliśmy ją z przyjaciółmi w czasie górskich wypraw, ale nie byliśmy pierwsi. Przed nami był już tu inny polski odkrywca, który nie tylko pozostawił chatkę w nienagannym stanie i porządku, ale

zostawił również niepsujące się zapasy żywności oraz wymyślił „Regulamin” chatki i założył Księgę Pamiątkową.

W ramach regulaminu należało właśnie pozostawianie zbędnej żywności dla następnych gości, narąbanie drzewa przed opuszczeniem schronienia, umycie garów i takie różne, miłe anonimowo - przyjacielskie przepisy i zalecenia ułatwiające użytkowanie chatki przez zmieniających się „gospodarzy” i dające dodatkowo to sympatyczne wrażenie wspólnej więzi i solidarności górskich włóczęgów. Tym miłsze, że nie podlegające żadnej kontroli. Człowiek często był sam, mógłby naświnić, nikt nie wiedziałby, że to on, a jakoś nigdy się to nie zdarzyło.

Z czasem Pamiątkowa Księga wzbogaciła się o dziesiątki nazwisk i zapisków, a naszą zasługą była właśnie owa nazwa chatki. Nazwa przetrwała i z czasem zawędrowała nawet na turystyczne mapy.

Niepotrzebnie, bo gdy przyjechałem powtórnie, chatka nie istniała. Została zrównana z ziemią przez Wojska Ochrony Pogranicza, razem ze swoją Księgą i Regulaminem, aby utrudnić „przerzuty” na Czechy i dalej do Austrii.

W pędzie ku nowoczesności i masowości nie zapomniano również o przyrodzie. Zdeptano skwery, zniszczono ogrody; sady pozbawione gospodarskiej ręki obumarły, a potoki, wtedy krystalicznie czyste, pełne pstrągów, teraz śmierdzące, zasypane zwałami śmieci, garnków, puszek, butelek, książek, pociętych i niepotrzebnych już gorsetów gipsowych z jakiegoś sanatorium, desek, resztek materiałów budowlanych i odpadków kuchennych.

Podobno obecnie znów jest dobrze. Podobno Karpacz znowu kwitnie. Tak utrzymuje telewizja, tak podają gazety, a Kronika Filmowa pokazuje, jak wesoło biją się śnieżkami.

Wszystko jest oczywiście możliwe, chociaż ja osobiście wątpię. W każdym razie o kwitnieniu na pewno nie może być mowy. Jest jednak nowe schronisko na Śnieżce, to fakt, jest podobno jakiś wspaniały wyciąg narciarski na Małą Kopę, wyremontowano basen. No, brawo, tylko nie jestem zupełnie pewny, czy w tym celu należało koniecznie dokonać przed tym takich zniszczeń.

I można jeszcze zastanawiać się, jakim nieporównywalnie tańszym kosztem i o i 1 e więcej mogłoby być tego wszystkiego, gdyby nie poprzednie spustoszenia?

Ja myślę, że śmiało o 30. Lat naturalnie.

Ps. Opowiadali mi znajomi, że podobno ostatnio odrestaurowano częściowo „Chatę Morgana”.



Fili

Jak tu nie pisać memuarów, skoro we wszystkich dziedzinach, nawet w tych drobnych, nieważnych, tak na żywca, z miedzianym czołem, bezczelnie kpią sobie z nas bezkarnie w żywe oczy.

I nie byłoby to pewnie istotne, gdyby te drobne, samoistnie nieważne epizody nie składały się razem w obraz całości i w całości wypaczały prawdę ubiegłych lat.

My jeszcze pamiętamy, ale nasze dzieci wierzą już nowej wersji. Może z resztą historycznie jest rzeczywiście nie istotne, jaki obraz tamtych lat powstanie w umysłach nowego pokolenia, ale mnie jest jednak przykro. Tym bardziej, ponieważ osobiście sędzę, że to nie może być nie istotne, na jakich tradycjach oprą swoją moralność i przyszłość.

Przykro mi np. gdy moje dzieci z przyjemnością oglądają w TV serial Jerzego Janickiego pt. „Polskie drogi”.

To bardzo wredny serial.

Wiele jest u nas publikacji, imprez, sztuk, widowisk czy książek tak ewidentnie marnych, tendencyjnych i głupich, że na ich rzeczywistej wartości pozna się nawet nasza wspaniała młodzież, z Tłuszcza powiedzmy, dla której wesołe miasteczko i pite tamże wino jest największą miarą życia kulturalnego. Ale serial „Polskie drogi” napisany jest z autentycznym talentem i przez to tym wredniejszy. Bo ten serial wciąga, każe z uwagą śledzić losy bohaterów. Losy często tragiczne i bardzo ludzkie, prawdziwe. A jednocześnie niezauważenie, jakby niechcący wsącza się w odbiorcę fałszywe tło, na którym ta akcja się toczy. Tło historyczne złożone z pół, z ćwierćprawd, fałszywe, zakłamane, oszukane w datach i w proporcjach, a stwarzające bardzo sugestywne pozory prawdy prawdziwej.

Słyszałem, że podobno autor przechwalał się nawet swoją postawą, twierdząc, że jeżeli nie można wszystkiego, to chociaż trzeba „przemycić” część prawdy. Obrzydliwe.

Znamy podobne wybiegi i w innych dziedzinach. Często szermują nimi faceci na eksponowanych stanowiskach, mówiąc: „Widzisz, ja

stanowią chociaż rodzaj buforu. Mogę jakoś w ten sposób pomóc ludziom. Wierz mi, dawno bym to wszystko rzucił, brachu, gdybym był pewny, że po mnie nie przyjdzie jakaś bezwzględna świnią bez skrupułów".

Na kogo można tu liczyć, jeżeli nawet pisarz, w końcu w jakimś sensie sumienie narodu, a nie narodu to jakiejś grupy choćby, nieprzymuszony i zamożny z innych seriali, puszcza się na coś tak obrzydliwego. Dlaczego?

To, czy można mieć pretensje do rozsądnego skądinąd brygadiera, majstra, kierownika działu czy nawet już nierozsądnego, lecz wręcz głupiego i zaprzędanego kierownika zakładu, kiedy biorą oni udział w produkcyjnych mistyfikacjach, uchwalając na Konferencjach SR-ów karkołomne, głupie i całkowicie niewykonalne zobowiązania, aby tylko zadowolić szeroko pojęte Kierownictwo i obronić swój wąsko pojęty tyłek?

Mimo, że pytanie powyższe zostało postawione właściwie tylko jako figura retoryczna, wypada na nie, z uczciwości, odpowiedzieć.

Otóż wydaje mi się, żeby nie demonizować zbytnio pana Janickiego, oczywiście można i trzeba mieć i do nich, i do nas wszystkich pretensje, bo my jednak ten tyłek źle rozumiemy. I sędzę, że nie ma, poza strachem naturalnie, żadnych racjonalnych przesłanek, abyśmy musieli brać udział w tej powszechnej mistyfikacji.

Ale żeby już do końca uczciwie odpowiedzieć, to jednak od pana Janickiego wymagałbym więcej i wcześniej.

Chyba, że jeszcze jest czas, panie Janicki?

Ale wróćmy do wspomnień.

W połowie lat 60-tych istniała na antenie TV cykliczna audycja pod nazwą „Wielokropek”. Była to kosmicznie kretyńska chała, na poziomie świetlicowych gazetek ściennych i taką pewnie pozostałaby w pamięci, o ile w ogóle chciałby ją ktoś pamiętać, gdyby nie wredność jej propagandowych założeń, absolutnie sprzecznych z jej oficjalnym, zewnętrznym wyrazem.

Polegało to na tym, że oficjalnie „Wielokropek” „interweniował społecznie” w obronie obywateli. Dotyczyło to a to dziury gdzieś w jezdni, a to autobusu 125, który się spóźnił, a to panu X (po nazwisku, a jakże) potrącono za dużo z pensji, a to w jakimś zakładzie szwankowało zaplecze socjalne, różnie.

A przecież tak nie powinno być. To brzydko. To fe.

I „Wielokropek” ostro, śmiało, bez pardonu - wierszykiem, krakowiaczkiem, rysunczkiem, przyśpiewką - w nich.

Będziecie tu nam poniekąd próbowali burzyć ład społeczny, krzywdzić obywateli, podważać demokratyczność naszego systemu? A niedoczekanie.

Preparowano więc „satyrycznie” fackiki, początkowo fingowano lub brano z drobnych wzmianek prasowych, później w oparciu również o autentyczne - zdaje się - listy biednych ludzi, którzy na tej drodze starali się dochodzić swoich spraw, jakby to cokolwiek zasadniczo mogło zmienić - i piętnowano te drobiazgi bezlitośnie. Tyle, że ze wstecznych pozycji. Bo podstawowym założeniem „Wielokropka” była nie prawdziwa krytyka, lecz afirmacja poprzez krytykę pozorowaną.

Dlatego ten cotygodniowy magazyn był taki wygodny i dlatego mógł się utrzymać na antenie przez 5 lat.

Był potrzebny i popierany, ponieważ zakładał w podtekście tezę o powszechnym dobrobycie i praworządności, stwarzając jednocześnie pozory demokratyczności naszego bytu.

Było jednak to wszystko, przez swoją nieudolność, całkowicie przejrzyste, toteż audycja ta już w czasie trwania cyklu była (przynajmniej przez inteligencję - jak w Tłuszczu, nie wiem) powszechnie ośmieszana i wykpiwana.

Otóż okazuje się, że pamięć jest rzeczą zawodną. Mimo, że upłynęło dopiero niespełna 10 lat, pamiętam źle.

Otworzył mi oczy niejaki Witold Filier, obecny dyrektor Teatru Syrena w Warszawie i Naczelny Redaktor tygodnika satyrycznego (?) „Szpilki”, w owym czasie założyciel (pod własnym patronatem jako Naczelny Redaktor Redakcji Programów Rozrywkowych TV), twórca, ojciec duchowy, wykonawca i główny animator „Wielokropka”, człowiek wielokrotnie sprawdzony w bojach, jakie przyszło mu zwycięsko staczać na różnych etapach naszej rzeczywistości, jednym słowem człowiek, w którego słowo niepodobna wątpić. Otóż tenże Filier, w majowych „Szpilkach”(79), snuje wspomnienia z XXXV-lecia PRL „koncentrując się” - jak pisze - „ na żartobliwym zapleczu tych pięknych lat”.

I tak się żartobliwie skoncentrował, że i lata owe wydają mu się piękne i jego działalność wspaniała.

No i okazuje się, że „Wielokropek” cieszył się (cytuje) „nieludzką popularnością”, a następnie dowiadujemy się, że (cytuje): „Był ów

magazyn cotygodniową kroniką powszechnych bolączek, trybunałem dziennikarskiej interwencji, ostatnim odwołaniem dla ludzkich krzywd od biurokratycznych machlojek, indolencji i złej woli różnych bonzów".

Następnie, aby nie być gołosłownym, red. Filier denuncjuje po nazwisku ludzi, którzy dla łatwego zarobku przykładali wówczas do tego ręki, a którzy teraz, jak sędzę, woleliby raczej nie być w tym kontekście wymieniani.

Niestety jest to konieczne, bo nazwiska dość znane potrzebne są, aby znobilitować wstecz przedsięwzięcie oraz, aby red. Filier mógł poczuć się jeszcze pewniej. Bo choć samo nazwisko Filiera znakomite, to jednak ładniej wygląda w grupie podparte np. Szymonem Kobylińskim.

W tym długim wspominkowym felietonie jest jeszcze ciekawa wzmianka o tym, co czuli red. Filier z kolegami. Otóż (cytuje) „... czuliśmy skalę odpowiedzialności, jaka wiąże się ze słowem, co płynie z anteny”.

Ciekawe wydaje się, skąd wzięła się liczba mnoga w tym „czuliśmy”. Czy rozmawiali ze sobą o tej wspólnocie uczuć (np. z „inżynierem dźwięku Bogdanem Kryspinem”, albo z „uroczą, zawsze uśmiechniętą Haliną Kożusznik”), czy też po prostu widać było od razu po każdym, że czuje skalę odpowiedzialności, jaka wiąże się ze słowem, co płynie z anteny.

(Na marginesie: Tej odpowiedzialności, co prawda, nie dawało się na tej antenie specjalnie zauważyć, ale czyżby red. Filier chciał tym zdaniem zasugerować, że obecnie nie ma tej odpowiedzialności za słowo? Nie przypuszczam. Zagalopował się po prostu, chcąc się nadmiernie przechwalać, ale umoczył niestety, ponieważ pisząc - nie czuł odpowiedzialności, jaka wiąże się ze słowem, co płynie z papieru.

Można jednak to zdanie jeszcze inaczej zinterpretować, co wydaje mi się najbardziej prawdopodobne. Pisząc je, red. Filier miał na myśli inną odpowiedzialność. Nie przed społeczeństwem, lecz przed zwierzchnością).

Miarą popularności „Wielokropka” miało m.in. być - jak wspomina red. Filier - następujące zdarzenie:

„... stałem ongiś ze znajomym funkcjonariuszem LOT-u na lotnisku w Genewie (proszę zwrócić uwagę, jaka miła, bezpośrednia narracja. Tak jest, proszę państwa, tak się stoi, to naturalne. Każdy obywatel PRL stoi sobie co pewien czas mimochodem ze znajomym

funkcjonariuszem, a to w Amsterdamie, a to w Barcelonie, a to w Genewie sobie), on czekał na przyłot naszego wiceministra spraw zagranicznych (...), minister przylatuje, omija sprężoną postać mego znajomka, mnie tuląc w serdecznych objęciach." ... Ciekawe. Co kryje się za tym ściskaniem?

Otóż - jak wyjaśnia red. Filier - red. Filier nie znał ministra, to minister znał red. Filiera. Z „Wielokropka”.

Możliwe. To tłumaczenie wydaje mi się najbardziej prawdopodobne. To jasne. Co minister zobaczy kogoś z polskiej telewizji na lotnisku, to tuli go serdecznie w Genewie.

Należy jednak rozpatrzeć i inne możliwości.

Pamiętajmy o tym, że nasi mężowie stanu w ogóle lubią się tulić na każdym lotnisku. Być może właśnie minister wiedziony ogólną potrzebą tulenia wybrał redaktora Filiera przypadkowo, na chybił trafił.

Być może był to tylko odruch warunkowy, na zasadzie prostego, utrwalonego przez ciągłą praktykę, skojarzenia: płyta lotniska - tulić.

Może minister pomylił lotniska?

A może redaktor Filier podobał się ministrowi? Zdarzają się i takie, pogłębione odchylenia.

Jeżeli jednak, czego nie można wykluczyć, minister tulił redaktora Filiera rzeczywiście na okoliczność „Wielokropka”, to niekoniecznie fakt ten musi stanowić o zaletach audycji. Może również świadczyć o głupocie wiceministra.

Oczywiście każdy ma prawo do swojej własnej wersji wspomnień. Ja osobiście darowałbym chętnie nawet redaktorowi ten jego rozkoszny infantylizm, gdybym nie pamiętał redaktora z jego mniej infantylnych posunięć.

Kiedyś jeden z autorów (nazwisko znane mojej redakcji) wyraził wobec telewizyjnego redaktora Witolda Filiera życzenie, aby telewizyjny scenariusz tegoż autora mógł zrealizować reżyser X (nazwisko również znane redakcji), ponieważ autor wysoko sobie cenił umiejętności reżysera X.

Zgadzam się z panem - powiedział red. Filier - jest to bardzo zdolny i sprawny reżyser, niestety nie będziemy mogli skorzystać z jego umiejętności, ponieważ jest to facet niepewny politycznie. I zapachniało nagle w redakcji komiśniakiem z czarną zbożową kawą i faktycznie nie skorzystano z umiejętności reżysera X.

I słusznie chyba, bo prawdopodobnie reżyser X nie czułby skali odpowiedzialności, jaka łączy się ze słowem, co płynie z anteny. Przypuszczam nawet, choć upłynęło tyle lat i tak głębokie zdołały zająć przeobrażenia, że reżyser X niczego się nie nauczył i że nadal z uporem jest bezwiednie facetem niepewnym politycznie.

Napisałiśmy kiedyś z Wojciechem Młynarskim z okazji jakiegoś konkursu widowisko telewizyjne pt. „Wiesław Gołas - show”. Gołas był wtedy u szczytu swojego artystycznego rozwoju. Chcieliśmy wykorzystać wszystkie możliwości tego wspaniałego aktora, a jednocześnie utrwalić jego sztukę archiwalnie.

Scenariusz był wspaniały i nie są to tanie przechwałki. Wystarczy powiedzieć, pomijając wszystkie inne ewentualne zalety, że znalazło się tam kilkanaście napisanych specjalnie dla tego programu, oryginalnych piosenek Młynarskiego, które później święciły liczne triumfy na naszych estradach.

A jeżeli nawet, czego nie da się wykluczyć, scenariusz nie był wspaniały w ocenach absolutnych, to był (o co już nietrudno) świetny przez porównanie z normalną sieczką „rozrywkową”, jaka sypie się z telewizyjnego ekranu.

Nikt zresztą nie negował wartości scenariusza. Przeciwnie. Jednak red. Filier zdecydowanie odmówił skierowania go do produkcji.

Nie pozwolę - powiedział - robić sobie kpin z 1-ego Sekretarza. Redaktorowi Fillerowi bowiem i tylko redaktorowi Fillerowi (bo np. autorom zupełnie nie) kojarzyło się jednoznacznie:

Wiesław Gołas - Wiesław Gomułka

Program nigdy nie został zrealizowany.

No i co redaktorze Filier? Przyznaje się pan do błędu?

JESTEM OSOBIŚCIE GŁĘBOKO PRZEKONANY, że po przemyśleniu - d z i s i a j puściłby nam Pan ten scenariusz, co?



resume

Napisałem przed chwilą o powszechnym poczuciu fałszu, ale nie chciałem przeceniać tego zjawiska.

Pełną świadomość fałszu, rzecz by można świadomą świadomością, łączącą się z aktywnym sprzeciwem, posiada stosunkowo niewielki odsetek ludzi. Większość, choć instynktownie doskonale wyczuwa nieprawdę, przyjmuje ją jednak jako konieczną normę i w związku

z tym bądź aktywnie, bądź biernie uczestniczy w tym procesie. Coraz mniej żyje osób, które pamiętają prawdę, coraz więcej za to jest wspaniałej młodzieży z Tuszczu i Wołomina, która wylewa się na kraj ze swoich Techników, pokrywając nas coraz szczelniej warstwą prymitywu, chamstwa i zaniżonych do minimum wszelkich potrzeb.

I przy tak zmasowanej, chociaż przez swoją bezmierną głupotę pozornie niegroźnej propagandzie, po pewnym czasie powinniśmy już uwierzyć i w to, że po zniszczeniach wojennych odbudowaliśmy wielkim wysiłkiem Karpacz i że nadawaliśmy rewelacyjne, zaangażowane społecznie audycje telewizyjne i że basenik dla dzieci z roku 1935-ego zbudowaliśmy w Socjalizmie w latach 70-tych i że nieomylnie kroczymy po jedynie słusznej drodze i że tp., i że tp.

No i jeszcze, że dokonali tego rtm. Taczak z red. Fillerem i kilkunastu innych pamiętnikarzy dopuszczonych do jedynie słusznych wspomnień oraz, rzecz jasna, całe społeczeństwo wraz z pisarzem Jerzym Janickim, pod przewodnictwem, ma się rozumieć, wiodącej siły Narodu, jaką jest aktualna ekipa władzy, co wszystko razem autorytatywnie potwierdzi w TV historyk Włodzimierz Kowalski, o pseudonimie „profesor”.

Celem ugruntowania prawdy, będzie można ponadto na tej podstawie stworzyć również jakiś wspólny Front Jedności Pamiętnikarzy oraz powołać specjalną Organizację Bojowych Uczestników, grupującą w swych szeregach i prof. Kowalskiego, i red. Filiera, i parę tysięcy różnych putramentów, a nawet w jakimś sensie rtm. Taczaka, co jest mi osobiście specjalnie przykre.

Bo rtm. Taczak był, i w rzeczywistości jest, przyzwoitym człowiekiem i przykro, że się niechcący załapał do tej grupy.

A stało się tak, bo rtm. Taczak pomyślał, że tak być musi, że tak trzeba teraz, że to obecnie taka powszechnie obowiązująca, nieszkodliwa chyba norma, że dzisiaj widocznie musi być inaczej niż wtedy, dawno, gdy nadawano mu w młodości stopień rotmistrza. Bo uległ tak jak większość z nas. Bo przecież nie o pojedynczego rtm. Taczaka tutaj chodzi. To stało się z milionami Taczaków. A wzięło się to stąd, że nas tak wspaniale rozwarstwiono, że zgodziliśmy się kiedyś zabrać sobie inicjatywę i latami przyglądaliśmy się biernie jak nas poróżniano, izolowano, obezwładniano, zabierano nam odwagę, szczerość, poczucie wstydu, a nade wszystko zdrowy rozsądek. Jak

precyzyjnie dzień po dniu, krok po kroku, ulegaliśmy dezintegracji, zatracając instynkt samoobrony i poczucia społecznej solidarności.

A przecież nikt nie zwolnił nas nigdy z przyzwoitości względem siebie, z poczucia odpowiedzialności za słowa i czyny, z uczciwości, z poczucia wstydu, ani z żadnych innych wartości i zasad współżycia z ludźmi.

I nie ma to nic wspólnego z takim czy innym systemem politycznym, który był, który jest, czy który przemija, ani z tym, czy ten system jest lepszy czy gorszy, czy beznadziejny.

Sprawa leży w zupełnie innej płaszczyźnie.

Nikt nie mógł zwolnić nas z jakichkolwiek zasad, ponieważ taki ktoś od ferowania takich zwolnień nie istnieje. Porywają się na to, co prawda, różni faceci na krótkich nóżkach, ale to my jesteśmy tutaj prawdziwymi gospodarzami. I ziemi, i sumień.



Basen

Nauczyłem się pływać (w wodzie) około roku 1936-ego. Miało to miejsce na Żoliborzu w Warszawie, koło Cytadeli, przy ulicy Dymińskiej nr 9, gdzie na podwórku naszego bloku był mały basen dla dzieci. Ktoś w 1935 roku pomyślał, że dzieciom przyjemnie będzie mieć taki basen, więc go zbudowano.

Dozorca domu, niezapomniany pan Armatys, zmieniał co tydzień wodę w baseniku, a my, dzieci nieświadome otaczających nas niesprawiedliwości społecznych, kąpaliśmy się w owym basenie przez całą sanację.

Kąpaliśmy się w nim i później, za okupacji, ale już rządziej, bardziej dorywczo, zajęci po trosze innymi sprawami. A to należąc do niewłaściwych organizacji podziemnych, a to stojąc z bronią u nogi i wywołując Powstanie Warszawskie, a to bawiąc w niemieckich, lub podobnych, obozach zagłady.

Ale basen przetrwał. Przewaliły się nad Polską dziejowe burze i kataklizmy, nie oszczędziły pana Armatysa, nie oszczędziły wielu z nas, ale przedziwną losów koleją nie tknęły basenu. Przetrwał w całości, nienaruszony, prawie nietknięty.

Dzisiaj po 44 latach kąpie się już w nim trzecie pokolenie żoliborzan, również, jak sądzę, nieświadome otaczających je niesprawiedliwości społecznych.

Zresztą, nie chcę się wtrącać. O tym, w jakich czasach się kąpali, niech zadecyduje - podobnie jak to się stało z moim pokoleniem - historia. A nie Historia, to choćby prof. Kowalski z polskiej Telewizji, który nawet wie lepiej od niej. Znacznie lepiej. Nie w tym rzecz. Proszę posłuchać.

jakieś dwa, może trzy lata temu, zerknąwszy na pierwszą stronę „Expressu Wieczornego”, zobaczyłem fotografię, która przypominała coś znajomego.

Tak jest. Poznałem. To był nasz basen, mój basen. Basen mojego dzieciństwa. Basen, z podwórka przy ulicy Dymińskiej nr 9.

Nieprawda.

To znaczy adres się zgadzał. Ale tylko adres, nic ponadto. Pod fotką podpis: (cytuję z pamięci) „Na naszym zdjęciu prezentujemy basen dla dzieci, usytuowany na Żoliborzu, przy ulicy Dymińskiej 9, który mieszkańcy osiedla wzniesli ostatnio w c z y n i e s p o ł e c z n y m dla swoich milusińskich”.

I już nieważne, czy reporter „Expressu” tylko uwierzył swoim informatorom, czy też w „swoich reporterskich wędrówkach z kamerą po kraju” sam spreparował budującą notkę.

Podobnie jak nieistotna jest świadomość kilkudziesięciu mieszkańców bloku wobec paromilionowej „rzeszy czytelników”, którzy dowiadują się o tym, jak to mieszkańcy osiedla samorzutnie, z własnej inicjatywy, skrzykują się po pracy w czynnie społecznym, aby dla swoich milusińskich... itd.

Myślę, panie profesorze Kowalski, że z punktu widzenia historycznego taka notatka w „Expressie” jest bez zarzutu, prawda?

Zastanówmy się teraz, co nam praktycznie daje taka wiadomość? Otóż, mocarze ducha odpowiedzialni za propagandę w kraju sądzą zapewne, że taki dobry przykład grupy oddanych sprawom społecznym mieszkańców daje straszliwą mobilizację reszty społeczeństwa do ogólnonarodowego Czynu Polaków.

To, że przykład jest sfingowany, nie ma ich zdaniem znaczenia, ponieważ mocarze owi są przekonani, że społeczeństwo nie posiada własnej świadomości, nie informuje się wzajemnie, a o świecie i kraju wie tylko tyle ile mu się ogłosi w gazecie.

Stąd tyle wspaniałych wiadomości z różnych możliwie odległych punktów Kraju, których ilość ma stworzyć wrażenie powszechnej szczęśliwości, aprobaty dla władzy i twórczego nastroju w całym społeczeństwie.

W rzeczywistości metoda wydaje się jednak nieco zawodna, ponieważ nawet ewentualna likwidacja telefonów i korespondencji oraz wprowadzenie zakazu swobodnego poruszania się po kraju, celem uniemożliwienia rozprzestrzeniania się złych wiadomości i sprawdzania wiarygodności dobrych, i tak nie zlikwiduje powszechnej świadomości fałszu sprawdzalnego codziennie na własnym podwórku. Choćby na podwórku domu przy ul. Dymińskiej nr 9.

A co do baseniku, to pragnę jeszcze dodać, że ostatnio wybrałem się na ulicę Dymińską 9, już po napisaniu powyższego, aby obejrzeć sobie osobiście Społeczny Czyn.

Otóż basenik ostał się wojnie, ale naruszył go jednak ząb czasu. Beton tu i ówdzie jest popękany i ukruszony.

Nawet trochę dziwne, że mieszkańcy osiedla wznosząc ostatnio basenik w Czynie Społecznym dla swoich milusińskich nie zauważyli tego i wzniesli basenik od razu z tymi uszkodzeniami.

Ostatni rozdział napisany w 1979 roku

Listopad 84:

Brakuje mi dosadnych i trafnych określeń, które mogłyby oddać całą moją pogardę i niemiarę dla tych naszakujących liczących osobników, którzy odpowiedzili moją ojczyznę do ruiny materialnej i duchowej? Nie mając obecnie żadnego skutecznego sposobu przeciwstawienia się im, postanowiłem odnotowywać niektóre fakty i refleksje, aby chociaż w tym najwymyślnym proteście znaleźć jakąś osobistą satysfakcję!

Cztery lata temu próbowałem już podobnej estymacji pisząc na własny użytek "Wspomnienia Moich Pamiętników" / Jedną egzemplarz dałem nawet w prezencie mojemu przyjacielowi Jankowi Derflowi / Kłóciło się tego wtedy usłuchało, ale pamiętam, że dało mi to sporo przyjemności, mimo iż negatywni bohaterowie tamtych felietonów nie wiedzieli o mojej twórczości, żyjąc sobie nadal beztrosko i bezkarnie.

Także było jednak pewną wglądnie literackiego ujęcia różnych tematów, tutaj zaś bójka te ; o ile wytrwam w postanowieniu, stąd spełnia innych notatek: Wątpię, czy oprócz osobistej satysfakcji z notowania okazjonalnie własnych, niecenzurowanych myśli, może to przynieść jeszcze jakiś efekt.

CZĘŚĆ II

Listopad 84

Brakuje mi dosadnych i trafnych określeń, które mogłyby oddać całą moją pogardę i nienawiść dla tych zaskakująco licznych osobników, którzy doprowadzili moją ojczyznę do ruiny materialnej i duchowej. Nie mając obecnie żadnego skutecznego sposobu przeciwstawienia się im, postanowiłem odnotowywać niektóre fakty i refleksje, aby chociaż w tym naiwnym proteście znaleźć cień osobistej satysfakcji.

Cztery lata temu próbowałem już podobnej sztuczki, pisząc na własny użytek „Wspomnienia moich pamiętników” (jeden egzemplarz dałem nawet w prezencie mojemu przyjacielowi Jurkowi Derflowi). Niewiele się wtedy tego uzbierało, ale pamiętam, że dało mi to sporo przyjemności, mimo iż negatywni bohaterowie tamtych felietonów nic nie wiedzieli o mojej twórczości, żyjąc sobie nadal beztrąsko i bezkarnie.

Tamto było jednak próbą względnie literackiego ujęcia różnych tematów, tutaj zaś będzie to, o ile wytrwam w postanowieniu, zbiór zupełnie luźnych notatek. Wątpię, czy oprócz osobistej satysfakcji z notowania własnych, nieocenzurowanych myśli, może to przynieść jeszcze jakiś pożytek. %

To miło obserwować, gdy niedorozwinięty fizycznie i psychicznie dorosły osobnik czyni próby zbliżenia się do człowieczeństwa. Gdy próbuje normalnie stąpać, walcząc z wrodzonym niedowładem, lub pokonując atrofię mięśni i kośćca usiłuje podnieść pudełko z ziemi, zbudować jakąś koszmarną namiastkę szalasu, oddać mocz w miejsce na ten cel przeznaczone. Rodzi się wtedy nawet naturalna chęć niesienia mu pomocy. Nauczania go prostych słów, pojęć, uczuć.

Sytuacja jednak zmienia się jakby, gdy z osobnikiem tym znajdujemy się wspólnie, od 40 lat, zamknięci w tej samej klinice psychiatrycznej. W klinice, gdzie rządzą zgoła odmienne prawa. Gdzie my jesteśmy nienormalni, a on wzorcem. On, który cieszy się najpełniejszym poparciem Dyrekcji, którego chroni personel i w którego imieniu ten personel nas prześladowuje. On, który spośród innych, podobnie upośledzonych, powołał Ugrupowanie, którego celem jest objęcie pełnej władzy nad całą Kliniką oraz apoteoza ich kalectwa.

Nam dano do wyboru albo słuchać, naśladować oraz wyrażać spontanicznie radość z dokonywanych przez niego kolejnych postępów, albo separatka bez okna i wody.

Ponieważ od dzieciństwa mam rodzaj animozji wobec narzucania mi czegokolwiek na siłę, trzeba zrozumieć, że powoli tracę jakby serce dla tych debili.



Te gnoje niczego się nie uczą. Nie wyciągają żadnych wniosków. Pozbawieni wyższych uczuć potrafią odczuwać przemiennie tylko strach i pychę. Brak im pokory. Nie znają, nie pojmują takiego odczucia. Nie rozumieją. Podobnie jak obce są im tolerancja, lojalność, szacunek. Szacunek dla ludzkich postaw, poglądów, wierzeń. Nie liczą się z faktami, z historią. Jest to poza zasięgiem ich pojmowania. Ogarnięci rządzą panowania, jedyną szansą ich nowobogackiej egzystencji, gotowi są, bez zmyślenia na sumieniu, do najpodlejszych czynów. Bo i sumienie, a są mistrzami w przeinaczaniu pojęć, pojmują nie na europejski, wywodzący się z kultury śródziemnomorskiej sposób. Ich prymitywne, azjatyckie sumienie jest prawdopodobnie czyste. Tak jak czyste są ich motywacje. Przecież działają w imię własnych, a więc najistotniejszych interesów.

Przeinaczają pojęcia, zabierając im właściwy sens, odcinają korzenie naszej kultury wrośnięte w wielowiekowe tradycje narodowe. Przywłaszczają sobie nasze symbole, świętości, dewalując je przez dotyk, bezczeszcząc przez uproszczenia. Brudnymi, ordynarnymi rękami piją samogon z mszalnego kielicha, widząc w nim tylko praktyczny pojemnik na płyn. A pijąc, radują się, że tak się błyszczą.

Ostatnio zamordowali księdza Jerzego Popieluszkę. Przed tym działacza ludowego Bartoszcze. Wyrzucili przez okno rodzinę Jurkiewicza (*prawdopodobnie chodzi o rodzinę Mariana Jurczyka*). Zakatowali na śmierć chłopca. Grzesia Przemyka. Zakatowali, ponieważ jego matka była krnąbrna wobec władzy. Teraz ma za swoje.

Nie udało im się z Papieżem. Żyje. A ich brat Bułgar Antonow cierpi we włoskim więzieniu za niewinność. Więc się mszczą. I stale próbują, gdzie miękko. Na ile mogą sobie bezkarnie pozwolić. I przyzwyczajają nas do eskalacji zbrodni. Osłabiają wrażliwość. Pamiętam, jak zaatakowali Wyższą Szkołę Pożarnictwa

w Warszawie. Jak pobili działacze Solidarności w Bydgoszczy Jak nasilali aresztowania.

A metoda wciąż ta sama. Rozpaczliwe posunięcia powodowane strachem i butą. Ciągłe nerwowe oscylowanie między koniecznością uspokojenia opinii publicznej i chęcią zmanifestowania swej siły. Histeryczny balans nad przepaścią, a. to jest denerwujące bardzo. Więc nie mając ani rozumu, ani czasu na przedsięwzięcie rozumnych poczynań, zaskakiwani przez wypadki, które w swej głupocie sami najczęściej wywołują, miotają się nerwowo między pozorami demokracji a naganem i pałą, z którymi to narzędziami w ręku czują się stosunkowo najpewniej. Jednocześnie próbują pogodzić dwie nie do pogodzenia sprawy. Bezwzględne wymagania sowieckiego mocodawcy ze specyfiką sytuacji w Polsce. A to nie jest na ich głowy. Jeżeli w swoim czasie, czy to przez niedopatrzenie, czy niemożność, nie wypalili chrześcijaństwa, nie wytrzebili chłopów, nie wymordowali do końca inteligencji, to teraz są bezsilni. Mają czołgi, mają armaty, atakują pałami, gazem, wodą, mają w odwodzie wypróbowane jednostki radzieckie, a dygoczą. To sympatyczne nawet.

Zabili Piotra Bartoszcze. Wdrożyli śledztwo, a jakże. Drobiazgowo. Społeczeństwo w demokratycznym kraju ma prawo do pełnej, fałszywej informacji. Bartoszcze, no cóż? Prawda jest taka. Upił się do nieprzytomności, spowodował krakę samochodową, a będąc w szoku powypadkowym pobiegł daleko w pole, odszukał, jak to zwykle w takich wypadkach, studzienkę melioracyjną, jakich są dziesiątki na każdym polu, wlaź do niej i tak długo napychał sobie usta błotem, aż się zadławił. No, i nie żyje siłą rzeczy. Oczywiście ekstrema podniosła wielki gwałt, a to zwyczajne dzieje. No, ale ekstrema jest ekstrema i nie przepuści żadnej okazji.

Albo w Bydgoszczy. Małoż to namęczyły się organa śledcze, aby wykryć sprawców bestialskiego pobicia? Małoż to pan prokurator dokonywał nadludzkich wysiłków, żeby poznać prawdę? Nie udało się niestety.

Owszem parę faktów wyszło na jaw i te uczciwie ogłoszono. Wykryto np., że uzbrojeni po zęby milicjanci zachowywali się nad wyraz taktownie i wręcz zaskakująco kulturalnie, że rozwydrzeni działacze Solidarności stawiali bezczelnie bierny opór oraz patrzyli obraźliwie z pode łba, obliczono, o której godzinie, gdzie kto stał i którą pchał się do pobicia, ale przez kogo został pobity

- niewiadomo. Skończyło się na odznaczeniach i premiach dla milicjantów, bo jeżeli już solidarność, to właściwie rozumiana.

19-letni Grzegorz Przymek umarł z kolei przez nieporozumienie. Wyszło to dokładnie w śledztwie. Tu już nie było niewiadomych. Ucząc się stale i doskonaląc, władze doszły do perfekcji w tępieniu przestępstw. Śledztwo trwało długo, bardzo długo, ale mimo, że po upływie roku wiele przecież szczegółów zamazało się w pamięci ludzkiej, było majstersztykiem zegarmistrzowskiej wręcz dochodzeniowej perfekcji. Wykryto i objaśniono dokładnie wszystko. Nawet więcej.

Grzegorz Przymek mógłby żyć, cóż mogą mieć do dziewiętnastolatka organy praworządnej władzy, nic zgoła, ale tak: pił wino z kolegami? Pił. Nosił kolegę na plecach po staromiejskim rynku? Na bosaka? Na bosaka. Wystarczy? Proszę bardzo. A to nie koniec jeszcze.

Od dzieciństwa, o ile nie wcześniej, był pod opieką psychiatry, ponieważ był niezrównoważony emocjonalnie. Zupełnie biernie dał się zaprowadzić do komisariatu milicji, a pan prokurator nawet udowodnił później, w którym miejscu chłopiec usiadł.

Wykryli dosłownie wszystko. Który milicjant był bez wąsów i o której godzinie. Czego milicjanci nie mogli powiedzieć, ponieważ byli gdzie indziej. Jak zupełnie nie mogli funkcjonariusze nawet zamachnąć się pałką, jak plątał się w zeznaniach kolega Grzeška, który notabene ukrywał się przed milicją, chcąc zagmatwać śledztwo. Kto świadka inspirował. Komu naprawdę była na rękę śmierć niewinnego dziecka i jaką dwuznaczną rolę odegrała w całej sprawie jego matka.

Pobicia, w dosłownym sensie, żadnego nie było. Owszem, być może w windzie sanitariusze przekroczyli nieznacznie swoje uprawnienia, ale nie udało się tego jednoznacznie stwierdzić.

Milicja wyszła w procesie bez zmazy. Już w tym wypadku była zauważalna u nich głęboka troska o publiczny porządek, praworządność i ochronę społeczeństwa. (Później uwypukliła się ta pełna poświęcenia postawa, gdy nie zważając na godziny nadliczbowe, z bohaterstwem i narażaniem własnego życia poszukiwali w nurtach królowej rzek polskich pod Toruniem ciała zamordowanego przez nich ks. Popiełuszki, który - tu wyprzedzam nieco wyniki śledztwa - po pijanemu kąpał się nocą w niedozwolonym miejscu. Sądzę jednak, że z uwagi na dobro Kościoła oraz sytuację materialną pocziwych rodziców księdza,

władze zastanowią się nawet nad możliwością anulowania mandatu za to wykroczenie).

Wracając do Grzesia Przemyska. Otóż Służba Zdrowia, którą na pewnym etapie śledztwa próbowano obciążyć tym, że poprzez niedopełnienie przez nią obowiązków służbowych Grzegorz Przymek przyspieszył swoją śmierć, też w końcu wyszła bez szwanku. Lekarze zasłaniali się tym, że w wypadku śmiertelnego pobicia przez zupełnie nieznanymi sprawców i zmiżdżeniu wszystkich organów wewnętrznych człowieka, medycyna jest bezsilna. Sąd w zasadzie przychylił się do tej opinii.

Skończyło się bardzo kontrowersyjnym wyrokiem, skazującym dwóch pielęgniarzy na karę krótkiego pobytu w więzieniu za to, że prawdopodobnie po wspólnym przebywaniu z nimi w windzie szpitalnej pacjent poczuł się gorzej. Zeznania na tę okoliczność różnych świadków były mętne, ale praworządność jest praworządność i kogoś trzeba było skazać. Opinia publiczna z ulgą powitała amnestionowanie obu sanitariuszy.

Tak więc, nie licząc podejrzanego udziału matki chłopca, Grzegorz Przymek zabił się w zasadzie sam.



W przeddzień pogrzebu księdza Popiełuszki, gdy cały kraj oczekiwał wiadomości na temat gdzie, kiedy, o której godzinie odbędzie się ta przesmutna uroczystość - prasa milczała. Ponieważ jednak każdy obywatel ma prawo do rzetelnej informacji, choćby to dotyczyło marginalnego nawet wydarzenia, zabrała głos telewizja. W wieczornym dzienniku telewizyjnym, na dalekim miejscu w hierarchii ważności, daleko po „pierwszym sekretarzu”, po „plenium KW w Gorzowie”, czy gdzieś tam, po jabłkach, surówkach, Jemenie, traktorach i różnych gównach, pan spiker powiedział: - „Jak się dowiadujemy, pogrzeb księdza Popiełuszki odbędzie się jutro w Warszawie”. Tak się dowiedzieli. Szli pewnie akurat korytarzem do studia i się dowiedzieli przypadkiem. Nie zdążyli już, czy ich nie ciekawiło, w którym kościele, o której godzinie, ale co się dowiedzieli, to nam uczciwie powtórzyli. To miłe. Bo i szczerze i bezpośrednio, a być może w ten prosty i makiaweliczny sposób uniknie się obciążenia i tak już zdezelowanego taboru komunikacji miejskiej i nikt z ponad półmilionowej rzeszy żałobników, którzy przyszli na pogrzeb, nie przyjdzie.

Na wszelki jednak wypadek ściągnięto z całej Polski 40 tysięcy doborowych siepaczy ZOMO, którzy nocami, w zwartych kolumnach, ciągnęli przez kraj pod Warszawę wraz ze swoimi armatkami wodnymi, karabinami maszynowymi, pałami, gazem, tarczami, hełmami i bogatymi zestawami zastrzyków budzącymi zwierzęcą agresywność, aby tym pełniej mogli nasi kochani chłopcy w mundurach urzeczywistniać robotnicze ideały sprawiedliwości społecznej. Strasznie chcieli się łać i nawet próbowali prowokować, żeby ta cała podróż i ćwiczenia nie poszły na marne, ale nie wyszło. Cała dorosła ludność Warszawy, mieszkańcy innych miast, Poznania, Gdańska, Krakowa, Wrocławia, Śląska, robotnicy, hutnicy, górnicy, środowiska twórcze, inteligencja, starcy, dzieci, młodzież, kler, ba, żołnierze nawet - tak się złośliwie umówili jakoś i sztucznie pogrążyli w smutku i narodowej żałobie, że chłopakom z pałami się nie udało.

A była rzadka okazja. Tylu ekstremistów naraz. Tylu wrogów ludowej ojczyzny i socjalizmu, tylu należących do Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, aż ręce świerzbiły. No trudno. Będzie jeszcze okazja to się zmasakruje w dwójnasób.

Nazajutrz, gdy było już po niebezpieczeństwie, propaganda rozszalała się na temat godności i powagi mądrego ludu polskiego, który zawsze wierny socjalistycznym ideałom dał zdecydowany odpór reakcyjnym knowaniom i potwierdził swoją niezłomną wolę osiągnięcia porozumienia narodowego, którego najwyższym piewą i niezłomnym bojownikiem jest człowiek bez zmyy, bożyszcze narodu, Czarniecki naszych czasów, Księżę Józef Poniatowski, Mieszko Pierwszy, generał, premier, sekretarz, ojciec, zbawiciel, mędrzec, filozof i humanista, obywatel Wojciech Jaruzelski i siedmiu innych krasnoludków, razem z Gapciem o nazwie Albin Siwak.

Nawet było coś w rodzaju sprawozdań z uroczystości pogrzebowych. Telewizja pokazała fragment trumny, a prasa podała kilka wyjętych z kontekstu fragmentów homilii kardynała Glempa. Dodano także informację, że: „... pełny tekst przemówienia kardynała nadaliśmy wczoraj w programie I Polskiego Radia”. To była informacja dla zainteresowanych. I to też świadczy o liberalizmie. Gdyby ktoś chciał bliżej zapoznać się z treścią całej homilii, pokontemplować jej treść, zastanowić się nad nią, to w każdej chwili może posłuchać jej wczoraj w I programie Polskiego Radia.

Reżimowi żurnaliści tak się śpieszyli do swoich organów z fragmentami homilii, tak każdy chciał być pierwszy w redakcji, że

nie zdążyli już wysłuchać Lecha Wałęsy i wielu innych wspaniałych ludzi, którzy tak pięknie i wzruszająco żegnali księdza Jerzego, którego męczeńska śmierć tak wiele dała nam żyjącym.

Chciał przyjechać na pogrzeb senator Edward Kennedy. Odmówiono mu wizy. Z prostego zresztą powodu. Oczywiście daliby mu wizę bez trudu, ale w uroczystościach pogrzebowych „... nie przewidywano udziału gości zagranicznych”. No, to jak mu dać wizę, jeżeli nie przewidziano? Gdyby przewidywano, to naturalnie, bardzo proszę, dlaczego nie? Ale nie przewidywano. Technicznie wyglądało to pewnie tak: siedział sobie któryś biurowiec polityczny przy oknie i przewidywał różne rzeczy. A toto sobie, a to tamto. Różnie. A udziału w pogrzebie gości zagranicznych nie przewidział. No i sprawa pogrzebana.

Taki system nieprzewidywania przejęliśmy od sąsiadów i skutecznie wcielamy go u siebie, bo wygodny, choć dziwny czasami. Na przykład w Moskwie a tym bardziej w innych guberniach, nie można odwiedzać się w hotelach. Ani tubylcy obcokrajowca, ani obcokrajowcy między sobą. Należy domyślać się, że wywodzi się to z głębokich tradycji ludu rosyjskiego, ponieważ wszyscy funkcjonariusze GPU przebrani za pracowników hotelowych, na pytanie odepchniętego od drzwi obcokrajowca, dlaczego nie wolno, zgodnie odpowiadają: nie ma zwyczaju.

Czyli nie przewidują. I trzeba uszanować te tradycje.



Umarł nam ostatnio jakiś generał. W ogóle do niedawna jeszcze nie orientowałem się, ile w jednym wojsku może być generałów. Mnóstwo. Wyszło to dopiero na jaw, gdy zaczęli sobą obsadzać wszystkie stanowiska w państwie. Nie tak dawno jeszcze obdarowywano się głównie tytułami cywilnymi.

Magister od dawna już się zdewaluował, używają go już tylko najniższe warstwy, oznacza tyle mniej więcej, co obywatel. Praktycznie nie ma w aparacie administracyjnym pracowników bez mgr przed nazwiskiem. Ogólny podział społeczny to robotnicy, chłopcy i magistrzy. I magister już nie znaczy nic.

Wojewoda, choć to tytuł funkcyjny, znaczy. I było dużo chętnych w aparacie partyjnym, których trzeba było usatysfakcjonować. Podzielili więc kraj na mniejsze województwa i przez pewien

czas było klawo. W miarę jednak rozrastania się ambicji i aparatu zapotrzebowanie rosło. Przy następnym podziale administracyjnym wojewoda będzie już tyle znaczył co naczelnik powiatu, później niewiele więcej niż sołtys. Województwo będzie można przed śniadaniem objechać rowerem i stanie się to, co z magistrami. Koniecznie trzeba będzie wymyśleć jakiś nowy tytuł chwały i podkreślenia zasług. Póki co wierzchwka uciekła w tytuły naukowe. Za zgrabne, samodzielnie przepisane przemówienie pierwszomajowe można było pauczyć tytuł doktorski. Obecnie jesteśmy na etapie zmierzchu docenta, który łąpie jakiś odcień pejoratywny. Został profesor jeszcze, ale nie na długo, bo zbyt wielu facetów używających tego pseudonimu strasznie go dewaluuje.

Więc zrobiła się moda na generałów, bo fakt posiadania czołgów szalenie wzmacnia wszystkie tytuły i osobę. Ideałem jest: prof. doc. dr hab. mgr generał, kawaler wszystkich możliwych radzieckich i polskich krzyży i medali oraz nazwisko i imię danego bohatera naszych czasów.

Toczą się obecnie prace nad techniczną możliwością wydrukowania między tytuły również własnej fotografii mędrca, a ponieważ tytuł profesor, jak wiemy, powoli również traci na wartości, prawdopodobnie uchwali się tytuł specjalny typu Einstein-Generał, co na pewien czas powinno zaspokoić ambicje naczalstwa. Natomiast doły kadry oficerskiej wojska, UB i MO zaspokoi się tytułami: generał plutonu, generał wydziału czy generał dzielnicy.

Dla naczelnego obok -1 Sekretarz, Premier, Prezydent - świetny byłby Generalissimus, ale z uwagi na proces rehabilitacji największego zbrodniarza w całej historii ludzkości, językoznawcy Józefa Stalina, ruskie mogą się nie zgodzić.

Acha, no i umarł im teraz jeden generał i cały kraj pogrzyżł się w straszliwej żałobie i nieutulonym żalu. A choć był to generał pośledni, to funkcję miał nie byle jaką. Bo to był generał kierownik Kadr Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Rany Boskie, tacy wspaniali ludzie odchodzą. Więc szloch płynie przez sioła i miasteczka. Każdy chwytą gazetę, siedzą ludziska przy odbiornikach radiowych, nasłuchują telewizję, gromadzą się przy kioskach ruchu, pytają, gdzie, kiedy, o której. Kwiaciarnie puste, wykupione, w kinach, teatrach żywego ducha, żałoba, smutek, żal, żyć się nie chce. Matko Święta, Kierownik Kadr, jak się nazywał - pytają,

nie wiedzą, nie pamiętają, nie słyszeli, płaczą. Oby nie było tak, jak z księdzem Popiełuszką. Ale nie - środki masowego przekazu, bogate już w doświadczenie, stanęły na wysokości zadania. Już wiadomo. Dowiedzieli się i podają. Będzie wystawiona trumna, jest adres, są dokładne godziny, będzie wystawiona księga kondolencyjna, warta honorowa, delegacja nowych związków zawodowych, wieńce państwowe i partyjne, dzieci ubeków, wyprowadzenie zwłok, złożenie do mauzoleum i pluton egzekucyjny. Całość. Niech mu ziemia lekką będzie.



Jest już początek grudnia. Parę dni temu ten kundel rzecznik powiedział, że: ... „nie komu innemu, tylko właśnie rządowi PRL zależy najbardziej na wyjaśnieniu sprawy morderstwa ks. Popiełuszki”.

I tak się zapamiętali w dokładności, że od początku poszli jak gdyby w złym kierunku. Tak to bywa. Lepsze jest wrogiem dobrego. Za dużo chcieli wyjaśnić, a jednocześnie dla dobra śledztwa i swojego za dużo musieli przemilczeć.

Rzecznik skoncentrował się na poszukiwaniu kijka czy patyczka, którym posługiwali się mordercy, milicja ustalała, czy przed zabójstwem naprawiali samochód, gen. Kiszczak został zmuszony odwołać ze stanowiska innego generała za to, że ludzie tego ostatniego spartaczyli robotę i dopuścili do ucieczki kierowcy samochodu księdza, przez co sprawa stała się głośniejsza niż zamierzano. U nich nazywa się to niedopełnieniem obowiązków służbowych.

Ciupasem sprowadzono cichcem z Albanii niejakiego staruszka Mijała, który prawdopodobnie podpisał kajdanki kierowcy.

To, co wymyśliłem i napisałem przed chwilą, nie ma oczywiście najmniejszego sensu, ale sensu mieć nie musi, byleby robiło wodę z mózgow obywateli. Jak podano w mass mediach, ten Mijał usiłował stworzyć strukturę podziemną, wrzucając osobiście do skrzynek pocztowych manifesty lewackie. A to już ma swój sens makiaweliczny. Taka wiadomość to jest to w azjatyckich umysłach straszliwie przebiegły chwyt propagandowy. Inteligencję społeczeństwa mierzą bowiem własną i nie przyjdzie im do głowy, że ludzkie umysły są odmienne od przez nich założonych.

Otóż ten lewak Mijał podburza zdrowe społeczeństwo socjalistyczne przeciwko obecnej władzy, twierdząc, że ta władza nie jest socjalistyczna, lecz, że idąc ręką w rękę z Kościołem świadomie działa na szkodę wielkiej idei komunizmu. I, zamiast zabijać ekstremistów, cacka się z nimi w rękawiczkach. Mijał jest świnią i w związku z tym my obywatele, poinformowani w ten chytry sposób, powinniśmy sobie pomyśleć tak: No, rzeczywiście. To jednak fajne chłopaki. A jakie liberalne. Jezu, już lepiej siedźmy cicho, bo jak się Moskwa dowie, to ich też zdejmą, a dadzą naprawdę jakichś okrutników bez serca. Wiec my jednak trzymajmy się razem, nie ma co. I karpia dadzą na Święta, i w ogóle.

I to jest dobry sposób. Z drugiej jednak strony nie bardzo. Bo tak: Cholera wie, a może ktoś uwierzy wymyślonemu Mijałowi i nas obecnie panujących wezmą za dupę? Co robić? No cóż, trzeba lawirować dalej kretyńsko, bez pomysłu i planu na przyszłość, aż sama historia to załatwi. Więc ogłaszają drugą ręką, że Mijał odosobniony bardzo. Bo jeżeli osobiście rzuca do skrzynek, to nie ma - widać - ludzi. Poparcia nie ma. I za darmo się tego gówna najedli.

Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że to tylko takie proste. Ilość mącenia, odwracania kota, łgarstw, niedomówień, zastraszeń, pozorowanych działań, wyciągania nieistotnych szczegółów, przemilczania, używania idiotów i, co najważniejsze, odwlekania i odwlekania ma jeden cel. Zmęczenie społeczeństwa, zniechęcenie, zamazanie umysłów, zniekształcenie faktów, zminimalizowanie zbrodni, sprowadzenie jej do rzędu licznych incydentów kryminalnych z gatunku parolinijkowych wzmianek z końcowych stron gazet. A przed takim działaniem, w miarę upływu czasu, rzeczywiście bardzo trudno obronić się.

I dlatego chwała wam bezimienni, niepodlegli społecznicy, archiwiści naszych czasów, działacze podziemnych struktur, ludzie dobrej woli i wielkiej odwagi, humaniści, którzy potraficie gromadzić, ocalać, utrwać prawdę naszych dni.

Kundle chcieli np. po wojnie wypalić polską prawdę o Armii Krajowej, niszczyli dokumenty, zabijali ludzi, wymyślali „bandy”. Z którymi musiała krwawo walczyć prawidłowa władza, apoteozowali zbrodniarzy, przekręcali historię, wypalali umysły, wprowadzali fałszywe podręczniki, podporządkowywali sobie sztukę i literaturę, sączyli jad, kłamstwo, opanowali wszystkie środki przekazu, a prawda przetrwała. Przetrwała dzięki wam i podobnym do was.

Dziś w Londynie, dzięki bezimiennej, mrówczej pracy i poświęceniu tysięcy Polaków, mamy największe archiwa prawdy prawdziwej. Z jej blaskami i cieniami.

I nie mogą Azjaci sięgnąć jej swoimi łapami. I dzięki temu możemy trwać i przetrwać jako pokoleniowa, narodowa świadomość.

I tak było zawsze, i tak jest teraz, i tak zawsze będzie.

I kundle przepadną, a my zostaniemy.



Mija już półtora miesiąca od śmierci księdza Jerzego. Miesiąc od sekcji zwłok. Wtedy podano bardzo ciekawy komunikat, że: „wyniki sekcji zwłok potwierdziły wstępne ustalenia śledztwa”. Ta ciekawa wiadomość miała nam starczyć na miesiąc, chociaż wszystkim, a przede wszystkim władzy zależało na szybkiej informacji. Niestety naukowcy (tu podano tytuły i nazwiska) zwlekali. Anonsowali kolejne terminy podania wyników, ale badania były utrudnione, choćby ze względu na brak pochowanych od dawna zwłok, więc sprawa się odwlekała.

Władza, nie będąc naukowcem, a mając głęboki szacunek dla wiedzy i doświadczenia ekspertów, nie nagliła, lecz cierpliwie czekała.

No i doczekała się. Jest wynik. Ksiądz miał na głowie ślady od uderzeń czymś, może ręką, ale niegroźnie. Nie utopił się też. Prawdopodobnie odszedł ze świata przez brak tlenu, którego pozbawił go tampon. Nie przez jakiś knebel, szmatę wepchniętą z bestialstwem w gardło ofiary, nie przez zbrodniczą pętlę, lub ręce zbrodniarzy (sekcja wszak nie wykazała na szyi żadnych śladów), lecz przez humanistyczny i z natury delikatny przedmiot, z pogranicza medycyny, przedmiot, który w samej swej istocie wymyślony został w celu niesienia pomocy - zwykły, niewinny i swojski tampon. Kto wie, jak tam było? Może ksiądz skaleczył się w wargę w czasie, gdy dał się porwać, a porywacze przerażeni swoim czynem chcieli mu zatamować ranę? Niewielki, sterylny tamponik jest w takich wypadkach bardzo wskazany.

No i nerwy. Sam Rzecznik Prasowy mówił o tym, że obaj niewinni w zasadzie porywacze musieli być bardzo zdenerwowani. Trudna sprawa. Łapy się trzęsą, czas leci, do Wisły daleko.

Jest sugestia, że w ogóle nie chcieli nikogo zabijać, tylko nastraszyć niewinnie dla kawału, a tu buch, tampon cholera, będą się czepiać

później, że ksiądz nieżywy, więc z tego strachu - do Wisły. Żeby jeszcze kierowcę udało się zastrzelić, ale pułkownik kazał, żeby uciekł i jeszcze dodał: nie wasza rzecz, po co. Pogubić się można. Przyjdzie jeszcze przekwalifikować się zawodowo. Dobrze, że chociaż, pieniądze i awans obiecali.

Tampon, kijek, Mijał, podpiłowane kajdanki, drugi luksusowy samochód i konto funkcjonariusza ukryte w banku, drugie mieszkanie księdza Popiełuszki, inspiracje Zachodu, dymisja generała, struktury podziemne, Bóg wie co. Jeszcze mnóstwo wymyśla. Teraz na przykład zabili sobie trzech wysokich funkcjonariuszy w samochodzie. Też się przyda. Dwaj z tych trzech prowadzili śledztwo w sprawie morderstwa księdza. Trzeci, kierowca, zginął w ramach kosztów własnych przedsiębiorstwa, dla uprawdopodobnienia wypadku. Być może będzie potrzebne zaginięcie pewnych akt. Złośliwy los sprawi wtedy, że obaj nieżyjący mieli je w czasie wypadku przy sobie, a akta te tajemnicze zaginęły w powypadkowym zamieszaniu. Więc trzeba będzie odłożyć proces, a wszcząć dodatkowe śledztwo, aby zbadać, komu zależało na ich zaginięciu.

No, i jeszcze ukarze się służbowo, że nie dopełnił obowiązku zrobienia wcześniej kopii.

Albo też inny jakiś wariant. Do ustalenia.



Chwała ci demokracjo. Ogromnie daleko posunęliśmy się niestety w praworządności od szczęśliwego okresu lat czterdziestych, gdy można było zabić siebie dla satysfakcji i dobra władzy ludowej oficera AK, działacza PSL, Pepeesowca. Ginęli więc dziesiątkami z nieznaną ręką, zabijani z za węgla, wieszani w mieszkaniu, zastrzeleni na ulicy, wyrzucani z okna.

Ten ostatni sposób przyjął się nadzwyczajnie i modny jest do dzisiaj jako niezwykle praktyczny. Lekko pchnąć, pac i po krzyku. Kto tam dojdzie, jak to było naprawdę? I z naboju nie trzeba się rozliczać, i broń czysta, niewinna. Więc okno dobre, ale żeby wszyscy z okna? Nie. Są inne sposoby.

Ponieważ morale ubecji jest dziś wyjątkowo wysokie, ich obowiązki przejęły przedmioty i okoliczności. Obiektywne fakty bronią ich przed ewentualnym bezpodstawnym oskarżeniem o udział w morderstwie.

Jawność informacji całkowicie wyklucza podejrzenia. Na przykład zabito więźnia. Pozornie tak. Nie żyje niby. Ale...

Naprawdę było inaczej, co wyjaśnia prasa. W więzieniu X był bunt więźniów. Nieduży. Pod pretekstem, że są źle karmieni i nieludzko traktowani, dopuścili się czynów na służbie więziennej. Zarzuty oczywiście nie potwierdziły się. „Specjalna Komisja” (piszę ją w cudzysłowie, dla zwrócenia uwagi na fakt, że u nas zawsze są komisje „specjalne”, co ma podkreślić wyjątkową staranność doboru i wzbudzić zaufanie do jej kompetencji i obiektywności) nie stwierdziła żadnych uchybień. Odwrotnie - racje żywnościowe były zbyt obfite, co mogło się odbić na zdrowiu więźniów, a nasza służba penitencjarna mogłaby być niedoścignionym wzorem łagodności i humanitaryzmu dla zboczonych dozorców amerykańskich. Podkreślali to nawet w swoim czasie szwedzcy eksperci, co jest już całkowicie obiektywne. Bo taki wymyślony, a niechętny Szwed, chętnie dopatrzyłby się uchybień. A tu - wała.

No i jak już bunt uśmierzono przy pomocy łagodnej perswazji i przezroczy, to nawet ci więźniowie, którzy odbiegli daleko, zaczęli masowo powracać, przepraszać, że dali się otumanić, i błagać o przyjęcie z powrotem. Władza w większości przypadków przychyliła się do ich prośby.

A co z tym więźniem, który nie żyje? Ano właśnie. Jest i o tym wzmianka pod koniec informacji. Otóż został ranny w czasie ucieczki. Jak to było?

Więc oni uciekali, a straż wołała, żeby nie uciekali. Żeby się zatrzymali. Wołali i wołali, a tamci się nie zatrzymywali. Więc straż zawołała, że będą strzelać w górę. Raz zawołali, drugi, trzeci... Myśleli, że to pomoże. A to nie pomogło, bo więźniowie byli podburzeni. I jeden strażnik strzelił w górę. Pech chciał, że pewien więzień nie uciekał na wprost, nie uciekał ani w bok, ani w dół, tylko też w górę. I tu nastąpiło normalne zjawisko fizyczne. Skrzyżowały się drogi pocisku i więźnia. Ścisłej, więzień usiłował przecinać linię drogi pocisku, doszło do niepotrzebnego spotkania, a ponieważ pocisk okazał się twardszy od ciała uciekiniera, więzień uległ zranieniu.

Jezu, co się zaczęło dziać. Helikoptery, karetki, lekarze, specjaliści, bank krwi, szum, rwetes, biadolenie, strażnik płacze, komendant więzienia rozpacza, minister wkracza.

Jest jeszcze wzmianka, że więzień zmarł na skutek odniesionych ran. (Oj, będzie miał przykrości naczelny redaktor za tę liczbę mnogą od słowa rana. Chochlik, nie chochlik, a nie wykazał czujności).

Wzmianka krótka, a ile w niej obiektywizmu. Nikt go nie zastrzelił. Nikt nie zabił. Ludzie nie mieli z tym nic wspólnego. To już sprawa rany, która spowodowała zgon. Musiała być jakaś duża albo brudna. Trudno dociec, a człowieka żal. To tak samo, jak z zawałem serca. Przykre, ale co poradzić?

Rozważmy teoretycznie inny przykład: weźmy człowieka, najlepiej ekstremistę, zwiążmy go i połóżmy na torach. Gdy nadjedzie pociąg, ekstremista zginie, nie ma mocnych. I w tym wypadku pociąg jest twardszy i cięższy. Ale co? Zginął od wiązania? Od kładzenia? Bzdury. Zginął od przejechania przez lokomotywę.

Oczywiście można się zastanawiać, w jaki sposób, dlaczego, po co znalazł się na torach, jak udało mu się po pijanemu związać siebie samego sznurem, skąd wziął sznur, ile miał dewiz na zagranicznych kontach, kiedy poznał matkę Grzesia Przemyka i temu podobne, ale to jest zupełnie inne zagadnienie, nie mające nic wspólnego z samym faktem.

Zresztą będzie „Specjalna Komisja”, wyjaśni i przebadają sprawność hamulców pociągu.



Mijają 2 miesiące od śmierci ks. Popiełuszki. Wciąż łąka świeżych kwiatów na Jego grobie, obstawiona setkami zniczy nagrobnych i dziesiątkami ubeków nieco w głębi, wciąż tłum uczciwych ludzi, którzy ustawiają się w kolejce, aby oddać Mu pokłon.

Jaki płytki jest rozum Azjatów. Przez swoją prymitywną zbrodnię, która według ich planów miała zastraszyć kler, działaczy podziemia i społeczeństwo, podarowali nam cudny symbol, wzbogacili już na zawsze naszą historię o jeszcze jeden atrybut męczeństwa i wiary.

Wiary nie tylko chrześcijańskiej. Wiary w ludzką godność, uczciwość, solidarność.

I zawsze będą odradzać się następcy księdza Jerzego. I ciągle będzie poszerzać się krąg wyznawców najpiękniejszej idei świata - humanizmu. Miłości do ludzi.

I wszyscy funkcjonariusze, nasi i bratni, i sowieccy, i półszuje i lokajczyki, donosiciele, tajniacy, mordercy i ich chwilowi mocodawcy są bezradni. Musieliby nas wszystkich zabić. Unieść fizycznie.

Anihilować. Technicznie jest to pewnie możliwe nawet, ale cóż z tego? Skończyłoby się na tym (tu skracam w myśli cały ten problematyczny zabieg), że w ostatecznym rozrachunku Biuro Polityczne musiałyby się same rozstrzelać. Można snuć wątek jeszcze dalej: Niezależnie od tego, kto pierwszy w Biurze zacząłby strzelać, jakiś jeden biurowiec polityczny teoretycznie powinien ocaleć. Osobiście stawiam na Albina Siwaka. Pomysł ten wydaje mi się szczególnie zabawny. Poza tym byłaby to pewna prawidłowość, z uwagi na osobliwy proces zachodzący w Socjalizmie Realnym, wyrażający się tym, że każdy kolejny Ojciec Narodu jest cięższy i prymitywniejszy od poprzedniego. W wypadku Albina Siwaka trudno byłoby o lepszą kandydaturę zamykając ten cykl.

Może jeszcze ocalałby rzecznik prasowy, jeżeli w porę umknąłby do toalety, schował się w muszli i nakrył kawałkiem gazety z artykułem Jana Rema. Mistrz mimikry byłby w tej sytuacji nie do odróżnienia. Co by to wszystko dało? Niewiele właściwie. Niby sukces, ale krótkotrwały niezmiernie. Postaliby sobie Siwak narcystycznie parę dni przed lustrem, zorganizowałby kilka niesłychanie istotnych spotkań ze sobą, wygłosiłby kilka głębokich przemówień, ale nawet on po pewnym czasie z pewnością zorientowałby się, że sale są puste.

Gdyby Rem wyszedł w końcu z ubikacji, mogliby jeszcze razem zaprotestować całym swoim jestestwem przeciwko restrykcjom Reagana, ale to już w zasadzie wszystko, a po rozstrzelaniu rzecznika jako Żyda, Pierwszy Sekretarz Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, premier rządu PRL, Prezydent, Marszałek Sejmu, Przewodniczący Rady Państwa, Naczelny Wódz Ludowego Wojska Polskiego. Wojewoda 49 województw, Dreistein-Generał, Profesor Albin Siwak zostałby w zasadzie sam.

Co robić? Ano cóż, przyjdzie Albinowi jak zwykle udać się szybciotko do Wielkiego Brata po przyjaźń, opiekę i rozkazy. Ale:

Prawidłowość procesów historycznych pozwala przypuszczać, że bratnie kraje znalazłyby się w tej samej sytuacji społeczno-politycznej, bo mniej więcej w tym samym czasie zabiłyby swoje społeczeństwa.

W ten sposób, po pewnym czasie, przywlokłoby się do pustej Moskwy kilku oberwańców. Jeden Polak, jeden Wschodni Niemiec, Rumun zapewne, Bułgar bankowo, bratanek Węgier, dwuczłonowy Czech - Słowak i może Albańczyk jakiś, no i któryś z Fidelów. Ten ostatni, z uwagi na odległość, musiałyby ostateczne wyniszczenie

swojego narodu zacząć nieco wcześniej, żeby zdążyć na czas do stolicy Związku Radzieckiego. Naradzie, uformowanej w którąś kolejną Międzynarodówkę, przewodniczyłby tradycyjnie Olbrzymi Brat, chociaż też jakoś już nie taki duży jak za pięknych dni Aranżuezu. Pod jego dyktando chłopaki wyznaczyliby jeszcze kilka historycznych kierunków rozwoju ludności i... po herbacie.

W sumie klawo, ale na dłuższą metę nieopłacalne jakby.

Póki co, giną więc tylko pojedynczy ludzie. W ostatnim okresie uzbierało się już kilkadziesiąt ofiar, które zupełnie przypadkowo bądź zaginęły na stałe, bądź poniosły śmierć na miejscu,adaną w wyjątkowo bestialski sposób.

Nie jest to wiele w porównaniu z wynikami pięknego okresu ostatnich lat czterdziestych i początku pięćdziesiątych, ale jednak wracamy do korzeni.

Trzeba by jednak pomyśleć o jakimś urozmaiceniu, ponieważ wyraźnie wkrada się już pewna szampa. Np. rodziny aresztowanych rzucają się na ogół z okien, natomiast ludzie mający niewłaściwy stosunek do właściwej władzy giną zwykle na schodach. Charakterystyczny jest tu fakt, że wszyscy oni są nigdzie nie pracującymi, nałogowymi alkoholikami, którzy załamani swoją fałszywą i aspołeczną postawą, tracą równowagę na półpiętrze i spadają w dół, rozbijając sobie czaszkę niezidentyfikowanym przedmiotem żelaznym. Robi się to już trochę nudne.

Ratują nieco sprawę księża, którzy giną na swoich plebaniach, niehumanie przed śmiercią torturowani.

Jest jeszcze i ciekawostka. Otóż wszystkie te bestialstwa i zabójstwa, łącznie z morderstwem ks. Popiełuszki, są zupełnie przypadkowe i absolutnie nie powiązane ze sobą. Wszelkie próby pomawiania o jakąś zaplanowaną akcję są wręcz śmieszne i całkowicie bezpodstawne.

Ogłasza to co tydzień korespondentom pewien żydek w imieniu swoim i rządu, a mass media przekazują to społeczeństwu, które się wtedy uspokaja bardzo, ponieważ żydek budzi powszechną wiarygodność.



Jest taka stara, przedwojenna anegdota. Pewien pan dał do „Kuriera” następujący anon: „Zgubiłem pistolet Browning (kaliber 9 mm, numer taki a taki), który niniejszym unieważniam”.

Parę lat temu W. Korcznoj, radziecki arcymistrz szachowy, pozostał na Zachodzie. Co się okazało. Czytałem o tym w przedruku z prasy radzieckiej. Otóż W. Korcznoj od początku był straszna świnia, która zawsze za wszelką cenę chciała wygrywać z rywalami. Jego chęć wygrania była tak duża, a wredna presja psychiczna, jaką wywierał na przeciwnikach tak silna, że rzeczywiście po świńsku stałe wygrywał. Nic dziwnego więc, że władza radziecka odebrała mu (zaocznie niestety) tytuł arcymistrza. Czyli unieważniła go jako szachistę. I słusznie, prawdopodobnie W. Korcznoj nawet nie znał ruchów wszystkich figur.

Z kolei rzecznik prasowy rządu PRL zrobił ostatnio straszne kuku Francuzom. Obrażony za zbyt niskie wyrazy hołdu dla jego osoby w czasie jego prywatnego pobytu we Francji, po powrocie unieważnił im ich rodzimy język. W swoich publikacjach nie tylko sprowadził go do rzędu trzeciorzędnych języków lokalnych nie liczących się na świecie, ale również zagroził, że o ile Francja nie zmieni stanowiska na wygodne dla ZSRR, to dzieci polskie przestaną się uczyć języka francuskiego.

Ciekawe, jak się Francja z tego podniesie.

Niedawno Rząd Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej unieważnił natomiast literę „V” jako nieistniejącą w języku polskim. Władze partyjne stwierdziły, że nie ma takiej litery. Tym samym sześćset tysięcy rąk na pogrzebie ks. Popiełuszki, podniesionych w znanym geście rozczapierzonych palców w kształcie litery „V”, czyli Victorii, która w końcu będzie naszym udziałem, straciło jakikolwiek sens.

Szkoda, bo była to uroczystość historyczna. Tylko parę razy w życiu, a może tylko raz na pokolenie, można przeżyć coś równie podniosłego. Ściśnięte gardła, łzy w oczach, wzruszenie i to cudowne poczucie jedności wszystkich ludzi dobrej woli.

Ze wszystkich ulic nadchodziły w skupieniu nieprzeliczone tłumy. Całą szerokością wiaduktu nad Dworcem Gdańskim płynęła ze śródmieścia niekończąca się rzeka pieszych, których nikt do tej manifestacji nie zmuszał. Szli z potrzeby serca.

To nie pochód 1-Majowy formowany z zastraszonych utratą posady i przykrościami w pracy ludzi. Nie pochód przygotowany z drobiazgową dokładnością, z podziałem na sektory, grupy, zakłady pracy, dzielnice, z opracowanym minutażem przejścia przed trybuną, z uśmiechniętymi zbawicielami narodu, pochód ze specjalnymi

krzykaczami i tysiącami opracowanych i wykonanych centralnie spontanicznych transparentów.

Nie, to inny pochód.

Bez transmisji telewizyjnej, bez wyznaczania miejsca i godziny zbiórki, bez przymusu.

I ta zasadnicza różnica, polegająca na tym, że na 1-szo Majowym tysiące szpicli, dyrektorów, kierowników i sekretarzy trudziło się odnotowywaniem tego, kto nie był, tutaj zaś kapusie usiłowali dostrzec i zapamiętać, kto był. A za bycie tutaj sankcje znacznie groźniejsze niż za niebycie tam.



Niewiele pomyliłem się wyżej na temat wyniku procesu w sprawie zabójstwa księdza Jerzego Popiełuszki. Proces trwa, ale już wyszło na jaw, ks. Popiełuszko to sutener, dziwkarz, aferzysta mieszkaniowy i złodziej wielu milionów złotych. Mówi się o Nim na procesie już tylko wyłącznie per „Popiełuszko”, bez tytułu i imienia, ot, taki przeciętny, szeregowy rzezimieszek.

Coraz jaśniej natomiast zarysowują się sylwetki morderców księdza. Niezawisły sąd, prokuratorzy i adwokaci z ogromnym poświęceniem starają się zozydzić i tak już obrzydliwą sylwetkę ks. Popiełuszki, przeciwstawiając im właśnie szlachetną postawę niewinnie oskarżonych. Rzeczywiście, ileż głębokiej miłości do Ojczyzny u tych chłopaków z SB, ileż poświęcenia, ileż przykładów szlachetnej przyjaźni, poczucia moralności, koleżeństwa i honoru.

Byli doprowadzeni do ostateczności. Nie mogli dłużej ścierpieć bezkarnego łamania prawa. Jeżeli na zimno, według z góry ułożonego planu, katowali i mordowali na raty, z niespotykanym dotychczas okrucieństwem, bezbronnego kapłana, jeżeli znęcali się jeszcze nad nieprzytomnym, by w końcu umęczonego, ale jeszcze dającego znaki życia, bestialsko utopić w Wiśle, to czynili tak z poczucia bezsilności. Tak kazał im postąpić ich patriotyzm.

Przy okazji procesu rzecznik prasowy rządu bierze w obronę niewierzących i pod pseudonimem wypowiada się we wszystkich środkach przekazu na temat konieczności wprowadzenia zasadniczych zmian konstytucyjnych w tej materii. Szkalowanie bowiem i obrażanie uczuć ateistów przeszło już wszelkie granice. Tym biednym, zapędzonym i bezlitośnie sychanym na margines

społeczny ludziom, pozbawianym systematycznie przez Kościół godności i prawa do własnego światopoglądu, należy się ochrona. Rozbestwieniu Kościoła należy położyć w końcu kres.

Rozszalały kler, kierowany przez biskupów współpracujących dawniej z Gestapo, przegniły moralnie, niezrównoważony psychicznie, mordujący milicjantów, tworzący tajne struktury podziemne mające na celu zbrojne obalenie władzy, deprawujący młodzież, działający poza prawem, mający liczne kochanki i potomstwo, doczekał się wreszcie sprawiedliwego osądu i zdecydowanego oporu.

Tak więc choćby tylko z tego powodu śmierć ks. Popiełuszki nie poszła na marne.

Nie chcę tutaj rozpisywać się zbyt szeroko, są to rzeczy powszechnie znane władzom, ale na przykład niekontrolowane, rozbuchałe, a przede wszystkim nielegalne budownictwo sakralne pozbawiło mieszkań setki tysięcy ludzi pracy. Tak to jest. Kto wie, w jakim spokoju i dobrobycie moglibyśmy żyć obecnie, gdyby nie zalegający z podatkami Kościół Rzymsko-Katolicki.

Z mowy prokuratorskiej wyszły również na jaw inne istotne i ciekawe aspekty sprawy. M.in. na przykład, że „zabójcy nie działali z niskich pobudek”. Tu się z resztą prokurator trochę chlapanął. Bo jeżeli nie z niskich, to z jakich? Z wysokich. A co dla ubeka może być wysoką pobudką? Tak więc dla Pękali i Chmielowskiego - rozkaz Piotrowskiego, dla Piotrowskiego - rozkaz Pietruszki, dla Pietruszki - ... tu szkopuł... nic. Bo na Pietruszce urywają się w SB wysokie pobudki.

Śledztwo bowiem i proces ujawniły raz jeszcze czystość szeregów SB, oraz wykluczyły całkowicie udział w planowaniu zabójstwa któregośkolwiek ze zwierzchników czterech oskarżonych, a to dla społeczeństwa wielka ulga.

Tym niemniej śledztwo toczyć się będzie dalej, ponieważ prokurator nie wyklucza, a nawet wręcz domniemywa, że cała ta heca z zabójstwem nosi znamiona prowokacji.

Wydaje mi się wręcz nawet pewne, że za kilka miesięcy doczekamy się kolejnego procesu, na którym zasiądą członkowie byłej Solidarności oskarżeni o pośrednie lub i bezpośrednie uczestnictwo w tej sprawie. Podziemne bowiem struktury byłej Solidarności, sterowane przez wiadome ośrodki krajowe i zagraniczne, nie przebierają w środkach, by szkalować i próbować kompromitować jedynie słuszne postępowanie jedynie słusznej władzy.

Dlatego nigdy dosyć dowodów na to, jak krecią, wredną i wywrotową działalność próbują bezskutecznie wprowadzać w czyn ludzie z marginesu, dla których obalenie Socjalizmu i sianie zamętu jest celem najwyższym, a których cechuje zwierzęca nienawiść do wszystkiego, co wsteczne. Przepraszam, co postępowe.



Dobiega końca proces przeciwko księdzu Popiełuszce. W świetle ujawnionych antypaństwowych zbrodniczych przestępstw nie ulega już teraz wątpliwości, że ksiądz otrzyma karę śmierci.

Naiwnych lub wrogich dziwi być może fakt, że egzekucja wyprzedziła oficjalny wyrok. Czyżby nie rozumieli, a raczej nie chcieli rozumieć specyfiki i wyższości ustroju Realnego Socjalizmu? A przecież mówił już sam Generał-Premier, że „Socjalistyczna demokracja nie zapuka do drzwi”. Tak jest. Trzeba jej pomagać wszelkimi dostępnymi władzy sposobami.

Ale to groch o ścianę. Ciągłe trafiają się jeszcze niedowiarki lub wręcz wrogowie. Oj, źle się bawią. Mam nadzieję, że już niedługo wszyscy kolejno spadną ze schodów.

Oficjalne śledztwo i proces toczyły się początkowo tylko przeciwko czterem funkcjonariuszom, którzy podle sprzeniewierzyli się posłannictwu Służby Bezpieczeństwa. Szybko jednak niezawisły sąd i obiektywna prokuratura nadała sprawie właściwy kierunek. Wszyscy stanęli na wysokości zadania. Wraz z oskarżonymi precyzyjnie i konsekwentnie realizowano ustalony scenariusz. Jeden z oskarżonych, gaduła, dostał nawet zastrzyk, żeby mu sparaliżowało mordę. Trochę dla hecy, trochę żeby wzbudzić litość, bo jest w ósmym miesiącu ciąży, głównie zaś, żeby nadmiernym paplaniem nie zabierał sądowi czasu i nie odwracał uwagi od zasadniczego nurtu. A zasadniczy jest prosty; Pięciu ludzi wyjętych spod prawa (Piotrowski, Popiełuszko, Pękala, Chmielewski i Pietruszka), pięciu nędznych, amoralnych, lecz pospolitych w końcu rzezimieszków, urządziło sobie krwawą dintojrę, w której zginął jeden z nich. Tak to bywa w światku przestępczym, w którym jeden jest wart drugiego.

Prokurator zajął się głównie jednak osobą niejakiego Jerzego Popiełuszki, jako głównego sprawcy i inspiratora. Mowa prokuratorska była majstersztykiem oskarżenia tego byłego kapłana, jak również wzorcem koleżeńskiej postawy, jaką zademonstrował prokurator

wyręczając obronę ubeków. Powiedział m.in.: „Ekstremalna działalność księdza zrodziła odrażającą zbrodnię”. Całość rzucił dodatkowo na szersze tło międzynarodowe, podkreślił wyższość Socjalizmu, napiętnował wrogie knowania oraz trafnie przewidział, że za tym wszystkim stoi FBI wraz z krajowymi agenturami i ekstremą Solidarności, co wyjdzie na jaw w późniejszym okresie.

Wzbudzając ogólny wstręt i wymioty, przysiadł zadowolony na ławce. Znowu awansuje.

Ponieważ zasłała jedna pani, która miała udowodnić, że oskarżony Pietruszka nie mógł nic wiedzieć na temat, który dokładnie znał i wcześniej ustalił ze zwierzchnikami - sąd odroczył rozprawę.

I to już naprawdę nie ma znaczenia, co będzie jeszcze mówione na rozprawie, jakie będą wyroki, jakie jeszcze plugastwa zostaną wymyślone.

I już nie chce mi się pisać na ten temat.

Jest to tak podłe, nędzne, plugawe, że rzygać się chce.

I jakkolwiek zapadnie wyrok, jakkolwiek użyta będzie argumentacja, jakiegokolwiek użyte będą nowe, wykluczające się wzajemnie chwytły propagandowe mające na celu zaciemnienie sprawy, skierowanie jej na fałszywe tory, zabełtanie umysłów - w niczym nie zmieni to faktu, że gdyby nie 40-letni realny Socjalizm, to Grzesiek Przemyk, Jerzy Popiełuszko, oraz setki tysięcy pomordowanych najszlachetniejszych ludzi naszego pokolenia żyłoby dziś w wolności, ciesząc się życiem i przekazując nowemu pokoleniu humanistyczne tradycje.

Koniec części drugiej „Wspomnień moich pamiętników”

CZĘŚĆ III

Marzec 85

Nie chce mi się pisać o drobiazgach, ale aby dotrzymać obietnicy robienia notatek, kreślę parę słów.

Dzisiaj np. przysłała do domu powiastka, że zgodnie z uchwałą czyjaś, opłata za mieszkanie wzrasta o 18%, a już przed tym wzrosła sobie bardzo, zgodnie z innymi uchwałami.

Tu przy okazji ciekawostka: za winę, gaz, wodę, płacę od metrażu, czyli od powierzchni mieszkania, a nie od ilości mieszkających osób.

To jest prawdopodobnie rodzaj kary za nadmetraż. („Nadmetraż” - ciekawe, który prawdziwy cudzoziemiec zrozumie w ogóle to pojęcie?). Chyba, że odnośne władze uważają, że ze względu na większe mieszkanie częściej się myję, więcej gotuję zupy, jak również znacznie częściej korzystam z dźwigu osobowego, niż czyni to właściciel mniejszego mieszkania.

Natomiast dwa dni temu ceny żywności podskoczyły o ok. 40%.

72 Władze w tym wypadku poszły na rękę ludności. Było tak: Najpierw uchwalono podwyżki i przedstawiono pod dyskusję społeczeństwu trzy warianty. Nie wchodząc w szczegóły, chodziło o to, że każdy obywatel mógł telefonicznie lub listownie wypowiedzieć się jak woli być duszony. Nikt tych konsultacji nie brał na serio, bo jak można w ogóle coś takiego brać poważnie, toteż i nikt się nie wypowiadał. Kto mógłby zresztą uczciwie sprawdzić ewentualne wypowiedzi? Nawet referendum można dowolnie sfałszować, a co dopiero jakieś luźne protesty.

Więc władza uchwaliła sama, jaki wariant wybieramy, a nawet pokazała w TV kilku ogłupiałych przedstawicieli społeczeństwa, którzy absolutnie byli za. Z tym, że jeden trochę się wahał, ale generalnie też się zgadzał. I to już było bardzo przekonujące, z tym, że Lech Wałęsa (który absolutnie nic nie znaczy i jest kompletnie skompromitowany) zaproponował 15 minutowy Strajk Powszechny.

No, i władza odwołała wszystkie warianty, bo w tym czasie okazało się, że konsultacje wypadły na nie, a Urząd Rady Ministrów, który sam podwyżki zaproponował, uznał, że propozycja jest bezsensowna i ją storpedował. Wałęsa odwołał strajk, a władza wprowadziła mordercze podwyżki. I to się dialektycznie zgadza. Jak wszystko w realnym Socjalizmie.



Ci wspaniali faceci, w swoich pięknych marynarkach, podobnie jak w tuwimowskich „Strasznych mieszkańcach”, widzą wszystko oddzielnie. Nie kojarzą. Patrzą np. - masło się kończy. Co za problem? Ograniczymy kartki na masło. I rzeczywiście, w 40 lat po zwycięskiej wojnie, jeszcze zmniejszają racje masła. A tu, patrzeć, margaryny brakuje. Ki diabeł? Zawsze było trochę, produkcja nie zmniejszona, a tu brak raptem. Dlaczego? Widać Solidarność wykupuje, żeby

zdezorganizować rynek. A co z olejem? Był, był i nie ma. Słoniny też nie ma.

Oj, głuptaski, głuptaski. To nie Solidarność, to równowaga rynkowa. Gdy brakuje jednego tłuszczu, głupie baby z kolejek kupują inny. Jak i tego zabraknie, biorą następny. I one to zużywają do smażenia, pieczenia, smarowania. W ogóle do jedzenia. Tak to jest.

Co pewien czas poświęcają jednego kretyna, który daje słowo honoru, że danego towaru nie zabraknie. On nie kłamie. Widząc wszystko oddzielnie, jest rzeczywiście przekonany. A za parę miesięcy nie ma towaru i nie ma faceta.

Co 3-4 miesiące brakuje ulubionych papierosów. Ku zdziwieniu tytanów handlu wzrasta popyt na inne gatunki. Za chwilę tych też zaczyna brakować, potem następnych. I nie mogą się moczarze nadziwić zawiłościom rynku. I nie wybrną nigdy z trudności, mimo haseł, dyrektorów i ekip, bo nigdy nie nastarczą towaru. A nie nastarczą, bo oprócz fałszywej doktryny, zacofanej myśli ekonomicznej i średniowiecznej technologii cały aparat przeżarty jest dodatkowo nieodpowiedzialnością totalną, co zresztą ściśle się ze sobą wiąże. Co tam aparat, już prawie całe społeczeństwo.

Pamiętam, dawniej, gdy pan w radio podawał czas, to regulowałem zegarek. Obecnie nie ma dnia, żeby pan spiker z rozkoszną dezynwolturą dwa, trzy razy nie podał rano fałszywej godziny. A co mu tam?

Zwykle myli się o 60 minut. Jest godzina 6,18 - mówi. Potem muzyka i albo mówi bez komentarza: Jest godzina 7,28, albo serdecznie przeprosza i mówi: Nie 6, 18 oczywiście, tylko 7,18 - co jest nieprawdą również, bo upłynęło już 5 minut. O te swoje 60 minut myli się swobodnie do tyłu lub do przodu, jak mu się tam spojrzęło. A parę dni temu przeszedł już samego siebie. Powiedział: Jest 6,40, a po chwili: przeproszam, nie 6,40, ale 15 po siódmej. I tak 'ze wszystkim. Szkoda czasu i atramentu.

Miałem rezerwację w hotelu. Przejechałem pół Polski. Jest rezerwacja? - pytam. Mówię nazwisko. Nie ma - mówi panienka. Musi być, miałem potwierdzenie - mówię nazwisko. Wertuje panienka, grzeczna panienka, papiery panienka, księgę panienka. Nie ma. Przykro panience, przykro mnie. Nie ma. Niech pani jeszcze raz sprawdzi. Sprawdza panienka: nie ma panienka. Na pewno? Na pewno.

Wtrąca się koleżanka panienki - a tutaj, Mariola, w te nowe zobacz. Patrzy Mariola, w te nowe Mariola, nazwisko? - pyta. Mówię

nazwisko. Jest nazwisko. Tak - mówi Mariola, grzeczna Mariola - jest na pana nazwisko. Mówi nazwisko. No, widzi pani. A z taką pewnością twierdziła pani, że nie ma. Bo nie było. U mnie nie było. Przecież pan widział, że sprawdzałam. Dopiero u koleżanki w tych nowych było, bo u mnie w tych starych na pewno nie było. Przecież widział pan, że trzy razy sprawdzałam.

No tak, przekonała mnie.

Rezerwacja w hotelu to oczywiście małe miki. Gorzej, gdy inna Mariola np. zamienia matkom noworodki w szpitalu lub podaje ze skutkiem śmiertelnym niewłaściwe lekarstwo.

A przecież nie na tych drobnych przykładach zasadza się wszechobecne zjawisko „Mariola”. Mariole obu płci są wszędzie i skutecznie rozkładają resztki państwowej konstrukcji.

„Żywię głębokie przekonanie” (żeby powtórzyć ulubiony kiedyś, a modny do dziś zwrot tow. Edwarda Gierka), że konsekwentna działalność Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej wraz z wychowanymi przez nią Mariolami, doprowadzi do tego, że jeszcze trochę i to się wywali wszystko.

*Ostatni fragment przepisanych na maszynie przez Jerzego Dobrowolskiego
Wspomnień moich pamiętników”. Kolejne pochodzą z jego zeszytów,
w których notował pomysły i teksty przeznaczone do kabaretów, dalsze części
„Wspomnień” oraz czasami jedno bądź kilkudzaniowe uwagi*

*Ps. - notatki „do rozwinięcia” we „Wspomnieniach moich
pamiętników”:*

Jak w 48 r. 49 i 50 roku zdawałem kolejno do Szkoły Filmowej w Łodzi, na Psychologię na Uniwersytecie Wrocławskim i ponownie do Szkoły Filmowej, aż wylądowałem w PWST w W-wie (przez zmyłkę w Karpaczu - że niby na Historię Sztuki w Poznaniu).

O tym, jak Ochab skomentował Wyścig Pokoju.

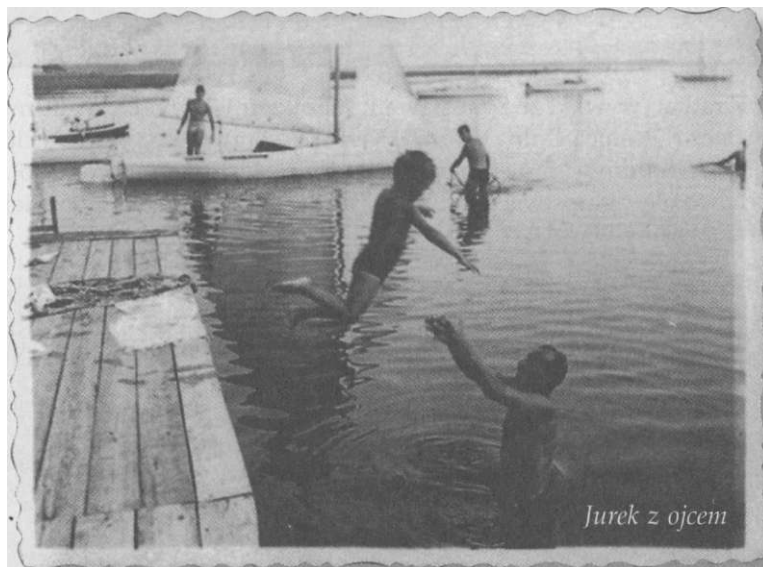
Wszystko jest relatywne, więc i dziś nie trzeba zbyt wierzyć: O tym jak na uczelni (50-54) jeździliśmy na wieś społecznie z występami i agitacją, że trzeba kolektywizować, a jeżeli mieć swoją ziemię to tylko lha, bo 3 ha to kułak wstrętny (biedniak, średniak, kułak).

O tym, jak za motocykl na chodniku płaciło się mandat.

O tym, jak tańczyłem na szkolnej (PWST) zabawie rumbę z Ireną Szymkiewicz i jak nas wyszydili i napiętnowali koledzy ZMPowcy z dzielnicy.

O tym, jak na basenie Legii graliśmy w bridge'a i jak nas za to aresztowali, bo kierownik nie dopuścił, aby szerzyć burżuazyjne obyczaje.

A w wiele lat później np. W. Filier nie puścił naszego programu pt. „Wiesław Gołas Show”, bo „nie pozwolił kpić z 1 Sekretarza”. Program był śmieszny, a jemu kojarzyło się Wiesław Gołas i Wiesław Gomułka. (Nb. nie dopuszczał mnie do reżyserii w TV - ponieważ „choć dobry reżyser, ale niepewny politycznie”)



Miałem wielkie trudności z dostaniem się na studia. Ale nie bez powodu. Ojciec był kryształowym facetem, olimpijczykiem. Wrócił w 46 roku, z Oflagu, żeby pracować dla Kraju. (Rozbudować)

Wojtek (Młynarski), ci faceci, którzy robią taki, jak oni to nazywają „kabaret” w TV, to mają w ogóle jakieś nazwiska, czy tak sobie żyją ogólnie?



Z radia: (wywiad ze Stanisławem Taczakiem) Gdy odzyskaliśmy Karpacz (Oleśnica Dolna i Górna, Krzywa Góra), trzeba było rzucić się wir odbudowy zaplecza sportowego (trasy, domy, schronisko). I po co to pleść głupstwa, skoro zastaliśmy cacuszko? Dopiero później zniszczyliśmy wszystko.



A wracając do naszego przeciętnego Anglika, to dla jasności... Dla ułatwienia powiem Panu, że gdyby znalazł się Pan wtedy u nas i tak miałby Pan wielkie szczęście, że jest pan, chociaż przeciętnym, ale Anglikiem, czyli cudzoziemcem. W przeciwnym wypadku groziłaby Panu kara śmierci za posiadanie walut obcych.

ROZDZIAŁ II

Ten rozdział rozpoczne fragmentem dialogu. Był wykorzystywany przez Jerzego Dobrowolskiego w różnych konfiguracjach, dlatego nie przypisuję go do konkretnego kabaretu. Według mnie nie wymaga żadnego komentarza oraz idealnie pointuje postawę autora.

- Urządzi ich pan?

Jerzy Dobrowolski - Siebie urządzę.

Teksty, które znajdują się w tym rozdziale najprawdopodobniej miały być kontynuacją bądź uzupełnieniem „Wspomnień moich pamiętników”. Wskazują na to odnośniki, zmiana numeracji stron już przepisanych i komponowanych w całość podrozdziałów oraz adnotacje - „rozwinąć”, „uzupełnić”, „dołączyćdo...”, „ciąg dalszy na stronie oznaczonej...”, „dalej w brązowym zeszycie”. Sugeruje to treść i dokonane ołówkiem przekreślenia, oznaczające przepisane na maszynie fragmenty. Niestety niektóre z nich miały być, jak się wydaje, napisane w innej formie, a poprzednie wersje ulegały zniszczeniu. Pozostały te zapisane piórem w jego zeszytach, z których wybrałem część, aby przybliżyć Państwu zmagania autora z PRL-em. Niestety nie ocalała żadna wskazówka sugerująca ostateczny układ. Kieruję się w tym wypadku jedynie chronologią wynikającą z dat umieszczonych na okładkach bądź w samych tekstach oraz z załączonych wycinków prasowych. Czynię to, próbując - po zapoznaniu się z całością - odnaleźć zawarte sugestie, które Jerzy Dobrowolski podsuwał, ale zdaje sobie doskonale sprawę, że jest to zadanie karkołomne. Za nim nikt nie był w stanie nadążyć...

Notatki wybrane z zeszytu „1967”



Przyszedł do mnie inkasent elektrowni z rachunkiem i powiada:
- No, cztery stóweczki znowu polecą. Co u pana tak ciągnie?
Aaaaa... Lodóweczka. No tak, i telewizor. Marnie panie gospodarzu,
marnie.

Małe dziecko w domu i już, leci, tak, tak.

Niestety - mówię - nie ma sposobu. Trzeba płacić.

- Tak, tak - powiedział i usiadł. Papierosa zapalił, zaciągnął się, zadumał. Tak, tak - powtórzył - bieda. Mówi pan - nie ma sposobu? Ano nie ma. Cztery stówki ładny grosz. Prawie dwa litry spirytusu, tak, tak. Inna sprawa, że ja na pana miejscu to bym się inaczej ustawił. Cztery stowy...

- Nie ma rady. Trzeba używać.

- A czy ja mówię, że nie trzeba? Używać tak, naturalnie...

- Nie rozumiem.

- Zaryzykuje pan pięć dych?

- Na co?

- To się okaże. Może warto? Zaryzykuje pan?

Zaryzykowałem. Otóż, co się okazuje: gdy się wetknie malutki, zupełnie nierzucający się w oczy, sztyfcik w takie jedno miejsce w liczniku, to można zużyć jeszcze trzy razy więcej prądu, a zapłaci się góra 40 zł.

Nie wykładają papieru toaletowego. Towar zbyt drogocenny. W 22 lata po wojnie sprzedawany jest spod lady. Koszmarny klan babć

klozetowych - „Papieru podać?”. Wyobraźmy sobie przyjęcie z okazji wizyty de Gaulla. Generała wchodzącego do toalety wita babcia klozetowa sakramentalnym - „Papieru podać?” - „Nie, dziękuję, mam gazetę” - Cholera jasna, niby generał a sknera. (1967)



A sprawa jest prosta.

Zwykła głupota i bezmyślność. Na klatkach schodowych umieszcza się obok siebie dwa identyczne przyciski. Identyczne i w kształcie, i w barwie. Jeden jest do światła. Drugi to dzwonek do mieszkania. Już się pan ma czego czepiać, panie autorze? Taki drobiazg jak dwa przyciski? Notabene nie ma pan zupełnie racji. Jeżeli przypatrzyłby się pan bardzo dokładnie tym przyciskom, to na jednym jest wytłoczony wizerunek palącej się żarówki, która przypomina dzwoniący dzwonek, a na drugiej coś jakby dzwonek, który można rzeczywiście wziąć za żarówkę. Ale przy odrobinie wprawy...

Otóż to, moi kochani, otóż to. Zgubiliśmy się.

„Czy pan się już nie ma czego czepiać, panie autorze?” Mam, oczywiście, mam. „Taki drobiazg jak dwa przyciski?”. - Tak, ale tych drobiazgów jest zatrwajająco dużo. Na każdym kroku. Na każdym kroku pogarda dla człowieka. Prymitywne, wszechogarniające chamstwo. Ulegamy temu wszyscy. Bierzemy w tym udział. Powoli zaczynamy uznawać to za normę. Jeszcze co pewien czas oburzamy się na jakiś specjalnie jaskrawy przypadek, ale po roku, dwóch przyzwyczajamy się do tego.

Dwa przyciski, mimo swej pozornej błahości, są takim samym wykładnikiem prymitywu i głupoty, jak zatrucie rzek przez ścieki przemysłowe. U źródeł leży ten sam model myślenia. I należy o tym głośno mówić. Trzeba z tym walczyć wszelkimi dostępnymi środkami.

O mały włos przed chwilą rozgorzała dyskusja, czy autor ma rację z tymi przyciskami, czy też nie. Byłyby różne zdania. Znalazłaby się opozycja. Grupa ekspertów fabryki przycisków udowodniłaby czarno na białym, że są całkowicie w porządku, ponieważ na przyciskach wytłoczyła wizerunki i dzwonka, i żarówki. Być może zdecydowałby w dyskusji ostatni taki argument: „Trudno, żeby dla przyjemności tego pana przestawiać całą produkcję, bo temu panu się zachciało w różnych kolorach. A może mamy Matejkę zaangażować, żeby lepiej rysował żarówki?”(ogólny śmiech i aprobata).

Prawdopodobnie Zarząd Budynków Mieszkalnych wraz z Dyrekcją Przedsiębiorstwa Budowlanego (Wydział Instalacji) wykazałby, że umieszczanie przycisków obok siebie jest jak najbardziej właściwe z uwagi na oszczędność przewodów, które są artykułem reglamentowanym, a co w skali rocznej na terenie całego kraju daje 211 tys. metrów bieżących oszczędności kabla w polewie winylowej. I każdy miałby swoją rację. I każdy byłby z siebie zadowolony. Dużo zużyłby papieru, dużo twórczej energii. Niepotrzebnie. Zgubiliśmy się panowie. Bo cokolwiek by się powiedziało, i cokolwiek i komukolwiek udowodniono - nie zmieni to faktu, że chcielibyśmy na co dzień żyć wygodnie, w atmosferze wzajemnego szacunku i zrozumienia.

Ktoś niedawno napisał, że z głupotą i bezmyślnością należy walczyć wszystkimi dostępnymi środkami (to ja to napisałem przed chwilą, na poprzedniej stronie). Otóż sądzę, że jednym z takich środków mógłby stać się film. Film, który zdołałby zgromadzić te wszystkie pojedyncze i drobne w odosobnieniu przejawy głupoty, braku kultury, chamstwa i bezmyślności - spiętrzyć je, zagęścić, zwielokrotnić - przedstawić w formie buffo. Dzięki przesadzie obnażyć te fakty i ośmieszyć.

W dobie zubożenia i demoralizacji w sensie społecznego współżycia taki środek miałby, być może, większe szanse od innych.

Niech się ktoś obrazi, oburzy, niech będzie jakiś ruch w interesie. Przestańmy karmić się landrynkami. Nie sądzę, aby przez to Socjalizm miał być zagrożony. (1967)

(Z obszernych notatek wynika, że Jerzy Dobrowolski w drugiej połowie lat 60-tych pisał scenariusze filmów. Jeden z nich, nowelka filmowa, miała tytuł „Kokosy” oraz motto wymyślone przez autora - „Nie należy pluć na sternika skoro zdecydowaliśmy się płynąć tą samą łódką. Trzeba raczej wziąć się do wiosel”. Pierwsze zdanie brzmiało zaś tak: „Telewizja Polska powstała w ten sposób:...” i później stało się fragmentem „Wspomnień moich pamiętników”. Jednym z głównych bohaterów miał być niejaki Krwicz. A pierwszy naszkicowany zaledwie pomysł wyglądał tak...)

Film- pan zabiera się do pracy w domu. Umył się, zjadł. Dzwonek. Goście - kumple. Radość - gospodarz wybiega, aby coś kupić. Już nigdy nie wróci do domu. Uniemożliwią mu to panujące stosunki.

Będzie igraszką w rękach braku kultury, chamstwa, głupoty, braku kryteriów moralnych - a więc usług, dystrybucji, złej organizacji, biurokracji, komunikacji, windy itd., itd. Wyjdzie z tego zgnojony, bez oblicza, stłamszony, szary, raz na zawsze pozbawiony indywidualności, charakteru, osobowości.

{Być może pod koniec filmu będzie się „marionetkowa!”, a raczej „marionetkowacia!”, coraz bardziej upodabniał się do marionetki. W ruchu, w geście, w realiach. Będą kopali go w tyłek (dosłownie), będzie się kłaniał. Ostatnie sekwencje: aż do horyzontu stoją w dwuszeręgu, twarzami do siebie kelnerzy, ekspedientki, mechanicy itp., itp.

On idzie środkiem, bity, kopany, popychany na boki, opluwany, poniżany}.

Zaczął z czystą jasną twarzą, którą usiłował przez długi czas ratować.

Ale kto się odważy zlecić do realizacji taki film. Natychmiast znajdzie się kilku wysoko postawionych mądrali, którzy udowodnią, że jest to zamaskowana działalność antysocjalistyczna. Z ich wyobrażeniami o socjalizmie, będą mieli swoje racje.

(Rozwinąć ten temat).

Drugi wariant filmu - paru ludzi wyjeżdża na delegację. Powoli zapominają o istocie sprawy. Ustaje cel. Działają, załatwiają, ale już nie pamiętają, o co chodzi. Wszystko się rozmydla.



- W paranoicznym budynku przy ul. Świętokrzyskiej są trzy windy. Prawie zawsze jedna jest czynna. Obłąd polega na czym innym. Naciskamy powiedzmy guzik III-go piętra. Winda zatrzymuje się przy drzwiach z napisem: II piętro. Na korytarzu napis: piętro IV

W tym domu mieszka na VI piętrze mój przyjaciel. Nigdy nie mogłem do niego trafić.

Nie ty pierwszy - powiedział. Ale jest sposób. I podał mi wydrukowaną przez siebie na maszynie kartkę, abym ją zatrzymał na stałe. Oto jej treść: „Jeżeli jedziesz windą lewą albo prawą - naciśniesz V piętro, zatrzymasz się na VII-ym, zejdziesz pół piętra w dół i jesteś na moim korytarzu. Jeżeli jedziesz windą środkową - naciskasz też V piętro, ale wjeżdżasz tylko na VI-te i musisz pół piętra dojść w górę”.

Ja nie wymyśliłem tej historyjki. Mój przyjaciel nazywa się Eugeniusz Butruk i mieszka przy ulicy Świętokrzyskiej 130 m 124. Lekarz.

Dając mi tę kartkę powiedział: jest w oficynie jeszcze jedna winda, ale jej nie używaj, bo się zgubisz zupełnie. (1967)



Bezmiar, bezmiar chamstwa, głupoty i złej woli. Brak szacunku, brak autorytetów. Sytuacja nie poprawia się. Bardzo wyraźnie, w postępie geometrycznym zaostrza się z roku na rok.

Te tabuny rozwydrzonych młokosów przemierzające na skos miasta i osiedla; ci pijani żołnierze, pijane młode kobiety, sceneria budek z piwem, zapługawiony język, brak wszelkich norm moralnych, nieposzanowanie własności, nieposzanowanie przekonań, prymitywna egzystencja troglodytów. (Milicja ściga przestępców, nie ściga braku kultury). (1967)



MARSJANIE. Według audycji „30 lutego” (*audycja radiowa JD z drugiej połowy lat 50-tych*) zrobić nowelkę filmową. Rzecz polegałaby na tym, że na zupełnie nieprzygotowaną ziemię do takiej wizyty, przyjechali goście z Marsa. Są oni rodzajem pretekstu do ukazania bezhołwia i bałaganu, jaki panuje na matce ziemi. Sami nie występują na ekranie lub prawie nie występują. Cała akcja rozgrywa się wśród urzędników i działaczy, którzy mają na głowie mnóstwo swoich bieżących spraw i nie są w stanie przez głupotę i panujący wszędzie bałagan ustosunkować się właściwie do zagadnienia. Dla nich nie stanowi to zdarzenie żadnego problemu, nie są zdziwieni samym faktem, traktują rzecz jako - nie przymierzając - grupę wycieczkowiczów z Albanii i starają się przepchnąć sprawę do innego urzędnika. Jeżeli już ktoś zajmuje się tą sprawą, to z punktu widzenia własnych korzyści. Sprawa Marsjan zostaje zepchnięta na tylny plan na rzecz, czy to np. harmonogramu, którym chce się wykazać sumienny urzędnik, czy to próby zahaczenia się jako tłumacz, bądź okazja do błysnięcia krasomówczą formą przed zgromadzonym audytorium itd. Na przykład, gdyby koło wehikułu międzygwiazdowego zebrał się tłum ciekawych, to Milicja pomna instrukcji starałaby się rozpędzić tłum lub też nadać mu przewidzianą

regulaminową formę; starałaby się ponadto zabrać Marsjanom prawo jazdy i spisać protokół zajścia.

W ideale byłoby, aby w efekcie Marsjanie ci w dodatku nie istnieli lub byłiby to np. chłopcy w ubraniach płetwonurków. Byłaby jednak dęta orkiestra i wiec w Sali Kongresowej, i przemówienia, i okrzyki. I tak dalej, i tym podobne historie. Nie wdaję się tu w szczegółowe rozwinięcia tematu, kilka pomysłów różnych mam, inne - jestem przekonany - dałoby się stosunkowo łatwo znaleźć.



Tak się złożyło, że od paru miesięcy nie kupowałem niczego. Po artykuły żywnościowe chodziła pani Stasia. I trzeba przyznać, że choć to już tyle lat Socjalizmu, nie ma jeszcze pełnego głodu. Właściwie w ogóle nie ma głodu. Brakuje tylko dobrego mięsa, dobrego masła, dobrych wędlin, dobrych serów, dobrego pieczywa, dobrych jarzyn. Ale cukru na przydział wystarcza, mąkę można kupić, jakiś tłuszcz, jakieś owoce czy jarzyny. Coraz trudniej, ale to wszystko można nabyć. Z roku na rok ubywają z rynku, kiedyś traktowane jako normalne, a dziś traktowane jako te lepsze, delikatesowe artykuły. Coraz ich mniej i w coraz gorszym gatunku. „Lepsze” gatunki wędlin lub serów w ogóle już nie ukazują się w handlu. Dawniej traktowane po macoszemu, jako ostatnia deska ratunku na wycieczce czy urlopie konserwy mięsne - dziś nie do zdobycia. Nie ma ich w sklepach. Nie ma tzw. pełnego mleka (czyli normalnego), jest tylko odciągane, nie ma tłustych serów itd., itp. Tu należy postawić datę: Warszawa, Stolica Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, rok 1977. Postanowiłem z głupoty ten fakt odnotować, bo człowiek z jednej strony zapomina, a z drugiej przyzwyczajają się. Kiedyś spróbuję to szerzej opisać. Cały ten mechanizm dostaw - nie dostaw. Zrobienia-niezrobienia. Nie załatwione a załatwione. Fakt pozostaje faktem, iż to, co kiedyś, jeszcze 10-5 lat temu było żywnościową normą, powszechnie dostępną, dziś jest rarytasem. A i ten rarytas, jeśli zdobędzie się przez znajomości, jest znacznie podlejszego gatunku niż ten normalny artykuł sprzed lat.

Ale ja nie o tym chciałem. W tym miejscu chcę odnotować inny fakt. Jak powiadam, od paru miesięcy nie kupowałem niczego. I parę dni temu musiałem udać się do kilkunastu sklepów w różnych częściach miasta, aby obsprawić 10-letnią córkę wyjeżdżającą na

kolonie letnie. Dlaczego do kilkunastu? Żeby w którymś znaleźć to, czego szukałem. A szukałem takich artykułów, jak: kurteczka od deszczu, skarpetki, kaptcie, tenisówki, butelka plastikowa itp.

Ciekawostką socjalistycznego handlu jest fakt, że nie można znaleźć artykułu przemysłowego, którego się aktualnie potrzebuje. Są inne i kto doświadczony kupuje je teraz choć mu zbędne, ale za rok czy pięć, gdy mu to będzie potrzebne, nie dostanie tego za żadne pieniądze. Albo będzie wtedy inne, podobne, ale gorsze znacznie, droższe, albo produkcja będzie w ogóle wstrzymana. Ot, choćby niezłe kiedyś u nas i tanie kosmetyki. Ale ja jeszcze nie o tym. Po wielu godzinach skompletowałem mniej więcej ekwipunek. Nie taki jaki chciałem, nie w tych rozmiarach dokładnie, jakie chciałem, nie tej jakości i koloru, ale był.

Mnie chodzi o coś innego. Porcja chamstwa, nieodpowiedzialności, braku podstawowych zasad kultury pracowników handlu była nawet dla żyjącego od 30 lat w tym układzie nie do wytrzymania. Nie byłem w sklepach od paru miesięcy i zapomniałem, jak to jest. A pamiętać należy również i o tym, że przez parę miesięcy stan uległ dalszemu pogorszeniu, co razem wzięwszy zmusiło mnie do napisania tych paru słów, żebym znowu nie zapomniał.

Ta pogarda dla klienta, to upokarzanie, lżenie, naigrywanie się, pouczanie. Ta straszliwa obojętność i wyłączenie się z życia na okres dniówki. Aby przetrwać najmniejszym wysiłkiem godziny „pracy”. I żeby nie sprzedać, nawet jeżeli jest towar. Łatwiej powiedzieć „nie ma” niż sięgnąć na półkę, dać do wyboru, odszukać rozmiar, przyjąć pieniądze, wypisać paragon, zapakować.

Najgorsze są młode ekspedientki. Zepsute posiadaniem władzy nad klientem. Te już niczego nie wyniosły z domu czy ze szkoły. To troglodycki (broniące swojej godności bez pokrycia), o zasobie kilkunastu słów. Dziw, że nie robią pod siebie za ladą. A może i robią, cholera je wie. Ale jeżeli nie robią, to jest to wskaźnik ich wysokiej inteligencji. Kto wie, czy nie jest to nawet wskaźnik przydatności do zawodu. Jeżeli kojarzy sobie fakt parcia na stolec z koniecznością pójścia do ustępu i nie pomyli jeszcze drzwi - znaczy inteligentka. A jak się trafi, że za papierem się rozglądnie - kierowniczką działu. Takie to teraz są lekko, moim zdaniem, zaniżone kryteria. Skończyłem tę notatkę niby żartobliwie, ale to jest wszystko razem nie do wytrzymania dla człowieka z wyobraźnią i jaką taką kulturą. Dla faceta, który pamięta jeszcze, jak było i wyobraża sobie, jakby mogło być.

Maszerujemy zgodnie, ku postępowi, idziemy wspólnie zwartym szeregiem itd., ale na chwileczkę wyjdźmy z szeregu i zatrzymajmy się obok. Za chwilę znów się włączymy (ile przepuścimy, parę czwórek?). Nikomu to nie zaszkodzi, ew. potem przyśpieszymy, ale przyjemnie będzie tak z boku popatrzeć. A to motyl, a to kwiatusek-bez sensu i bez znaczenia, ale sympatycznie. I na to chcę państwa namówić. Tym bardziej, że to jednak więcej niż motylek czy kwiatusek - a np. wejść na jakieś wysokie drzewo i popatrzeć, gdzie zaszły te pierwsze czwórki i czy ta droga nie kręci jakoś, dokąd prowadzi.

I tak wszyscy tego nie zrobią, ale kilku takich zawsze musi się znaleźć.



„Nasza Księgarnia” i Wydawnictwa Szkolne uporały się nareszcie z brakiem podręczników szkolnych i polskiego, historii, rachunków, geografii i innych, wydając zbiorczo podręcznik „Zbiór przemówień Edwarda Gierka - dla klas V”. †

W sklepie meblowym opieprzyła mnie ekspedientka: ja jestem tylko od białej tapicerki. (Specjalizacja dość wąska).

Druga zgodziła się (sic!) choć b. niechętnie i po długich prośbach (sic!) sprzedać mi tę ławę jeszcze dzisiaj (późne popołudnie) mimo, że musiała osobiście zejść do magazynu, ale gdy przeciągało się szukanie śrub i szufladki, powiedziała: Gubi mnie ta uprzejmość dla klientów (sic!). Mam bilety do teatru. Po brakujące części niech pan przyjdzie jutro.

No i co ja mogę powiedzieć tej starej kurwie? Nic. Rzeczywiście chciała, poszła na rękę, ułatwiła, pomogła. Jak w Związku Radzieckim. To ja z mordą na dobrą kobietę? To ja podlec, niewdzięcznik będę ją pouczał? No, a jeżeli? Przecież ona tego, moi kochani Słudzy Narodu, Mocarze Ducha, Budowniczości Pałacyków i tak nie zrozumie. I wy też nie. ^

Ekspedientka w Delikatesach koło Zamku Królewskiego ukrywa Coca-colę na zapleczu, bo: wie pan, tutaj ciągle przyjeżdżają wycieczki i ciągle by pili i pili.

Tryptyk literacki „Mazowsze”. Tom I - „Mleko na wiatr”, tom II - „Pokrzywa parzy przez koszulę”, tom III - „O człowieku, który się kurwom nie kłaniał” a do II programu TV - „Telekronika Imbecyl” z czterema spikerami.

Sztuka dla Rozmaitości: - dobra. Tytuł roboczy - „W co się bawić” - różnica postaw i poglądów paru facetów w konwencji kabaretowej. „Pokrzywa parzy przez koszulę”.

Drogi kolego! Przestałem się dokształcać. Jestem już trochę za stary. Tworzę, a raczej przetwarzam to, co zdobyłem dotychczas. A ponieważ nie dużo zdobyłem, toteż i niedużo tworzę. Całuje Cię. Twój J.

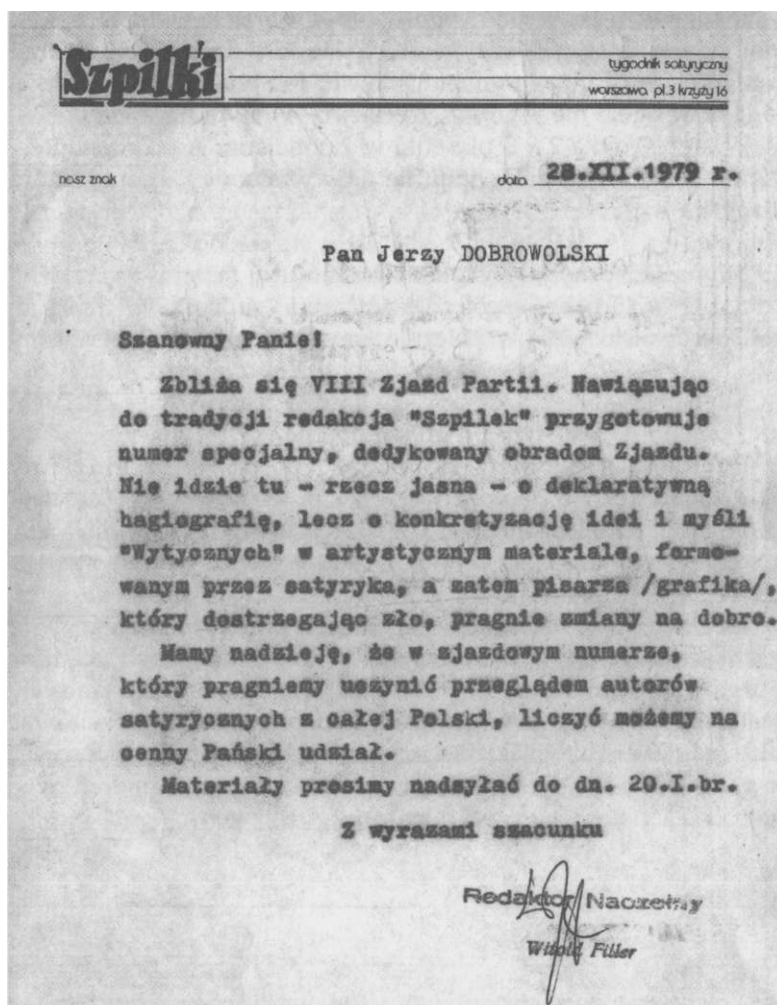
(Dwa pierwsze tomy swojego tryptyku, podawane jako sztuki teatralne, Jerzy Dobrowolski rokrocznie dołączał do repertuaru Teatru Rozmaitości, budząc nadzieję władz na nareszcie jakiś, według nich, „słuszny” tytuł. Trzeci znany był tylko wtajemniczonym podobnie, jak telewizyjna wersja jednej z najsłynniejszych radiowych audycji Radiokroniki Decybel. Ten telewizyjny „Imbecyl” wynikał z refleksji autora nad tym, co sączyło się z ekranu.)

Zwolnili co 2-ego w Ministerstwie i nikt nie zauważył.

Kabaret „Bydlak” zaprasza na program pt. „KROK WSTECZ” .
Inne nazwy kabaretu: Świnia, Kura, Zając. (1979)



Łączony pomysł Wojtka (Młynarskiego) i mój:
teatr „Ambulatorium”
(zaprasza na widowisko myślowe) przedstawia sztukę pt.:
„Nasza dietetyczna”.



Recital. (1979)

Zauważyli Państwo mały dopisek na zaproszeniu na ten nieśpiewany recital: „na wszelki wypadek z udziałem Wojciecha Młynarskiego”.

Zdaje się właśnie nadszedł wszelki przypadek i bardzo Cię Wojtku proszę na estradę.

O co chodzi? Każdy czas ma swój okres - jak mawiał Stanisław Zieliński w swoich uroczych „Snach pod Fumarolą”. A każdy materiał ma określoną wytrzymałość. Oto przedstawiam Ci materiał ludzki u kresu wytrzymałości w gatunku prozy. Kombinuj jak chcesz. Może być nawet smutno i ponuro, byle byłoby wesoło naturalnie. Zgodziłeś się - to już z p. Jerzym Derflem kombinujcie. - Acha, tylko jedna prośba. Nie prowadź żadnej konferansjerki, żebyś nie wylał dziecka (jestem jak dziecko) z pomyjami, i żebyś mnie nie wyłożył, excuse moi, na mordę. Rzecz w tym, że ty potrafisz świetnie prowadzić konferansjerkę, a ja nie umiem śpiewać. 1 za chwilę okazałoby się, że ja tu w ogóle nie jestem potrzebny.

Występ Wojtka 2 x 3 piosenki w I podejściu. A po występie - Wojtek powinien namówić mnie na wykonanie piosenki, która przejdzie w tercet.

Dalej:

Młynarski (przy jakiejś okazji na mój czy programu temat) -
Trochę współczuję państwu.

Dobrowolski - Nie współczuj, nie współczuj. Nie przyszliśmy tu współczuć, bo nie o to chodzi.

Młynarski - Nasz program jest bardzo trudny, więc chciałem państwu po prostu pomóc.

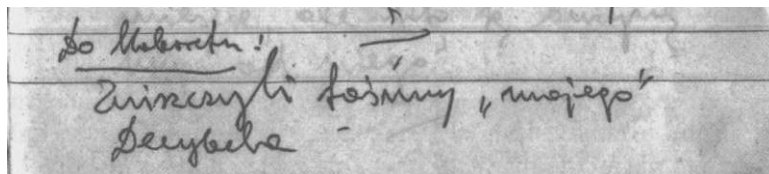
Dobrowolski - Pomóc, zgoda. Mu państwu przyjdziemy z pomocą, ale że tak powiem, wypłyniecie nam naprzeciw.



Liceum Gastronomiczne. Dyrektor placówki zwierzył się przy wódeczce, że wybiera zwykle kilku zdolniejszych uczniów i organizuje im Komplet Tajnego Nauczania, aby tradycje gastronomiczne, choć w głębokiej konspiracji, mogły zachować jakąś ciągłość i aby w jakiejś sprzyjającej chwili móc je zastosować w praktyce.

Pierwszy Polak w kosmosie.

Te, palaczek- powiedział Wielki Brat - kup mi rower, to cię kiedyś przewiozę na ramie. I w ramach dalszego pogłębiania przyjaźni tak się stało. (1979)



Dobry temat do śp. „Decybelu”.

Odruch warunkowy polegający na konieczności powiedzenia po słowie „wiadomości”, słów „Pierwszy sekretarz polskiej...”, np. A oto ostatnie wiadomości. Pierwszy sekretarz polskiej... Podajemy wiadomości. Pierwszy sekretarz polskiej...

Nie ma innej możliwości.

Porwali Aldo Moro, wojna w Indochinach, posiedzenie Rady Bezpieczeństwa, amerykański uczone odkrył skuteczny środek p-ko chorobie raka, pół świata wyleciało w powietrze - a my twardo - Pierwszy sekretarz polskiej itd. odwiedził województwo bielsko-bialskie. Ewentualnie pierwszeństwo może mieć tylko wiadomość typu: Głuchoniemy elektrotechnik z Kijowa objechał na specjalnie przygotowanym rowerze republikę kazachską. (1979)



„Ja się boję sama spać” - przedwojenna piosenka zawiera m.in. taki akapit: „czytam Kraszewskiego i kilka mów Grabskiego...”. Otóż cenzura (luty 79) zdjęła w TV z programu „reżysera” Rzeszewskiego tę piosenkę. Dlaczego? Jakiś Grabski (czy nie sekretarz PZPR z Płocka czy Konina, czy Włocławka bodajże) poddał w KC krytyce linię swojej partii. W związku z tym nie ma takiego nazwiska, a przedwojenna piosenka zostaje unieważniona.

Oczywiście można iść dalej. Np. w bajce występuje piesek Kruczek, a Kruczek to przewodniczący CRZZ. Skreślamy bajkę, wycofujemy nakład, a obywateli zmuszamy pod groźbą utraty etatu i kar sądowych do dobrowolnego zwracania książek oraz

składania pisemnych oświadczeń, że nie tylko odzegnujemy się zdecydowanie, ale w ogóle nigdy o czymś takim nie słyszeli, książki nie czytali, a polityka CRZZ jest jedynie słuszną linią mającą na celu dobro robotnika. I tak dalej, itd...



Dwa bastiony, które do niedawna były niezdobyte dla zdobycy socjalizmu, to radio i telewizja. Teraz gangrena wdarła się i tutaj, ale i tak jeszcze to niebo a ziemia w porównaniu z innymi dziedzinami.

Ciekawe, co np. będzie, gdy panie z działu angażowania i organizacji nagrań przejdą kiedyś na emeryturę? Ruszy niepowstrzymana już niczym lawina bałaganu, dezorganizacji, niekompetencji, lipy i sprawozdawczości.

Druga sprawa: szacunek dla twórczości i talentu twórców.

Wypierdki w reakcjach uważają, że potrafią nie gorzej, a znacznie taniej.



Kabaret Żon.

Program pt. „Anty-owca” dozwolony od lat 18-tu - wyłącznie dla osób znających program Kabaretu „Owca” pt. „Dla mnie bomba” (inni mogą przyjść też, ale niewiele zrozumieją). Udział biorą: Anna Prucnal - Bianusz, Jolanta Zykun - Dobrowolski, Adrianna Godlewska - Młynarski, Barbara Młynarska - znowu Bianusz i np. Emilia Krakowska, Fryderyka Elkana, Jolanta Lothe itp. - mąż do ustalenia lub Zofia Kucówna - Hanuszkiewicz. Przy fortepianie również kobieta - prawdopodobnie ma ochotę na Tyma lub odwrotnie.

I część w manierze „Wszystko na sprzedaż”. Mówi się oficjalnie o koneksjach i motywach powołania żeńskiego kabaretu [żeby była farsa, żeby żony znalazły satysfakcję artystyczną, żeby przedłużyć żywot „Owcy” (patrz tytuł) itp., itd.]. Ośmieszyć Wajdę i mit środowiska. Jednocześnie widać, że to kobiety są motorem działania, a mężowie twórcy, dla świętego spokoju w domu - zrobili dla nich ten kabaret.

Co Cię obchodzi? Ale grasz? - Grasz. I to najważniejsze.

- Zagrałabym chętnie „Matkę Joannę od aniołów” - ale on jest już żonaty niestety.

-Poczekaj! Nasi też sięgną do filmu. Tylko ich musimy podbechtać.

- A jak się rozwieść?

- W ciemno nigdy, r

C

- Mój mąż nie schodzi ze mnie. Cud przyrody.

- Do czasu.

- Tak jest. Mój też nie schodził, a teraz schodzi.

- Mój nie zejdzie.

- Zejdzie, zejdzie.

- O czym wy mówicie?

- O wchodzeniu i schodzeniu.

- Nie rozumiem.

- I to jest twój błąd właśnie.

*

- Czy my nie gramy aby, chociaż w innej konwencji, „Wszystkiego na sprzedaż”.

- Brawo!

- Jaka inteligentna.

- To obrzydliwe.

- Tak jest. Ale jakie intratne.

- Ja nie chcę.

- Nikt nie chce. Ale takie jest obecnie zapotrzebowanie niestety.

- Konwencyjnie nic nie załatwisz.

- Różne panie robią jeszcze tradycyjne kabarety to się tam zapisz.

- Przebierzesz się



Kupiłem Marcinowi (*Dzieciuchowicz - siostrzeniec*) na Gwiazdkę 80 budzik radziecki, który dzwoni o godz. 2³⁰. Na inną godzinę nie da się ustawić.

Reklamacja jest niemożliwa. Odmawiają i lżą. Oskarżają o sabotaż, naciąganie władzy, oszustwo, świadome szkodnictwo.

≥

Recital mówiony:

Piwowski o Dudku - „Dudek mówi zupełnie jak Stasiek”*, więc co to jest prekursor, a co epigon? (vide np. Decybel, a późniejsi Wolscy, Friedmany, Drozdy. Przejęli formę, pomijając treść. Gdybym chciał teraz, to bym był ich epigonem). Wtedy myśleliśmy, że jesteśmy oryginalni - dopiero po paru latach okazało się, że jest odwrotnie. (1980)



- 1) Zanik życia towarzyskiego.
- 2) Proces nieodwracalny, ale... pójdziemy bokiem (opóźniając również niejako ten proces). (1980)



Władza (ta „nowa”, „nasza”) nie potrafi nie przechwalać się. To jest od nich silniejsze. Ona musi. Umoczą straszliwie w jakiejś sprawie, ale nazajutrz po np. Plenum już kombinują, co by powiedzieć, jaką to oni mają jedynie słuszną linię i jak przeogromnie są za odnową. Wprost bez nich by się nie odbyła w ogóle, (wiosna 81)



Więc to jest tak. Jeżeli trwa w jakimś zakładzie 2-godzinny strajk ostrzegawczy - to fakt ten powoduje katastrofalne straty gospodarcze i nie można się dziwić, że jeszcze w pół roku później brakuje wszystkiego na rynku. Zupełnie natomiast inaczej jest wtedy, gdy na wiele godzin zatrzymuje się produkcję we wszystkich zakładach i instytucjach a pracowników gna się na trasę przejazdu autem tow. Breżniewa, (wiosna 81)



* Stanisław Tym podczas pierwszego spotkania z Markiem Piwowskim, wiedząc, że ten później spotka się z Edwardem „Dudkiem” Dziewońskim, „podrobił” charakterystyczny dla tego ostatniego sposób mówienia. Stąd ta prekursorsko-epigońska refleksja. Z tym, że jedynie Jerzy Dobrowolski był prekursorem.



Raławicki, Rosołowski itp. spikerzy TV Reżimowcy za Gierka, promieniejący entuzjazmem przez parę miesięcy po sierpniu 80 na rzecz odnowy, teraz, w rok później, ziejący na „Solidarność”. A oby się zasłużyć i zmazać swoją winę, za chwilową schizmę myślową i ewidentny błąd w sztuce dziennikarskiej, puszczają się na interpretację.

Albo taki Mikołajczyk, przed tym „sympatyczniak” z gry TV „Wszystko za wszystko”, dzisiaj (VIII 81) reżimowy i tendencyjny korespondent TV z Jugosławii (a Wojna, a Broniarek. OOO!).



Trzeba skończyć z tym mitem „ludzi w mundurach”. Wojsko temat tabu. „Społeczeństwo polskie szczególnym szacunkiem otacza Ludowe Wojsko. Czci je oraz czuje głęboką wdzięczność i dalsze tysięczne dyrdymały”. A tu akurat odwrotnie. Ludzie w mundurach, ci głupkowaci i tępi oficerowie, ci chuligańscy, kompletnie pijani szeregowi na przepustkach, ci prymitywni propagandziści z radowych Magazynów Wojskowych - oto Ludowe Wojsko. Jest akurat takie jak w przekroju i całe społeczeństwo, tyle tylko, że w karykaturalnych wymiarach, ponieważ wojskowa

struktura już całkowicie wyklucza możliwość przebicia i wybicia się na indywidualność, (jesień 1981)

y .



y .

Nie wolno być Europejczykiem. Ponieważ sprawujący władzę stoją na bardzo niskim stopniu rozwoju umysłowego, nie są w stanie pojąć swobodnej gry ludzkiego umysłu. Rzecz nie w wykształceniu, to znaczy w ilości zdobytej wiedzy. Tu chodzi o wyższy stopień wtajemniczenia. Chodzi o sposób kojarzenia faktów, niezależność myślenia, o swobodę tych skojarzeń, swobodę, która staje się wytworem społeczeństwa żyjącego od pokoleń w luksusie niezależności, opartej o dobrobyt, stabilizację i co najważniejsze demokrację. Społeczeństwo, w którym równanie następuje wyłącznie w górę. Gdzie przebijają się jednostki najlepsze, najbardziej uzdolnione, najoryginalniejsze.

Dla politycznego biura każdy człowiek myślący niezależnie jest wrogiem. Przypisuje się mu biologiczną wręcz, genetyczną nienawiść, która właściwie bezinteresownie i irracjonalnie pcha go w ramiona kontrewolucji. Taki wróg ma w zasadzie tylko jeden cel. Omamić naród, wciągnąć na wsteczne pozycje podatną na wpływy młodzież, zburzyć struktury, przejąć władzę, skrzywdzić społeczeństwo - słowem cofnąć bieg historii. Albowiem biuro: takie widzi świata koło, jakie tępyimi zakreśla oczy.

Moje myślenie jest dobre, bo jest moje i ja wszystko rozumie. Bez ę. A jego jest głupie i niedobre, bo ja tego nie rozumie, (jesień 81)



Październik 81

Koniecznie muszę spróbować (czy to w sztuce, czy w felietonach, czy w kabarecie, lub może w innej jeszcze formie np. w jakimś cyklu

w TV, o ile TV stanie się przyzwoitą instytucją - vide Lorentz i inni) ująć, moim zdaniem najistotniejszy temat w chwili obecnej, tzn. spustoszeń jakich dokonał „socjalizm” w mentalności i moralności społecznej. Spróbować określić, scharakteryzować i pokazać typ powszechnie obowiązującego sposobu postępowania w dowolnej praktycznie dziedzinie naszego życia i współżycia. Wywodzi się to bezpośrednio ze sposobu myślenia i kojarzenia, do którego przyuczono nas i zmuszono. Jest to specyficzny rodzaj bezwładu umysłowego. Towarzyszy temu brak jakiegokolwiek logiki, rozumu, jakiegokolwiek sensu. Paradoksalnie jest w tym to, że działa się tu również p-ko sobie. Nie jest to jednak debilizm pojedynczego obywatela czy określonej grupy, lub nawet warstwy społecznej. Tego rodzaju schorzeniem przeżarte jest całe społeczeństwo. Charakterystyczne w tym jest właśnie, że pojedynczy obywatel ma się za człowieka bardzo uczciwego, fachowego, przyzwoitego. W związku z tym, gdy napłami, a napłami zawsze - wyda fałszywe polecenie, podejmie nielogiczną decyzję, nie dotrzyma słowa - będzie rozpaczliwie, właśnie, aby uratować swoje rzekomo dobre imię - bronił popełnionego błędu, zasłaniając się tysiącem głupkowatych zarządzeń, związaniem rąk, winą innych - brnąc coraz głębiej, kłamiąc coraz mocniej, utrudniając załatwienie czegokolwiek i popadając w dalszą paranoję. A ponieważ zarządzeń, poleceń, przepisów jest ilość bezmierna, zawsze znajdzie takie rozwiązanie, które co prawda nic nie daje starającemu się lub wręcz go krzywdzi, ale naszego bohatera kryje, osłania i udowadnia, że jest całkowicie w porządku. Wykonał wszystko, co do niego należało. I rzecz charakterystyczna, na przeprowadzenie takiej sprawy i takiego dowodu nie szczędzi ni wysiłku, ni czasu, gdy jednocześnie nie stać go na logiczne, życiowe i życiowe decyzje wymagające niewspółmiernie mniej czasu i wysiłku. Dodatkowo wzbogacony taki typ to ten, który działa społecznie i społecznie rozstrzyga. W swojej socjalistycznej głupocie jest szczególnie szkodliwy, wzmocniony dodatkowo tarczą bezinteresowności i poświęcenia. W każdym jednak wypadku strach przed odpowiedzialnością jest silniejszy od rozsądku i zawsze kończy się ucieczką w rozmydlony świat socjalistycznych paragrafów z zupełnie nieprawdopodobną szkodą i jednostki i społeczeństwa. I znów nad wyraz charakterystyczny u danego osobnika (praktycznie u każdego z nas, bo nie ci osobnicy są wyjątkami w społeczeństwie, ale odwrotnie - tylko bardzo nieliczni wymykają się z tej sztancy,

tylko nieliczni i naprawdę wyjątkowi potrafią myśleć i działać oryginalnie. Podkreślam „działać”, ponieważ chodzi o odwagę wprowadzenia zdrowego rozsądku w czyn, w praktykę) jest fakt, że skuteczność swoich poczynań mierzy wyłącznie ilością włożonego wysiłku, a nie ostatecznym wynikiem, który dla niego ma znaczenie trzeciorzędne.



Nie w każdej być może dziedzinie można przeprowadzić 100%-owy dowód wyższości realnego socjalizmu nad kapitalizmem. Na jednym jednak odcinku rzecz jest absolutnie bezsporna i wymierzalna w praktyce. Myślę tu o wychowaniu młodzieży. Młodzieży końca lat 70-tych i początków 80-tych. Są wspaniali. To nie żart. Nie mówię o tej „najlepszej młodzieży” ze szpałt gazet i wywiadów telewizyjnych, która zgodnie z rzuconym przed kilku laty hasłem „gremialnie wstępuje w szeregi PZPR”. Więc nie o tej „najlepszej”, ja o tej zwyczajnej, z ulicy, z uniwerku, z prywatnych rozmów. Ich dojrzałość, ich wiedza, ich poglądy są zdumiewające. Jasne, szczerze, mądre i zdecydowane. Są silni, nieprzejednani, absolutnie uodpornieni na propagandę i fałsz stosunków politycznych i społecznych. Czyści, serdeczni i wyrozumiali. O wiele, wiele mądrzejsi niż my przed laty. I to nie ma nic do rzeczy, że socjalizmowi realnemu nie o to chodziło. Fakt pozostaje faktem. Dzięki realnemu socjalizmowi, a ściślej dzięki jego istnieniu - doszło do tak wspaniałego pokolenia. Oł, niechcący, wbrew sobie, realny socjalizm wytworzył produkt uboczny, na własną zagładę. (82)



„Byt określa świadomość”

To prawda. Byłem na filmie „Hair”. To wielki wstrząs w czasie stanu wojennego - w socjalizmie na dodatek. Celem jest myśl. Myśl jest najwyższym, najpiękniejszym dziełem człowieczym. Myśl to sztuka, to kultura, to twórczość, to humanizm.

U nas nie ma miejsca na myśl, ponieważ nasze cele są inne: mieszkanie, lodówka, telewizor, samochód. Same w sobie. Pisząc kabaret muszę ze wszystkich sił pozbyć się „socjalistycznego” myślenia. Nie p-ko Socjalizmowi realnemu, ale obok, mimo. Otworzyć



nowe horyzonty, spojrzeć obocznie, odważnie, śmiało. Pisać i mówić o rzeczach cienkich, nienazwanych, o wrażeniach za ledwie, poruszać tematy nietypowe, a raczej odległe, rzekomo nie dotyczące realiów codzienności. Albo raczej jeszcze inaczej - dotyczące tych realiów, ale w innym wymiarze, w mgiełce, w poezji, w ciepłe. Na świecie żyją wolni, swobodni ludzie - my siedzimy w klatce. Niedostępne są dla nas sprawy, które dla tamtych są codziennością. Trudno. Trzeba w sobie znaleźć, wydobyć z podświadomości, odszukać w pamięci, w sercu to wszystko, co z taką skrupulatnością wyplukiwano z naszych umysłów, wlewając w to miejsce łajno, miernotę, walkę o byt. Latami otaczano nas narastającymi trudnościami, ukierunkowując nasze myślenie jedynie w kierunku pokonywania tych trudności. Powoli w naszym myśleniu nie pozostawało nic innego, jak zdobycie premii, uznania, mieszkania po 15 latach intensywnych starań, zasłużenia się władzy, aby w zamian czerpać materialne korzyści. Stąd podział na lepszych i gorszych. Podział konieczny, ponieważ rozwarstwienie i skłócenie społeczeństwa służy łatwiejszemu manipulowaniu nim. Eskalację trudności i biedy trzeba stale powiększać, inaczej ludzie przyzwyczajając się - stale znajdują luki dla przebicia się myśli. Mówi się popularnie, że przyzwyczajenie jest drugą naturą. W naszych warunkach potwierdza się to w stopniu najwyraźniejszym. Jest nie do pomyślenia, do czego zdążono nas przyzwyczaić. Jest teoretycznie całkowicie nieprawdopodobne, co dziś w praktyce przyjmujemy jako prawie zupełnie normalne, jako codzienność. (XII 82)



Z okazji zakończenia roku 1982 chciałem zrealizować kartki na alkohol.

Niestety

Półtoramilionowa stolica 36-milionowego państwa o godz. 17 w Sylwestra - zamknięta na klucz. Jedyne czynny sklep spożywczy dla miliona pięciuset tysięcy Polaków był na DWORCU CENTRALNYM. Na pozostałych wiszą kłódki. Tysiące kłódek. Miliony w stolicy, miliardy w całym kraju. Kłódki, kłódki, kłódki, kłódki, kłódki... kłódki.

Może dlatego przemysł nie nadąza w innych dziedzinach? Nie wiem.

14 XII 83 W. Jaruzelski powiedział, że „Trybuna Ludu” prowadzi konsekwentną walkę o serca i umysły.

grudzień 83

... ja tylko tak młodo wyglądam, ale pamiętam jeszcze okupację niemiecką. Trudniłem się wtedy szmuglowaniem mięsa. Trzeba było obchodzić polami, bo wszystkie drogi i dworce były obstawione wojskiem i policją. Niemiecką.

Pan powiedział w radio, że fakt zlania się partii robotniczej i socjalistycznej przed 35 laty w PZPR: „skłania do refleksji”.

Radio, TV, prasa donoszą o tym, jak bratnie narody żywo interesują się nami. Z wielką uwagą śledzą zmiany zachodzące w naszym kraju i pozytywnie oceniają postępowanie naszej partii i rządu. Nie są jednak w tym bezkrytyczni. Podkreślają np. fakt, że władza jest zbyt liberalna wobec jawnych wrogów ojczyzny.

Sądzę, że w praktyce wygląda to tak: gdy obudzi się Czechosłowak, Bułgar, Rosjanin czy Rumun już zaczyna się nami żywo interesować. Mówi do żony - ciekawe, co tam w Polsce, w naszym bratnim kraju? Czy jest już gazeta? Nie? Cholera, a tak prosiłem. Puść chociaż radio. A żona pochlipuje. Tak się martwię - chlipie - żeby młodzież wyrosła u nich na mądrych, świadomych ludzi. Masz tu drugie śniadanie i leć do roboty. O zarobki się nie trap, ale obyś dzisiaj znowu przysporzył majątku narodowego.

A na przystanku wrze. Obcy ludzie wrywają sobie gazety, wymieniają się wiadomościami, dzielą poglądami.

Jakie to szczęście - mówią - że im się tak wspaniale realizuje. Martwi mnie tylko ta ekstrema. Wiecie co? Zróbmy wiec. Ma ktoś jakiś transparent? Ja mam - ktoś woła. I ja, i ja wołają inni. Zrobiliśmy dzisiaj rano. Specjalnie wcześniej wstałem - mówi stary robociarz - i machnąłem w komórce, nada się? Rozwijają się napisy - popieramy politykę rządu PRL. Reagan precz od Polski. Niech żyje odwieczna przyjaźń. Tylko skrajna nędza może nas uratować itd., później w pracy itd.

providenijs (a moze nie pokazano
wskaz) o przynajmniej zeznaniach,
judicie swojej stronie p-ko
coley wyfracyt. W skrajnym polu
skladu i wedy, lubawka, wie.
- uaciniowic chog znie co's nar.
- mcheg, pordniwag, wstowag
To jest samoderaw. Uciwila
pmed porawojg.

14 XII 83. W. Hamedit postredniol
ze Tribuna ludu poredniol
hewelwentug wedy o serca i
wudy.

14 XII 83

... je tylo toz miedzo
wypodam, de panytem jama
chupogz miedziog. Toudniem
nie wedy samobawem moga
Tabe bylo obudnie palawu,
bo wnyplie drogi i chowca
byly obstawone ~~zawieszona~~
wopniem i palicje. Weniog.

Sam provided w radio, ie fakt
zawie ny partii robotnicy i serca -
- litygeny pmed 35. luty, W P2PR:
"Weniog do refleksji."

Te bydlaki nadają materiały ze sprawy zabójstwa Grzegorza Przemyska w czwartek, bezpośrednio przed „Kobraw” (z wizji lokalnych).



stoi na gruncie pryncypium
spełnianie awangardowej roli
drogowskaz, płaszczyzna
umacnianie jedności
na gruncie zrozumienia
na gruncie aprobaty
poprzez ludzi, dla ludzi
poprzez aktywizację członków
wdrożeńiowa moc
zwalczanie deformacji
wysoki prestiż
konstrukcja
ideowo-moralne kaleczenie młodzieży
stanowczość i pryncypialność



Nie od razu Kraków zrujnowano.

Od 45 roku byłem parokrotnie w Krakowie. A więc w ciągu 38 lat mogłem - wyraźniej niż mieszkańcy, którzy mają swoje miasto na co dzień - obserwować zmiany w nim zachodzące.

Można powiedzieć, że nie od razu Kraków zrujnowano, tym niemniej serce się kraje, gdy widzi się z perspektywy całą perfidię systematycznych prób zabijania miasta. Tak w sferze materialnej, jak i duchowej. A mimo to obserwacje te napawają optymizmem.

W r. 1946 w czasie referendum, okręg krakowski jako jedyny w kraju zawiódł oczekiwania władz do tego stopnia, że nawet trzeba to było ogłosić publicznie. Kraków miał swoje zdanie na temat „trzy razy tak” i dał temu wyraz w referendum, nie licząc się z konsekwencjami. W 47-ym Kraków oddał na PSL 65% głosów w wyborach do Sejmu.

Trzeba było miasto ukarać i wytrzebić do szczytu to gniazdo reakcji, a przynajmniej maksymalnie pomniejszyć jego znaczenie poprzez

zunifikowanie z innymi miastami oraz poprzez zmajoryzowanie miasta przez inną klasę i inny ośrodek.

No i co? Gówno. Prawda - wiele lat trwała przepychanka, walka o duszę i tradycje, nie przebierano w środkach, ale popatrzmy - Kraków jak stał, tak stoi, ludzie nadal myślą nie według obowiązujących schematów, Skawinę zamknięto, a ukochane dziecko Nowa Huta, sztandarowy bastion postępu - przysparza obecnie swoim rodzicom najwięcej kłopotów.

Nie od razu Kraków zrujnowano i nie uda się go zrujnować. Dziękujemy wam najserdeczniej. (1983)



Boże, jak serdecznie mam tego dosyć. Po 35 latach nastąpił we mnie tak ogromny przesyt, że nie mogę wziąć do ręki gazety, wysłuchać dziennika, obejrzeć kroniki. Jeszcze straszliwie głęboko przeżyłem wprowadzenie stanu wojennego, jeszcze, już leżąc, rozpaczliwie próbowałem rękami chwytać coś w powietrzu, ale chwytałem tylko smród i gówno. Teraz nie chce mi się nawet rzygać. Nie ma nawet we mnie nienawiści, nawet nie śmieszają mnie te przemówienia, odezwy, apele. Te sztandary, wiece i krawaty. Ogarnia mnie tylko bezmierne zdumienie, że są ludzie, nawet nie ludzie pewnie - osobniki, którzy w czymś takim zdolni są uczestniczyć. Jest np. od wieków taki krasnoludek Jabłoński, stara złuszczone pierdoła. To niemożliwe, żeby mógł traktować to serio, żeby chciało mu się brać w tym udział. A jednak. Odwołali stan wojenny, słyszałem. Ogłoszono jakąś amnestię. Możliwe. Nawet nie zadałem sobie trudu, aby to sprawdzić w gazecie, aby poznać jakieś konkrety, szczegóły. Co to mnie wszystko obchodzi? Nic. Kompletnie nic. Obija mi się niechcący o uszy jakiś generał, jakaś Gucwa, jakiś rzekomo patriotyczny ruch odnowy, czy czegoś tam...

moje krąg.
stojem przeswójce ~~stojem~~ Herb ^{podane} me ~~st~~
99 Nikt nie ma prawa porównać
identyfikacji do faktu
wiedomości 99

CHAŁWA

Wyższość ustroju socjalistycznego:

- Moje dzieci nie znają smaku chałwy.
- W 40 lat po wygranej wojnie generał orzeka, ile mi wolno czego zjadać.
- Czy, kiedy i ile mogę używać papieru toaletowego.
- To są idioci, których umysły nie kojarzą faktów. Oni nazywają to dość błędnie myśleniem dialektycznym. Np. wymyślili ostatnio (1984) drastyczne limitowanie benzyny. Ma to dać miliardowe oszczędności.

Kilku zachwyconych kretynów obliczyło to na kartce i im się zgodziło.

Teraz parę milionów ludzi traci kilkanaście milionów godzin dziennie na dojazdy do pracy. Traci ponadto zupełnie bezproduktywnie nieobliczalną ilość energii, dobre samopoczucie i jakikolwiek zapał czy choćby chęć do pracy. Nie ma całkowitej pewności, czy wymięty, zestresowany, zmęczony już przy starcie pracownik, upokorzony przymusem ograniczenia, z entuzjazmem przystąpi do realizacji waszych szczytnych zadań budowy socjalizmu. A przecież w innych krajach (a nie mam tu na myśli Związku Radzieckiego) wiedzą, że pracownik wyspany, najedzony, wypoczęty, dobrze (czytaj - uczciwie) wynagrodzony za swoją pracę jest pracownikiem lepszym. I wszystkim to się jakoś opłaca, mimo, że nie wisi nad nimi żaden transparent.

Pomyślcie więc może trochę o tym, wy skarłowaciali ideologicznie kretyni - posłuchajcie we własnym interesie - jeżeli chcecie się jeszcze trochę utrzymać.

Niechby ten wasz pogardzany człowiek pracy mógł dłużej pospać, wcześniej wrócić do domu, wolny czas przeznaczyć na rozrywkę, wypoczynek, relaks, pożyć co nie co życiem rodzinnym, pobawić się z dziećmi, zadbać nieco o ich wychowanie - ręczę wam, skretyniali ideolodzy, że to tylko pozornie nie łączy się z wynikami produkcji.

A wracając do benzyny, acz nie o niej tu tylko mowa, to nakłady na import mogłyby wrócić się z wielokrotną nadwyżką w produkcji globalnej, a te wasze pozorne oszczędności moglibyście sobie wsadzić w dupę. Oczywiście oprócz benzyny musielibyście załatwić jeszcze kilka innych spraw. Na początek jednak musicie nie tyle

zrozumieć, bo to jest poza możliwością waszego pojmowania, ale po prostu uwierzyć, że stawianie ideologii ponad człowiekiem nie ma najmniejszego sensu.

Z tą ideologią to zresztą też nieporozumienie, bo ona nie jest naprawdę, lecz służy tylko jako zasłona, jako pretekst, jako ochrona waszej dupy. I tu nie ma się co dziwić specjalnie. Bo jeżeli nie umie się dosłownie nic, jeżeli to jest jedyna droga utrzymania się choćby jeszcze pół roku przy żłobie, jeżeli to jest jedyny sposób na kawiorową egzystencję, bo inaczej trzeba by było iść do fizycznej pracy jako niewykwalifikowany robotnik - to warto temu poświęcić wszystko. Wyniszczyć kraj do dna, wyeksploatować przyrodę do żywej skały, zmarnować kilka ludzkich pokoleń. Warto więzić i zabijać. Słyszałem, że na Spartakiadach Armii Zaprzysiężonych ma być wprowadzona nowa konkurencja sportowa: Strzelanie do sylwetki biegnącego robotnika.

Gdybyście mieli odrobinę rozumu a nieco mniej prymitywnej pychy i ambicji - można by się było dogadać. Moglibyśmy was bez trudu utrzymać na dotychczasowym poziomie i zaspokoić wasze nienasycone apetyty, a nawet moglibyście, żeby i duch miał satysfakcję - otrzymywać 2-3 razy w tygodniu jakiś order, o czym pisałoby się w specjalnie dla was drukowanej gazecie, jak również można by wieszac w miastach wasze ogromne portrety - byle byście się nie wpierdalali w nasze sprawy. Przemysł, rolnictwo, medycynę, ekonomię, wychowanie młodzieży, a przede wszystkim kulturę i naukę musielibyście zostawić nam. W pierwszym momencie wyda się to wam niemożliwe, ale pomyślcie, jaka to ulga. W zamian ile czasu dla siebie. Umowa byłaby gentelmeńska. Moglibyście bezkarnie mianować się między sobą, zwalczać, awansować, spadać, uchwałać, zatwierdzać, popierać, wiązać się we frakcje, mieć uroczyste pogrzeby, wizyty, konta w Szwajcarii, dzieci w Ameryce, pornograficzne filmy, zagraniczne kurwy i nieustające bankiety z niewyczerpanym zapasem żarcia i trunków - nie warto? (1984)



Ostatnio generał podpisał z radzieckimi braćmi dalszy sojusz we wszystkich dziedzinach do roku 2000-ego. To głupota. Podpisywał przecież nie w ciemno, lecz w oparciu o odwieczną i ciągle jeszcze pogłębiającą się braterską przyjaźń, której nikt i nigdy nie zdoła podważyć.

Hitler, który praktycznie nie miał tak braterskich i odwiecznych przyjaźni planował swoją Rzeszę na 1000 lat. Sam z siebie. To dlaczego nie moglibyśmy podpisać chociaż do roku 3000-ego? Zresztą, po co tak drobić? Podpisać chociaż na 5 tysięcy lat albo lepiej na 50 tysięcy. Nie, jeszcze inaczej. Wszystkiego, co prawda, nie da się przewidzieć, ale bez ryzyka można by podpisać do najbliższej ery lodowcowej, a później można by przedłużyć. (1984)



Jakże szybko wszystko się zmienia. Stare struktury rozpadają się w pył. Nomenklatury zyskują nowe znaczenia. Ot, np. „prokurator” to już nie dawny oskarżyciel ścigający w imieniu prawa przestępców. Dzisiaj to znaczy: obrońca niesłusznie posądzonych, adwokat oskarżonych walczący o ich uniewinnienie i rehabilitację.

Przynajmniej jeżeli chodzi o funkcjonariuszy MO. (1984)



Pan w radio powiedział, że państwa kapitalistyczne utrudniają nam dostęp do najnowocześniejszych technologii. To skurwysyny! Oto są gdzieś sobie b. fajne, przez nikogo nie wymyślane, najnowocześniejsze od matki natury dane, jak ropa czy węgiel, technologie, leży tego cała kupa, wręcz góra olbrzymia, absolutnie niczyja, chciałby sobie szczerzy Mongoł przystąpić do tego, pogrzebać jak dziecko, zobaczyć to to, popróbować, a może się przyda do czegoś, może by tym pod kuchnią napalić, może zjeść które, jak miękkie, różnie, ale nie. Kraje kapitalistyczne same sobie czerpią, a innym dostępu nie dają.

No to i co może biedny Mongoł?

Bez najnowocześniejszych technologii jest bezsilny.

Dzieciaki głodne, żona zła, bo lebioda przez suszę całkiem wyschła, ubrać się też nie ma w co, bo i koza z braku technologii na sznurek uciekła - to skąd im Mongoł weźmie?

Siedzi głodny w zimnej jurcie i słusznie razem z panem redaktorem nienawidzi tych kapitalistów. Ech, wojnę by jakąś! Zawsze się człowiek jakoś wyżywi, a las poszczęści to i zegarek przyniesie.

Po co ja tego radia słucham? Np. Chuj jeden to dzisiaj opowiadał różne głupoty na temat porozumień jałtańskich. No i dobrze. Nie warto powtarzać. Ale ciekawie zakończył. Powiedział: „... przynajmniej tak uważamy my Polacy”. Skąd Kutas to wie, niewiedomo, ale jeżeli mówił przez radio, musi prawda. A mnie głupio, że wszyscy Polacy tak, a ja Polak nie. A może ja nie Polak? Nie, Polak niby.

Chodziłem cały dzień jak struty, wszystko mi z rąk leciało, ale pod wieczór przeanalizowałem jeszcze raz. I albo ja całkiem głupi, albo pan Prącie powinien zakończyć tak: ..takie jest moje głębokie przekonanie, które jak mniemam podziela większość Polaków...

Tak, panie Ch! To znaczy i tak by panu nikt nie uwierzył, bo jakie pan może mieć własne poglądy, ale miałby pan jakąś gębę. A tak, co? To już lepiej było powiedzieć: podzieliłem się z państwem poglądami, jakie w myśl pobożnych życzeń bardzo szeroko pojętej władzy, powinni mieć wszyscy obywatele PRL. Jednocześnie serdecznie proszę, abyście państwo, co przyjdzie wam bez trudu, nadal zachowali własny zdrowy rozsądek, bo inaczej z czego ja będę żył? Następnym moim wypocin proszę nie słuchać w przyszły wtorek o zwykłej porze... Co by nie mówić, to mnie się pisze niezwykle ciężko, ale muszę, bo ja w ogóle niczego nie umiem.

Obejrzałem w TV polski film „Michał”. Reżyser z operatorem uchwycili akurat moment w 1944, gdy chłopom dawano, czy też chłopci sobie sami brali, obszarniczą ziemię. Ta różnica w ocenie chłopskich czynności, to znaczy czy powinni biernie brać, czy czynnie zabierać, była istotą sporu w łonie nowej ludowej władzy. Film zostawiał tę kwestię otwartą do przemyślenia. Dla ułatwienia jednak scenarzysta wprowadził rolę zupełnie wspaniałego oficera WP Ludzki, mądrego, dobrego, doświadczonego ten człowiek, rozumiejący innych ludzi, z ich kompleksami, słabostkami, od pokoleń narastającymi bólami i pragnieniami, prawdziwy humanista, rozumiejący i szanujący sprawę ideologiczną.

On takich uprzemysłowień, parcelacji, przejmowania władzy przez lud, no, w ogóle rozmaitych rewolucji miał już za sobą kilkanaście, nic więc dziwnego, że przy tak jasnej świadomości wszystko przychodziło mu niezwykle łatwo. Posługiwał się przy

tym niezwykle jasnym, choć prostym językiem, lapidarnie ujmując istotę istoty w okresie kręcenia filmu w r. 82.

Sumując: oficer wyposażony został w komplet zachowań, przemyśleń i dialogów, jakimi powinien posługiwać się w r. 1944.

Jest to bardzo charakterystyczne i dotyczące wielu pojęć i faktów. Są np. bitwy kiedyś przypadkowo wygrane, które dzisiaj święcą zwycięstwo dzięki genialnej strategii radzieckich generałów. Są sztuki teatralne, które mówią o tym, jakie Niemcy powinni mieć myślenie w czasie wojny w ogóle, a na temat wyzwania ich przez Armię Czerwoną w szczególności a nie nowych granic, co robiłby wywiad radziecki, gdyby mógł to robić, jaki powinien być duch w odrodzonym Wojsku Polskim, co powinien głosić i klasowo rozumieć prosty chłop ukraiński, jakie powinien tworzyć struktury i jakich dokonywać czynów w Polsce robotniczo-ludowy Ruch Oporu, gdyby istniał w tamtych latach, a nawet, jakie nazwiska powinni nosić bohaterowie tych akcji.

Muszę chyba też dorobić sobie wstecz jakąś ideologię, bo coś mi brakuje motywacji ostatnio... (1984)



Czy Ty przechodzisz obojętnie koło budzącej się inicjatywy? (1984)



W. Jaruzelski (27.7.84)

„... będziemy przygarniać (lub tp.) tych wszystkich, dla których dobro socjalistycznej ojczyzny jest dobrem najwyższym...”

I po co tak pierdolić, panie generale? Nie tylko nikt się nie nabierze na taką frazeologię, ale jeszcze pomyśli - ten generał, musi, głupi jest. Jak takie coś mówi w jednym zdaniu, to w innym też lipa znaczy. Napisze panu jakiś pismak takie przemówienie i pan czyta te głupoty. Jakim najwyższym dobrem? Ani dla mnie, ani dla pana żadne dobro, żadnej, nie tylko socjalistycznej, ojczyzny, nie jest dobrem najwyższym.

Niech pan patrzy - jedzenia mało, artykułów przemysłowych mało, szkół, przedszkoli, szpitali i czego pan chce mało - to dla najwyższego dobra ojczyzny trzeba by odstrzelić kilka milionów

dzieci, nie? No, niby tak, ale czuję, że ani pan swoich nie zastrzeli, ani pańscy kumple swoich, powiem panu, że ja swoich także - no to gdzie tu najwyższe dobro? Nie trzeba tak pleść bez pokrycia. A to, że kilkudziesięciu wymóżdżanych tzw. posłów w tzw. Sejmie biją panu brawo, to nic nie znaczy. Niech pan zwróci uwagę, że biją brawo również, gdy pan wznosi krzyk; „Niech żyje odwieczna, braterska przyjaźń ze Związkiem Radzieckim!”



Listopad 84

Od paru lat idą na szczerłość. Odżegnując się od poprzednich ekip, ukazują nam zaniedbania z ubiegłych lat („zaniedbania” - to ich określenie). Nawet z tych ułamkowych informacji, które ujrzały dzienne światło, wieje grozą. Widać bezmiar nędzy, głupoty, upadku w każdej dziedzinie. Nie ma obszaru gospodarki czy kultury, gdzie nie sterczałyby kikuty zaprzyszłych planów, idei, konstrukcji. Wszystko połamane, oblane gównem, porośnięte chorym mchem z wetkniętymi weń świeżymi transparentami. Rozpacz.

I od 40 lat to samo. Zawsze na bieżąco jest jedynie słuszna i zawsze wstecz były bądź to błędy, bądź wypaczenia, bądź dewiacje. No i zawsze zamierzamy bezwzględnie rozprawić się z niedaleką przeszłością i ludźmi tamtej niesławnej epoki. Jednak przeszłość niedaleka robi się daleka, nie warto się tym zajmować, tamtym ludziom zapewniamy luksusową egzystencję, i znów jest jedynie słusznie. A przy pogrzebach zaś tamci zbrodniarze okazują się znowu bezkompromisowymi bojownikami o lepsze jutro, klasy robotniczej socjalistycznej ojczyzny, co zapewnia jednocześnie całkowitą bezkarność na przyszłość również bieżącej ekipie, gdy przyjdzie im ustąpić. Bo taka jest umowa, że każdy z ferajny ma prawo w swoim czasie dorwać się do żłobu, nachapać według gustu, dóbr i satysfakcji i ustąpić kolejki.

A my, barany, pieprzeni Europejczycy i humaniści, piszemy misternie wywarzone w słowach, pełne godności petycje. Dobra. Trzeba to będzie zaszczerpić naszym dzieciom, żeby też sobie z czasem mogły popisać. O ile będzie jeszcze wtedy papier.

marzec 85

Istnieje straszliwy rozdział między teorią a rzeczywistością. Mówiąc inaczej, wszystko, co głosi ideologia humanistyczna, nie ma pokrycia w praktyce. I to jest truizm, oczywiście. I wszyscy to wiedzą. Ciekawe jednak, że nie potrafimy - może tylko ja nie potrafimy - wykorzystać tej wiedzy w codziennym życiu. To znaczy to jest tak, jakby istniały równoległe, lecz niezależne od siebie dwa nieprzystawalne w ogóle do siebie światy.

Czasami widząc jakiś kolejny, paranoiczny fakt, jakieś kolejne absolutnie chore zjawisko, jakiś kolejny idiotyczny paragraf, uchwałę, zarządzenie, coś co po raz kolejny niweczy wszystko co normalne, ludzkie, prawdziwe, co nie pozwala ludziom na jakąkolwiek unormowaną egzystencję, co jeszcze intensywniej pozbawia ich pieniędzy, czasu, oświaty, wszystkiego - przychodzi mi do głowy myśl: jak ta władza w ogóle śmie głosić swoje ideologie. Jak to w ogóle jest możliwe, żeby być tak całkowicie wyzutym ze wszelkiego wstydu. Jak miedziane musi być ich czoło, na które miliony ludzi pluje od dziesięcioleci? Jak możemy ich w ogóle poważnie traktować?

I wtedy czuję ogromną pogardę dla tych zbrodniczych troglodytów, widzę z fotograficzną ostrością ich podłość, głupotę, egoizm i zwyrodnienie. I gdybym w tym momencie zetknął się z jakimś sekretarzem, członkiem, pronkiem, premierkiem, to nawet nie chciałoby mi się na niego splunąć. Widzę siebie wtedy na jakimś wymyślanym, cholernie ważnym dla przyszłości ludzkości zebraniu, gdy w odpowiedzi na ich referaty rzucam im miażdżące argumenty, fakty, poglądy, które obdzierają ich z całego blichtru, ukazując ich rzeczywistością bezwartościowość. Jednym słowem sprowadzam ich do realnego wymiaru podłych, głupich, samolubnych osobników, którymi w ogóle nie należy zwracać sobie głowy. Ot, posłać ich do jakiejś prostej fizycznej pracy, dać odpowiednie do ich braku kwalifikacji, pensje i powoli reedukować.

Niestety, podlegając od 40 lat ich propagandzie, nie wiedząc kiedy przyjmuję narzucone zasady gry i uczestniczę na serio w tej farsie.



koniec kwietnia 85

Wiosna. Cała Warszawa zrobiła się niebieska. To od koloru mundurów naszych chłopców. Dopiero, gdy w sposób tak

zmasowany cieszą oko, widać, ilu ich mamy. Na skrzyżowaniach, w bramach, w zaułkach, na chodnikach niebiesko, niebiesko, niebiesko. Wśród nich świecą jak gwiazdy cywilni agenci, którzy pojedynczo, oderwawszy się na chwilę od swoich posterunków, przyszli uzgodnić wspólne zadania. Za chwilę wrócą przed sklepy, na przystanki, na chodniki, przed kina, pod kościoły, na parkingi i tam wszędzie, gdzie to jest niezbędne, aby grać od nowa swoje role turystów, kierowców, przechodniów, widzów, kalek, katolików, kobiet, studentów, co tam komu bliższe, co sobie wymyślił, co mu lepiej wychodzi. Gdyby nie wyraz twarzy, byłiby nie rozpoznawalni prawie. A czemu to tak tłumnie zebrały się chłopaki? Ano temu, że Wszyscy Święci zjechali się, aby dać odpór Reaganowi i przedłużyć Układ Warszawski. Kogóż tu nie ma! Jest i Główny Ruski, i Bułgar mędrzec, i Czech, Węgier, Rumun. No i Niemiec Wschodni, któremu zdawało się kiedyś, że należy do narodu panów, aż teraz znalazł dopiero właściwą posadę na dworze prawdziwych iibermenschów. A osób towarzyszących, a pomniejszych myślicieli, zatrzesienie. Oj, niechętnie tu jechali, oj, strach jechać do tej Warszawy, oj, lepiej było zjechać się w innym, wierniejszym kraju, ale układ z nazwy warszawski, więc też w Warszawie wypada przedłużyć. Żeby to jeszcze z pancerki do pałacu i z powrotem, ale nie. I do nieznanego żołnierza trzeba, i do radzieckich żołnierzy, i do Nike, a to wszystko na otwartej przestrzeni. Skóra cierpnie.



Ogromnie obyczajają się zmieniają. Pomnę, dawniej ma przyjechać Główny Ruski, to na miesiąc wcześniej, ba, na kwartał, wielkie halo. Trąby, trybuny, transparenty, prasa, radio, TV pełne krzyku o przyjaźni, posłannictwie, braterstwie. I zobowiązania produkcyjne na cześć, i wywiady z docentami, i światowe echa zapowiedzianej wizyty, i zacieśnienie przyjaźni. A w dniu przyjazdu szpalery od lotniska, dziatwa szkolna, chorągiewki, transparenty, okrzyki przerywanie przez młodzież w ustalonych z telewizją miejscach, kordony, by zatrzymać spontanicznie limuzynę Mesjasza. Robotnicze delegacje. Święto, święto, święto. A dziś? Pełna tajemnica przed narodem. Nawet nie podano daty. Dlaczego? I dlaczego tylu niebieskich? I dlaczego niebiescy gorączkowo wywożą dźwigami wszystkie samochody na trasie i w promieniu kilkuset metrów od

niej? I dlaczego ta cała heca? Otóż jak w każdej dziedzinie, tak i w zacieśnianiu przyjaźni, obowiązują pewne zasady. Zacieśnianie rozłożone jest na całe lata i nie można dopuścić do tego, aby masy zacieśniły ją spontanicznie i od razu do końca. A co do usuniętych z trasy wszystkich samochodów sprawa też jest prosta. Chodzi o to, żeby nie uległy one ogólnemu wybuchowi radości.



112

Ale niech no już tylko podpiszą i bezpiecznie wyjadą. Oj, zacznie się heca wsteczna. A jazgotu, a krzyku, a szczekania będzie na miesiące.



O tych chłopkach, pachółkach, nieukach mówią „dostojni goście”. To wspaniałe. Żadnemu nie śniło się nawet, że kiedyś będzie choćby podrzędnym urzędnikiem, bo za wysoko dla niego, a tu proszę. „Dostojny gość”. Dla samego takiego tytułu warto zaprzedać ojczyznę.



Potężny feudał uczynił nieziemski zaszczyt jednemu z wasali i odwiedził lenno. Toteż wasal szczęśliwy niepomiernie i dumny głęboko, bo ciut jakby lepszy od innych wasali. Więc może łąsić się, wychwalać, przymilać, pokazywać brzuszek, krygować, wylizywać pański odbył, odszczekując się odważnie przy okazji Ameryce, bo Pan dobry, to obroni.



Pokazali w TV fragmenty show z podpisania Układu Warszawskiego. Oni nie mają nic luzu, nic elastyczności, nic tolerancji, nic dobrej woli. Zaczepni, oskarżycielscy, uparci, tępi, bezwzględni - nieustępliwie dążą do konfliktu.

Wyszło na jaw, że nie tych siedmiu, tylko że to całe narody miłujące pokój zawarły układ, że Układ Warszawski jest niezawodna tarczą i osłoną twórczej, pokojowej pracy. Jak również, że określone siły na Zachodzie myślą się głęboko, jeżeli sądzą. Oraz, że trzeźwo myślący politycy zachodni w pełni.

Jest to układ bez precedensu - powiedział sam Wielki Gorbaczow. Układ o pełnej równości uczestników - zażartował na końcu.



Sytuacja jest trudna. Dla mnie najmniej, ale dla czytelników, a zwłaszcza dla adeptów sztuki estradowej bardzo.

Zobligowano mnie w trybie kategorycznym do napisania wspomnień, ze względu na potomność. Okazało się bowiem, że istnieje bolesna luka i potomność nie dałaby sobie rady bez jej wypełnienia. Trudno. Gorzej, że nie da się uniknąć wymieniania przy tej okazji wielu nic nie znaczących nazwisk. Wybaczcie mi młodzi, że przy egzaminach nestorzy będą domagać się od was nieistotnych szczegółów, które ja nieopatrznie tutaj wspominam. Nestor ma to do siebie, że wymaga drobiazgowej wiedzy na temat jego epoki i jest oburzony, że można np. nie znać nazwiska obcej, obojętnej i niewiążącej się nam z niczym osoby, którą nestor jako chłopiec raz widział w rewiowym teatrzyku 75 lat temu i zapamiętał, bo była ubrana na przeźroczyście. Nie napisałbym ja, to by wygłupił się ktoś inny. Widocznie taka jest kolej rzeczy. Sam to brałem w młodości, a później, już jako nestor i członek tysięcznych Komisji Egzaminacyjnych, byłem świadkiem męki innych. Każdy nestor bowiem miał niepowtarzalną, cudowną młodość, znacznie lepszą od bieżącej, więc wspomnienia o niej koniecznie umieszcza w spisie obowiązujących lektur, żeby młodzi mogli mieć jakieś ideały. Nie ma rady. (1985)



Gdzieś na ulicy wielki napis „40 lat wyzwolenia Szczecina”. Od czego? Już lepiej brzmiałoby „odzyskanego”... jednak najprawdopodobniej „Szczecin w 40 lat po zdobyciu”.

On, ten Szczecin, nie chciał być wyzwolony. Nikt się w środku Szczecina nie cieszył, nikt nie pragnął, nie oczekiwał wyzwolenia. Ale są to właśnie te idiotyzmy i niezręczności propagandy. Niezręczności? Kałmuk sądzi, że to utrwali i pozyska. Chociaż może i nie mam racji? W końcu np. w naszym kraju z faktu, że Wilno, Lwów, Kowno, Wołyń, całe wschodnie rubieże Rzeczypospolitej znowu objęła Rosja, radość jest powszechna. (1985)

W ramach „P.M. Wspomnień” ~~cho~~
pragnę rozbić się z pewnym facetem.
To jest rekonstrukcja; rekonstrukcja -
bo w życiu ~~nie~~ z nim, na co dzień,
jedenem kłótni. Wtedy jednostkowe
interakcje, wyrażenia, słowa, miśki
jakieś ~~nie~~ moje. Yenne chciało się
poznać. By to bezpośrednie, czy
miał nutkę, kłótnię, kłótnię. Jak
nie było, że to forma kłótni
jest zabawiana, ale ~~nie~~ ^o ~~nie~~
- wiele ^{tak} ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~
wiedomości ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~
- wiecie nie ~~nie~~, poranie ~~nie~~ ~~nie~~
bezdolności, jakieś moje ~~nie~~ ~~nie~~
gdy woli się na niego ~~nie~~ ~~nie~~
ze to jakieś ~~nie~~, ~~nie~~ ~~nie~~
forma rekonstrukcji.

„...nie sposób wprost wyliczyć wszystkich smakowitości, jakie tu powstają... „ - mówi pan redaktor z TV o jakimś tam zakładzie „przemysłu spożywczego” - „... a więc zapraszamy do degustacji, w ramach międzywojewódzkiego konkursu, który...” itd. Jak pięknie, jak wesoło wdzięczący się z off-u p. redaktor... Sam opracował program, sam wymyślił tekst i intonację. Och, jak wesoło, jak normalnie, syto, po ludzku jest w naszej Ojczyźnie. Po wyrzyganiu, zastanowiłem się przez chwilę: Czy to redaktor jest idiota, czy też tylko realizuje narzucony mu program ogólny? Źle. To ja jestem idiota. Przecież to się nie wyklucza, lecz łączy. (1985)



Oskarża się co pewien czas inteligencję polską o to, że w poprzednim okresie nie zapobiegła kolejnym idiotyzmom. Dotyczy to zawsze poprzedników. I zawsze tylko wstecz. Natomiast nigdy na bieżąco. Ponieważ na bieżąco nie wolno zapobiegać idiotyzmom.

Mieliśmy np. okres intensywnej industrializacji. Nie chodziło tylko o przemysł. Chodziło również o wyniszczenie wsi. Zlikwidowanie indywidualnego chłopstwa. Sprawa najwyższej wagi państwowej! Gdzie tu miejsce na zdrowy rozsądek. Kto ośmieliłby się protestować? A jednak byli tacy. Lżeni, prześladowani, piętnowani... Plon tego na dziś - opustoszałe, zabiedzone wsie, marniejące rolne ośrodki państwowe - oto plon tamtych, jedynie słusznych decyzji.

Za 5 lat kolejny Ojciec Narodu wraz ze zmienionym Biurem Politycznym i zupełnie nowym parlamentem, pracującym na nowych, wreszcie słusznych zasadach, będzie łamał ręce, odcinał się, od nowa wymyślał mydło i oskarżał wstecz inteligencję o stanie z założonymi rękami, o wewnętrznej emigracji, brak patriotyzmu i zradę narodową.

Usłużne pismaki znajdą mu jakieś nie ograne dotychczas słowo. Słowo odkrywcze, słowo talizman, słowo zakłęcie. Uwieszą się tego słowa, uwierzą, że jest wybawieniem. Zaczną nim wycierać usta. Najpierw sam Ojciec Narodu, pierwszy, jedyny, wybrany, użyje tego słowa, ożywi je, tchnie w nie duszę, znobilituje je swoją wielkością, nada właściwy sens, określi, stworzy. Po nim podgłówni, łokietni, drażkowi. I przeleje się przez kraj potężna, kolejna fala deklinacji - kolejnego nowo-mowo-ratunku, aż znowu zamrze, aż zetleje ono na ustach najmądrzejszego z sekretarzy.

Więc proszę mnie do tego nie mieszać. (1985)

Słynna sprawa dzieci z Wrześni. Były maltretowane i prześladowane przez Prusaka, bo nie chciały mówić pacierza w szkole po niemiecku.

Ostatnio w Wierzchowicach chciały dzieci mówić pacierz po polsku, więc są prześladowane a księża mają proces. (1985)



Na łąkach koło leśniczówki Pranie spotykałem starego pastucha pasącego od świtu wiejskie krowy. Szukając w tej okolicy coraz rzadszych w polskich lasach rydzów, przysiadawałem często przy nim na pogawędkę. Imponował mi poczuciem czasu. Nie miał zegarka, lecz bezbłędnie odgadywał godzinę. Wielokrotnie sprawdzałem go w tej mierze. Na pytanie, która też może być teraz godzina, rozglądał się po świecie, patrzył na krowy, na las, na niebo, by po chwili podać godzinę z dokładnością do 5 minut. W dni bezsłoneczne i dżdżyste również. Dziesiątki lat doświadczeń złożyły się na jego instynktowną i bezbłędną umiejętność oceny.

Tak się dzieje w wielu dziedzinach, a mądrość ludowa jest tu niezastąpiona.

Wydaje mi się, że nie trzeba mieć szczegółowych danych, wykresów, statystyk, sprawozdań, globalnych wyników, szczegółowej wiedzy, aby praktycznie w każdej sytuacji móc prawidłowo określić, czy to z czym się w danej chwili spotykamy to socjalizm, czy też to coś wymknęło jeszcze się na razie jedynie słusznej linii. 40 lat doświadczeń dało nam instynkt samozachowawczy.

I nie pomogą tu żadne uroczystości, przemówienia, manifestacje, deklaracje, oświadczenia, kwiaty, delegacje, sprawozdania i wykresy. Nie zmylą żadne pozory. Nie pomogą udokumentowane fakty, pozytywne fakty. Zapachu socjalizmu nie da się nią zabić. Przeniknie przez najgrubsza folię, przebiję przez najpiękniejsze opakowanie... Pokona każdy dezodorant.

Zresztą i opakowań już brakuje, i dezodoranty już dziś nie te, bo same cuchną, a uczulenie na socjalizm jest już dzisiaj powszechne.

To są właśnie te dokonania, o których lubi sobie mówić gen. Jaruzelski. I chociaż nie wie, co mówi, rację ma, gdy wykrzykuje, że koła historii nie da się cofnąć. Oj, nie da, generale. (1985)

Zadanie: zwracać słowom ich sens, dać ludziom ludzki język, przywrócić mu życie. Nowomowa zaś istnieje po to, aby ujednoczyć społeczeństwo. Dlatego zabrano, przywłaszczono środki komunikacji międzyludzkiej - język i masowe środki przekazu. (1985)



Centrum miasta Kalisza. Wrzesień. Rok 1985. Zwarty tłum około sześciuset osób. Kobiety, mężczyźni, matki z wózkami, emeryci. Zgiełk. Podniesione głosy. Awantura? Wypadek? Nie! Wielcy tego kraju w swej niezmierzonej dobroci rzucili właśnie na rynek kilkaset rolek toaletowych, dla dobra ludzi pracy. Polacy przypuścili szturm na sklep papierniczy. Łącząc się wzajemnie i tratując, uczestniczą w jednej z niezliczonych potyczek Wielkiej 40-letniej Wojny O Papier Toaletowy.



Fakt, dawniej wybory były nie w pełni demokratyczne. To znaczy też bardzo demokratyczne naturalnie, ale dopiero obecnie (X 85) są nadzwyczajnie demokratyczne. Nareszcie.

W tej chwili należy tylko z dwóch wspaniałych, narzuconych przez władzę, wybrać po konsultacjach jednego wspaniałego na posła i na niego głosować, a wtedy przejdzie i tak pierwszy z listy i to bez względu na to, czy weźmiemy udział w głosowaniu, czy nie. 40 lat męczyliśmy się bezsensownie, a teraz proszę, jakie proste.

Będzie i cement od razu, i farba do pomalowania szkoły, i sprzęt, i żyto, i wszystko. Żarcie będzie. A dlaczego? Bo nareszcie będzie porozumienie narodowe. My społeczeństwo, wybieramy spośród siebie najlepszych i instruujemy ich, co mają robić. I oni będą robić. Do załatwienia zostaną drobiazgi tylko. Odbudować kulturę, oświatę, naukę, zmienić strukturę gospodarczą, wprowadzić rzetelną ekonomię, wyprodukować towary, zapłacić uczciwie za wykonywaną pracę, zwalczyć alkoholizm, zmienić aparat administracyjny, ograniczyć samowolę partii, wprowadzić demokrację, ochronę praw człowieka, wolność myśli oraz przebudować moralność. Trzy - cztery pokolenia powinny na to wystarczyć.

A jakie zmiany personalne. Dawniej jakby narzucano nam takich posłów, jak Barcikowski, Gucwa, Jabłoński i trzystu innych Kiszczaków, a dziś proszę - mogę dowolnie wybierać, bylebym wybrał Barcikowskiego, Gucwę, Jabłońskiego i trzystu innych Kiszczaków oraz paru ogłupiałych kandydatków z terenu, np. wykrawacza mięsa z Zakładów Mięsnych w Kaliszu lub tępego chłopca ze wsi. Potęga ich umysłów pozwoli nam z nadzieją patrzeć w przyszłość. (1985)

To zdumiewające. Ciągłe jeszcze mogę bezkarnie jeździć dowolnie po całym kraju, przekraczać granice województw, zatrzymywać się w dowolnych miejscach. Bez specjalnej bumażki, bez rewizji, mogę nocą podróżować autem po wszystkich drogach. To, co powyżej napisałem, brzmi być może ironicznie, ale nie przyświecał mi taki zamiar. Polaku 85, spójrz na to bez ironii, uprzytomnij sobie fakt tej wolności. Dla Belga będzie to niezrozumiałe, ale my, żyjąc od 46 lat w stanie permanentnego zagrożenia kolejno od Niemca, Ruska i rodzimego opryszka, potrafimy to właściwie ocenić. A to, że potrafimy i rozumiemy jest dopiero tragiczne.

Proporcjonalnie, w stosunku do ilości mieszkańców, ponieśliśmy w czasie wojny największe straty biologiczne. Natomiast straty intelektualne i moralne, dzięki Hitlerowi. A przede wszystkim Związkowi Radzieckiemu ponieśliśmy największe, w skali bezwzględnej. (1985)

Przyjął się u nas zwyczaj, że o tym, co było dawno, nie wypada już dzisiaj mówić. Źle było kiedyś, ale i teraz też jest źle, ale nie wypada się powtarzać, bo to było dawno (ciepła woda np.) lub np. pan Groński, który uznał że „język i głupota” dygnitarzy to było dawno (więc słusznie na mnie napadł i pouczył - właściwie pauczył parę złotych).

Stąd zasada.

Trzeba idiotyzmy robić długo. (Jeżeli robić idiotyzmy, to długo i po 40 latach będzie się klasykiem). (1985/86)

Kwiecień 86

„Drogi pamiętniczku” - zwracały się niegdysiejsze panny z dobrych domów do swoich sekretnych dzienniczków, którym powierzały swoje niewinne tajemnice. Czytane po latach budzą wzruszenie tą swoją niewinnością oraz bezradnością wobec świata i jego brutalnych praw, których panny zaledwie się domyślały. Otóż sądzę, że bez większego błędu mogę i ja zwrócić się do tych moich zapisków per „drogi pamiętniczku”, zważywszy, że sam również byłem kiedyś panienką z dobrego domu. Dziś też się nią czuję nadal, chociaż nieco innej płci i grubo starszy. Moja zaś niezmienna naiwność polityczna i bezradność myślowa znacznie przewyższa nawet infantylność tamtych panien. Tylko niezmiernie rzadko i to w sposób zaledwie fragmentaryczny odslania mi się na chwileczkę ogrom naszej tragedii narodowej, niewolnictwa i poddaństwa, przy jednoczesnym doduszaniu ostatnich już tchnień narodowego ducha. W tym świetle moje zapiski są tak naiwne i powierzchowne, że, mimo obietnicy robienia ich w sposób mniej więcej ciągły, budzą tak dalece moją niechęć, że coraz częściej nie zaglądam do nich tygodniami. Przepraszam Cię za to Drogi Pamiętniczku tym bardziej, że tym razem upłynęło nawet parę miesięcy. Postaram się to może naprawić. Trudno. Nie mogąc ani filozoficznie, ani politycznie ogarnąć całości, postaram zmusić się chociaż do odnotowywania niejako zewnętrznych, powierzchownych stron niektórych zjawisk i wynaturzeń. Daj Boże, dopełni to może w jakimś mikroskopijnym ułamku obrazu rzeczywistości, który ktoś, kiedyś przedstawi w poważnym opracowaniu historycznym. Ale zdaje się, że teraz przemawia już przeze mnie megalomania, a więc ad rem. Otóż na przykład sprawa propagandy. Jeżeli w jakiejś dziedzinie nie następuje poprawa, jeżeli stan rzeczywisty nie odpowiada założeniom, a nawet występuje stały regres, należy temu gwałtownie zapobiec. Nie w czynach, bo to niewykonalne. W mówieniu. Jeżeli zaś rzecz dotyczy pryncypiów i doktryny, to jest to już sprawa święta i dopuszcza wszelkie chwytły. Weźmy np. taką miłość do Związku Radzieckiego. Od początku, już z samego założenia wiadomo było, że nasze narody łączą odwieczna przyjaźń, scementowana dodatkowo wspólnie przelaną naszą krwią („naszą” ja dodałem, bo w oficjalnych komunikatach ten zaimek dzierzawczy jakoś się omija).

No, więc dobrze, już nas łączy ta przyjaźń, ale, choć odwieczna, ile lat to samo można powtarzać? Należy ją wzbogacić o nowe elementy uczucia. Słusznie. Do „przyjaźni” dodajemy „braterska”. Brzmi

pięknie: „braterska przyjaźń”. Przyjaciół z przyjacielem to bardzo dużo, ale brat z bratem? To już więzy rodzinne, to miłość. Wystarczy na parę lat. Z tym, że nasze społeczeństwo - bardzo skromne w okazywaniu uczuć - nie zaspokaja w pełni potrzeb wylewnego Związku Radzieckiego, spragnionego miłości prawdziwej.

Nasz uczuciowy partner jest niesłyszanie wymagający i, jak to często zdarza się w miłosnych perypetiach, może się nagle obrazić. Przez miłosne nieporozumienie rzecz jasna, ale zatraca to jednak o byt Biura Politycznego i wszystko do dół. Więc trudno. Wyznało się raz miłość, trzeba nasilać okazywanie uczucia. Prezenty? Oczywiście, coraz liczniejsze, coraz bogatsze, to się rozumie samo przez się, amator radziecki jest b. wymagający, ale gdzie deklaracje, gdzie oficjalne komunikaty? Więc nasila się eskalacja wyznań.

Już nie braterska przyjaźń, ale więzy braterskiej przyjaźni. Za mało samych więzów? Proszę - nierozzerwalne więzy braterskiej przyjaźni. Chciałby może wróg spróbować rozerwać te więzy? A wała! Nie tylko są nierozzerwalne, ale my je jeszcze zacieśniamy. No, i niech teraz spróbuje. Kto podoła naruszyć i głębokie, i nierozzerwalne, i więzy, i zaciśnięte, i braterskie i odwieczne, a?

Przyjechał ostatni do nas nowy minister spraw zagranicznych ZSRR. Tak wpadł po sąsiedzku pogadać. Nawet ma jakieś kirgiskie nazwisko, ale trudne i nie pamiętam. Otóż ten jest wyjątkowo kochliwy. Przeszedł wszystkich poprzedników. Na pytanie naszego żurnalisty, co sądzi o przyjaźni polsko-radzieckiej odpowiedział, że nie potrafi tego inaczej wyrazić tylko jako po prostu „Sojusz Serc” (sic!). I nic, kutasowi, nie przeszkadza, że trzydzieści parę milionów mieszkańców naszej Ojczyzny darzy ich serdeczną nienawiścią. Miłość jest ślepa.

Niezależnie od deklaracji słownych, uczucia należy też uzewnętrzniać w gestach. Od dawna już wprowadzano zwyczaj całowania się mężczyzn przy stopniach samolotu. Ma to oznaczać, że towarzysze tak tęsknili do siebie, tak byli spragnieni osobistego kontaktu, tak głębokie i żarliwe łączy ich uczucie oparte o wspólną ideologię i wiarę, że teraz wyrywają się do siebie, podbiegają, ściskają się i całują z każdą wizytą mocniej. Proszę, niech świat widzi, podziwia, zazdrości. Początkowo obejmowali się „na niedźwiedzia” i całowali w policzki, ale to mało, nie oddawało pełni uczucia. Ktoś pierwszy odważył się na pocałunek w usta. Jeszcze nieśmiało, skromnie, przy zamkniętych wargach. Ktoś później oddał już pocałunek.

Chwyciło. Obecnie całują się już w otwarte, mokre usta, cudownie, pederastycznie, i nikogo to już nie dziwi.

(Nie miejsce na to tutaj, ale zjawisko warte jest w przyszłości większej rozprawki. Kto całował, z jakiej pozycji, czy z biernej, czy aktywnej, kto jaki miał oddech, kto pierwszy wprowadził język w usta partnera itp. Podobno np. Wilhelm Pieck był w dziedzinie pocałunków niezrównany. Aktywny, ale uległy. Ciepła, dość smaczna ślina i bardzo wścibski języczek. Cudownie znał swoje miejsce, instynktownie wyczuwał hierarchie wśród braterskich braci i całował lub przyjmował pocałunki według rangi. Podobno Chruszczow za nim przepadał i tworzyli razem niepowtarzalną parę. Nie znam szczegółów. Specjalistą w tej dziedzinie jest jeden z moich przyjaciół, za którym powtarzam tylko tych parę obserwacji).

Wracając do „Sojuszu Serc”, jest sprawą oczywistą, że za tym odważnym i odkrywczym sformułowaniem muszą pójść równie odważne czyny. Sądzę, że niedaleki jest już czas, gdy na płycie lotniska któryś bratni towarzysz, objawwszy drugiego bratniego towarzysza lewą ręką otoczy mu mocno szyję, wpije mu się w usta, a prawą chwyci za jaja i przygarnie do siebie. Gdy ten precedens stanie się powszechnym zwyczajem, z czasem należało będzie wykazać się erekcją, a stąd już krok tylko do rozpięcia rozporka. Myślę, że jeszcze za mojego życia doczekamy się bratnich, homoseksualnych stosunków przy schodach samolotu. Z czasem, jak przypuszczam, telewizja wyspecjalizuje się nawet w oczekiwanych zbliżeniach detali. Nie chcę wybiegać zbyt daleko wyobraźnią w przód, ale życie nie znosi pustki, gdy więc znudzą się same stosunki, trzeba będzie wprowadzić wśród towarzyszy całe gry miłosne, stosunki oralne, wymyślne figury partyjne, kto wie, może i jakieś wspólne braterskie i nierozzerwalne dzieci się posypią? Zobaczymy.



W ciągu 40 lat w Socjalizmie zdążyłem się już sporo różnych rzeczy nauczyć. Np. jeżeli chodzi o partyjne Zjazdy w Związku Radzieckim, u nas i w KDL-ach. Nie żebym zdołał opanować numerację oczywiście, bo to jest zbyt trudne dla mnie i można w dodatku łatwo popełnić gafę, ale ogólnie jestem niezłe zorientowany. Znawcy przedmiotu doskonale odróżniają XIII-y od XXV-ego, IV-ty od XVII-ego, cokolwiek by to miało oznaczać i wystarczy rzucić im hasłowo

numer - oni już wszystko już wiedzą. Albo spojrzą na towarzysza i bez słów orientują się spod jakiego jest numeru. Ja oczywiście nie, wszystkie wydają mi się identyczne, ale na moje bezpartyjne potrzeby wystarczy mi zdobyta przez lata doświadczeń informacja i pewność, że Zjazdy mają właściwość, że każdy z nich albo był, albo jest, albo będzie historyczny.

Dzisiaj mamy dzień Pierwszy Maja. Jak powiedział wzruszony sprawozdawca w radio: „Święto Wiosny, Młodości i Szczęścia”. Widocznie tak jest rzeczywiście, bo przecież by nie zmyślał w środkach masowego przekazu. Oglądałem masochistyczne pochody w Moskwie i w Warszawie, siłą rzeczy słuchałem również sprawozdań. Otóż okazało się, że w tym roku pochód w Moskwie nosił szczególny charakter, ponieważ był to pierwszy Pierwszy Maja bezpośrednio PO historycznym Zjeździe KPZR (tu podali numer), więc manifestujący w szczególny sposób manifestowali poparcie dla nowej linii partii. Świadomi oczekujących ich zadań, z powagą, ale i nadzieją, w poczuciu ciężącej na nich odpowiedzialności za kraj, sąsiadów, Europę, Amerykę, kulę ziemską, układ słoneczny i galaktykę, nieśli przez Plac Czerwony tektury, fotografie, kupony czerwonego materiału, kije i bibułki. Kilkunastu utytych facetów o pospolitych, nalanych twarzach w jednakowych jesionkach ze wstążkami i w kapeluszach, stojących na grobie Lenina, było bardzo z manifestacji zadowolonych i machało dziećmi do manifestujących. Natomiast w Warszawie pochód nosił w tym roku szczególny charakter, ponieważ odbywał się PRZED Zjazdem PZPR (tu podali numer), który nastąpi w czerwcu i będzie zwyczajowo bardzo historyczny, jak sądzę. W ogóle bardzo się w tym roku na tego 1-ego Maja wszystko udało. Np. parę dni temu w Rosji pod Kijowem wybuchł i zapalił się w Atomowej Elektrowni jeden z czterech atomowych reaktorów. Nim rzecz do końca wyjaśnię - kilka wstępnych informacji:

Na zachodzie, w kapitalizmie, społeczeństwa i rządy niepewne jutra, budują elektrownie atomowe w ten sposób, że roztaczają nad nimi rodzaj parasola czy kołpaka, który na wypadek awarii miałby minimalizować biologiczne skutki wybuchu. W Związku Radzieckim żadna z ich 48 atomowych elektrowni nie posiada takiego kołpaka, ponieważ doktrynalnie awarie w Socjalizmie są wykluczone. Poza tym bez kołpaka jest niewiarygodnie taniej. No, i nastąpiła pod Kijowem ta niewielka awaria w sposób wręcz niejako zaplanowany.

Zginęło, co prawda, półtora czy dwóch ludzi, ale sowchozy i kolchozy pracują normalnie, a podejrzanych początkowo o napromieniowanie zwolniono ze szpitali do domów. Tyle tylko, że powstała radioaktywna chmurka, którą propaganda burżuazyjna rozdmuchała na całą Europę. Nic więc dziwnego, że Związek Radziecki od razu zaprzeczył całkowicie wybuchowi, a gdy wiadome koła nadal szczerkały, dodatkowo jeszcze, w trybie natychmiastowym, już w kilka dni po wybuchu jako jeden z pierwszych krajów - dokładnie siódmy na świecie - lojalnie powiadomił wszystkich o niewinnych kłopotach, związanych z awarią pojedynczego reaktora.

Uczciwie pokazali nawet w TV czarnobiałą fotografię jakiegoś uszkodzonego baraku z rusztowaniem, którą ktoś przypadkowo, acz szczęśliwie wykonał. Jak bagatelna i marginalna to sprawa, niech więc świadczy chociażby ten fakt, że nie było przy tym telewizji a nawet nie dopuszczono zagranicznych korespondentów. Natomiast radioaktywna chmura, z uwagi tylko na wyjątkowo niekorzystne warunki klimatyczne, zagroziła całej Europie i miliony dzieci i dorosłych brało niepotrzebnie, profilaktycznie jakieś leki, które niewiele pewnie pomogą zresztą, a białaczka nie pojawi się wcześniej niż za 10 lat.

W trosce o dobro człowieka również w Polsce zajęto się po pewnym czasie tą sprawą i co się okazało? Otóż już w przeddzień 1-ego Maja praktycznie nie było żadnego zagrożenia. Specjalna Komisja pokazana w TV sprawę definitywnie wyjaśniła: promieniowanie w zasadzie maleje w zastraszający sposób. Chmura radioaktywna dzięki niesprzyjającym warunkom atmosferycznym rozbiła się dawno na strzępy. Znaczna jej część udała się w wysokie partie jonosfery i nie zagraża absolutnie nikomu, a kto wie, czy nawet nie wpływa korzystnie, druga część chmury rozbita dodatkowo na mniejsze części popłynęła nad inne kraje i to tak daleko, że w ogóle nie warto zawracać sobie głowy, a to nic, co pozostało nad nami, tak dalece się rozproszyło, że mimo absolutnej tendencji malejącej, to lokalnie promieniowanie może wzrosnąć i to tylko w tych miejscach, gdzie aktualnie przebywamy. Natomiast już dzisiaj w dniu Pierwszym Maja był komunikat, że jakiegokolwiek zagrożenie w ogóle minęło. Tak więc Święto Szczęścia może się odbywać normalnie, nawet gdyby promieniowanie wzrosło. Ale dopiero jutro oczywiście.

Na marginesie warto jeszcze odnotować fakt klęski burżuazyjnej propagandy, która poniosła całkowite fiasko. Amerykanie musieli

„Względy zdrowotne”

Kolarskie reprezentacje kilku państw nie biorą — jak informowaliśmy — mimo wcześniejszych zgłoszeń udziału w 39 Wyścigu Pokoju. Dlaczego? Na to pytanie nie udzielono dotąd racjonalnej, prawdziwej odpowiedzi. Hysteryczna kampania prowadzona przez ośrodki propagandowe na Zachodzie wokół awarii w elektrowni atomowej w Czernobylu mogłaby sugerować, iż absencja spowodowana została „względnymi zdrowotnymi”. Wyniki badań przeprowadzonych przez naukowców radzieckich oraz z wielu krajów europejskich, a także — Stanów Zjednoczonych, wykazały jednak niezbicie, że nie ma żadnego zagrożenia dla zdrowia.

A więc — dlaczego nie wszyscy stanęli na starcie? Propaganda zachodnia ignorowała informacje przekazywane przez stronę radziecką, a nieprawdopodobne historie rozpowszechniane w związku z wypadkiem w Czernobylu, mają trudny do ukrycia polityczny podtekst. Nie wszyscy ulegli politycznej histerii, czego dowodzi choćby lista uczestników majowego wyścigu, wśród których są także kolarze z zachodniej Europy.

W ostatnich latach sport stał się dziedziną powszechnego zainteresowania. Wysoka ranga, którą sobie zdobył, skłania niestety do wykorzystywania sportu jako narzędzia antysocjalistycznej kampanii. Także awaria w czernobylskiej elektrowni stała się okazją do politycznej demonstracji. Jest szczególnie przykre, że tym razem została ona wymierzona w imprezę mającą wielki wkład w budowanie przyjaźni i pokoju na świecie. Na pytanie o przyczynę nieobecności kilku drużyn w 39 Wyścigu Pokoju należy odpowiedzieć wprost. Nie decyduje tu sport, ani idea, której służy — idea pokoju i przyjaźni między sportową młodzieżą świata. Tu decyduje polityka.

wycofać się z podejrzeń co do wybuchu drugiego reaktora. W swoim zaślepieniu bowiem próbowali dopatrzeć się na zdjęciach satelitarnych drugiego ogniska pożaru i tym swoim wrogim podejrzaniem podzielili się perfidnie ze światem. Teraz wyją ze wstydu. Owszem, jeden reaktor każdemu może się zdarzyć, ale dwa? I to w Związku Radzieckim? Kapitalistyczna paranoja. Mało tego. Kraje Zachodnie zaoferowały się z fałszywą pomocą w ugaszeniu pożaru, motywując to brakiem odpowiednich urządzeń w ZSRR. Jakby nie wiedzieli, że jak się cały grafit wypali, to po paru tygodniach wszystko i tak samo zgaśnie, a radioaktywność i nowe chmury też miną kiedyś. Ważne jest, aby przyszłe promienne pokolenia mogły żyć w poczuciu bezpieczeństwa i pokoju. Związek Radziecki ofertę Zachodu odrzucił więc ze wstrętem. Niech się święci Pierwszy Maja.



Jeszcze dwa słowa o promieniowaniu - w kilka dni później. Stara sowiecka metoda. Wszystko wstecz, po pewnym czasie rozwodnione i zafalszowane, gotowi są jakoś tam potwierdzić pokrętnie; wszystko na bieżąco przemilczeć lub zaprzeczyć. Jak w złym śnie. Jak u Kafki. Człowiek spodziewa się konkretnej informacji, wymiernych wiadomości, rzetelnego potwierdzenia lub zaprzeczenia, a po długim oczekiwaniu otrzymuje pokrętny, wyjęty z kontekstu strzępek niby na temat, ale obok, z przesuniętym akcentem ważności. Jeżeli np. koło, to nawet jeżeli koło, to nie okrągłe, lecz w najlepszym

wypadku owalne, co jest ogromnym postępowaniem w stosunku do kwadratowego, ale co jest i tak bez znaczenia, bo zasadniczo chodzi o graniastosłup.

Nasi rodzimi dialektycy dorównują już radzieckim mistrzom. Wczoraj w TV odbył się zbiorowy występ ludzi na sznurkach. Temat - promieniowanie. Czterech Polaków czy też obywateli polskich, zgódźmy się na mieszkańców Polski, bogatych w wojskowe lub naukowe tytuły, miało proste zadanie. Nie odpowiedzieć przez godzinę konkretnie na żadne pytanie, natomiast jako najzarliwsi polscy patrioci wziąć w obronę najukochańszy Związek Radziecki. Więc znowu obok tematu, tendencyjni, jednostronni, serwilistyczni. Jąkają się, nie patrzą w oczy, bąkają ćwierćprawdki - obrzydliwi. I te pozory prawdy i obiektywizmu. Niby potwierdzają, a zaprzeczają. Minęło już trochę czasu, więc niby można już trochę bąknąć konkretnie, ale czy nie za dużo, więc i z tego się gwałtownie cofają. Było niby zagrożenie jakiegoś minimalnego, ale w zasadzie nie było żadnego. Niby było zielone, ale przecież w zasadzie niebieskie, a wszyscy widzą, że w rzeczywistości jest żółte, więc po co mówić o fioletowym, skoro wiadomo, że czerwone jest najpiękniejsze. A poza tym nie tak dawno Amerykanom wybuchł Challenger, a promieniowanie w Nevadzie przekracza pięćsetkrotnie i wio koniku!



Ciekawie natomiast zachował się Związek Radziecki. Został zmuszony do europejskiego wręcz gestu. Pozwolił sobie, z uwagi na odległość w czasie od awarii i ustaniu bezpośrednich skutków pożaru reaktora, na pełne finezji i kultury oficjalne podziękowania za słowa współczucia i chęci niesienia pomocy przez kraje zachodnie. Może jest to nawet budujące, a nawet budzić może nadzieję, że, gdy w grę wchodzi ogólnoludzkie zagrożenie - do głosu dochodzą prawdziwie humanistyczne odruchy, ja bym to jednak między bajki włożył. Doświadczenie uczy, że gdy im wydarza się coś po raz pierwszy początkowo głupieją i w popłochu popełniają błędy, których później żałują. Niedługo później się ocykają, kilku zdejmują, kilku aresztują, szybko wycofują się i utwardzają jeszcze bardziej. Zobaczmy, jak to będzie przy następnym wybuchu.

(Oczywiście) nie upłynęła jedna doba od mojej wczorajszej notatki, biorę do ręki gazetę - („Trybuna Ludu” - 6 V 86) jest, proszę bardzo, w porządku. Wyjaśnione. Musi tam być rzeczywiście tragicznie, jeżeli nawet taka Rada Ministrów ZSRR została zmuszona do takiego oficjalnego komunikatu uspokajającego: „Wydzielanie substancji radioaktywnych nadal obniża się (...), prowadzone są prace nad obwałowaniem Prypeci, w rejonie elektrowni, aby zapobiec ewentualnemu skażeniu rzeki (...) Sytuacja radiacyjna na terytorium Ukrainy i Białorusi stabilizuje się z tendencją do poprawy. W rejonach tych podejmuje się niezbędne przedsięwzięcia sanitarno-higieniczne i leczniczo-profilaktyczne (...) Ewakuowana, z 30-kilometrowej strefy wokół elektrowni, ludność jest czasowo zatrudniona w innych przedsiębiorstwach...”.

Mam do dyspozycji tylko oficjalne komunikaty radiowe i jedną partyjną gazetę, żadnych możliwości dowiedzenia się prawdy, ale temu, kto spędził 40 lat w radzieckim bloku, wystarczy tego, aż nadto. Znając radziecką pychę, butę, propagandę, jasno z powyższego komunikatu wynika tragedia milionów ludzi. Zostali skazani i nic nie może ich uratować. Mogą tylko między nimi zarysować się różnice wyroków, w zależności od stopnia skażenia

Przecież w tej czy innej formie, choćby przez nieukrywany fakt ewakuacji lub z zagranicznych radiostacji ludzie na Ukrainie czy Białorusi uprzytamniają sobie w jakimś stopniu fakt zagrożenia. Łatwo sobie wyobrazić, że w odruchu samoobrony setki tysięcy ludzi zechce opuścić zagrożone tereny. Zasadniczo byłoby to możliwe, ale nie w Związku Radzieckim, gdzie na bilet kolejowy trzeba czekać tygodniami, a samochody nie mogą przekraczać granic guberni. Poza tym nie wolno ze względów propagandowych pozwolić na to, aby sprawa się rozniosła. Co robimy? Przerywamy wszelką komunikację, przerywamy łączność, zatrzymujemy przebieg informacji, wprowadzamy wojsko, czołgi, policję, blokujemy drogi, aresztujemy, przepędzamy. Wojsko wierne idei Lenina, nim samo się napromieniuje, rzetelnie dopilnuje, aby napromieniowali się wszyscy mieszkańcy. Część umrze szybko, część po paru latach, wielu odczuje skutki dopiero po kilkunastu, wzrośnie śmiertelność dzieci, a niby zdrowi zejdą ze świata o parę lat wcześniej niżby powinni. No to co? Można było wymordować kilkanaście milionów własnych obywateli, to nie można poświęcić kilku milionów nawet ich nie dotykając?

Trzeźwo myślący Europejczyk żachnie się i uzna takie myślenie za wymysł chorej wyobraźni, ale przecież przedsmak takiej sytuacji mamy już w tej chwili, w Kijowie. Wyścig Pokoju. Kijów leży o 150 km od Czarnobyla. Niech byłby choćby promil niebezpieczeństwa należałoby zaniechać imprezy. Tak myślałby każdy cywilizowany naród. Ale nie Związek Radziecki. Poświęcając, czy choćby tylko narażając setki tysięcy ludzi na zmarnowanie, warto zmanifestować światu bezsensowność podejrzeń o cień jakiegokolwiek niebezpieczeństwa. Mogą sobie zachodnie ekipy, ulegające podłej propagandzie, nie przyjeżdżać na Wyścig. Obejdzie się. Wyższość ustroju komunistycznego jest tak ogromna, a idea tak potężna, że pokona największe zagrożenia. Ludzie nią przepojeni mogą przebywać choćby w epicentrum radiacji i wyjdą z niej bez szwanku jeszcze silniejsi i gotowi do dalszych wszelkich historycznych zadań. Tak to jest. Zresztą sami Szwedzi (a wiem to z „Trybuny Ludu”) krytykują niektóre kraje zachodnie za zbyt przesadzone posunięcia zapobiegawcze. Domyślam się, jak teraz niektóre kraje zachodnie rumienią się ze wstydu. Znowu przesadzili z ochroną zdrowia swoich obywateli. Słusznie należała im się krytyka ze strony szwedzkich ekspertów rządowych. Nie oszczędzać niektórych krajów zachodnich, prać ich po oczach. „Rolnikom w południowej części Szwecji już doradzono wypasanie bydła na pastwiskach”. No, proszę. A Szwed niegłupi jest. Nawet gdyby to zdanie o doradzaniu wypasu wymyślił ktoś w redakcji „Trybuny Ludu”, to i tak zostało wydrukowane i stało się faktem.

Nareszcie odbyła się konferencja informacyjna w Moskwie. Nie mogli wcześniej, bo - jak wyjaśnili - musieli zorientować się, a pośpiech i gwałtowność nie są właściwe w takich wypadkach.

Bardzo ważny Akademik, członek-korespondent Akademii Nauk orzekł, że nie zajmuje się wróżbami, lecz konkretami, a zanim się zebrali to czas płynął. Wyszło przy okazji na jaw, że nie mogą przyjąć zarzutu niedokładności informacji, bo głównym celem Związku Radzieckiego była i jest naczelną zasadą odpowiedzialności za życie i zdrowie własnych i cudzych obywateli. Informacja musi być odpowiedzialna tzn. uczciwa. Mieli nieuczciwie poinformować o wybuchu? Nie mogli. A sprawa prosta w zasadzie, wiadomo, co się wydarzyło, więc po co jątrzyć. Zresztą nasypali już dużo ziemi, skorupek, ołowiu i piasku, więc powinno pomóc.

Jeżeli chodzi o ludzi, to są w pełni zabezpieczeni. Uchwalono już ustawę o podwyżce oraz zabezpieczono pełną pomoc i odzież.

Proszę - tak się śpieszyli, żeby, Broń Boże, nikogo nie narazić, że, choć nie było praktycznie żadnego niebezpieczeństwa, to ewakuowali ludność bez odzieży nawet. (Weg! Weg! Los! Schnell! Schnell! - pamiętam te ewakuacje). Owszem, Kraj Rad dziękuje za słowa współczucia i chęć niesienia pomocy i być może skorzysta z niej, o ile będzie kiedyś potrzebna i jeżeli proponowana jest w dobrej wierze (Związek Radziecki, jak widać, jako najbardziej zorientowany, sam oceni, co jest w dobrej wierze, a co nie).

Zastrzeżenie to jest zrozumiałe, ponieważ narasta „Kampania kłamstw wokół awarii w Czarnobylu” ... „W obieg propagandowy puszczono pogłoski, wymysły sprzeczne z elementarnymi normami moralnymi” ... „... rozpowszechnia się niestworzone rzeczy, o tysiącach ofiar śmiertelnych” ... itd., itp.

Tymczasem ... „Rozsądni ludzie na całym świecie rozumieją, że nastąpiła awaria, która mogła zdarzyć się wszędzie. Zostaną z niej wyciągnięte wnioski, z których skorzysta cała społeczność międzynarodowa...”. Są więc i korzyści.

I bronią się ruscy przed zarzutem doprowadzenia do awarii, którego nikt im nie stawia, a przemilczają istotę sprawy w postaci prób zatuszowania faktu niedostatecznego zabezpieczenia i skutków zbrodniczego przemilczania tragedii.

Trzeba jednak przyznać, że ich sytuacja jest wyjątkowo trudna. Amerykanie jako normalni ludzie mogą popełniać błędy, przyznawać się do nich i ponosić konsekwencje, natomiast Ruscy, którzy wpędzili się w nieomylność, nie mogą ogłosić, że stali się sprawcami największej awarii nuklearnej w historii świata. To trochę tak, jakby Pan Bóg przyznawał się do pomyłki, w procesie tworzenia rodu ludzkiego. A w końcu Bóg Ojciec, to przecież małe miki, przy Pierwszym Sekretarzu KPZR.

Zdając sobie sprawę z tych proporcji, odezwali się nasi rodzimi piewcy wytyczania nowych dróg ludzkości, zasługując się przy okazji sowieckiemu zwierzchnictwu i umacniając tym samym swoje posadki. Na ich tle szczególnie wyróżnia się pewien rządowy gnojek prasowy, który w szarzyźnie karier reżimowych błyszczy oryginalną nieskromnością. W ciągu ostatnich lat tak się zapewniał o swojej wyjątkowości, tak długo przyglądał się sobie w lustrze, aż się przyzwyczyił, a w końcu zachwyił i mu się pokręciło w głowie w końcu. Pogubił proporcje, zapomniał, kim jest naprawdę, komu służy, gdzie jest w systemie jego miejsce posługacza, służącego tylko lokajowi możnego pana, że jednym kapryśnym kopnięciem mogą go

zepchnąć w otchłań urbanowego niebytu, uwierzył, że jest wysoki, przystojny i mądry, równy, poza Gorbaczowem, najświatlejszym umysłem epoki. I doszło, na skutek historycznych okoliczności i socjalistycznych paranoi, do żenującego zjawiska.

Z jednej strony (biurka) świat, historia, międzynarodowe tragedie, międzyludzkie problemy, ogólnoświatowe sprzeczności, trusty mózgów na rzecz zagrożonym społeczeństwom, z drugiej zakompleksiony erotycznie i społecznie faceciki z Lubartowa puszy brzuszki, wspina się na paluszki, pluje, gromi, poucza i oskarża o podłą i niemoralną działalność ludzi, którzy z humanistycznych pobudek starają się, na ile światowa myśl ludzka pozwala, znaleźć jakieś wyjście maksymalnego zabezpieczenia się przed grożącą światu tragedią. I nie to jest smutne, że taka hybryda ludzka istnieje, ale fakt, że może istnieć system, który takie zjawisko aprobuje i popiera.

Gdy patrzę na to, ogarnia mnie głęboki wstyd. Podwójny. I za sam fakt istnienia w moim kraju czegoś tak obrzydliwego i jeszcze głębszy za to, że w ogóle muszę poświęcać temu czemuś uwagę.



W ramach planowej gospodarki znowu, kolejny raz dla dobra klasy robotniczej, zniknął z rynku mój gatunek papierosów. Jest to niewątpliwie jakaś państwowa forma walki z nałogiem, ale osobiście wolałbym rzucić palenie w sposób bardziej świadomy, więc póki co, palę inne gatunki. Głupi byłem tym razem, bo normalnie robiłem sobie zawsze paromiesięczny zapas. Trudno. Ale zacząłem kasłać. I od tej zamiany i od zmniejszonej odporności w skutek napromieniowania. Dużo ludzi przechodzi ostatnio nasilone infekcje górnych dróg oddechowych. Np. kolarze w Wyścigu Pokoju. Chciałem kupić więc sobie chociaż syrop na kaszel. Niestety. W bramach wytuczania nowych dróg rozwoju ludzkości syrop jest tylko na recepty. Do lekarza z banalnym kaszlem nie pójdę, bo z uwagi na żywotne interesy ludu pracującego miast i wsi, jest to zbyt utrudnione i wymaga b. dużo czasu. Ale kupiłem bez recepty pastylki Emskie. Są to silnie musujące i szybko rozpuszczalne w wodzie tabletki wykrztuśne. Niestety. Zupełnie zapomniałem o walce o Światowy Pokój, w ramach której tabletki te nie rozpuszczają się nawet we wrzątku. Obecnie codziennie moczę je w szklance, wodę wypijam, a tabletki zostają do następnego razu. Jest to wygodny lek wielokrotnego użytku. Co prawda jeszcze kaszlę nadal, ale już znacznie świadomiej.

Orłowski general podpisał z
 radzieckim bratem dobry wojna
 we wszystkich dziedzinach do roku
 2000-ego. To głupota. Podpisał
 pewnie nie w ciemno, lecz w opar-
 -ciu o odwołanie i cięte ferre
 pętkowatego z braterską przy-
 -jaciem, której miłot i nigdy nie
 robota ~~odwołanie~~ podwójny.
 Hitler, kt. praktycznie nie miał
 tak braterskich i odwołanych
 przyjaciół planował swoją kraj
 na lat 1000. Sam z siebie.
 To dlatego nie możliwości
 podpisać chętnie do r. 3000-ego?
 Z resztą po co tak dłużej?
 Podpisać chętnie na 5 tysięcy lat,
 albo lepiej na 50 tysięcy.
 Nie. General inženýr. Wzrostliwego

Od dawna intrygowały mnie i męczyły trzy programowe pytania:

- 1) Czy program może być pomostem?
- 2) Czyj program i w co?, oraz
- 3) Czy nawet najbardziej wsteczna grupa społeczna może jakiś program posiadać?

Odpowiedź, i to od razu łączna, okazała się niezwykle prosta. Wyjaśnia to plansza przy wjeździe do Krakowa. Duży, czerwony transparent z białymi literami, na ścianie jakiejś fabryki: „PROGRAM PZPR - POMOSTEM W XXI WIEK”.

Na tle tej groźby miło jednak skonstatować pocieszający fakt, że jednak posiadają swoiste poczucie humoru.



Ulegając niemoralnej zachodniej propagandzie znowu zmarło oficjalnie w Związku Radzieckim kilka osób na skutek choroby popromiennej. Ciekawe, ile osób zmarło nieoficjalnie?



Narzekają na brak kabaretów. I literackich, dorosłych i studenckich. Więc boją i szukają przyczyn. Ciekawe? A ja znam przyczynę.



Nikt nas nie zwolni z indywidualnej odpowiedzialności, z indywidualnego myślenia - to jest wolność i człowieczeństwo.

Tamci mają swoje „niezbywalne prawa” itp., a my swoje (musimy mieć).



Ciekawe, czy kiedyś zbliżymy się do niedościgniętego wzoru Związku Sowieckiego, gdzie można bezkarnie zabić jednym strzałem 300 niewinnych osób, strącając rakieta bezradny, bezbronny i neutralny samolot pasażerski lub zatopić na otwartym morzu okręty i barki z jeńcami, lub zalewać kopalnie, aby za jednym zamachem utopić setki własnych robotników.

Dał nam przykład Józef Stalin, jak zabijać mamy. To był mistrz wszechdziejów. Kilkadziesiąt milionów ofiar. I to własnych obywateli. Hitler mógłby mu buty czyścić.

Ale wróćmy do naszych baranów. Trzeba stwierdzić, że i u nas coś drgnęło.



Jest taki osobnik z brodą, który mówi o sobie - Jerzy Małczyński. Możliwe. Muszę przyznać, że w jakiś sposób mi imponuje. Z założenia Jerzy Małczyński - publicysta radia i TV - używany jest, jak wielu jego kolegów, do kolejnych prób robienia wody z mózgow obywateli, udowadniania, czy ja wiem, że żaba jest w zasadzie jeleniem na przykład lub odwrotnie, w zależności od bieżących potrzeb partii, oraz do stałej apoteozy tej partii, która - ujmując skrótowo, jest nie tylko najwspanialszym ideowo-sprawczym organizmem naszej ojczyzny, ale również przedłużeniem ramienia i kontynuatką myśli politycznej powstałej w najgenialniejszym kraju naszego globu, wśród nadludzi radzieckich, z kolejnym ich mesjaszem na czele. I w porządku. Nie to jest tutaj wyróżnikiem Jot Małczyński.

Chodzi o to, że Jot Małczyński wyprzedził epokę i zdystansował kolegów. On pierwszy dostrzegł, że dotychczasowa rywalizacja między publicystami już wkrótce nie będzie wystarczająca dla utrzymania się nie tylko w czołówce, ale w ogóle w zawodzie, jeżeli tak to można nazwać.

Zrozumiał, że nie wystarczy już samo wypełnianie gorliwie poleceń - trzeba wykazać własną inicjatywę. Ale nie to stanowi o jego genialności. Na to już wpadło wielu. On jednak pierwszy dostrzegł, zrozumiał i wprowadził w czyn genialne, proste i teraz już oczywiste spostrzeżenie, że nie ma granic dla serwilizmu. Wszyscy zatrzymali się w strachu w pół drogi, sądząc, że to jest kres wytrzymałości ludzkich umysłów. Chwała ci za to Jerzy Małczyński. Chwała ci za odwagę w odrzucaniu wszelkich oporów. Zwykle nie mówi się o was po nazwisku. Z czystej pogardy i zażenowania po prostu. 0 Tobie nie wstydę się jednak mówić głośno i po imieniu Jerzy 1 po nazwisku Małczyński.

Tak jest, nie wystarczy tylko nająć się do czyszczenia kanalizacji, trzeba być geniuszem, aby odrzuciwszy szmatę i szczotki, samemu, z własnej inicjatywy, na golasa, zacząć ja po prostu wylizywać.

Jestem dumny, że pierwszy dostrzegłem Jerzy Małczyński w całej jego prostocie, oraz z tego, że udało mi się użyć porównania godnego pióra Jerzego Urbana.



XII 86

Hurra! Dowiedziałem się z radia - będzie nowy polski transatlantyk w miejsce wysłużonego już Stefana Batorego. Na wieść bowiem, że w przyszłym roku kończy się czas atestacji Stefana, podstawowa organizacja partyjna tej jednostki wysunęła wniosek o zakupienie przez PRL nowej jednostki tego typu. Uwaga: Polskie Linie Oceaniczne poparły tę ceną inicjatywę.

Boże, jeszcze raz dzięki Ci za wszystko. Co my byśmy zrobili bez tej partii? Czy Polskie Linie Oceaniczne lub rząd PRL wpadłby sam na taki pomysł? A to przecież tylko podstawowa komórka partyjna na statku. Cóż za geniusze muszą siedzieć w takim Biurze Politycznym? (z Małczyńskiego)



Ze skoczki (dialogu)...

- Byłem w tej Ameryce, byłem. O tak chodziłem, tak... (pokazuje stąpa jak czapla, ostrożnie, wybiera miejsce na stopy)
- Dlaczego?
- Dzieci. Umierające dzieci. 40% Amerykanów umiera z głodu.



Styczeń 87

Z oceną faktów bywa zwykle różnie. Na ogół, co zrozumiałe, wybiera się wariant wygodniejszy. Np. próba oceny wizyty Jaruzelskiego we Włoszech i w Watykanie.

Wygodniejszy: Świat nie da sobie rady bez PRL-u. Czekaj więc, aby ktoś z naszego obozu zechciał ich odwiedzić, wyciągnął pomocną dłoń, a przy okazji uratował światowy pokój. Więc natychmiast przyjąć Generała!!!

Mniej wygodny: Z uwagi na los prawie 40 milionów Polaków - mimo wszystko - przyjąć Gówniarza, o ile spełni kilka podstawowych warunków.

I dalej. Czy to jest wydarzenie historyczne? Tak. Ale znowu nie dlatego, że General zechciał pojechać, ale dlatego, że za niechętnym przyzwoleniem swojego moskiewskiego zwierzchnika musiał pojechać i ukorzyć się w imieniu całego swojego obozu, bo inaczej by się udusił.

A to jest sympatyczne.



Nie mam pojęcia, co robić? Oczywiście Socjalizm - tak! Ale wypaczenia? Nie! Zdecydowanie nie. „Socjalizm tak - wypaczenia nie”. Dzisiaj np. patrzę - Socjalizm - w porządku, myślę, a właśnie chciałem podjąć w PKO własne pieniądze z własnej książeczki. Wchodzę do środka, a tam Wypaczenie Olbrzymie. 2 godziny i 54 min. stałem w wypaczonym ogonku - zrezygnowałem. Miasta i miasteczka pokryte są napisami, niejednokrotnie neonowymi, że „PKO Twoim Bankiem”. Znaczący - moim bankiem. To prawda, w Socjalizmie i tak nie mam wyboru, bo to jedyny bank w ogóle w kraju, ale rozszerzyłbym slogan: „PKO Twoim Bankiem - możesz w nim stać godzinami”.

Pytałem, dla żartu, nie poważnie, p. kierowniczkę tego Urzędu PKO, dlaczego taka marna obsługa? - Brak personelu - odrzekła - Pan by chciał pracować w tak odpowiedzialnym materialnie miejscu, jak kasa, za 17000 zł miesięcznie? No nie, nie chciałbym, bo nam w rodzinie (4 osoby) potrzeba na żywność i świadczenia minimum 45 tys. miesięcznie, przy maksymalnej oszczędności, przy czym oboje pracujemy.

Na poczcie - brak personelu, w aptece - brak personelu, w sklepie - brak personelu, na budowach - brak personelu, na dworcu, w MPO, w kinie, w elektrociepłownictwie, wszędzie - brak personelu. No, nie, nie wszędzie, w Biurze Politycznym, w Urzędzie Spraw Wewnętrznych, w MO, w Odrodzonym Wojsku Polskim itp. jest dużo personelu, chyba. Nie słyszy się jakoś utyskiwań, mimo, że najniższą pensję krajową ustalono na 7 tysięcy. Ustalono ustawowo, więc na pewno słusznie. Więc myślę sobie, że tu się też musi kryć jakieś wypaczenie chyba. Ale jakie? Bo Socjalizm tak, to oczywiste.

Wczoraj upłynęła 42-ga rocznica zdobycia i zajęcia Warszawy przez Związek Radziecki.

Przy obecnym, czytaj powojennym, przeinaczaniu pojęć i odwiecznych znaczeń słów - objęcie w posiadanie leżącego w gruzach, pozbawionego mieszkańców, martwego miasta, nazywa się obecnie wyzwoleniem i jako takie właśnie weszło na stałe do reżimowej nomenklatury.



Trzeba niesłuchanie dużo wiedzy życiowej, praktyki, doświadczenia i przeżyć, wytworzenia przez lata postawy filozoficznej relatywnej wobec świata, aby nie popaść w stan ogłupienia męskiego na stare lata. Umykający czas, nieuchronnie zbliżająca się zgrzybiała starość, po raz ostatni uaktywniająca osobnika do okazania swej męskości. Objawy są różne. Np. oldboy - playboy. Postrach kurortów. Figura, ciało, włosy, twarz już dawno nie te, a krótkie spodenki na chudych nóżkach, trampki, obcisłe koszulki bawełniane na okrągłych brzuskach, sposób bycia i poruszania się ciągle te. Młodzieńcze i niesłuchanie sexy. Albowiem w tym starym człowieku mieszka w środku bezkrytycznie przystojny, młody człowiek, ulubieniec dziewcząt. Inni znowu - starsi od poprzednich emablują na pocztach lub sklepach młode urzędniczki lub ekspedientki, opowiadając im godzinami o swoich sukcesach, zwłaszcza seksualnych, ale i zawodowych. Dowartościowują się w ten sposób wstecz i dość zadowoleni wracają, panie dziejski, do domu.

Inni, naprawdę mądrzy, postępują zgodnie z biologią, pogodzeni ze światem, przestawiają się na zajęcia godne ich wieku i pozycji, czerpiąc pod koniec życia wiele radości oraz ciesząc się ogólnym poważaniem i serdecznością otoczenia.

Odmian jest wiele. Ja jednak chcę zatrzymać się tylko przy jednej, niestety bardzo licznej grupie starych, byłych mężczyzn, wyjątkowo niebezpiecznych społecznie. Wyzbyli z moralności i rozumu, rekompensują swoje męskie niedostatki, czepiając się za wszelką cenę pozorów istnienia, zapisują się i zwykle stają na czele fałszywych organizacji społecznych lub politycznych, i w oparciu o dawny większy czy mniejszy, ale i tak niegdysiejszy i wątpliwy autorytet, robią wodę z mózgu przeciętnych obywateli; głosząc fałszywe, zakłamane, nie mające pokrycia w życiu, po prostu

niemoralne poglądy i pozorne prawdy, przynoszą niepowetowane straty kulturze, myśli i właśnie moralności narodowej. Nie trzeba dodawać, jak dalece jest to na rękę władzy w dziele ogłupiania i rusyfikacji narodu.



Od dawna już zauważyłem, że Zdzich, mój dawny szkolny kolega, był pogubiony jakiś i nieszczęśliwy. Niby miał rodzinę, ładną, miłą żonę, dzieci, mieszkanie, niby dobrze zarabiał, cieszył się uznaniem otoczenia, niby dobry pracownik, uczciwy, chętny, solidny, ale jednak to nie to, co mu było naprawdę potrzebne. Owszem, ten dzielny człowiek udawał nawet szczęśliwego. Za wszelką cenę usiłował zachowywać na zewnątrz pozory tego niby szczęścia.

Wakacje z rodziną, życie kulturalne, życie towarzyskie, nowe sprzęty w mieszkaniu, niewielkie konto w banku, plany na przyszłość.

Postanowiłem mu pomóc, choć samemu wiodło mi się nie najlepiej. Wrodzona niechęć do pracy i brak jakichkolwiek kwalifikacji zawodowych pogłębiały jeszcze tę sytuację. Nic jednak nie zdołało cofnąć mojej decyzji w sprawie pokierowania życiem Zdzicha. Powodowany dawną szkolną przyjaźnią postanowiłem przyjąć wobec niego rolę służebną, aby w pełni zostały spełnione jego nieuświadomione marzenia. W tym celu musiałem wziąć na siebie poważne obowiązki kierowania jego postępowaniem. Tak więc zostałem kierownikiem Zdzicha w jego życiu. Odbyło się to za obopólną zgodą, jedynie jego rodzina protestowała, a on sam, zagubiony, wstrzymał się od głosu. Nie zraziłem się tym. Trudno, ludzie są tylko ludźmi i wiele czasu musi upłynąć, żeby uprzytomnili sobie swoje nadrzędne, humanistyczne cele. Począłem przewodzić jego rodzinie. Zdzichu nadal chodził do pracy, ale oddawał mi % zarobków. Kupowałem za to drelichy dla żony i dzieci, kaszę i tłuszczy oraz darmową wódkę w dowolnych ilościach. Początkowo miał opory, ale teraz już stale pije, a od chwili, gdy sprowadziłem słomę makową, uspokoili się również dzieci i żona. Mieszkam na razie u nich do czasu, aż mi Zdzichu wykończy willę. Dlatego też do 13-tej nie daję im żadnych używek, bo i dzieci źle pracują na narkotykach, i pijani dorośli nie są zbyt odpowiedzialni. Pracują tym

chętniej od świtu do 13-tej, mając w perspektywie przyręczoną pierwszą dawkę. Niejednokrotnie serce mi krwawi widząc, jak się męczę, ale w tych sprawach jestem bezwzględny, bo najważniejsza jest dyscyplina, wzmożona wydajność i zadowolenie z wykonania zadania. Wprowadziłem nawet przyśpieszenie dokonań poprzez zwiększenie godzin pracy, dzięki zręcznemu manipulowaniu użytkownikami. Liczę, że w przyszłym miesiącu przeprowadzę się już do siebie, bo krępuje mnie mieszkanie u nich. U Zdzichów zamelduję tylko mojego szofera z rodziną. Tak więc powoli moja służebna, kierownicza i przewodnia rola w życiu Zdzicha zaczyna przynosić rezultaty.



Wiosna 1987

Mija rok od wybuchu w Czarnobylu reaktora atomowego. Od tamtej chwili ukazały się w środkach masowego przekazu dziesiątki komunikatów dotyczących dalszej, kolejnej poprawy sytuacji w tym regionie, a przecież nie zostało jeszcze powiedziane ostatnie słowo i co parę tygodni ukazują się następne oświadczenia. W ogóle wygląda na to, że świadome, radioaktywne pierwiastki pod wpływem zdrowego programu odnowy znacznie przyśpieszyły okres rozpadu, skracając go z kilkudziesięciu lat do zaledwie kilku miesięcy. Optymizm tchnący z kolejnych komunikatów pozwala przypuszczać, że Czarnobyl i okolice stają się w szybkim tempie jednym z najzdrowszych regionów świata. Kto wie, jeżeli uda mi się jeszcze zdobyć wizy, czy nie kropnę się tam z dziećmi na wakacje?



Wiosna 1987

Skwerek przed „Dziekanką”, fontanna (?) z piaskowca z napisem „Dar Polonii Amerykańskiej”. Bardzo stary, hen przedwojenny obelisk (?), skromny, zbudowany z serca i tęsknoty - zniknął któregoś nocy w okresie stalinowskim, wywieziony, zrównany z ziemią, zniszczony. Założono tam klomb i trawnik. Gdzie jesteś dzisiaj bandyto partyjny, który wydałeś wtedy polecenie zniszczenia tej pamiątki? Gdzie jesteś wrogu polskiego narodu, naszej historii i tradycji? Pewnie opływasz w apanaże, cieszysz się szacunkiem

otoczenia, jako wieloletni i zasłużony bojowiec pewnie zajmujesz jakieś eksponowane stanowisko, prezesujesz, dyrektorzujesz, masz wysokie odznaczenia. Czy pamiętasz jeszcze i czy rozumiesz, ile zadałeś w czasie swojego życia ran ojczyźnie? Jakie nieodwracalne i trwałe spowodowałeś straty?

138



... poprzecinać wszystkie nitki łączące nas z przeszłością...

N

Marzec 87

Przez dziesiątki lat usiłowano odwracać proporcje wykazując, jak to potężne AL górowało nad nędznym i nielicznym AK.

Podobnie jak obecnie dzieje się z kościołem rzymsko-katolickim w Polsce. No, owszem, jest, rzeczywiście, ale przecież mamy tyle innych wyznań i grup religijnych. My, demokratyczne państwo, musimy koniecznie popierać różne nieliczne i przez to zupełnie niegroźne dla materialistycznej ideologii grupy wyznaniowe, aby wykazać, że kościół katolicki, który stanowi przez swoją siłę, liczebność i idee śmiertelne zagrożenie dla humanizmu, jest tylko jedną grupą wyznaniową więcej, którą oczywiście też należy demokratycznie uznać. Ciekawe, czy historycznie takie prymitywne działania przyniosą jakieś rezultaty? Trzeba przyznać, że w skali masowej z AK w jakimś stopniu się udało. Podobnie, jak po wojnie z „bandami”, które likwidowano w ramach utrwalania władzy ludowej. Mało kto pamięta, co to były za „bandy” i ilu świętych ludzi wymordowano wtedy bezkarnie, ilu bohaterów czasu wojny, żołnierzy i oficerów AK, polskich patriotów zamęczono w socjalistycznych więzieniach. Współcześnie, w powszechnym odczuciu „bandy” mają jednoznacznie wydźwięk pejoratywny, przyjęła się ich deprecjonująca nazwa „bandy”, a mordercy w mundurach Ludowego Wojska Polskiego powoli zyskują rangę bohaterów.



No!!! Będzie dobrze!!! Nareszcie!!!

Przeczytałem w prasie, że: „Wojciech Jaruzelski (ten Mąż Opatrznościowy, jaki może trafić się może jeden na stulecie - a co będziemy sobie żałować - na tysiąclecie, najświetlejszy, po Gorbaczowie oczywiście, umysł w historii nowożytnej - przypisek mój) ostro wystąpił przeciwko marnotrawstwu, bałaganiarstwu, słowem p-ko temu wszystkiemu, co w ostatecznym rozrachunku podnosi koszty produkcji, a zatem obciąża kieszeń ludzi pracy”.

Światły umysł, światłym umysłem, ale myśl jest zbyt odkrywczą, a wystąpienie zbyt ostre, żeby pojedynczy człowiek mógł je wymyśleć sam. Sądzę, że generałowi musiał to ktoś inny wymyśleć i zreczenie sformułować, ale to rzecz drugorzędna w porównaniu z samą ostrością wystąpienia i z efektami, jakie ono przyniesie. I to dopiero dostrzegam, jak to człowiek (myślę o sobie) uczy się całe życie, nabiera doświadczenia, dojrzewa, zmienia kryteria oceny. Wstyd powiedzieć, ale w dawnych latach, gdy jakaś Gomułka, Ochab, Gierek czy inna

Kania, ostro występowali przeciwko marnotrawstwu, bałaganiarstwu itp., to wydawało mi się, ba, byłem pewny i głęboko wierzyłem, że rzeczywiście występują w żywotnym interesie klasy robotniczej i że takie ostre wystąpienie musi przynieść rewelacyjne wręcz rezultaty. Jakież to jednak było żałosne. Nie neguję, że mieli dobrą wolę, ale dopiero z perspektywy czasu i w porównaniu z generałem, widać, jak tępe były te wystąpienia, jak jałowe potępienia, jak absolutnie nic nie zmieniły, a nawet - ośmielę się stwierdzić - wręcz szkodziły, rozluźniając przez swoją nieudolność dyscyplinę świadomego ludu pracującego miast i wsi, powodując jednocześnie coraz to głębsze zubożenie społeczeństwa i osłabienie klasowej świadomości. Dzisiaj trudno już sobie wyobrazić, jak bardzo obciążało to bohaterską kieszeń ludzi pracy.

Dobrze chociaż, że nie zmarnowaliśmy tych lat. Jak powszechnie wiadomo, zgromadzony dotychczas potencjał ideologiczny oraz trwały dorobek gospodarczy pozwalają nam z optymizmem patrzeć przyszłości prosto w oczy. Sądzić należy, że przyszłość po prostu nie wytrzyma takiego spojrzenia, ale to już oczywiście jej sprawa. My nie mamy sobie nic do zarzucenia. Ci, którzy wtedy zaczęli nasz historyczny marsz po nowej drodze rozwoju ludzkości, dobiegają zaledwie 70-tki, ich zabiedzone dzieci nie przekraczają nawet 50-ciu, a więc cała przyszłość leży dopiero przed nami odłogiem i to właśnie pozwala nam na ten uzasadniony optymizm. Być może, rzeczywiście, było nienajlepiej, ale co znaczy zmarnowane głupie 40 lat wobec Tysiącletniej PRL, ze Związkiem Radzieckim na czele. Mamy generała. Wystarczy jedno ostre wystąpienie, a Wisła spłynie pełnym mlekiem - strach pomyśleć, jak głupio będzie wtedy obcym agenturom. A przecież nie zostało jeszcze powiedziane ostatnie słowo. Jeżeli samo mleko nie wystarczy lub jeśli, z jakichś obiektywnych powodów, nie będzie płynęło, to zawsze jeszcze możemy przecież wzmóc pracę ideologiczną, a tego już nikt nie wytrzyma, (wiosna 1987)



Boże Wielki, ilu ja w ciągu tych 40 paru lat realnego Socjalizmu, nasłuchałem się głupstw, idiotyzmów, kretyństw, truizmów. Wyływały one z ust zbawców narodu, uzdrowicieli, reformatorów i nie ominęły żadnego, żadnego z nich. (wiosna 1987)

Wiosna 1987

Jest tak. Co parę, co kilkanaście lat. Do wtorku jest jedynie słuszna droga. Historyczna, nieodwracalna i kilkaset innych przymiotników. Każdego, kto byłby odmiennego zdania, należy zabić. We środę okazuje się oficjalnie, że tamta droga była skostniała, marna, niesłuszna, wypaczona itd. Tych zabitych należy rehabilitować jako niezłomnych i oświadczyć, że tylko środowa droga jest jedynie słuszna, historyczna, niepodważalna i kilkaset innych przymiotników.

Każdego, kto byłby odmiennego zdania, należy zabić.
I tak do któregoś czwartku.



Cała gospodarka jest przeżarta przez fatalną niemożność, przegniła od podstaw przez niemoralność, będącą wynikiem 40-letniej działalności dogmatyków-kretynów-propagandystów, a co pewien czas biorą wycinkowo jakiś wążuteńki temacik, jakąś fabrykę czy budowę jako temat dla telewizyjnej dyskusji. Znęcają się nad jakimś skretyniałym dyrektorem lub biednymi, niedopłaconymi i głupimi robotnikami, którzy i tak są znacznie moralniejsi od każdego członka Biura Politycznego, którzy są na swój sposób uczciwi, choć bezradni i zepsuci. Lecz przecież nie w nich leży wina. Taka audycja jest kolejnym chwytem propagandowym coraz bardziej zaciemniającym prawdziwą rzeczywistość i jej skutki.



Trzeba uprzytomnić ludziom np. jak są manipulowani oraz nazywać głośno to coś, co, choć podświadomie wiadome - nigdy nie zostało publicznie wyartykułowane.

Np. pokrętne odpowiedzi tzw. ministra Urbana w czasie Konferencji Prasowych. Już same pokazywane fragmenty są odpowiednio wybrane i spreparowane, natomiast odpowiedzi są tzw. odwracaniem kota ogonem. I to w zasadzie jest powszechnie wiadome, choć nie znaczy to, że nieszkodliwe. Bezcelność tych propozycji jest tak nieprawdopodobna, że często nie można uwierzyć, żeby odpowiedzi były całkowicie bezpodstawne. To nie może pomieścić się w głowie normalnego i w miarę moralnego człowieka.

Nie mówiąc już o milionach prymitywnych umysłów, które w ogóle odbierają to wprost. Co odważniejsi z nich przypuszczają co prawda, że rzecznik być może trochę koloryzuje, ale jest przecież rzeczą niemożliwą, żeby telewizja i prasa kłamała całkowicie, ogłaszając zupełnie wymyślone rzeczy. Nie. Musi być w tym dużo prawdy, musi to jednak opierać się na jakichś konkretnych faktach, przecież taki facet nie wyssałby sobie tego wszystkiego z palca. Interesuje mnie mentalność faceta. Nie tego określonego krasnoludka (tym bardziej, że w wypadku Urbana zasadniczą rolę grają głębokie kompleksy obce normalnym heteroseksualistom średniego wzrostu i pochodzenia), chociaż ten najbardziej rzuca się w oczy, ale tych wszystkich, z którymi przychodzi nam się spotykać na co dzień, a którzy na swoją skromną miarę uprawiają ten sam kurewski proceder. Tych wszystkich sekretarzy, działaczy partyjnych, polityków, prezesów, dyrektorów, sprawozdawców sportowych, komentatorów gospodarczych i politycznych, działaczy kultury, pronowców, partyjnych szwagrów, nauczycieli, kierowników szkół oraz szarych, zwykłych potakiwaczy i bezwolnych, milczących, chociaż tych ostatnich gotowy jestem rozumieć. Jak potwornie zostało przeżarte społeczeństwo przez raka bezideowości, amoralności, chęci władzy i posiadania.

To jest dopiero niemożliwe. Człowiek, bo człowiek w końcu, nieprzymuszony, nie bity, nie zagrożony, z własnej woli głosi coś, w co absolutnie nie wierzy. To tak, jakby normalny człowiek, brzydzący się z natury osobnikami homoseksualnymi, sam im proponował stosunek homoseksualny, usłużnie się samemu nadstawiając, smarując, zachęcając. Nie, to zły przykład. Uczucie „brzydzenia się” jest mi obce. I to jest właśnie ciekawe. Skąd biorą się tacy ludzie? Nie myślę tu o ogłupionych, z natury tępych i ciemnych ćwokach, ale o inteligentach, ludziach poniekąd wykształconych, kt. siłą rzeczy otarli się o historię, sztukę, literaturę, środowisko, z kt. wyszli, o kościół, o filozofię, choćby w minimalnym zakresie. Przecież nie mogą im być obce wszelkie normy moralne. Czy grają tu rolę korzyści materialne? Na pewno, ale niemożliwe, aby mogły być decydujące. W naszych warunkach te apanaże, chociaż wyróżniające, są jednak zbyt nikłe i krótkotrwałe. Nie! Sądzę, że to z głębokiego tchórzostwa. Podświadomy, instynktowny, biologiczny, nigdy nie okazany innym, nawet ukrywany przed sobą samym, strach. Nie wiem, może to pozostałość niemieckiej okupacji, może wieści z za

wschodniej granicy, może obraz obozów, łagrów, może genetycznie zakodowane doświadczenia geopolityczne, może doświadczenia własne lub ojców z okresu „utrwalania władzy ludowej w Polsce”, każą im w obawie o swój byt opowiadać się zawsze po stronie silniejszego i posiadającego władzę, bez względu na jego autorament. Gdyby taki osobnik potrafił być szczery, powiedziałby pewnie - być może jestem świnia, ale dość sytą i żywą - ale nie powie tak, ponieważ jest mistrzem w dorabianiu dowolnej ideologii do dowolnego działania, wynajdywania uzasadnienia, a zwłaszcza dla własnych poczynań.

Być może jednak przesadzam.

Jest rzeczą całkowicie możliwą, że mamy do czynienia tylko z pewnego rodzaju atawizmem i tacy osobnicy zdarzają się procentowo tak sami licznie w każdej populacji, pod każdą szerokością geograficzną, a tylko u nas, w nienormalnych warunkach polityczno-społecznych jest to znacznie jaskrawsze.



Przeczytałem w gazecie, że: „Rosną emocje społeczne związane z wyborem rzecznika praw obywatelskich”.

Rzeczywiście społeczeństwo jakieś ogromnie podekscytowane; w kawiarniach, w biurach, w domach rodzinnych niekończące się dyskusje, czy rzecznik ma być wojewódzki, czy ogólnopolski, przy Sejmie, czy samodzielny. Rozpalone twarze, błyszczące oczy, kłótnie, polemiki, spory. Rosną, rosą emocje. Brawo panie idioto, żurnalisto! Kretynie o ptasim mózdzku! Co ci chodzi po tym zakutym łbie? Ze nas nabierzesz? Ze ci uwierzimy? Ze dzięki twojemu tytułowi zawstydzimy się, że my jedni nie włączamy się w ogólnopolską dyskusję? Czy naprawdę nie wiesz, że w dobie bezprawia, cokolwiek może zmienić sztucznie wymyślony rzecznik praw obywatelskich? Ze jeżeli za nic ma się Konstytucję, Dekrety, Ustawy, Kodeksy, to jakiś nowo powołany, fałszywy krasnoludek cokolwiek może zmienić?

Czy pan, drogi redaktorze, w ogóle przypuszcza, że kogokolwiek to nawet w najmniejszym stopniu obchodzi?

Co zrobić, aby poprawić budownictwo? Naradę!
Jak poprawić środowisko naturalne? Przez naradę.
Jak zapobiec inflacji? Naradą i uchwałą.
itd., itp.

(Rzecz w tym, że ci smutni faceci ciągle uważają, że rzecz uchwaloną można uważać za wykonaną. Czym więcej narad i uchwał, tym szybszy postęp i rozwój. To łatwe).

JAA Nie chciałbym pozostawać w tyle. Co byście powiedzieli, panowie, na jakąś uchwałę na temat naszej dalszej działalności. Proponuję dalsze podniesienie poziomu, lepsze teksty, wzmożone aktorstwo, głębsze zaplecze, ambitniejsze cele itd., co?

- Dobra. Można.
- A co byśmy robili?
- To, co zawsze.
- Chałtura?
- A jak?



Nieprawdopodobnie, niebywale, niesamowicie rosną z roku na rok tłumy uczestników Oficjalnych Pochodów Pierwszomajowych. W tym roku np. biorąc liczby z powietrza, obliczyli sobie, że uczestniczyło ponad 10 milionów obywateli. Aż Biuro Polityczne musiało dziękować za tak liczne przybycie i za wcześniejsze Czyny Produkcyjne dokonane na cześć 1 Maja. Właściwie cały kraj na wieść o zbliżającym się Świącie rzucił się do wzmożonej produkcji. Tak było. To zn. tak musiało być, bo przecież by sobie tego nie zmyślili. Natomiast zastraszająco, wręcz katastroficznie maleją z roku na rok wątle zastępy nielegalnych manifestacji. Nielegalnych to znaczy niesłusznych, wrogich, wrednych, nędznych, bankrutujących, itp., itd. Wystarczy powiedzieć, że o ile jeszcze w roku 1983 próbowało manifestować ok. 60 tys. wrogów, to obecnie w r. 1987 w całym kraju nie przekroczyła 2,5 tys. Proszę sobie porównać: 10 milionów i 2,5 tys. Wiem to wszystko od „rzecznika rządu”, bo transmitowano fragmenty konferencji prasowej. Wyjaśniono również, że jest to wynikiem narastającej świadomości społeczeństwa, na którego poparcie nie może już liczyć żaden nędzny, polityczny szalbierz. Sądzę, że gdyby rozstrzelać te 2 i pół tysiąca byłby nareszcie spokój i śmiało, bez przeszkód można by wkroczyć w drugi etap reformy

gospodarczej, kt. jak wiadomo przyniesie wprost niewiarygodne wyniki i niehumanitarne wręcz dobrobyt.

Acha, i to jeszcze, że Milicja nikogo nie biła, nie gazowała, nie lała, a nielegalni uczestnicy rozchodzili się zawstydzeni do domów na słowne perswazje Władz Porządkowych.

Tak to jest obywatelu Urban, początkowo sądził pan, że się jakoś prześlizgnie, przekazując tylko bezosobowo rządowe tezy, a tu się okazuje, że to już nie rząd, lecz partia, i nie bezosobowo tylko trzeba mówić „my” i „nasz”, i trzeba coraz głębiej, i wredniej, i prymitywniej, i coraz mocniej tulić się ze strachu do kolan mocodawców, widząc w nich jedynie dla siebie ratunek.



9 V 87

Człowiek się zawsze spóźni, ale bo też i z naszą informacją trochę nietęgo. Dopiero dzisiaj ogłosili, że właśnie dzisiaj w Częstochowie w tamtejszym garnizonie jest dzień otwartych koszar. I tak ładnie zachęcał w radio pan sprawozdawca: „Jeżeli ktoś chciałby zobaczyć coś z bliska, czy zajrzeć do lufy - zapraszamy!”.

No i proszę, chciałbym zajrzeć do lufy, to naturalne, ale w tej sytuacji już nie zdążę. Gdybym to wiedział choćby wczoraj... Ba!



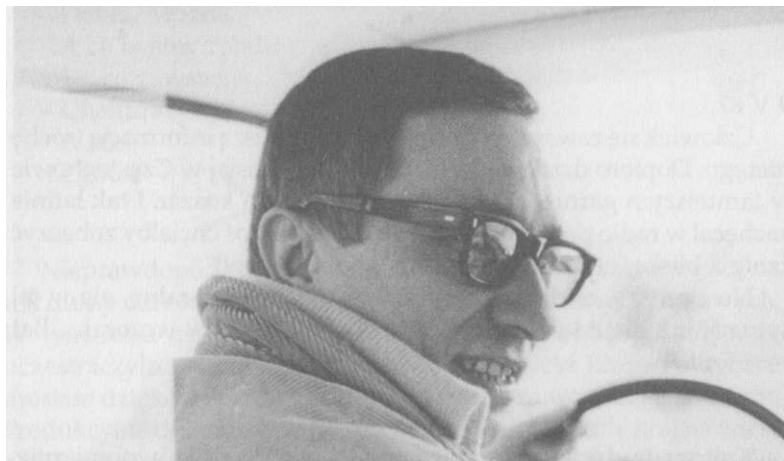
Kultura, tradycja, postęp nie rozwijają się trwale i równomiernie, zgodnie z kalendarzem, zdrowym rozsądkiem i stałym rozwojem ludzkości.

Kiedyś, niezależnie od zmian rządów stronnictw, układów politycznych, partii, doktryn przywódców - normalne życie ludzkie, życie społeczeństwa rozwijało się zgodnie z porządkiem przyrody i postępowaniem charakterystycznym dla rodzaju ludzkiego. Nie w realnym socjalizmie wraz z jego nienaturalną gospodarką planową.

Tu kultura np. zależna jest od kolejnej doktryny, kolejnej grupy rządzącej i jej przywódcy - nuworysza, hamujących skutecznie wszelki rozwój myśli. Wszystko kolejno trzeba zaczynać od początku i znowu fałszywie. Najlepiej widać to w architekturze, dziedzinie najbardziej i najłatwiej zauważalnej, bo spotykanej na co dzień, co krok, a jednocześnie najbardziej trwałej. Nic dziwnego, że

przez ostatnie 40 lat nie stworzyliśmy niczego, co moglibyśmy bez wstydu ofiarować przyszłym pokoleniom. Nic, co mogłoby przetrwać jedno stulecie. Gdy chodzę po Krakowie, choć już tak bardzo zdewastowanym i zabiedzonym, gdy patrzę na cudowne perspektywy ulic, bryły kamienic i kościołów, fasady gmachów, zwieńczenia niegdysiejszych elewacji - nie mogę uwierzyć, że to kiedyś zbudowali Polacy. Ze potrafiliśmy to zrobić.

Kabaret: Ty będziesz Kultura i Tradycja, a my zmieniający się, ciągle nowi działacze (zaczynający stale od początku), (zainscenizować) (maj 87) ^



Jak różnie starzeją się mężczyźni. Jedni gogusie często dojrzewają, mądrzeją, a przez to robią się na starość ładni, przystojni, interesujący i męscy.

Inni znów, młodociane przystojniaki, przez swoją rosnącą głupotę i pogłębiający się kabotynizm stają się obrzydliwi i nie do zniesienia.

Z kobietami problem jest jeszcze trudniejszy, a wypadki tym radsze. Prawdziwymi damami, z ich dojrzałym światopoglądem, jasnym i rzekłym, humanistycznym podejściem do świata, zachowujących jednocześnie wdzięk i osobisty urok - stają się rzeczywiście nieliczne.

Chyba zostanę dzieckiem jednak. (1987)

(i jeden z ostatnich wpisów w zeszycie, czerwiec 1987)

Twarze z cmentarza (1 sierpnia). Inny gatunek ludzi. Nie wiem - lepszy, gorszy, nie ma znaczenia i nie wolno wartościować - natomiast mnie bliższy.



Każdy, najdrobniejszy fakt ma jakieś przyczyny w przeszłości. Z drugiej strony przybywa na świecie ludzi, rodzą się wazniutki specjalizacje i zainteresowania.

My, chociaż wobec świata spóźnieni w kulturze materialnej i technice o dobre 80 lat, chcąc nie chcąc i wbrew założeniom zrobienia z nas homo sovieticus, a może właśnie dlatego, wytworzyliśmy typ myślenia prawie obcy społeczeństwom zachodnim. Sadzę, że w tej mierze sporo mogliby się u nas nauczyć.

I tak jak w technologiach jesteśmy w sytuacji praktycznie gorszej niż kraje trzeciego świata, tak właśnie w różnorodności namysłów(?) i zainteresowań żyjemy wielokrotnie w bardzo ciekawym i barwnym świecie.

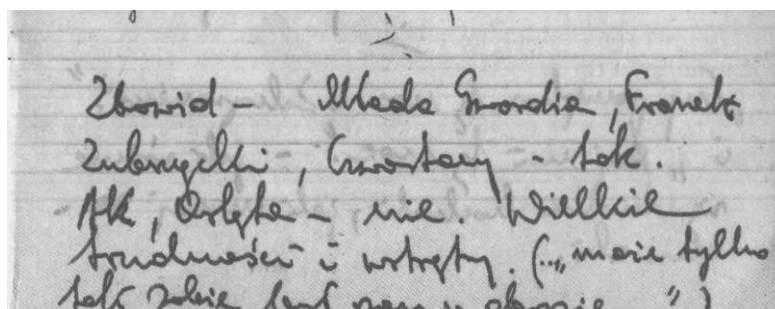
Ba, gdybyśmy tak mogli wydawać jeszcze to wszystko, co byśmy chcieli. (Nie, p. cenzorze, nie to, o czym pan myśli, a co podpowiada niedorzecznik, nie. Nie wywrotowe, antysocjalistyczne. Ale wrogie. Wrogie tak. Wam wrogie. Bo mam tu na myśli książki mądre, piękne, prawdziwe). Na szczęście zostało jeszcze kilka obszarów stosunkowo na razie mniej zagrożonych i tu kilku mądrych, ostatnich już społeczników - humanistów, mających jeszcze dostęp do pośrednich decyzji, szuka szczęścia.

W tym zakresie temat dawnych kabaretów jest dość bezpieczny. Bo to było, a nie jest. Tak jak z żyjącymi i nieżyjącymi pisarzami. Jeszcze we wtorek nędzny wróg, pisarzyna, już we środę, po nocnym zgonie, autor, którego twórczość wejdzie na trwałe w dorobek narodowej kultury, osiągniętej dzięki zwycięskiemu marszowi Czerwonej Armii. Dlaczego? Bo już go nie ma. Już nie zagrozi. Co zrobił, to zrobił - zatwierdzamy. Mało tego. Wołamy o nim, że był bezkompromisowy, zawsze walczył o swoje, nie ustępował. Chwała mu. Ale już nie podskoczy. Nie zrobi psikusa, że my go za życia pochwalimy, a on zawiedzie.

Już nie zawiedzie.

No i w związku z tym powinienem opisywać tło wydarzeń oraz na tym tle swój życiorys satyryczny i własną osobowość.

Świadomość zawodowego uprawiania satyry jako środka wyrazu i własnej walki ze światem przysła znacznie później. Taki proces wymaga lat, narastania tej świadomości. Sądzę, że u podstaw późniejszej działalności leżało instynktowne poczucie sprawiedliwości i pewien rodzaj czułości na ludzką krzywdę. To znaczy zawsze brałem stronę słabszego. To „instynktowne”, toteż nie tyle dziedziczne, ile wyniesione z domu. Zostało w odruchach bezwarunkowych. Po mamie. Jeżeli jest we mnie cokolwiek dobrego, to od niej. To niesamowite, jakie za czasów młodości mojej mamy były szkoły i wychowanie. Wyszła z tzw. dobrej, osadzonej w tradycjach mieszczańskiej, płockiej rodziny. Szkoła średnia dała jej takie podstawy w zakresie wszystkich przedmiotów, że później, bez trudu, mimo kolejnych reform, mogła pomagać w lekcjach trzem pokoleniom. Biegła, ze świadomością rzeczy i znajomością problemów dziecięcego umysłu. Wyszła ze szkoły średniej z biegłą, podkreślam z biegłą znajomością trzech języków obcych. Francuski, niemiecki i rosyjski (ten ostatni był wtedy też obowiązkowy). Ta perfekcja uratowała nam później życie. Najpierw na wschodzie, potem w Rzeszy. Pełna znajomość historii, literatury własnej i obcej, i niespotykane już prawie opanowanie języka ojczystego. Kaligrafia, interpunkcja, ortografia, gramatyka to były tylko konieczne podstawy dla głównej sprawy - jasnego wypisywania się. Przedstawiania myśli. A były to myśli warte tego, żeby je przedstawiać. Późniejsze studia uniwersyteckie mamy pogłębiły jeszcze te wszystkie cechy. Jako dorosły chłopiec poznałem grono jej przyjaciół z tamtych lat. Cudowni. Otwarci na świat, mądrzy i dobrzy. I tę dobroć chcę specjalnie podkreślić. Ona właśnie, z najgłębszym patriotyzmem była u podstaw tysięcy gniazd rodzinnych, które później wydały na świat to tragiczne pokolenie, zabite historią. Inaczej wyglądałaby teraz nasza Ojczyzna. Trzech pokoleń za mało, żeby to odbudować. Więc nie bardzo można się dziwić, że dzisiaj jest tak, jak jest, gdy zamiast tego pokolenia doszły do głosu wypierdki, zezowaci i intendentura. (1985)



Zbawid - Alkale Gmoch, Franek
Zubnycki, Anstacy - tok.
Alk, Orlyka - nie. Willkie
trudności i wstępy. ("moje tylko
takie takie best men w obosie.")

NADDATEK
(wynik rozszerzenia II wydania)

W bardzo różnych zeszytach robię kolejne notatki, więc gdy będę chciał to zebrać, trudno będzie o chronologię. Zaczął się maj '87. Bardzo dawno (chyba kilka tygodni) nic nie odnotowałem z wydarzeń krajowych i zagranicznych. Działo się niemało, jakieś wizyty, oświadczenia, przebudowy, deklaracje, ale przyznaję, że nic, kompletnie nic, mnie to nie obchodzi. Tak jestem tym zmęczony i pełen obrzydzenia, że ani nie chcę w tym uczestniczyć, ani myśleć o tym. Potrzebuję tlenu, słońca, zieleni. Chcę być jak najdalej od wszystkiego, co nosi przymiotnik „socjalistyczny”, daleko od ludzi, którzy w tym się babczą. Nie mógłbym żyć poza Polską, ale chciałbym znaleźć w kraju jakiś średnio zamożny azyl, który chroniłby mnie przed tą komunistyczną zarazą. Wszędzie tam, gdzie pojawia się ten ich realny socjalizm, pojawia się również zło. Gdy tylko dociera do, coraz nie liczniejszych już, obszarów dotychczas nieskażonych, natychmiast zwycięża zło, pojawia się jak nowotwór, rozrasta w zdrowej tkance i przerzuca na sąsiednie, dotychczasowe organy. Dotyczy to wszystkich dziedzin życia. I materialnych, i duchowych. Wszystko brzydnie, biednie, traci sens, traci cel, traci nadzieję.

Chciałbym się znaleźć w czystym, zdrowym lesie, na nieskażonym, rybnym jeziorze, w łódce, z wędką, w czystym, lekkim wietrze, w słoneczne przedpołudnie, przy rozśpiewanych, rozświetlonych majowo trzcinach, swobodny, wolny, wiosłujący według uznania w wybranym przez siebie kierunku, pewny o własny byt i pewny dobrej, pogodnej przyszłości dzieci.

Jestem już stary, ale sądzę, że w innych okolicznościach, niż te, które są mi dane, mogłaby mnie rozpierać radość życia niemniejsza niż ta, jaką przeżywałem w młodości i jaka jest tej młodości przywilejem.

Na wstępie wypada mi przeprosić państwa, że pozwolę sobie mówić bez kartki. Czynię to z dwóch powodów. Po pierwsze jako pretekst przeciwko obłudnej kartkomanii zalewającej nasz kraj. Wychodzę być może z błędnego założenia - ale albo ktoś ma mi coś do powiedzenia autentycznie i wtedy słucham go z przyjemnością, albo nie ma i wtedy odczytywanie mi gazety na głos mija się z celem, ponieważ mogę to robić sam znacznie szybciej, z większym pożytkiem i w chwili, która mi najbardziej odpowiada. A dodać muszę, że ja bardzo ładnie czytam po cichu (nawet nie ruszając wargami). To jest jedna sprawa.

Drugi powód, dla którego postanowiłem wystąpić bez kartki - to chęć podkreślenia faktu, że moja wypowiedź ma charakter całkowicie prywatny, nie reprezentujący żadnej grupy i jest tylko nadużyciem zaufania, jakim obdarzyło mnie Ministerstwo, przysyłając mi uprzejmie zaproszenie na dzisiejszą naradę.

Jeszcze jedno zastrzeżenie. Chcę powiedzieć (i powiem) kilka słów na bardzo niepopularny temat - pozornie nawet niezwiązany z dzisiejszym programem narady - mówię „pozornie”, ponieważ jeżeli zadadzą sobie państwo trud uogólnienia zagadnienia, sprawa może dotyczyć nas wszystkich. Ja w tym wypadku reprezentuję (choć prywatnie) interesy Estrady tak, jak ja je rozumiem i nie ma na to rady. Jako lojalny obywatel swojego kraju będę zawsze lojalnie wypełniał przypadające na mnie i zleczone mi obowiązki, co jednocześnie jednak, nie wyklucza posiadania przeze mnie własnego poglądu na szereg spraw, co jest nieuniknione praktycznie zakładając, iż reprezentuję gatunek znany nauce pod nazwą homo sapiens. Jest to oczywisty truizm, ale na fali bliskiej nam od lat frazeologii wygodniej jest szeregu czynnikom o tym zapominać.

Chcę powiedzieć o dwóch sprawach. Niezmiennie krótko. Pierwsza - sprawa wspomnianej tutaj tabakiery. Dla jasności - przez tabakierę rozumiem Ministerstwo, przez nos - środowisko artystyczne.

Pp., jest rzeczą znamioną, że np. w rzeszowskim matki, gdy dziecko odmawia jedzenia potrawy, która mu nie smakuje, straszą je mówiąc: jedz, jedz, bo przyjdzie pan Kubicki z Ministerstwa Kultury i nawet ci to zabierze. Jest to niepedagogiczne i świadczy o tym, ile jeszcze ciemnoty, mimo bezspornych wysiłków, istnieje na naszej wsi, ale jest jednocześnie wskazówką, że trzeba wszelkimi środkami dążyć do zwycięstwa nad ciemnotą. Osobiście dodatkowo

boli mnie fakt, iż wyż. wspomniane matki, bądź to z roztargnienia, bądź przez zbieżność fonetyczną, mylą nazwiska i czasami w ferworze, zamiast Kubicki, mówią... nie pamiętam ... Rubicki, czy Balicki - coś tak mniej więcej.

Proszę państwa, na zdrowy rozum. Jeżeli szereg cennych inicjatyw środowiska rozbija się całkowicie, o opór kilku wyższych urzędników, to trzeba coś z tym zrobić chyba. Moim zdaniem, do rozważenia czynników miarodajnych należałoby chyba zmienić środowisko, ale to już panowie lepiej wiedzą.

Druga sprawa - program rozrywkowy TV: chcę wyrazić swój osobisty pogląd, że człowiek, który od lat reprezentuje ten dział, a który nazywa się Witold Filier, nie nadaje się na to stanowisko. Cenię go skądinąd za jego działalność publicystyczną (m.in. za ostatnie zdemaskowanie „Kultury paryskiej”), oraz za niezłomną postawę polityczną (na tym się mniej znam, ale mówili mi, że w porządku), natomiast twierdzę, że na rozrywce po prostu się nie zna i nie może się znać, ponieważ nigdy z tą dziedziną nie miał do czynienia. Moim zdaniem, taki człowiek nie może ferować wyroków, co jest dobre i co złe, i kształtować według swojego poglądu gustów wielomilionowej publiczności.

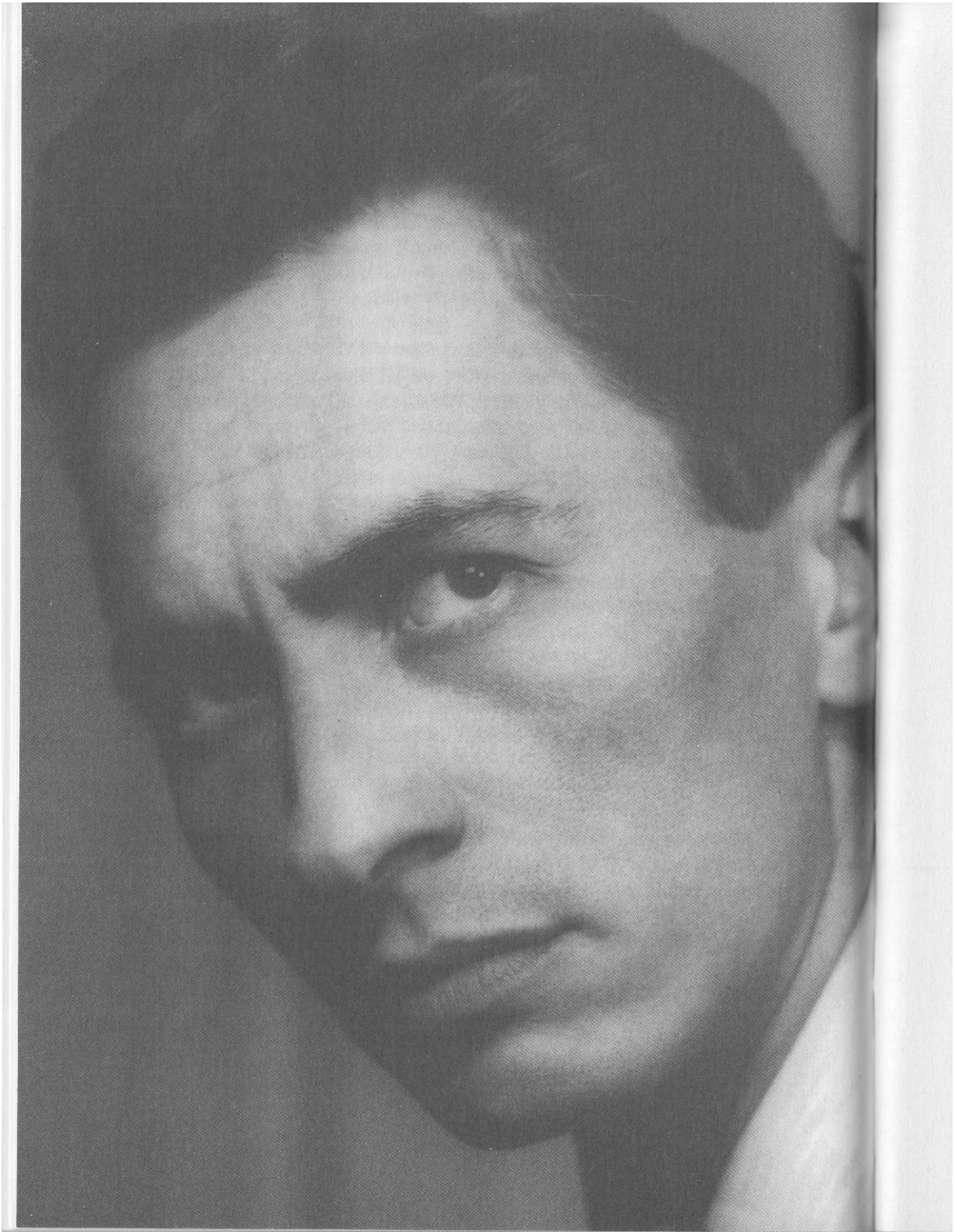
Sekundę... (z kartki): „Uważam swoją wypowiedź za zakończoną”.

Jerzy Dobrowolski Warszawa
Solec 109 m 22



„Kusza kiszą, a komisze liszą” - to nic absolutnie nie znaczy, ale on to sam wymyślił (Jerzy Dobrowolski - Lew) i można się tym posługiwać w dyskusjach jako porzekadłem ludowym.

Z tym, że w inteligentniejszych środowiskach 1-szą część przysłowia „kusza kiszą” należy wymawiać z akcentem francuskim jako coś lepszego odwołującego się do wspaniałych tradycji, natomiast drugą część „a komisze liszą” - prawie z chamską, z waszecią, ze specjalnym akcentem na „komisze” - a komisze liszą (liszą - pogardliwie). (1970)



Socjalizm jest to ustrój, który próbuje rozwiązywać problemy, które poza Socjalizmem w ogóle nie występują.



Proletariusze wszystkich branż dzielcie się, a my już was powoli spacyfikujemy.



Niewątpliwie jestem siłą ekstremistyczną (dlatego m.in. tak drażni mnie telewizja - tow. Olszowski twierdzi, że TV jako środek państwowy spełnia swoją rolę, czego najlepszym dowodem jest oburzenie na TV sił ekstremistycznych).

Od dzieciństwa byłem ekstremistą. Szukałem rozwiązań skrajnych. Jak mi się chciało jeść - jadłem, siusiu - siusiałem.

linna wersja

Nie wiedziałem, skąd się bierze moja niechęć do TV - aż jeden z mocarzy ducha na spotkaniu z aktywem w Ursusie, co pokazała TV (Olszowski - grudzień '81) - otworzył mi oczy. Jestem siłą ekstremalną.



Ciekawe, czy kiedyś trafi w ręce Solidarności taśma z posiedzenia Biura Politycznego (bo odwrotnie owszem, zdarza się).



Nie trzeba specjalnie martwić się, że niszczone jest systematycznie słowo pisane.

O barbarzyństwie naszych czasów świadczy nie słowo, które można sfalszować. Dla historii świadectwem naszego prymitywu pozostanie architektura wielkiej płyty i cmentarze z lastrico.

*

Sejm PRL - specjalny organ państwa -
- do kierowania rozwojem kraju.

W Warszawie. Urodziłem się w Warszawie, wychowałem, przeżyłem wojnę i powstanie. Starłem się od kilkunastu lat zresztą o mieszkanie, co mnie pochłaniało bez reszty, tak że i na życie artystyczne choćby czasu brakowało. Doszło nawet jakby do małego konfliktu. Faceci odpowiedzialni „za jedynie słuszną linię” (bo nie wiem, czy państwo zauważyli, my - niezależnie od sytuacji, dat 1 historii - mamy na szczęście zawsze „jedynie słuszną linię” i to nas ratuje do czasu), no więc ci faceci ustami swoich urzędników proponowali nam (co do mieszkania) różne terminy i lokalizacje, ale myśmy z żoną przyznając trochę wybrzydzały. A wybór był spory nawet. Np. już w latach 90-tych pod Łowiczem, albo znowu odwrotnie: 60 km w stronę Lublina dwutysięczne, jeżeli udowodnimy, że będziemy małżeństwem rozwojowym. Żadne mieszkanie nawet. Bez wody wprawdzie, ale na parterze. Więc dosłownie dwa kroki od studni. Ja się skłaniałem nawet, bo to punkt dobry, ale żona chciała, żeby chociaż okna wychodziły na zachód, a tam jakoś odwrotnie było zdaje się. A nie. Kierunek był dobry. Tylko okien nie było. W interesie mieszkańców. Z uwagi na ogrzewanie, na ubytek ciepła zimą znaczy. Bo to miały być bloki eksperymentalne, ogrzewane własnym ciałem. (1981)

Czy nie udałoby się tak rozwarstwić społeczeństwa, to znaczy zbudować takie struktury czy układy, w których ludzie podobnie myślący, związani mniej więcej stopniem kultury, inteligencji, wiedzy i obyczajów mogli żyć w swojej enklawie nie zagrożeni przez inne warstwy?

Niestety. Socjalizm w swojej dobroci zrównał nas wszystkich i dziś ekspedientka z mięsnego, młoda pinda po 6-ciu klasach, może lżyć bezkarnie profesora polonistyki, którego notabene pensja, po 30-tu latach pracy naukowej, badań i studiów nie różni się wysokością od zarobków tej troglodytki.

Pal diabli zarobki, mówmy o obyczajach. Gdzie się ukryć, w jakiej miejscowości osiąść, jakim jechać środkiem lokomocji, do jakiej wstąpić restauracji, dokąd pojechać na urlop, aby czuć się swojsko, aby nie czuć stresującego stałego zagrożenia przed pobiciem, przed zelżeniem, przed upokorzeniem, przed wszechobecnym bezmiarem chamstwa.

Jak uniknąć obecności obok nas prymitywnej, wychowanej już wyłącznie w socjalizmie młodzieży.

Jak ustrzec się przed plugawością języka, który wylewa się bezkarnie na nas i nasze dzieci z każdego układu społecznego. W tramwaju, w kolejce, w parku, na plaży. We wszystkich miejscach i układach, w których siłą rzeczy wpleciony jest tzw. szary obywatel poprzez normalny życiowy układ. Trudno bowiem sobie wyobrazić, aby nie kupować w sklepie, nie jeździć pociągiem, nie chodzić do kina, nie kontaktować się ze światem, nie rodzić dzieci, nie chodzić do lekarza, nie zarabiać na życie.

Ale, przyjmując teoretycznie, że byłoby to możliwe, to zdobycze socjalizmu dopadną cię w domu. W postaci administracji, hydraulika, komisji, gospodarza bloku itp., itd., a wszystko to będzie nastawione do ciebie wrogo, bezdusznie, źle.

(dalej napisać o prominentach, ich niewiedzy i wyalienowaniu oraz życiu, jakie prowadzą, dalekim od wszelkich społecznych autentycznych klęsk).

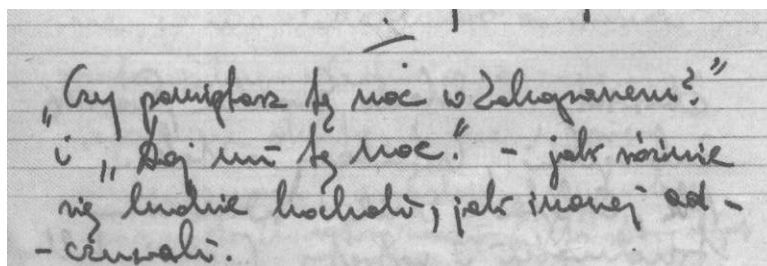
Prasa, radio, TV pełne są informacji i sprawozdań z procesów sądowych ludzi, którzy - gdyby nie socjalizm - w ogóle nie popełniliby przestępstwa

[wynosił kielbasę z zakładu, sprzedawał po paskarskich cenach benzynę na lewo, kradł papier toaletowy (!!!), ukrywał pod ladą książki itp., itd.].

Któremu np. taksówkarzowi na świecie przyszłoby do głowy sprzedawać z zyskiem benzynę, którą przed chwilą kupił, aby wozić pasażerów i w ten sposób zarabiać na utrzymanie? Pomysł niby dobry, lepsze to niż tuc się cały dzień po mieście, ale kto tę benzynę kupi od niego?



Żadnej godności narodowej. Pełny serwilizm. Przeczytajcie lub posłuchajcie oficjalnych przemówień na temat Zw. Radziec. Te dziękczynienia, te peany, ta apoteoza - obrzydliwość.



(Apio - tematy)

Fragment wywiadu w radio:

Reporter - (który pragnie przedstawić nam zalety bycia w wojsku a jednocześnie pokazać to w sposób niezwykle prosty, ludzki) i nowoupieczony porucznik.

Rep. - Jak to było poruczniku? Czy nigdy nie przychodziły chwile wątplenia?

Por. - Owszem. Pod koniec drugiego roku chciałem to rzucić, bo przyszły na mnie chwile wątplenia.

Rep. - Jakiego rodzaju były te chwile wątplenia?

Por. - Myślałem, że nie dam rady. Było ciężko.

Rep. - Ale przełamał się pan?

Por. - Tak. Przełamałem się i postanowiłem zostać w wojsku.

Rep. - Czy samodzielnie podjął pan tę decyzję?

Por. - Nie. Bardzo mi pomogła kadra oficerska.

Rep. - I jest pan obecnie zadowolony.

Por. - Jestem bardzo zadowolony, chociaż były chwile ciężkie i bliski byłem załamania.

Rep. - A jednak. Kiedy to się stało?

Por. - Pod koniec drugiego roku.

Rep. - Proszę nam o tym opowiedzieć.

Por. - No więc, pod koniec drugiego roku chciałem to rzucić, bo przyszły na mnie chwile wątplenia.

Rep. - Rozumiem. A jakiego rodzaju były to chwile?

Por. - No więc było ciężko i myślałem, że nie dam rady.

Rep. - I odszedł pan z wojska?

Por. - Nie. Przeciwnie, pod wpływem rozmów z kadrą oficerską postanowiłem wytrwać przy swoim.

Rep. - To znaczy chęć zostania oficerem Wojska Polskiego była silniejsza od wszystkich wątpliwości?

Por. - Tak. Zawsze chciałem służyć ojczyźnie.

Rep. - I wybrał pan piękny zawód oficera. Czy jest pan zadowolony?

Por. - Jestem bardzo zadowolony, ponieważ spełniły się moje marzenia.

Rep. - A czy nigdy, w czasie szkoły, nie miał pan, panie poruczniku, żadnych wątpliwości, chwil załamań, czy ja wiem, nawet chęci porzucenia służby?

Por. - Nigdy. Zawsze jasno widziałem swoją drogę i realizowałem swoje młodzięcze marzenia. Tylko pod koniec drugiego roku chciałem to rzucić.

Rep. - Dlaczego?

Por. - Myślałem, że nie dam rady. Było czasami ciężko i myślałem, że nie dam rady. Przyszły na mnie chwile zwątpienia.

Rep. - Sądząc jednak po pańskim nowym pięknym mundurze porucznika, należy przypuszczać, że te wątpliwości zostały szybko przełamane?

Por. - Tak. Pod wpływem rozmowy z kadrą oficerską postanowiłem zostać, żeby w ten sposób służyć ojczyźnie.

Rep. - Rozumiem. Przykład godny naśladowania. Przypuszczam, że jest pan zadowolony ze swojej decyzji.

Por. - Jestem bardzo zadowolony.

Rep. - Panie poruczniku! Serdecznie panu gratuluję. Ale proszę powiedzieć nam otwarcie, nasza rozmowa ma przecież prywatny charakter, czy nigdy, w czasie szkoły, nie nachodziły pana jakieś chwile załamania. Przecież to byłoby nawet ludzkie. Czy nigdy nie...

Por. - Owszem. Muszę się przyznać, panie redaktorze, że pod koniec drugiego roku...

Miło, gdy dwaj inteligenci pogadają sobie publicznie przy mikrofonie. Serce rośnie.



(Tematy - koniec 1983 roku)

Przyrost naturalny wyniósł 702 000 urodzeń.

(Audycja w radio: dlaczego ludzie decydują się w tak trudnej chwili na potomstwo?) Zastanawiano się długo i doszukiwano się najrozmaitszych przyczyn, które niczego nie tłumaczyły. Nie powiedziano (a może nie potrafiono ustalić) o przyczynie zasadniczej.

Ludzie mają dzieci p-ko całej sytuacji. W atmosferze fałszu, obłudy, nędzy, kłamstwa, nieuczciwości chcą mieć coś normalnego, prawdziwego, własnego. To jest samoobrona. Ucieczka przed paranoją.

Do Redaktora „Życia”

Jak z tata zrobić wariata

(P) Wbrew rozmaitym próbom złośliwych krytyków rzucając jej kłód pod nogi, nasza telewizja nie ustaje w żmudnych wysiłkach oryginalnego przedstawiania znanych ludzi i spraw. Przekonałem się o tym dobitnie oglądając 1 maja rozmowę przeprowadzoną w Telewizyjnym Kurierze Warszawskim z Jerzym Putramentem o wynikach X Plenum KC PZPR. Wprawdzie główny temat pozostał raczej nietknięty (dlatego pewnie wystąpił jeszcze raz w dzienniku 3 maja, lecz bogactwo zaprezentowanych myśli zrekompensowało ten drobiazg ze znaczną nadwyżką. Powiedział więc po pierwsze Jerzy Putrament, że jeśli wróg kogoś chwali, to znak, że ten ktoś nie ma racji. Rozwijając tę myśl logicznie można zatem przyjąć, że jeśli wróg kogoś gani to wystawia mu tym samym dobre świadectwo. Mamy więc wreszcie wiarygodne kryterium obiektywnej prawdy. Kto jak kto, ale wróg nie może się mylić. Wystawiwszy tak pochlebną laurkę wrogowi, Jerzy Putrament przeszedł do przyjaciół oznajmiając, że znał Andrzeja Werblana jeszcze wówczas, kiedy tamten studiował historię rewolucji francuskiej.

Jak wynikało z dalszych wywodów, fakt ten miał rzucić odpowiednie światło na niedawne kontakty Andrzeja Werblana z aktywnym partyjnym w Toruniu. Czyżby znaczyło to, że tzw. struktury poziome w swych rewizjonistycznych zapędach uznały już doświadczenia

rewolucji francuskiej za jedynie godne wzorce dla partyjnej bazy?

Następnie poinformował nas Jerzy Putrament, trochę ni stąd, ni z owąd przeskakując z tematu na temat, że organizacja partyjna w Stoczni Gdańskiej — a właściwie tamtejsza „Solidarność”, jak się natychmiast poprawił — nie dała krajowi nic oprócz wolnych sobót i wielkiej inflacji. Była to niewątpliwie jedna z głębszych ocen obecnego kryzysu w Polsce, jaką kiedykolwiek słyszałem. Wreszcie dowiedzieliśmy się za pośrednictwem tv od redaktora naczelnego „Literatury” że obecny I sekretarz KC PZPR na tle swego poprzednika prezentuje się zupełnie dobrze.

Na zakończenie tego pasjonującego monologu Jerzy Putrament ostrzegł swego telewizyjnego interlokutora, aby był ostrożny w kontaktach z ludźmi, którzy podczas rozmowy często zmieniają temat apodyktycznie głosząc swoje racje, bowiem jest to zachowanie typowe dla każdego wariata. Na plus dziennikarza tv trzeba tu zapisać, że i tę kwestię pominął on uprzejmie milczeniem nie próbując, zgodnie z przyjętą przez siebie konwencją, ani razu przerwać wartkiego nurtu myśli swojego rozmówcy.

Tak więc już panoptikum oryginalności telewizyjnej publicystyki wzbogaciło się o jeszcze jeden cenny eksponat.

ANDRZEJ ALBRECHT
Warszawa

Inny Pierwszy Maja

(P) Na ten dzień czekaliśmy w tym roku inaczej niż zwykle. Toczyły się dyskusje i rozmowy, zastanawialiśmy się, jak w tym szczególnym i trudnym okresie powinniśmy obchodzić Święto Pracy.

Wydarzenia ostatnich miesięcy, wielkie przemiany, jakie dokonały się i dokonują w naszym kraju po Sierpniu, wzbudzają emocje a jednocześnie potrzebę głębszej refleksji, zastanowienia, rozważań, osobistych przemyśleń i decyzji. Dobrze, że zrozumienie tych nastrojów znalazło odbicie w sposobie obchodzenia Święta 1 Maja.

Nie było więc w tym roku powszechnej agitacji za pochodem, nie było odgórnego narzucania form obchodów. Poszczególne miasta i regiony kraju znajdowały własne, najbardziej zgodne z powszechnymi odczuciami sposoby uczczenia tego dnia.

W Warszawie odbył się pochód. W skromniejszej oprawie, bez honorowej trybuny, zmienioną trasą, która przywołała na myśl karty historii ruchu robotniczego, walki z hitlerowskim faszyzmem, odbudowy i rozbudowy stolicy. Plac Zwycięstwa i Grób Nieznanego Żołnierza, Plac Teatralny i warszawska Nike. Szliśmy pod biało-czerwonymi i czerwonymi szandarami. W pochodzie spotkali się ci, którzy czuli rzeczywistą potrzebę uczestniczenia w pierwszomajowej manifestacji. Nie dlatego, że kazał dyrektor, że świeciło

słońce, że nie było innych, atrakcyjniejszych możliwości spędzenia czasu, i nie z przyzwyczajenia.

Przekonaliśmy się, że jest nas sporo i jeszcze raz odczuliśmy, że dobrze jest spotkać się w szeregu z tymi, na których można liczyć.

1 Maja powinien być w kraju socjalistycznym świętem radosnym. W tym roku radości nie było. Za wiele jest problemów, które kładą się ciężarem, na dniu powszednim każdego z nas. I choć w pochodzie widziało się uśmiechnięte twarze, to przeważał nastrój powagi i troski.

W pochodzie niesiono hasła: „10 X TAK”. Chodziło oczywiście o 10-punktowy program rządu Wojciecha Jaruzelskiego. Bardzo jest potrzebne to społeczne, powszechne wsparcie. Nie ma też wątpliwości, że najlepszym wsparciem jest praca — rzetelna, uczciwa, na każdym stanowisku, zarówno robotniczym jak i ministerialnym.

Inne hasło — „Odnów TAK — wypaczeniem NIE!” oddawało dobrze myśli większości nie tylko partyjnych uczestników pochodu. Jesteśmy za socjalistyczną odnową, a więc za socjalistyczną Polską. Musimy zrobić wszystko, aby była ona Polska silna, gospodarna, Polska licząca się w Europie i świecie, choć wiadomo, że nie przyjdzie to łatwo.

JOANNA MAZURCZYK

Awers i rewers. Zainteresował Jerzego Dobrowolskiego jeden artykuł z „Życia Warszawy”, ale i druga strona okazuje się bardzo interesująca

Temat „Bobry” (z Kroniki Filmowej obejrzanej w Ustce, w sierpniu '83). Wynikało z niej jak gdyby, że to jednak bobry są główną przyczyną słabych wyników w gospodarce rolnej i leśnej. Jest ich już w kraju (tych sympatycznych skądinąd zwierzaków) ok. 2 tysięcy. Podcinają drzewa, zalewają tereny, zamulają kanały melioracyjne, na co nie możemy sobie pozwolić. Prawdopodobnie również popierają restrykcje Reagana i brały udział w śmiertelnym pobiciu Przemyska.

Przyczynek do mowy ojczystej (z wizyty w Polsce Honeckera):
... odnotowano dalszy postęp w wielu dziedzinach... (b. pozytywne, tyle że nic nie znaczy; kto odnotował, w jakich dziedzinach to już nieważne.)
... podniósł się pułap stosunków między naszymi krajami... (też niezłe. Pułap stosunków.)
... podkreślono konkretność wizyty... (pewnie w kontekście odnotowania dalszego postępu w wielu dziedzinach - zaiste wyjątkowo konkretnie).

Siłą przyzwyczajenia operatorzy TV (po 1-szej wizycie papieża) nawet, gdy gromadzą się tłumy warszawian na powitanie bratnich mężów stanu, nie pokazują tych tłumów, ograniczając się tylko do zbliżeń lub orkiestry. Szkoda.
(Warszawa przybrała odświętną szatę)

Lipiec '84
Na widowni (Festiwal Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu) oprócz żołnierzy i żon oficerów, biedna, ogłupiona, sprymitywizowana, podrygująca i bujająca się do rytmu prymitywnych piosenek - młodzież. To kandydaci na przyszłe ekspedientki, urzędników, członków partii i wyższych oficerów. Już niedługo przejmą ster nawy państwowej w swoje ręce.

Nadrzeczywistość
Nadrealność ideologiczna
Zastąpienie rzeczywistości realnej rzeczywistością wymyśloną (urojoną).

Ideokracja
Słowokracja

Reżim despotyczny - jednostka rządzi zgodnie ze swoim partykularnym interesem.

Reżim oligarchiczny - jak wyżej, lecz rządzi elita.

Reżim radziecki rządzi w interesie wymyślonej rzeczywistości, którą ideologia zakłada jako istniejącą. (Reżim ideologiczny?). Trwa nieruchomo, nie podlega przemianom, bo jest nierealny, fikcyjny.

Trzeba rozbić na atomy ludzki pył, aby unicestwić pluralizm społeczny, sam w sobie będący niebezpieczeństwem i dla samej partii. (Pojawiłyby się tendencje wyrażające interesy poszczególnych odłamów społeczeństwa). Dlatego też klasa chłopska jest tak groźna dla systemu.

Surrealistyczna rzeczywistość transparentów - w niej tylko żyją „realia” (propagandy): klasa robotnicza, postęp, zdobycze, walki, zwycięstwa.

Granicząca z cudem niewydajność gospodarki.

Zadanie: zwracać słowom ich sens, dać ludziom ludzki język, przywrócić mu życie.

Nowomowa zaś istnieje po to, aby ujednoczyć społeczeństwo. Dlatego zabrano, przywłaszczono środki komunikacji międzyludzkiej - język i masowe środki przekazu.

Alain Besançon: „Ideologia jest systemem werbalnym, który opiera się na słowach i słowami się żywi. Użyczać mu słów, ustępować mu w słowach znaczy nadawać mu tę jedyną realność, do jakiej jest zdolny”.

Sankcjonuje się tym samym legalność fikcji, uznanie nieistniejącego (np. poprzez przyznanie się w procesie, poparcie w głosowaniu, udział w „wyborach”).

Styl to człowiek. Więc zabrać styl. Ujednoczyć.

Listopad '84

67 lat cyrku radzieckiego

40 lat PRL

Systematycznie, konsekwentnie, z dnia na dzień, wyzbywają nas luksusu. Luksusu? W ich rozumieniu naturalnie.

10 lat temu, 20, można było kupić żelazko. Wchodziło się do sklepu i nabywało taki specjalny przyrząd elektryczny służący do prasowania odzieży na gorąco. Dzisiaj nie jest to już możliwe. Tym niemniej w walce „o dalszy rozwój socjalistycznej ojczyzny” są jeszcze żelazka dla MM. (Młodych Małżeństw). Mój siostrzeniec właśnie zakłada młode małżeństwo. Niestety w ramach dalszej troski o potrzeby młodych ludzi pracy żelazko mu nie przysługuje, ponieważ oboje przekroczyli limit wieku, jedno z małżonków nie może przekroczyć bowiem wieku 25 lat. Dla MM są jeszcze również lodówki, pralki, firanki, ale rodzinie mego siostrzeńca nie przysługują niestety. Słusznie, gdzie to trzymać? Mieszkanie będą mieli za 20 lat. Żelazko można pożyczyć, podobnie jak nożyczki, nóż do chleba itp. (łyżki cynowe są dostępne w sklepach).

Wszystko brzydnie, bylejaczaje, ubożeje. Gdzie niegdysiejsze zapałki? Pieczywo? Papierosy? Owoce, jarzyny, wędliny? Gdzie wszystko?

No, ale dali nam „rogatywki” w wojsku. To znaczy przywłaszczyli sobie. Podobnie jak hymn narodowy, Święto Zmarłych, wyrwane z kontekstu myśli naszych wieszczów, język, historię.

Ci lokaje mogołów, walczący o nuworyszowską egzystencję, nie byłiby tak niebezpieczni, gdyby nie służyła im plejada przechrztów, judaszy świadomie sprzedających im tajemnice naszych dusz.

Być posługaczem lokaja to zajęcie wyjątkowo podłe. W tym miejscu łączę serdeczności dla pana Jerzego Urbana, jednego z najpodlejszych, wraz z życzeniami, aby imię jego żyło wiecznie. (Wielka Encyklopedia Powszechna PWN - Vidkun Quisling - po wyzwoleniu Norwegii skazany na karę śmierci i stracony).



Kwiecień '85

Znów kolejne upokorzenie. Dla dobra klasy robotniczej każdy właściciel samochodu przed zatankowaniem musi na przydzielonych, swoich żebraczych bonach benzynowych wpisywać osobiście na odwrocie numer rejestracyjny swojego pojazdu. Po co?

Otóż jest powód. Pracownik stacji benzynowej po wycięciu nożyczkami kolejnego odcinka i porównaniu wpisu z nr. samochodu nakleja go przy pomocy kleju na arkusze papieru, który to ostemplowany arkusz przesyłany jest do jakiejś ichniej centrali, gdzie na specjalnym prawdopodobnie elektronicznym urządzeniu jest prześwietlany. Specjalni pracownicy obserwują proces prześwietlania. Podobno fałszywy, podrobiony odcinek da obraz czarny. Wtedy się go odkleja, odczytuje z tyłu numer samochodu, daje znać organom ścigania, te wyszukują w rejestrach nazwisko właściciela pojazdu, no i już normalnie areszt, śledztwo, proces, wyrok. Daje to zajęcie setkom tysięcy osób. I producentom nożyczek, i kleju, i tuszu, drukarzom od kartek, papierniom, kierowcom wożącym arkusze, specjalnym urzędnikom, funkcjonariuszom MO, sądom oraz wszystkim innym tylko pośrednio związanym z wprowadzeniem socjalistycznego postępu. I nareszcie jest porządek i nie ma bezrobocia.

Podobno na świecie trzeba ograniczać wydobycie ropy i jej ceny stale spadają, ale na szczęście nie ma to nic wspólnego z gospodarką naszego bloku. (Uwaga: blok socjalistyczny, blok mieszkalny, blok czekoladopodobny, blok wiadomości i inne bloki).



(kwiecień '85)

Autorzy tekstów piosenek wojskowych wykryli pewną prawidłowość. Otóż jeżeli przyszczaty, niedomyty, spocony, tępy, niewykształcony, prymitywny, ogłupiony, podpity, niechlujny i brzydko pachnący młody człowiek w mundurze szeregowca Ludowego Wojska Polskiego pojawi się, najlepiej grupowo, w dowolnej części naszej ojczyzny, to piękne, pachnące, pełne wdzięku, mądre, nadobne panny i dziewczęta tracą rozum ciągnąc sznurem za mundurem. Zakochują się bez pamięci. Płaczą, biegną za wojskiem, zrywają kwiaty, rzucają kwiaty, kucają, odmawiają jedzenia, śnią na jawie, trą udami, rzucają się na wznak, krzyczą, powiewają chustkami, podchodzą pod druty, rozbierają się i - co ciekawe - nie zakochują się na ogół w pojedynczym Janie czy Stachu, lecz zasadniczo w całych jednostkach. A chłopaki, przyzwyczajeni do adoracji, świadomi swoich wdzięków i przewagi, niezależni i swobodni, rozkochują, odjeżdżają, zostawiają, pędzą do dalszych zadań. A tam nowe dziewczęta, serca złamane. Ech, dobrze w wojsku być.

(kwiecień '85)

Swoista kazuistyka:

W witrynie propagandowej MPiK w Szczecinie przeczytałem na jednej z plansz z fotografiami takie zdanie: W roku 1945 Polska Rzeczpospolita Ludowa za swe godło przyjęła orła bez korony.

Potwierdził to Dekret Rady Państwa z dn. 7 XII 1955 r. itd. (oraz Ustawa Sejmowa o godle, barwach i hymnie PRL z 1 lutego 1980).

164 Odbyło się to prawdopodobnie tak. Patrzą któregoś dnia w 1945 roku partia i rząd na Polską Rzeczpospolitą Ludową i co widzą? Otóż widzą, że ona właśnie przyjęła za swe godło orła bez korony. Cóż było robić? Kłócić się z nią? Nie warto. Lepiej poczekać. Może jakiś dekret to potwierdzi? I mieli rację. Rzeczywiście. Potwierdził to dekret z dnia...

I tak jest ze wszystkim. Zawsze coś się takiego obiektywnego dzieje w przyrodzie, za co nikt nie może być odpowiedzialny. Np. wobec narastającej fali antyrządowych demonstracji zaszła konieczność zastosowania odpowiednich środków zaradczych. Nie, nie na rozkaz generała X czy sekretarza Y hordy uzbrojonych siepaczy zabiły lub okaleczyły bestialsko bezbronnych ludzi, bo zaszła konieczność zastosowania. Bezosobowo i obiektywnie.



(kwiecień '85)

Sprawa właściwej interpretacji:

o ile tekst radiowy, estradowy, kabaretowy nosi parodystyczny czy lekko pastiszowy charakter lub w ogóle w jakiś sposób odbiega od normy, poruszając np. tematy abstrakcyjne lub udając tekst serio, poprzez zestawienia zupełnie wolnych skojarzeń stwarzających jednak pozory sensu, to nieodmiennie większość zawodowych wykonawców przeczyta lub wykona z pamięci dany utwór wygłupiając się niepomiernie. Zmieni głos na dziwny, będzie mówił bardzo głośno, fałszywie akcentując, przedłużając sztucznie niektóre sylaby, podkreślając wbrew logice poszczególne wyrazy, będzie bardzo przyśpieszał, będzie mówił b. grubo lub falsetem lub przeciwnie - zwolni, a jeżeli występ jest na żywo, to wzbogaci jeszcze utwór o przedziwny, nienaturalny wyraz twarzy, tzw. minę charakterystyczną. O ile pozwolą mu

możliwości postara się również o szczególnie kretyński kostium z rekwizytorni początku wieku. Dla kolegów artystów z terenu dobre są po dziś dzień np. tzw. zarękawki dla urzędnika, mównica z karafką wody dla prelegenta (model radziecki i krakowski), okulary na końcu nosa dla nauczyciela, stercząca siwa peruka dla naukowca oraz zawsze nieodmiennie śmieszne takie rekwizyty, jak wielka mucha w kropy, kamizelka w kratkę, laseczka, melonik, rękawiczki, kwiatek. Zachodzi bowiem w artyście ciekawy proces myślowy, który wygląda następująco: jestem inteligentny, uczyłem się przez szereg lat zawodu, a chociaż par excellence jestem artystą dramatycznym nie obce są mi role charakterystyczne, kabaret jest mi szczególnie bliski jako rodzaj przeciwwagi. Przedstawiony mi tekst zrozumiałem przy pierwszym czytaniu. On nie jest naprawdę, to jest parodia. Teraz ja jako zawodowiec mam obowiązek tak przekazać utwór, aby widz czy słuchacz nie miał wątpliwości, że to pastisz. Nie mogę przecież przedstawić utworu normalnie, bo po pierwsze słuchacz mógłby pomyśleć, że to serio, a gdyby jednak zrozumiał właściwie, to wtedy mnie mógłby posądzić, że to ja nie zrozumiałem i że głupoty wygłaszam na poważnie. Zawieram więc z odbiorcą rodzaj umowy. Ja się wygłupiam, bo tekst głupi, widz rozumie, że tekst głupi, bo ja się wygłupiam. Śmiechom i oklaskom nie będzie końca, a ja przed sobą i widzem jeszcze raz potwierdzę, że nie jestem amatorem. Lecz świadomym profesjonalistą, który potrafi każdy utwór przetworzyć przez siebie.

W teatrze takie rozumowanie towarzyszy reżyserom i scenografom przy wystawianiu np. sztuk Witkiewicza. Na finezyjność i perwersyjność formy zamierzonej przez autora celem przeprowadzenia pewnej określonej myśli przecież, nie ma już miejsca niestety. Mało tego. U głupiego widza powstaje przekonanie, że wykonujący utwór aktor X dobry był jak zwykle i klawo się wygłupiał, ale tekst to mu dali marny jakiś. Natomiast widz bardziej ambitny, któremu nieobce są tajemnice warsztatu aktorskiego stwierdzi, że X robił naprawdę wszystko, żeby uratować autora, ale nawet on nie mógł nic poradzić na taki miałki materiał literacki. Niestety.

Tak dobry aktor nie powinien w ogóle brać na warsztat takich rzeczy.



(Kwiecień-maj '85)

W „bloku wschodnim” charakterystyczną cechą są działania pozorowane. W dziedzinie nas interesującej dotyczy to twórczości satyrycznej, a właściwie „satyrycznej”, ponieważ w obiegu oficjalnym, to znaczy w jedynie dopuszczalnym, pojęcie to zatraciło swój pierwotny sens zachowując jednak nazwę.

I tak np. obowiązkiem każdego KDL-u oraz republik radzieckich jest posiadanie reżimowego „pisma satyrycznego”, któremu nadaje się przemyślną nazwę (Krokodyl, Lustro, Szpilki, Jeź, itp.), mającą określać bezkompromisowy kierunek działalności organu. Naczelnym Redaktorem zostaje wysokopartyjny facet, którego obowiązkiem jest niedopuszczenie do druku niczego, co mogłoby chociażby w najmniejszym stopniu zaszkodzić reżimowi, a publikują się w tym piśmie bądź nieudacznicy, bądź serwiliści oraz cyniczni cwaniacy, którzy dawno już pozbyli się uczucia jakiegokolwiek wstydu i dostosowują się do obowiązujących wymogów. I tu następuje ciekawe zjawisko. Pisma wydaje się w dużych nakładach, a ci wszyscy figuranci egzystują jakimś cudem przez dziesiątki lat. Mają nazwiska, stanowiska, nagrody, ordery. Nie mają natomiast absolutnie nic do powiedzenia, nic ich kompletnie nie obchodzi, ale ich uczestnictwo w tworzeniu fikcyjnego pojęcia „pisma satyrycznego” pozwala im na dość dobre, jak na nasze warunki, życie.

Z tym, że jest to życie dość specyficzne. Zamknięte i ograniczone do kręgu tych samych kilkuset „autorów” z KDL-ów i kilkudziesięciu „działaczy polityczno-kulturalnych”.

Działają we własnym, wyłączonym z życia narodu, obiegu i wygląda na to, że świetnie się w tym czują. Wystarczająco długo chwalili się nawzajem, upewniali o swojej wartości i konieczności działania, kokietowali wzajemnie i przymilali, będąc jednocześnie nagradzani i chwaleni przez zadowoloną władzę - aby upewnić się o swojej wartości. Zwołują „międzynarodowe” (w ramach KDL-ów) sympozja, narady, wystawy, odczyty, przedrukowują się nawzajem i organizują kolejne jubileusze. I tak działalność pozorowana święci kolejne sukcesy.

Jest taka anegdota o pewnym szpaku, który co połknął liszkę, to ona szybko wyłaziła mu z drugiej strony. Po kilkunastu nieudanych próbach, szpak wsadził sobie dziób głęboko pod ogon i powiedział, z myślą o liszce: cyrkuluj sobie, cyrkuluj.

Piosna. Cuda bwa wolita na wielkosc. To ad
 history mundanis narych chupcow. Dopyro, gdy
 w oparob lub umosomany ciomg also, wiolec
 idu ich mawy. Na bwiolym skrypcowaniach,
 w brawach, w zantlach, na chodnichach
 wielkosc, wielkosc, wielkosc. Wiod
~~dom~~ wlich trwicz, jak gwiazdy cybilu
 egzenci, hloiny pojedynczo, ~~sk~~ skomawany
 na na chylic ad moich ~~intencjach~~ ~~wieks~~
~~portaj~~ portawichis, puypli uspednicz
~~ostatek~~ ~~public~~ ~~radarsa~~. Za chylic wozig przed sklypy,
 na puyptach, na chodnich, przed
 hinc, pod hawiochy, na porhincz i
 ob gwa-rola. Tam wiedzic ednie to
 jest wielkosc, aby gwa-rola ^{ad woda} wofe
 kumyptow, hincowcow, machadnicow, wi-
 -dow, hulek, katalichow, hawiet, stu-
 -dentow, co tam hawum blinc, co
 woga rolic wuyptid, co maw lepiz
 wychadni. Galyby nie jeduchow, wpa-
 -cyficzny wyroz hawny, byliby nie
 do ~~rozparowania~~ rozparawachii powit.

M O N O L O G

Wezwałem państwa tutaj bo zderzyłem się z problemem, który nie jest na pojedynczy łeb, więc chcę się z wami poradzić i poradzić. Jest sprawa.

Co ja mam ze sobą zrobić?

Oni pięknieją a ja coś brzydnę.

Już nie można na samym wdzięku i obietnicach.

Z piersią młodą na barykadzie (Delacroix) a dziś już nie można patrzeć. Parszywieje wszystko.

Robię się stary, ale nie do usunięcia. Już nie taki jak dawniej, więc wy się musicie zmienić. Stary, biedny, jadowity babsztyl z utajoną tęsknotą za byciem bogatą, pełną nienawiści posiadaczką. Jedyne co mi zostało to orzec, że ja jestem niezmienny, nieusuwalny jedynie młody.

Nie podlegam (jak idea) prawom czasu.



Jako stetryczały zrzęda czytam np. że cały naród popiera? A ja nie popieram jakoś, więc co robić? Prosić, żeby dopisywali, że cały naród, ale beze mnie.



'85

O aktorstwie (różne obserwacje): np. typ artysty lekko poniżej średniej. Gra epizody zwykle drugoplanowe w teatrze, mając aspiracje do wielkich ról. Bez pokrycia. Gra zawsze w sposób szczególny. Najbardziej widoczne to jest w jego poczynaniach filmowych. Biorą go bowiem często do mało znaczących epizodów, ponieważ prawdziwi aktorzy odmawiają. Wtedy artysta gra wszystko oprócz powierzonej rólki. Swoją obecnością na ekranie zaznacza, że to dla niego betka. Świetnie się czuje na planie i na taśmie. Fachura. I tę fachowość eksponuje w grze. Minę ma zblazowaną, co ma oznaczać, że nie takie błahostki grywało się latami. Ze miał propozycje zagraniczne, ale odmówił, bo chciał pracować dla kraju. Przy jego talencie i pełnym zawodowstwie, o których jest głęboko przekonany, nie potrzebuje pracować nad poleconym mu zadaniem, a mimo

to, patrzcie jak ja to świetnie gram, jaki jestem swobodny i naturalny. Mówię wam o tym moją miną, swobodą siadania, gestem, grymasem, papierosem.

Nigdy już z niego nic nie będzie. Sztuczny, nieprawdziwy kabotyn.

O przedstawieniu (częste zjawisko): lepsze po wyjściu niż w czasie trwania.



Wszystko wymyśla się od nowa. W polityce, w gospodarce, ekonomii, stosunkach społecznych. Również w sztuce i kulturze. Instytucje bardziej obrosłe w tradycję (teatr) broniły się i bronią poniekąd do dziś, chociaż z coraz słabszym skutkiem (teatr też umiera), ale np. film prawie od zarania po ostatniej wojnie został opanowany przez politycznych, nieartystycznych amatorów. Później nawet skutecznie starano się odrabiać straty, ale opóźnienie w ocenie globalnej sięga kilkudziesięciu lat.



Dobry, indywidualny artysta, z dobrym, własnym programem, święci liczne tryumfy z okazji swoich recitali. Codziennie, po spektaklu przychodzą za kulisy liczni goście, znajomi, przyjaciele, koledzy, z gratulacjami. Zwykle otwierają ramiona, obejmują artystę, całują, mówią miłe słówka. Artysta oddaje pocałunki i wyraża podziękowanie.

Jeżeli jednak artysta dostatecznie długo występuje, dochodzi do głosu Pawłów. Otóż artysta, na zasadzie odruchu, na wejście gości do garderoby, pierwszy ich obejmuje, całuje i nim goście zdążyli otworzyć usta już im serdecznie dziękuje.



Często, gdy artysta na estradzie odwrócony jest tyłem do publiczności, gmera sobie koło spodni w pasie itp., na co nigdy nie pozwoliliby sobie stojąc frontem. Jest to niekontrolowana zasada strusia.

Jestem tyłem, nie widzę publiczności, więc i oni mnie nie widzą.

TV 2 obrazy. 1) z Zachodu. 2) z ZSRR.

Bezwiednie Azjata się obnaża, chociaż miał zamiar wykazać wyższość. Bo wyższość jest, ale w komentarzu, natomiast obraz przeczy, ponieważ ukazuje dwie różne kultury. Tam swoboda, tu beton. Tam pałacyk w parku, tu rzędy towarzyszy, tępe twarze i popiersie Lenina. I smutek bezmierny.



Dziwny i smutny był 1 Maja AD 1985. Smutny, bo pochody chude dziwnie, bez radości, a przemówienie Generała przypominało mowę pogrzebową. Dziwne zaś bo np. silne oddziały ZOMO świętowały głównie na Żoliborzu w okolicy kościoła św. St. Kostki. Co dziwniejsze, starali się połączyć święto 1 Maja z tradycyjnym wielkanocnym dyngusem, gromadząc w pobliżu armatki wodne.

^ i

To śmieszne, chociaż wielu rzeczy już nie zauważamy.

Po tej naszej stronie świata wielcy przywódcy socjalistyczni np. nie zmieniają stroju i nie zachowują się zgodnie z porami roku. Nie są np. nigdy opaleni, nigdy nie jeździli na nartach, nie mają w domu roweru, nie chodzą na ryby lub na grzyby, które potem sami sobie przyrządzą na zimę. Nie kupowali sobie nigdy sami lampy, mydła, bluzeczki na imieniny żony. Nie mają koszuli flanelowej, własnych kąpielówek, trampek, dzinsów.

Mają za to rzędy nieskazitelnych i nieodmiennie jednakowych garniturów, szeregi niewygodnych, twardych i błyszczących trzewików, stosy wykrochmalonych białych koszul, krawaty, no i nieprzeliczone rzędy orderów w gablotach i na garniturach, po 15 czy 40 jednego rodzaju. Pewnie się mieniają potem z innymi kumplami. (Dam ci trzy takie za ten jeden, albo inaczej, weź 20 tych, co chciałeś z tą liliową wstążką, ale musisz mi dać 8 okrągłych z żółtą, bo nie mam kompletu. Gdzieś, cholery 2 mi się zapodziały. Pewnie mały wziął do szkoły).



(86)

Tylko wtedy, gdy wszystkie elementy składowe jakiegoś mechanizmu są w pełni sprawne i jakościowo pewne, można liczyć na to, że maszyna będzie pracowała prawidłowo. Jest to truizm i to tak oczywiste, że rozumie to każde dziecko. Każdy człowiek. Oprócz

komunisty. Komunista bowiem, nawet przy tak skomplikowanej maszynie, jaką jest mechanizm państwa, całkowicie lekceważy jakąkolwiek współzależność jego składowych elementów. Nie wystarczy mu rozum. Brak wody, nieogrzone mieszkania, limitowana benzyna, brak telefonów, wyłączenia prądu elektrycznego, zła komunikacja, brak lekarstw itp., itd. i dwa miliony innych braków, niedoróbek, erzaców, bubli, fałszywych decyzji, prymitywnego nauczania młodzieży, kretyńskich konstrukcji społecznych itp., itd. i dalsze dwa miliony niedoborów i fikcji, w ogóle nie mają związku z wydajnością pracy i kryzysem.

Komunista dziwi się, że spada produkcja i morale społeczne, więc krzyczy o dalsze doskonalenie.



Rząd radziecki wielokrotnie dawał wyraz temu przekonaniu ustami swoich kierowników.

W czasie niedawnej kampanii wyborczej do Rady Najwyższej ZSRR tow. Mikołaj mówił, że Związek Radziecki chce współzawodniczyć z kapitalizmem, ale współzawodniczyć nie w dziedzinie wojny i zbrojeń lecz w tym, kto prędzej i gruntowniej potrafi podnieść dobrobyt swej ludności.

Dla nas jest oczywiste, że w Ameryce czy w Anglii kapitalizm nie pozostanie na zawsze, na wieki. My wiemy, że tak, jak zwyciężyła klasa robotnicza w Rosji, w Polsce i w innych krajach, tak przyjdzie czas, że zwycięży również w Ameryce i Anglii. Ale my wiemy zarazem, że zwycięstwo klasy robotniczej Ameryki czy Anglii jest jej własną sprawą, sprawą robotników angielskich, robotników amerykańskich. Zdajemy sobie sprawę, że najskuteczniej przyczynimy się do ich zwycięstwa swoimi osiągnięciami, gdy pokażemy na swoim przykładzie, że socjalizm to jest ustrój służący ludziom pracy, zapewniający tym ludziom dobrobyt i kulturę.

Warto wyłumaczyć niektóre zwroty Np.:

jeszcze jaśniejsza perspektywa...

dalsze doskonalenie...

o szybszy wzrost...

o przyspieszenie procesu rozwoju... itd., itd.

To jest tak: perspektywa już w 45-tym była cholernie jasna, później rozjaśnialiśmy ją systematycznie coraz bardziej, ale to wszystko mało. Teraz przychodzi nam toczyć walkę o perspektywę jeszcze jaśniejszą. Trudno. Jak trzeba, to trzeba. Ciekawe, do ilu dojdziemy luksów?

Z doskonałością było nieco odmiennie. Trudno określić precyzyjnie okres, w którym zbliżyliśmy się do ideału w pełni, można jednak domniemywać, że stało się to przed końcem lat 40-tych, bowiem mniej więcej od 50-tego roku zaczęliśmy już doskonałość dalej doskonalić.

Proces ten trwa do dziś i nie wiadomo, do czego to jeszcze dojdzie.

Natomiast zagadnienie przyspieszania rozmaitych procesów jest wartością wymierną i cel rysuje się wyraźny. Od początku bowiem walczyliśmy o szybszy wzrost oraz o dalsze przyspieszenie wszystkiego i nadal codziennie ktoś o nie występuje. Słowo „dalsze” wskazuje na ciągły postęp w tej dziedzinie. Gdyby więc nawet 40 lat temu prędkość początkowa była bliska zeru, to i tak przy ciągłym przyspieszaniu dojdziemy wkrótce do szybkości światła, co jest już (poza Związkiem Radzieckim) kresem ziemskich możliwości fizycznych.

Kto wie, czy właśnie wtedy nie osiągniemy jednocześnie również perspektywy najjaśniejszej i doskonałości doskonałej. Wydaje się to logiczne.

Będzie można pomyśleć wtedy o dalszym doskonaleniu.



Tylko nasze czołgi są pokojowe...

Owidiusz (vide): materiam supert opus, czyli dzieło przewyższa materię. W wypadku socjalizmu znacznie przewyższa.

Opisać tę przewrotną kazuistykę (w monologu), z której wynika, że wszystko, co się dzieje ma przyczynę w obiektywnych faktach, na które ludzie nie mają wpływu, co całkowicie oczyszcza władzę z jakichkolwiek zarzutów (zabity więzień, Przemysław, godło bez korony, brak węgla itp., itd.).



Strach przed odpowiedzialnością za zaginięcie czegokolwiek państwowego powoduje zupełnie obłądne zarządzenia, przepisy i zwyczaje. Państwo z góry zakłada w społeczeństwie głęboko zakodowaną nieuczciwość.

Z drugiej strony zabiedzony kraj i zdemoralizowanie już ostateczne społeczeństwa sprzyjają złodziejstwu, nieodpowiedzialności, braku kultury i bezmyślnemu lub złośliwemu niszczeniu mienia państwowego. Nie można pominąć tu również czynnika swoistej zemsty. Głębokiej chęci bezkarnego odegrania się na znieawidzonym państwie. Wszystko to razem daje w efekcie niespotykany w świecie obrazek np. noża na łańcuchu w stołówkach, przewierconych, dziurawych aluminiowych łyżeczek do mieszania, kaucji za szklanke czy butelkę, wyłącznik prądu do mierzenia w sklepie. Lewy można zmierzyć po zakupie dopiero. I tysiące innych zwyczajów i zarządzeń, których w tej chwili nie pamiętam, ale np. żenujące wydawanie, za pieniądze, limitowanych skrawków papieru toaletowego, z ręki do ręki, żeby inny nie ukradł.

W urzędach, hotelach, kawiarniach wszystkie meble, stoły, krzesła, szafy, półki, fortepiany itp., itd. pokryte są długimi napisami z farby olejnej. Są duże i widoczne, co ma dodatkowo odstraszać potencjalnego złodzieja, a zawierają tajemnicze skróty, łamane przez różne numery arabskie i rzymskie oraz rok inwentaryzacji. Często stary napis jest przekreślany, a nową farbą naniesiony aktualny numer. Daje to pozorny spokój urzędnikom, poprzez pozorowany nadzór. Wspaniałe również są te dostojne, wieloosobowe komisje przekazujące sobie codziennie np. bufety, które pracują na dwie zmiany, a żadna „zmiana” nie ma zaufania do poprzedniej. A to szklanek brak, a to masła za mało. To są drobiazgi, ale w skali kraju, w różnych poważniejszych niby dziedzinach, brak zaufania jest podstawą egzystencji paru milionów ludzi na specjalnych, acz zbędnych etatach aparatu kontroli.

(to myślenie umieścić w Curriculum
Vite dziecka, które receptem
między innymi.) ↘

jakie typy umiemy określić
też myślenie jest dobre, bo
jest moje i je wyraża rozumie
Bez $\frac{1}{2}$. A jego jest opis i
~~A to niechcąc~~, A najlepszy
~~decyduje się to, że jest opis~~
bo je tego nie rozumie.

Uwaga wstępna? (Kowalewski?)

Napisz Curriculum Vite "wzrost
portugu" o tym jest z historii
miejsc wypas mienowicie, jest
nie później niż z niekiedy
niektórych, jest powstanie
myślenia, ale później, by w
kierunku zwrócić uwagę, przejść do
historii i do historii, do
przewodów do historii, by

Mazury - zniszczenie kraju i ludzi (polskich autochtonów, którzy przez wieki kultywowali język i kulturę polską, zgnojeni przez władzę ludową, masowo opuścili kraj - na ich miejsce wdarły się wypierdki, bez tradycji, kultury, chłopo-robotnicy leśni, nastawieni na wódę i dorywczy zarobek. W pogoni za doraźnym zyskiem, niszczą bezpowrotnie lasy, zatrują jeziora, brudzą, a substancja materialna w postaci domów, chałup, ogrodów, niekonserwowana od dziesięcioleci, niszczeje, karleje, rozsypuje się, gnije.



(zakończenie sekwencji na temat nieustających przechwałek partii i jej przywódców o ich wręcz boskich zaletach)

... Już Jaroslav Hašek w knajpce „Pod Złotym Linem” na Królewskich Winogradach, zakładając w 1911 roku Partię Umiarkowanego Postępu (w Granicach Prawa), głosił: „Nie wstydzmy się publicznie przyznawać do własnych zalet”. To były początki. Wtedy mogło to być szokujące. Dziś jest to powszechne zjawisko. I dobrze. Kto może tak dobrze znać nasze zalety, jeżeli nie my sami. Trzeba je więc przedstawić narodowi w sposób najprawdziwszy. (Stąd hasła, transparenty itd.)



Czy jest państwo, które nie deklarowałoby się za światowym pokojem, nie wyrażało chęci walki o ten pokój, nie popierało inicjatyw pokojowych, nie wysuwało własnych pokojowych recept, nie utrzymywało tego pokoju, nie walczyło o pokojowe rozwiązania?

Czy jest naród, który by nie był bohaterski?

Czy istnieje na świecie kraj z którym, o ile nawiązujemy z nim akurat stosunki dyplomatyczne, nie wiązałyby się tradycyjne więzi przyjaźni? Czy znany jest naród, który nie byłby zdolny do największych poświęceń? Itd., itd.

O to chodzi.

Dlatego naszym też nie bardzo można wierzyć. (Wyjąwszy oczywiście Związek Radziecki, bo ten jest poza wszelkimi podejrzeniami o nieszczerłość).

Marzec '87

Właśnie ogłoszono w radio, że rok 1986 był rokiem o najniższym, od 20 lat, wskaźniku budownictwa. Przekładając na język normalny oznacza to, że nigdy jeszcze od 1966 nie wybudowaliśmy tak mało. Nic jednak straconego. Budownictwo zostało objęte specjalną troską partii i rządu, poświęcono temu kolejne sesje Sejmu - można więc mieć całkowitą pewność, że w nadchodzących latach wskaźniki będą jeszcze niższe.

Minęło zaledwie 70 lat od Wielkiej Rewolucji Październikowej, a na każdym kroku, gołym okiem można, po raz kolejny zauważyć wyższość ustroju socjalistycznego.



W dość beznadziejnej codzienności, w pogoni za jaką taką egzystencją, tonąc po uszy w fałszywej propagandzie, bardzo rzadko udaje się nam dostrzegać prawdy ogólniejsze i oczywiste. Niedawno dopiero uzmysłowiłem sobie zupełnie jasno jeszcze jedno oblicze komunizmu, choć przecież jest to wiadome od dziesięcioleci.

Niszczenie narodów, szczucie ich p-ko sobie i wynaradawianie, skłócenie wewnętrzne poprzez przeciwstawienie sobie rzekomo wrogich względem siebie warstw społecznych. A wszystkie te poczynania są nieodmiennie ze zbrodnią, z pospolitymi morderstwami dokonywanymi bezkarnie w świetle wymyślonego przez nich prawa. Taki Związek Radziecki np. nie dość, że wynaradawia swoje republiki, niszczy je etnicznie i kulturowo, pozbawia własnego języka i narodowych tradycji, nie dość, że wymordował miliony własnych obywateli, to sięga mackami do odległych krain, dzieląc sztucznie spójne od tysiącleci narody na dwa przeciwstawne sobie, wrogie państwa, takie jak Korea Północna i Południowa czy NRD i RFN. Ile bezsensownie przelanej krwi, ile unicestwionych istnień ludzkich. Brat nastaje na brata, syn na ojca, kość z kości, krew z krwi, stoją p-ko sobie o władnięci szaleńcem spowodowanym ideologiczną trucizną, którą udało się oszalałym komunistom wsączyć w ich mózgi, odczłowieczyć, pozbawić własnej woli i godności. Nie chcę już przypominać krwawo stłumionych zrywów Berlina, Pragi, Bu-

dapesztu, Poznania, Wybrzeża, Śląska, że to niby przebrzmiała historia, więc spójrzmy współcześnie. Czesi zabijają na granicy swoich niewinnych obywateli, swoich braci tylko za to, że próbują wyrwać się z komunistycznego piekła i znaleźć azyl w jakimś cywilizowanym kraju. A więc wyłącznie za to, że są porządnymi ludźmi, że cenią swoją osobistą wolność i niezależność i że próbują walczyć o te wartości. Że nie chcą być podli, podlegli, zniewoleni. Ryzykują życiem, w imię tego życia.

Najpodlej uzewnętrznia się to w Niemczech przedzielonych zbrodniczą betonową granicą, gdzie Niemiec z Niemiec strzela do Niemca z Niemiec za to, że ten chce przejść do Niemiec. I padają trupy Niemców na granicy Niemców z Niemcami.

Chwała wam komuniści!



Ciekawą uwagą podzielił się jeden pan w radio. Otóż - powiedział - gdybyśmy nie spłacali długów i odsetek, to te pieniądze można by przeznaczyć na kraj, budując szpitale, szkoły, szosy i w ogóle podnosząc naszą piękną ojczyznę na jeszcze wyższy poziom.

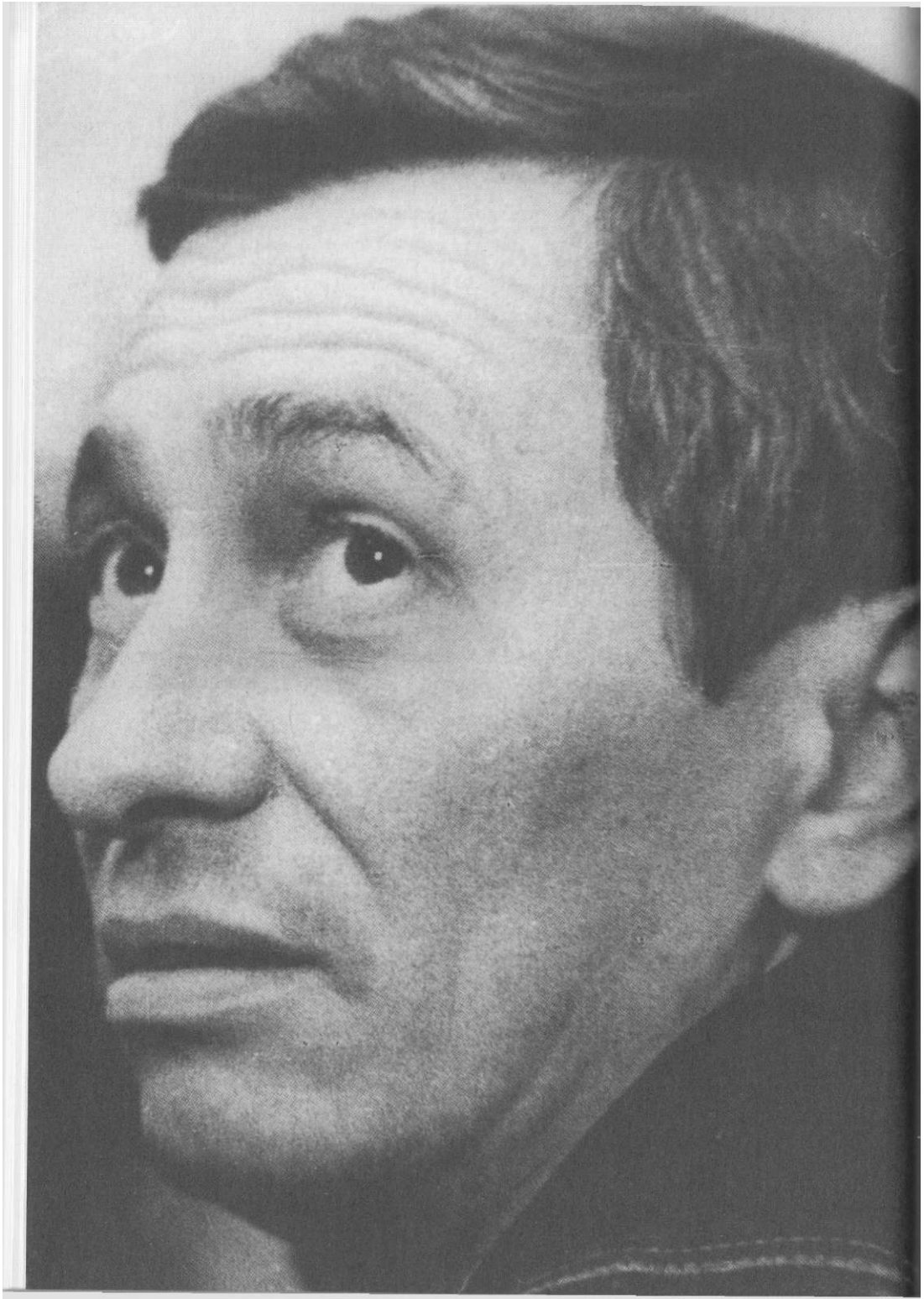
To był b. mądry pan, specjalnie wybrany do pogadanki, fachowiec, choć nie ujawniony z profesji. Prelekcja była długa, ale warto było posłuchać, ponieważ jeszcze raz udowadniała i wprost, i w podtekstach, że Amerykanie i cała reszta to zwykłe świnię. Raz, że pożyczyci, dwa, że biorą odsetki, trzy, że żądają zwrotu tej pożyczki, chociaż my nie mamy ani szpitali, ani szkół, ani szos, ani taboru, ani przemysłu, ani rolnictwa, ani wszystkiego najlepszego, że jesteśmy gnoje, idioci rządzeni przez oszalałych nieuków i z cudem graniczy niewytłumaczalny fakt, że w ogóle płacimy jakieś opóźnione odsetki zamiast te dary ofiarować w jakiejś zakamuflowanej formie Związkowi Radzieckiemu, choćby w postaci dewizowych wyposażań polskich statków, które bierze od nas dla siebie tenże Związek, słynny armator radziecki. Ale rzeczywiście, być może, że gdyby coś zostało i dali nam pozwolenie, to nie jest wykluczone, że i u nas powstałby ewentualnie jakiś szpitalik. Kto wie? ('87)

O dalsze umocnienie roli żywego słowa w produkcjach estradowych, o pogłębienie procesu doskonalenia realizmu satyrycznego, o rozszerzenie sojuszu ludzi humoru z ludźmi pracy!

1. Trwający od lat, stopniowy zanik form mówionych /monolog, wiersz, skecz/ na polskich estradach, jest faktem dostrzeganym przez wszystkich dyskutantów na wszystkich naradach wszystkich szczebli. Fakt ten znajduje odbicie w wielu dokumentach organizacji i instytucji związanych z sektorem usług kulturalnych, zwanym potocznie "rozrywką".
2. Brak form rozśmieszających, przy jednoczesnej dominacji banalnej, jałowej pieśni, sprawiają, że "rozrywka" oddala się coraz bardziej od rzeczywistych problemów ludzi i całego kraju budującego lepszą przecież przyszłość. Otóż ta przyszłość nie będzie lepsza jeżeli nie przywróci się społeczeństwu prawa do śmiechu. Tak się złożyło, że naród polski dzięki specyficznym kolejom losu posiada swoiste poczucie humoru. Co więcej, jest to poczucie humoru odrębne /niestety/ od poczucia humoru ościennych nacji. Jest nieodzownym składnikiem polskich obyczajów, polskiej kultury.
3. Prawo do śmiechu związane jest niepodzielnie z koniecznością krytycznego osądu rzeczywistości, w której społeczeństwo funkcjonuje. Charakter społeczeństw, jednostek zresztą również, można rozpatrywać z pewnego punktu widzenia jako zestaw cech tragicznych i komicznych. Nie ma i nie było formacji społecznej, która uniknęłaby tego dialektycznego związku tragizmu z komizmem. Jeżeli zatem w naszym kraju, jak się ostatnio mówi: "tu i teraz" zwycięży tendencja do maskowania komicznych stron istnienia - pozostanie nam tylko tragedia. Nie muszę przypominać, że osoby przygnębione, ponure, napiętnowane tragizmem osiągają niższą wydajność pracy i bez entuzjazmu realizują postawione przed nimi zadania.
4. W każdym społeczeństwie, niezależnie od dominującego rodzaju humoru i możliwości jego ujawniania - istnieją osoby fizycznie obdarzone darem wydobywania śmieszności i wyzwiania śmiechu. Nazywa się ich komikami, błaznami, facecjnistami, satyrykami, zgrywasami... itd. Komikować można też zawodowo, co udowodniły takie postacie historyczne jak Arystofanes, Moliere, Stańczyk, Gogol i inni.

5. Również w naszym rozwiniętym społeczeństwie istnieje grupa zawodowych facecjonistów piszących i odtwarzających, zrzeszonych i niezrzeszonych, wierzących i niewierzących, ostrych i tępych, czarnych i różowych, takich i owakich. Otóż ta grupa zawodowa w szybkim tempie pozbawiana jest możliwości uprawiania swego wesołego zawodu. /Fakt ten właśnie stanowi powód niniejszego elaboratu/. Dzieje się tak, bowiem od pewnego czasu trwa proces wyłączenia kolejnych dziedzin życia z zakresu zainteresowań satyry. Urząd Kontroli czuwa nad tym by satyrycy nie żartowali z gospodarki, polityki /w tym zagranicznej/, historii, literatury, handlu, z nieudolnych urzędników, aferzystów gospodarczych i innych złodziei, z luk oświaty, braków telewizji, z różnych głupich ludzi, hochsztaplerów, z przegranych szans, zmarnowanych okazji... utopionych milionów... itd. itp. W dawnych latach w/wym. Urząd tłumaczył swe ingerencje wyższymi racjami społecznymi. Obecnie nikt nie tłumaczy niczego, bo i tak wszystkim wiadomo wszystko.
6. Tak więc można codziennie produkować tysiące nowych zarządzeń, natomiast nie można publicznie zastanowić się nad ich sensem. Wiemy, że każde zarządzenie decyduje o losach milionów ludzi, a część zarządzeń nieprzemyślanych, wprowadzających chaos - czyni nieodwracalne szkody społeczne. Powstaje wrażenie, że interesy narodu, losy kraju, rozwój socjalizmu są sprawą drugorzędną. Najważniejsza jest ochrona warstwy urzędniczej przed odpowiedzialnością za cokolwiek. Każdy wytknięty palcem nieudolny urzędnik natychmiast ogłasza, że atakowane są podstawy ustrojowe. A przecież tak naprawdę, dopiero kwestionowanie prawa do krytyki -i zamykanie społeczeństwu ust - te podstawy podważa rzeczywistość.
7. Satyra jest jednym z bardziej precyzyjnych narzędzi krytyki i powinna mieć szansę istnienia, właśnie w najlepiej pojętym interesie społecznym. Tradycyjną dla naszej kultury formą przejawiania się satyry była scenka kabaretu literackiego, teatrzyk satyryków, programy rewiowo-estradowe. W obecnej sytuacji cenzuralnej formy te tracą rację bytu, pozbawiając społeczeństwo prawa do śmiechu, a humorstycznych artystów prawa do pracy.

*Załącznik pisma, które dotyczyło spraw Estrady,
skierowanego do prezydium ZG SPATiV - ZASP.
Obydwa redagował Jerzy Dobrowolski. (Marzec 1980)*



ROZDZIAŁ III

Kabaretowa przygrywka

Monologi, teksty kabaretowe, opowiadania, które miały stać się zaczątkiem skeczu bądź scenki, czyli fragmenty, zaczątki, całości - „Kabaretiana” Jerzego Dobrowolskiego.

W jego archiwum znalazłem wszystkie początkowe, te pierwsze spisane przez niego piórem, wersje kabaretów. Nawet teksty estradowego występu studentów IV roku aktorskiego warszawskiej PWST, przed wstępującym w mury uczelni przy ulicy Miodowej najmłodszym rocznikiem...

(...) Co się stało? - Zgasła świeczka!
Zdrada? - Fortel! Gdzieś ty? Tu!
Piecza! Pieczka? Pieczka! Pieczka?
(...)
Obaj walczą jak cholera!
Obaj uczniami są Lindnera.

Ten pierwszy wymieniony z nazwiska, to znakomity aktor Franciszek Pieczka czyli Franek, „... który od razu musi rzucać się w oczy; człowiek który nas wszystkich przewyższa. Po prostu właściwy człowiek na niewłaściwym miejscu. Nie, no korytarze są kapkę za niskie i zawadza o klosze. Właśnie niedawno zagadał się, nie zauważył, nie pochylił i rozbił czołem jedną lampę”. Cdn.

Drugi z wymienionych, to profesor Sławomir Lindner, przedwojenny zawodowy oficer, kawalerzysta, który uczył szermierki. Ale piórem Dobrowolskiego oberwało się wszystkim kolegom z roku.. Cdn. -

Fr. - Nieprawda.

Ja - Po pierwsze, kto ci się pozwolił z portretu odzywać, a po drugie, dlaczego nieprawda.

Fr. - Bo ten klosz tyś sam rozbił szablą na szermierce.

Ja-Ja?

Zbyszek - Tak, i w Radzie Naukowej też żeś palce maczał, a teraz się sianem wykręcasz.

Ja-Ja?

Irena - Tak, ty! A mnie też wytykasz wybujałą indywidualność, a sam zawsze chcesz grać 1-sze skrzypce?

Ja-Ja?

Jurek - Koledzy! Zważywszy na integralne połączenie życia z dialektyką, uważam...

Fr. - Uspokój się Jurek (Fela Fornala zastania)

Firek - Chcę się zapytać, dlaczego wkładasz nas w moje b. osobiste sprawy; choć ja o twoich nie mówię.

Genek - Słusznie! A dało by się niejedno powiedzieć.

Fornal - Uważam, że tego rodzaju stawianie sprawy godzi w najżywotniejsze...

Fr. - Uspokój się Jurek. (Fela go zastania)

Danka - Czy ty się nigdy nie spóźniasz?

Leśniak - I sam się nie wygłupiasz?

Firek - A czy notatki robisz?

Zbyszek - A nigdy Ci sodowa woda nie uderzyła do głowy?

Ja - Milczeć! Kto tu jest konferansjerem? Ajajaj, jacy mądrzy. Jedenaście osób przeciwko mnie jednemu! Proszę Państwa ja nigdy, ja naprawdę... ja... (macha ręką i schodzi ze sceny)

Kurtyna.

Franek to Pieczka, Zbyszek to Bogdański, Jurek to Fornal, Gallert to Danka, Genek to Eugeniusz Robaczewski, Leśniak to Zdzisław oraz w tle tego finału: Wiesław Gołas, Felicja Tiberger, Irena Szymkiewicz, Danuta Firek, Mieczysław Czechowicz, a ten „Ja” to Dobrowolski „niestety, niestety, niestety...”, który wszystkich kolegów z aktorskiego roku opisał, całość prowadził i już wtedy rozstawiał... innych po kątach... sceny. Z jego pożegnalnego wystąpienia, przypominając, że rzecz się działa roku nie-pańskiego, dla niektórych wtedy, 1954-go - przytoczę jeszcze fragment...

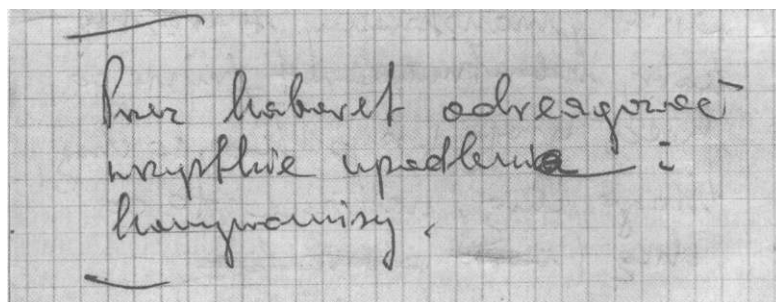
By w ostrym zwierciadle tej samokrytyki każdy bez wyjątku też ujrzeć się mógł. - To jeszcze z tamtego numeru. To tamto podsumowanie. Chodzi o to samokrytyczne zwierciadło, ono rzeczywiście może za głęboko stało, nie każdy może mógł się jakoś bezpośrednio przejrzeć. Wynieśmy je więc przed kurtynę. Tak, tutaj je się ustawi; żeby każdy swobodnie mógł się przejrzeć. - Nie, nie, państwo mnie źle zrozumieli, tu się nie będzie przenosić, to jest przenośnia poetycka... (...)

Jak wtedy zaczął, tak już Jerzemu Dobrowolskiemu zostało to ustawianie nam lustra, abyśmy mogli się dokładnie przejrzeć. Oczywiście zupełnie inaczej rozumiejąc słowo „samokrytyka” niż w tamtych SZCZUJNYCH czasach SZCZUJÓW.

Podobnie jak w przypadku wspomnienia czasów studenckich, zachował się odrębny scenariusz „Konia” oraz pozostałych tekstów, które przywołałem w książce o Jerzym Dobrowolskim. Choć niektóre, naszkicowane jedynie pomysły pojawią się tylko tu. Odnoszę jednocześnie wrażenie, że poza obserwacją rzeczywistości i deprawacji społeczeństwa socjalizmem drugim polem działania było, zapisane w tej notce działanie...

Wspaniały tytuł do „Konia” (Musik-konia): „IZBA WYTRZEŻWIENÍ”. Wytrzeźwieć z mitów. Ukazać bezhołowie, głupotę, chamstwo i kretynizm. (Bezmyślność).





KABARET MOICH PAMIĘTNIKÓW*

184

Po prostu jestem..., ale... co tu ukrywać, nieprzygotowany jestem. Stoję, bo stoję. Jestem, ale mówiąc szczerze, nie chciałem być. To znaczy, początkowo bardzo chciałem, ale potem jak się zorientowałem, że nie dam rady, to nie chciałem. Chciałem nawet przynieść zwolnienie lekarskie, ale znajomy lekarz wyjechał, a inni nie chcieli dać. Zdrowy jestem - mówią. Bo ja właściwie jestem zdrowy. Umysł mam chory, ale to jest inne zagadnienie, a tak to zdrowy jestem, nawet powiedziałbym zahartowany...

KOT

Październik 1970, wersja z „Podwieczorku przy mikrofonie”.

Inny tytuł - „Usterki”, z dopiskiem autora:

„Ostatnio (czerwiec 85) dałem Krzysiovi Kowalewskiemu pt. „Człowiek z kotem” i tak trzeba zgłosić do Zaiksu”

- z tym, że ta wersja została nieco zmieniona

Dobry wieczór państwu, dobry wieczór.

Proszę państwa, nie będę ukrywał, że mam niejaką treść, zważywszy że od bardzo dawna nie miałem zaszczytu uczestniczenia w „Podwieczorku”. To nawet nie o to chodzi, że państwo tego nie zauważyli, ale to wpływa na moje samopoczucie. A nie uczestniczyłem, bo miałem drobne kłopoty różne. Niby nic wielkiego, ale zawsze...

Kot mi zginął. Zginął mi kot. Ja miałem kota. Właściwie mam kota. Na tle budownictwa zresztą. I proszę państwa, głupia sprawa się wytworzyła. Bo ja mieszkanie dostałem. „Dostałem” to może za dużo powiedziane, raczej wymieniłem je. Za banknoty. Ale to jest nowe mieszkanie. Ładne. Bardzo ładne.

* W notatkach Jerzego Dobrowolskiego znalazłem, pomiędzy kilkoma propozycjami, taki właśnie tytuł książki o kabaretach.

Pierwsza nazwa, jaką miało - pamiętam - nazywało się M1. Dopiero potem zmieniło ją na M2. Bardzo szybko awansowało na M3. Teraz jest już chyba M7 czy M8. To jest to samo mieszkanie, tylko kwestia nomenklatury. Dla mnie to zresztą obojętne jest właściwie, ale w skali krajowej to ma duże znaczenie.

No i... (Ja tak szeroko i może nieskładnie opowiadam, ale to jest konieczne, żeby mnie mogli państwo zrozumieć)... No i dali mi klucze od tego mieszkania - też anachronizm, bo tam się drzwi z framugą otwierają - i wegetowałem sobie. Znalazłem w rogu taki suchy kącik, żarówkę miałem, paliła się, czytałem sobie „Colas Breugnon”, „Kubusia Puchatka”, „Sto dykteryjek marynarskich”. Przyjemnie było. Tyle, że człowiek to jest taki twór nienasycony. Właściwie powinno być roztwór nienasycony... wszystko jedno... Jak to mówią „dać kurze grzędę - jeszcze wyżej siedę”, albo że „apetyt rośnie w miarę jedzenia”. Jedzenie, jak jedzenie, jeszcze te raty spłacałem, ale grzędę zachciało mi się raptem poprawić. A słyszałem już wtedy, że gdzieś tam to tak mają, że i winda chodzi czasami, że ciepła woda leci z rury, a jak suche lato to nawet prawie zacieków nie ma. Tylko rury im pękają, no, ale rury to wszędzie pękają i na to nie ma rady, bo to są takie rury, które muszą pękać. To nie jest żadna wada tylko wina materiału. Materiał jest niedobry i to daje duże oszczędności.

No, a u mnie się wszystko sypało. A to tynk spadł, a to znowu (co prawda był silny wiatr wtedy) okno mi się wyjęło, krany się zacinały. To znaczy że ściany wychodziły łatwo, ale przy wkładaniu gruz mi się sypał do bieliźniarki. Bo one były trochę z boku umieszczone te krany. Próbowałem je osadzać na plastelinę, ale mi dzieci wydłubywały ciągle.

Jedno, co miałem dobre, to przeciąg. To tak. Raz dlatego, że jak się buduje z prefabrykatów, to te ściany nie mogą się tak dokładnie połączyć na winklach. Nie pamiętam, na czym to dokładnie polega, ale mi wytłumaczył jeden inżynier, że to tak być musi już. A dwa to z własnej winy, bo gwóźdź chciałem wbić, a to akurat była ściana szczytowa, ja trochę za mocno uderzyłem i część gruzu poleciała na przedszkole na dół.

Jednym słowem, powiesić się można. Raz nawet w chwili depresji, wtedy, gdy mi rezerwuar spadł na głowę przy spuszczeniu wody, próbowałem targnąć się na życie przez powieszenie, ale ten hak w suficie do wieszania lampy nie wytrzymał ciężaru paska, wszystko runęło i fiasko. Ale do czego zmierzam...

Na mojej klatce schodowej, na dole koło windy, którą mają notabene zreperować w przyszłym miesiącu... (tam też jest ciekawy projekt a propos windy - ktoś rzucił śmiały projekt, żeby ją tak jakoś zrobić, czy to ten szyb wyprostować, czy tę kabinę zwęzić, dość że gdyby ruszyła, to rzekomo mogłaby się nie obijać i nie ocierać o ściany. Ciekawe, czy im się uda. Ale jeżeli nie, to ją zlikwidują i zrobią zsyp na śmieci, bo tego starego i tak nie mogą odetkać...).

Acha... no i koło tej windy, jak mówię, wisi taka karteczka. Żartobliwa karteczka, że gdyby ktoś z lokatorów zauważył u siebie jakieś ewentualne usterki, to żeby je zgłosić w Administracji. Nikt tego oczywiście nie brał poważnie, ja naturalnie też nie, ale parkiet mnie zmusił. Klepka nazywa się.

Póki były te wybrzuszenia, góry, doliny nic nie mówiłem, a nawet trochę syna uczyłem poglądowo geografii, ale potem skłęśło. Grzyb trochę wysechł, ale zaczęły się tworzyć szpary za to. Większe i mniejsze. Kłopotliwe to się zaczęło robić, bo zaczęły ginąć różne przedmioty. A to długopis wpadł, a to książka jakaś, raz nawet cała butelka z mlekiem też. I to nie do wyjścia. Musieliśmy zostawić na zsiadłe. Potem żona przez słomkę wypila. No a teraz ten kot właśnie, o którym mówiłem. Kici, kici, kici - nic.

To właściwie przesądziło sprawę. Człowiek, jak człowiek - trudno, ale co winne biedne zwierzę?

Myślę sobie: Co? A co? A pójdę. A co mi zrobią? Wziąłem sobie z pracy wolny dzień, na poczet urlopu, zjadłem flakonik Elenium na uspokojenie, wypilem dwa głębsze dla odwagi, kawę wypilem i jeszcze trochę jałowcówki, co żona schowała - myślała, że nie wiem, gdzie - i w drogę.

Poszedłem do tej Administracji, pocałowałem tego pana w rękę, ale on się od razu zainteresował, czy ja jestem ślepy, bo jest chyba jak wół napisane, że w środy oni przyjmują do 10-tej, a w piątki od 12-tej, a w dodatku dzisiaj zasadniczo jest czwartek. Więc mu podałem szybko butelkę koniaku - wziął. Trochę się skrzywił, że nie francuski, ale schował do teczki, a tamtym paniom raz dwa bombonierki, perfumy, no i czekam. Acha, i kwiaty naturalnie. Czekam, czekam, zjedli pierwsze śniadanie, ten mój od koniaku nawet się uśmiechnął jakby, bo coś wesołego przeczytał w gazecie, ale nie zauważyłem tytułu. Potem zjedli drugie śniadanie i wtedy ta pani spod okna przełożyła jakieś aktówki do innej szafy i powiedziała, że z tym wszystkim to już naprawdę cholery można dostać. Wtedy ta młodsza powiedziała do

słuchawki telefonicznej „kochana daj mi miasto” i wyjaśniła sprawę ślicznej żorżety, co się pojawiła w tekstylnym na rogu.

Ja tak siedzę, trochę mi głupio, bo się rozmowa jakoś nie klei. Gardło mam ściśnięte, ale trudno, chrząknąłem delikatnie. Spojrzał na mnie i powiedział, że to miejsce, na którym siedzę jest zasadniczo służbowe, ale póki kolega nie przyjdzie mogę siedzieć. Acha, a w ogóle to zasadniczo, o co mi chodzi?

No właśnie, właśnie, panie naczelniku - mówię - tak, a tak, wie pan, dostałem nowe mieszkanie, a tam wszystko się sypie.

- No, kochaniutki, a czego pan się niby spodziewał? Nowe jest to się sypie. Ale konkretnie, konkretnie, konkretnie. Usterki jakieś są?

- Tak, tak, tak, właśnie panie naczelniku, klepka na przykład.

- Co klepka na przykład?

- Najpierw puchła, teraz szpary.

-A czego pan się spodziewał? No szpary, kochaniutki, oczywiście że szpary. Pan ma otwarte okna, czy zamknięte?

- No wie pan naczelnik, zima na przykład...

- Aaaaaa widzi pan... typowe. Normalne zjawisko fizyczne. Proszę pana, my kładziemy mokrą klepkę...

- A dlaczego kładzicie mokrą?

- Cicho. Niech pan słucha. My kładziemy mokrą klepkę. Kaloryfery grzeją, tak? Okna zamknięte, tak?

-TAK. ALE DLACZEGO KŁADZIECIE MOKRĄ?

- Po co te nerwy, panie kolego. Nie ma innej klepki. Więc my kładziemy mokrą klepkę i następuje normalny proces fizyczny. Pod wpływem temperatury woda zawarta w drzewie paruje i klepka się zsycha i kurczy. I robią się szpary. Prosta sprawa. Niech pan weźmie świeży chleb - to samo. No dobrze, co tam pan ma jeszcze?

- Wanna, panie naczelniku. Jak naleję wody to potem nie spływa i muszę ją dopiero grzałką elektryczną wyparowywać przez okno.

- Ach, to? Nie, to nie jest żadna usterka. To wszędzie tak jest. Ona zresztą leci, ta woda, tylko bardzo powoli i pan tego nie widzi. Tak, tak. To syfony.

- Co syfony?

- Widzi pan, dawniej były pionowe syfony ściekowe i woda miała swobodny odpływ, a teraz są syfony poziome i ta woda nie ma dokąd iść.

- To dlaczego nie dajecie pionowych?

- Człowieku. Stropy.
- Co stropy?
- Cienkie stropy. Wie pan, ile ma pionowy syfon? 60 centymetrów.
To gdzie ja go panu dam?
- A jakby wannę podnieść?
- Panie kolego, niech się pan nie gniewa, ale coś panu powiem. Jak pan sobie będzie willę budował, to pan sobie będzie podnosił, obniżał, przechylał, ale tu to jest na razie Przedsiębiorstwo Budowlane.
- Zaraz, przepraszam, to znaczy, że u mnie nie ma usterek?
- Proszę pana, jakby to panu powiedzieć. I są, i nie są. Ja oczywiście część tej podłogi mogę panu uznać, ale wie pan o co chodzi? Gdybyśmy chcieli uznawać wszystkie usterki zgłaszane przez lokatorów, to ten budynek trzeba by w ogóle od nowa postawić.
Do widzenia panu.
- Do widzenia.

Ps. (po ewentualnych brawach) Proszę państwa, a co do kota, przepraszam, bo nie dokończyłem, to się znalazł. Znalazł się. On wpadł po prostu do sąsiadki Piętro niżej. A że sąsiadka rzeczywiście bardzo ładna dziewczyna, to i został u niej na stałe, stare kocisko.

M A G N E S

Dobry wieczór państwu.
Więc ja nie będę śpiewał. Nie wiem nawet, czy to dobrze czy źle, bo do tej pory nigdy nie śpiewałem, ale uprzedzam, żeby później nie było nieporozumień. To wszystko od początku nie układało się tak, jak sobie wyobrażałem. Zaczęło się od tego, że zadzwoniła do mnie pani kierownik, redaktor nazywa się i zapytała: Czy by pan nie wystąpił w Telewizji?
Kiedy? - pytam. Tego a tego dnia (to znaczy dzisiaj).
Gdzie? Tu a tu (to znaczy tutaj w studio).
Myślę sobie, popularność bądź co bądź, warto się pokazać. Dobrze. A ile takie coś kosztuje? - pytam. Dla pana nic - powiada - jeszcze panu dopłacimy. Cudowna babka - myślę sobie - Dobrze, pani redaktor, będę. Świetnie - ona na to - A co pan da? Jak to, co dam? ... a rozumiem, mogę dać pani połowę tego, co sam dostanę.

Niech pan nie żartuje. Co pan da w programie?

W jakim programie?

Musi pan dać jakiś program.

Uuuuuu... marnie - myślę sobie. A bez programu nie można?

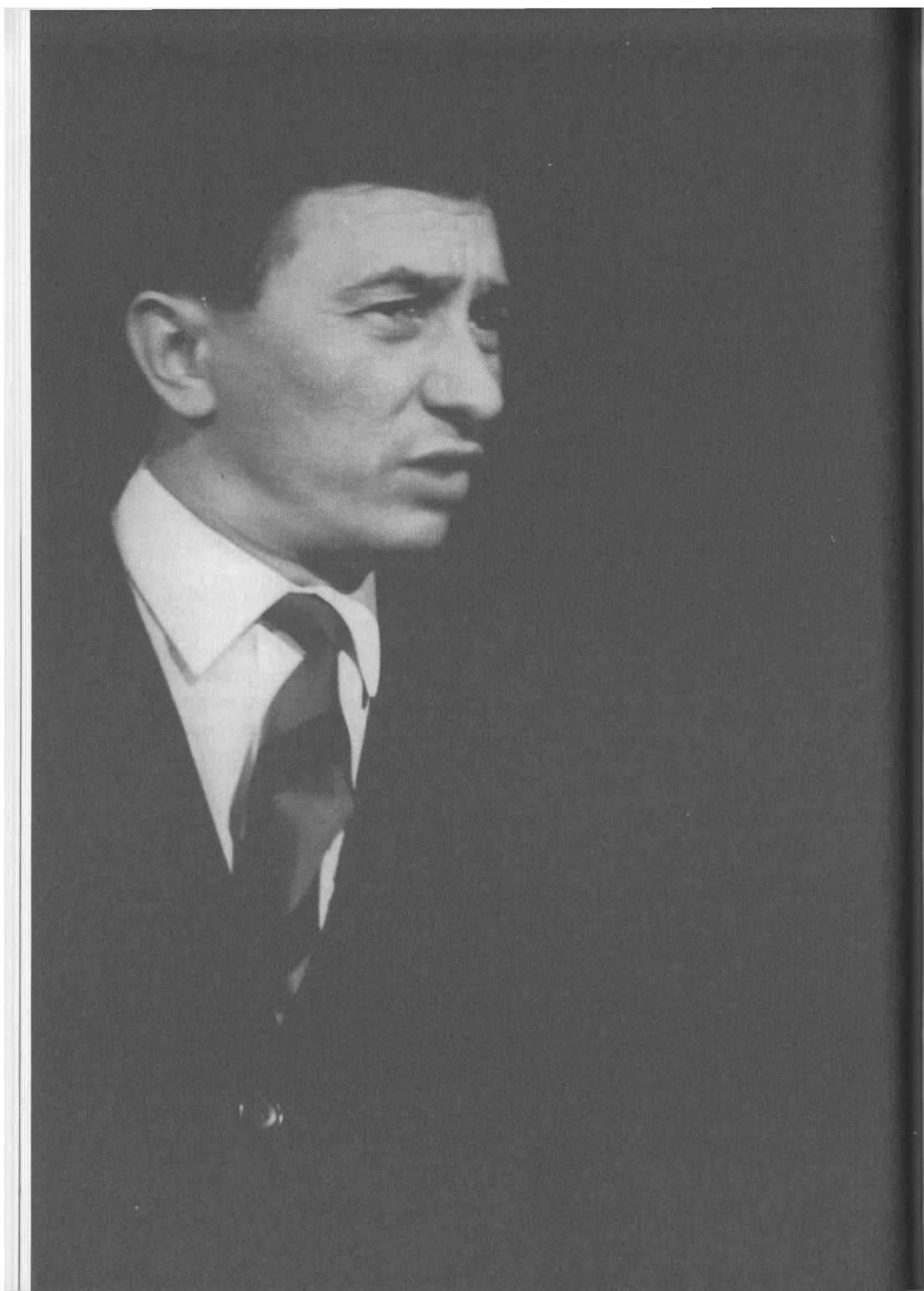
Nie, bez programu to my sami jesteśmy, a pan musi mieć program.

No i zaczęło się. Program, program, czy ja wiem jaki program? Czy ja wiem, co państwu przypadnie do gustu? Nie wiem. Trzeba się widać zdać na własny gust i wyjść po prostu jakoś od siebie. Właśnie słyszałem, że artysta powinien wyjść od siebie. No to dlaczego nie? Może artysta, to mogę i ja. I wyszedłem. Wyszedłem od siebie, z Solca, bo ja na Solcu mieszkam, chodzę, chodzę - nic. Ki diabeł? - myślę sobie. Może źle wyszedłem? Więc wróciłem do domu i jeszcze raz wyszedłem. Tym razem do znajomej. Ale też nic. Tzn. może by i coś wyszło, ale jej nie zastałem.

Co tu robić? Chodzę, chodzę, a zmarzłem już solidnie, bo to późna jesień, wieczór, a ten mój paltocik wiatrem podszyty, gdy nagle...

Jak w bajce. Patrę, a na mojej drodze smuga ciepłego światła, jakby i dźwięk jakiś znajomy i zapach, taki nieuchwytny a bliski... Podnoszę głowę, a przede mną drzwi, proste takie, swojskie, z szybkami i przez te szybki właśnie światło się to ciepłe przeciska i kusi mnie, i wabi. I czuję, że tam w głębi za tymi drzwiami magnes mnie jakiś ciągnie ku sobie, tak ciągnie, że i oprzeć się nie sposób. A nad drzwiami napis śliczny: Warszawskie Zakłady Gastronomiczne Bar nr 8 kat. 3. Cudownie.

No i zdjąłem w szatni paltocik i zamówiłem u tej paniutki za ladą setkę czystego magnesu i piwko małe... Cudownie. A potem były jeszcze dwa magnesy i piwko, i zrobiło się ciepło i już właśnie wiedziałem wszystko jak trzeba. I o życiu, i o tym występie również. W ogóle całość poznałem. Bo okazało się, że to wszystko cudownie się ze sobą spleta. W jeden węzeł taki. W prawdę o życiu, o naszym losie ludzkim, o szczęściu. I kiedy sobie to uprzytomniłem, to zachciało mi się śpiewać ze szczęścia, wyśpiewać swą radość i swój ból zarazem. I zaraz potem zrozumiałem, że muszę tym, co mnie boli podzielić się ze światem, aby świat mógł sobie również uprzytomnić to wszystko i zrozumieć. Tak, tak, będę, panie redaktorze śpiewał. Będę panu redaktorowi śpiewał tak, jak mu jeszcze nikt nie zaśpiewał. Tylko w piosence człowiek może wypowiedzieć całego siebie.



Zamówiłem jeszcze sto, ale już bez piwa, żeby mieć jasny umysł i tematy zaczęły cisnąć mi się już niepowstrzymaną falą. Tak. Będę śpiewał. O wszystkim.

I już wiem nawet, jak zacznę.

Bez ogródek stwierdzę, że „ziemia ojczyzna ludzi” - to też jest pięknie powiedziane i ważne, że nikt na to nie wpadł przede mną. Takie proste i takie piękne przez to. Nareszcie te mity się rozwijają. Ileż to ludzi uważa dotychczas, że Mars, Venus czy księżyc są kolebką ludzkości, a to nie, nie, to „ziemia ojczyzna ludzi”. Internacjonalnie, oryginalnie i wspaniale. Czuję, że to mi wyjdzie bardzo.

Potem się zaangażuję ideowo naturalnie.

Potem o miłości oczywiście, o różnych pustych ścieżkach. Całość dam. O żołnierzach dużo. Zaraz... a może cały recital sobie strzełę. A dlaczego nie. Brawo. Będę się z orkiestrą przebierał, baki dam sobie długie, różę w zęby, całość. Tak jest. No więc, niestety. Nie będę śpiewał. Powiedziałem pani kierownicze, a ona mówi, że po co? Jak to po co? A tamci po co się poca? A że tamci po to, a ja po tamto, że każdy, to co umie.

Ja mówię - jak to, co umie? A ona - żebym jej do muru nie przypierał, bo się mogę przykrych rzeczy dowiedzieć, a ja jej wcale do muru nie przypierałem, więc nie wiem, co to za gadanie. I podszedł jeszcze jeden kierownik, bo tu kierowników mają dużo i panie kolego powiada, ja pana, panie kolego, rozumiem... Ale ja pana, panie kolego kierowniku nie rozumiem, dlaczego mi pan tu jakieś kłody pod nogi rzuca. On mi żadnych kłód nie rzuca - powiada - ale on jako kierownik teraz dużo zrozumiał i się na pewno porozumiemy.

Aleśmy się w ogóle nie porozumieli, bo podszedł jeszcze jeden kierownik, a on do tego pierwszego miał takie pretensje sprzed paru lat, takie rany niezabliźnione, chciał koniecznie rachunki z nim wyrównać, więc oni się bardziej sobą zajęli, więc ja do tej kierowniczkii, ale ona zaczęła tymczasem flirtować z zupełnie nowym kierownikiem, co go dopiero dzisiaj rano mianowali, ona lubi takich rudawych, on taki odcień miał. I tak, i tak, i takie puste gadanie. Oni mi tylko te kłody pod nogi rzucają, rzucają, ja je odsuwam, żeby być bliżej i tak i tak, i tak i siak, i tak i pak, i pak i siak, i siak i siaki raki i rakifak ifakibrakigjrnvhfjelsux... No. Krótko mówiąc - wyszło, że nie. Nie. Ja mówię: Nie? Oni mówią: Nie. Ja mówię: Nie? Dobrze. Oni mówią: Dobrze. Ja mówię: Dobrze? Oni mówią: Dobrze.

Nie. Ja mówię: A niedobrze. Dobrze. To znaczy, ja nie mówiłem „dobrze” - jak teraz tak w zdenerwowaniu opowiadam, to tak może wyglądać, ale ja nie mówiłem „dobrze” tylko „dobrze” (ja zjadliwie mówiłem), bo tu dochodzi jeszcze kwestia interpretacji. Ale jak oni usłyszeli słowo „dobrze”, to wzięli to wprost i sobie poszli, a ja zostałem sam ze swoją interpretacją. No to co się będę wygłupiał. Pointerpretowałem sobie jeszcze trochę i też poszedłem.

Ziemia ojczyzna ludzi. Ładna ojczyzna, gdzie człowiek człowiekowi wilkiem. I czego oni chcą właściwie? Przecież sam widzę, obiektywnie, że mam wszystkie dane. Proszę bardzo. Głos mam? - nie mam. Końcówki zjadam? - zjadam. Wdzięk? Nic. Absolutnie właśnie, przeciwnie. Wykształcenia muzycznego też nie. O interpretacji pojęcia nie mam - nie mam po prostu zdolności w tym kierunku i nigdy się czegoś takiego nie uczyłem w ogóle. No więc?

Jako niewykształcony amator mam chyba wszystkie dane, żeby uprawiać piosenkę zawodowo; żeby przychodzili ludzie, żeby płacili pieniądze. Przecież ja im połowę Opola mogę sam wypełnić.

I co? I nic. Głupia ludzka bezmyślność podcina ci skrzydła. Mnie, który tyle ma do powiedzenia. Czy oni nie oglądają żadnych giełd i festiwali? Nie rozumiem.

No nic. Trudno. Tu mi nie wyszło to zacząć pisywać audycję rozrywkowe. Też się na tym nie znam, więc powinni przyjąć.

Tak, tak, proszę państwa. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło i wszystko dobre, co się dobrze kończy - a mój występ kończy się właśnie i to jest bardzo dobre. Do widzenia.

LIST DO MINISTRA CIEPŁEJ WODY

Nie, nie, nie, nie, nie. Dostyc. Nie, nie, nie. To się powtarza zbyt często. Nie, nie, nie, nie. Koniec.

Panie Ministrze Ciepłej Wody.

Korzystając z okazji, że takie ministerstwo w ogóle nie istnieje, pragnę tą drogą dać wyraz temu, co myślę o pańskiej pracy i o Panu osobiście. Na ciepłą wodę czekam już zbyt długo. Rozumiem, że za sanacji, gdy ciepłą wodę trzeba było dzielić na czworo - było to nieosiągalne. Gdy w latach wojny okupant wywoził całą ciepłą

wodę do Rzeszy - milczałem. Nie będę jednak milczał dziś - ja - od 23 lat, wolny obywatel swojego kraju.

Żądam stałego dostarczania do mojego mieszkania, podległymi panu rurami, ciepłej wody w ten sposób, abym mógł z niej korzystać w ilościach i w godzinach, jakie ja, a nie Pan, uznam za stosowne.

Nie uprzedzał mnie Pan, że ciepła woda będzie dostarczana tylko wtedy, kiedy Pan sam będzie miał ochotę wykąpać się lub coś przeprać. I proszę nie zasłaniać się obiektywnymi trudnościami, zwalając odpowiedzialność na niesolidnych kooperantów, którzy dostarczają Panu surowiec wodny o niższej niż ustalona temperaturze.

Mnie to nic nie obchodzi. Ma Pan ogromne biuro, mnóstwo pism, podań, korespondencji. Niech Pan pali pod kotłem urzędowymi papierami, ale ja mam mieć ciepłą wodę.

I uprzedzam - jeżeli i tym razem nie wywiąże się Pan ze swoich obowiązków - ja (a mnie jest wielu) po prostu któregoś dnia zdejmę Pana z zajmowanego stanowiska, a co gorsza, nie przesunę na równorzędne w innym resorcie.

Nawet nie mogę Pana... ciepło pożegnać.

Moim zdaniem nie nadaje się Pan nawet do Telewizji.

Nazwisko i adres znane... redakcji.

LIST DO REDAKCJI

Szanowny Panie Redaktorze !

Muszę Panu powiedzieć, iż z prawdziwą satysfakcją odczytałem napis, utrwalony farbą na moście kolejowym, przebiegającym nad ulicą prowadzącą w kierunku Żerania. Napis brzmi: „SIŁOM WOJNY WARSZAWA MÓWI - NIE”.

Napis jest duży i bezsporny.

I jeżeli pozwalam sobie zwracać Panu głowę, to dlatego, że po pierwszych chwilach entuzjazmu i solidarności, naszły mnie pewnego rodzaju wątpliwości jednak, którymi pragnę się z Panem podzielić. Wydaje mi się, że zabrakło tutaj po prostu pewnej precyzji w sformułowaniu.

Po pierwsze, czy rzecz dotyczy Śródmieścia, czy też tak zwanej Wielkiej Warszawy?

Widzi Pan, tak się złożyło, że ja osobiście mieszkam w Pyrach i nie wiem, czy zostałem włączony do tej akcji, czy nie.

To pierwsza sprawa. Jeżeli zostałem włączony - to w porządku, ale jeżeli nie? I tu wdarła się druga kwestia. Bardzo bym pragnął siłom wojny powiedzieć - nie, ale z kolei nie wiem, czy indywidualne mówienie siłom wojny - nie, jest praktykowane i dopuszczalne, a co gorsza, czy siły wojny zwrócą na mnie uwagę. Wie Pan, jak to jest z siłami wojny.

Ciekawy również jestem, od ilu osób w grupie można by zacząć mówić siłom wojny - nie, bo mam w Pyrach mnóstwo znajomych i mógłbym coś zorganizować.

I jeszcze jedno pytanie. Czy Pan się orientuje może, czy inne miasta już mówiły siłom wojny - nie, czy nie, a jeżeli tak, to które?

Przepraszam, że Pana fatyguję, ale nie mam się do kogo zwrócić, bo nie wiem, kto wymyśla te hasła.

Łączę serdeczne pozdrowienia
Jerzy Dobrowolski
(nazwisko znane redakcji)

OPOWIADANIE

Schody na klatce schodowej zamiotłem bardzo starannie, zaczynając od strychu. Następnie wróciłem na górę i przeleciałem je powtórnie w dół, tym razem odkurzaczem. Flanelowy woreczek na kurz wytrzępywałem i prałem po każdym skończonym piętrze.

Jeżeli chodzi o poręczę i balustradę, to przeciągnąłem je lizolem, a wszystkie framugi, parapety i drzwi przetrąłem miękką szmatką, zwilżoną bakteriobójczym preparatem.

Po tych wstępnych przygotowaniach zaatakowałem zasadniczy odcinek schodów, to znaczy ten od drzwi naszego mieszkania na drugim piętrze - w dół. Operacja wbrew pozorom była dość prosta. Wrzątek, proszek do szorowania, kilka szczotek ryżowych, później czyste ręczniki do ścierania, woda kolońska, wata i to wszystko.

Podwórce. Podwórce było duże, ale zblatowany już wcześniej gospodarz domu pożyczył mi szlauch gumowy i udostępnił hydrant. Uwinąłem się z robotą nadspodziewanie szybko. Rozwinąłem po prostu na większą skalę doświadczenia wyniesione z domu.

Wymiecione uprzednio i odkurzone podwórze umyłem szybko i sprawnie proszkiem do prania z wybielaczem optycznym, a plamy na chodnikach usunąłem specjalnym wywabiaczem do plam tłustych. Powierzchnie silnie zabrudzone pokrywałem ponownie preparatem i zwilżałem wrzątkiem, ponawiając czynność aż do całkowitego ustąpienia zanieczyszczeń. Po przetarciu podwórka wodą utlenioną wytarłem je świeżymi prześcieradłami, a zakamarki wysuszyłem fenem. Następnie od bramy podwórka do drzwi naszego mieszkania puściłem, fabrycznie nowy, purpurowy kobierzec, a na półpiętrach rozrzuciłem dodatkowo dywany z importu.

Czas był najwyższy, aby pomyśleć również o sobie. Po kąpieli i masażu w pobliskiej łaźni wróciłem zaprzyjaźnioną karetką pogotowia ratunkowego pod naszą bramę, skąd, w nowiutkim garniturze i samych skarpetkach, udałem się po kobiercach prosto do domu. Przy samych drzwiach zmieniłem jeszcze raz skarpetki, a następnie założyłem nowiuteńkie, ani razu jeszcze nienoszone lakierki, które na moją prośbę zostały dodatkowo specjalnie wysterylizowane. Wszedłem do pokoju z pękiem storczyków w dłoni i powiedziałem do żony: Hallo!

I wtedy powiedziała żona: Żebyś choć raz uszanował moją pracę. Znowu z ulicy ładujesz się z brudnymi kopytami prosto do mieszkania.

GLOBTROTTER

Dobry wieczór państwu!

Proszę państwa, dawno, dawno, dawno temu... albo nie, inaczej... wczoraj... a właściwie dzisiaj... nie, też nie... mam szalenie niewdzięczną rolę do spełnienia właśnie... bo tego... ten... no... przykra sprawa... bo muszę państwa uprzedzić po prostu, że jeżeli chodzi o mnie... a właściwie o mój występ, to spotka państwa rozczarowanie niestety. Poważnie. Głupia sytuacja się wytworzyła. Tak, że z góry przepraszam i proszę się nie gniewać.

Nie, no owszem, ja zostanę, postoję tutaj te swoje 15 minut, tyle co tam koniecznie potrzebne na podkładkę w księgowości, ale to wszystko, co mogę dla państwa zrobić w tej sytuacji, niestety.

Proszę sobie nie przeszkadzać zupełnie i zająć się czymkolwiek. Może na papieroska albo do bufetu, jeżeli jest przypadkowo... Ja i tak muszę zostać, bo inaczej nie dadzą mi tego, co mam w umowie podpisane, a ja to lubię mieć, bo to się przydaje w życiu. W restauracji czy w sklepie monopolowym na przykład, bardzo.

Która to godzina? (sprawdza) Acha. No dobra. Sprawdzam, żeby za długo państwa nie trzymać... Czekamy, (pauza)

Głupio tak stać bez sensu... usiadłbym chętnie... ale nie... przyczepią się jeszcze... postoję, trudno... (pauza) (patrzy na zegarek)

Ten zegarek zepsuty, czy co?... Nie, idzie, ale strasznie powoli. Trzeba mi było szybszy kupić, (pauza)

Oni nie są życzliwi, wicie państwo. Mówiłem im - kochani, róbmy sobie na rękę, dajcie mi tylko pół stawki, ale bez wychodzenia na estradę i po kłopotcie. Czysty zysk przecież. Ja trochę stracę co prawda, ale też niekoniecznie, bo przecież mógłbym ewentualnie takich umów dwa razy więcej podpisać, to by się per saldo wyrównało. Ale nie - mówią - albo za całą stawkę, albo nic. Dogadaj się z takimi. Mnie męczą, państwa trzymają, byleby im się zgadzało... głupiego robota, (pauza)

Ech, to los człowieka. Przecież proszę państwa, czy ja bym nie chciał czymś zająć państwa tutaj, zabawić jakimś śmiesznym monologiem, jak za dawnych lat bywało? Błysnąć humorem, satyrą, dowcipem? Bardzo bym chciał, ale niestety, niestety, niestety. Nie dam rady niestety. Talent mi się skończył. O to chodzi. Na tym to polega. Dawniej, pamiętam. Co im przyniosę jakiś nowy kawałek, skecz monolog, kabaret nawet - świetnie, panie Jerzy, brawo, nie rozumiemy, ale dobre, trafione, pan to jest naprawdę... I fajnie. Rzeczywiście i ja zadowolony, i publiczność nie zawiedziona specjalnie. A dzisiaj? Odwrotnie. O to chodzi. Co przyniosę tam do nich do zatwierdzenia, jakiś nowy materiał - marne, mówią, głupie, literacko nieudolne i bardzo niesłuszne w dodatku. Komu to służy? - pytają. Tyle jest fajnych tematów, o Reaganiu choćby, to pan ciągle musi nudzić w kółko o naszej rzeczywistości? Tu się nie ma z czego śmiać, kochany. I nie puszczają. Kochani są, nie puszczają z troski o mnie, żeby się wstydu nie najadł. Bardzo troskliwi są, bardzo. Nie tylko o mnie zresztą. W ogóle o poziom narodowej kultury. Ogromnie dużo różnych tekstów nie puszczają. Wspaniali są i przejdą do historii niewątpliwie. Ale słusznie - niech pokolenia wiedzą, komu co mogą zawdzięczać.

A ja tak stoję przez to. To znaczy mógłbym nie stać ostatecznie, przymusu nie ma, ale wcześniej stanąłem wobec alternatywy: albo w ogóle tutaj nie przyjechać, nie wystąpić i odjąć tym samym dzieciakom od ust kawior z ananasem, bo tak się mniej więcej kształtują nasze stawki, albo jednak stanąć tutaj, świecić oczami i później przepić po prostu tych parę groszy. No i stoję teraz... Ale nie szkodzi, zaraz... teraz mamy 87-my... no tak, w porządku. Byle jeszcze trochę przebiedować, to się odkuję nareszcie i już niedługo zacznę prowadzić hulaszczy tryb życia, trwoniąc na lewo i prawo emeryturę. To znaczy bez przesady. Co się pobawię to moje, ale znaczną część tych pieniędzy chcę przeznaczyć na podróże po świecie jednak. Zawsze mnie to ciągnęło bardzo.

Za granicą jest przepięknie. Wiem, bo bywało się trochę. Nie za często specjalnie, ale jednak... Zaraz... (patrzy na zegarek) Dobrze. Jest trochę czasu, mogę opowiedzieć.

Ostatni raz, pamiętam, no już dość dawno, było to mniej więcej przed dwudziestu z górą laty. Wybraliśmy się z żoną wycieczką Orbisu, w podróż poślubną, do Jugosławii. Piękna wycieczka. Już wtedy dość droga, kilkanaście miesięcznych pensji, ale co tam, człowiek żeni się w końcu tylko parę razy w życiu. A wycieczka piękna. Szczegółów nie znam, ale opowiadali, że rzeczywiście szalenie udana. Mówię - szczegółów nie znam - bo osobiście nie byłem, bo mnie cofnęli z lotniska, ale podobno jest tam pięknie. Jugosławia jest prześliczna.

Mnie cofnęli. Cofnęli bo musieli. Gdyby nie musieli, to by mnie nie cofnęli oczywiście. Ale cofnęli, bo musieli. Przykro mi było, bardzo przykro, ale cofnęli. Interes państwa, proszę państwa, wymagał, żebym... to znaczy nie państwa, proszę państwa, tylko ludowego państwa wymagał, abym absolutnie, pod żadnym pozorem nie kąpał się w Adriatyku. Wykluczone. No i nie dali mi paszportu w związku z tym niestety. Acha... bo trzeba wiedzieć, że paszporty wtedy dostawało się dopiero na kilka minut przed odlotem. To dla wygody obywatela było. Żeby nie zgubił przed wyjazdem, czy coś... nie znam szczegółów.

Słyszałem, że obecnie bardzo się usprawniło wszystko i został znacznie skrócony czas oczekiwania na odmowę paszportu, ale opowiadam, jak było. No i tak. Na tym lotnisku, te paszporty innym dali, temu przebranemu za turystę też dali, nawet mojej żonie dali, a mnie nie dali.

Ale nie bez powodu oczywiście. Powód był. Bardzo ważny powód. Powód zawsze musi być. Tutaj powód nazywał się § 4-ty i brzmiał: „inne ważne sprawy państwowe”, a to znaczy, że ze względu na „inne ważne sprawy państwowe” ja absolutnie nie mogę opuścić kraju.

Ja domyślam się, o co chodziło. Państwo nie mogło ryzykować. Jednak takie dwa tygodnie beze mnie w kraju mogłoby szalenie odbić się ujemnie na kulturze narodowej. Nie daliby sobie rady po prostu. No i zatrzymali. Ale i tak bardzo przyzwolicie. Do ostatniej chwili zwlekali jednak, chcieli iść maksymalnie na rękę, myśleli, że może jeszcze coś się wykombinuje. No, niestety. Paragraf to paragraf.

Ja państwu powiem więcej. Jestem przekonany, że gdyby to nie były „inne ważne sprawy państwowe”, ale jakieś inne od tych „innych” ważnych, nawet też ważne, ale ściśle określone sprawy państwowe, to by może dało się załatwić. Ale to niestety nie były inne, tylko „inne” ważne sprawy państwowe, a na to nie ma mocnych, bo nawet ci niżsi funkcjonariusze od paszportów też nie wiedzą, co to znaczy.

Tak więc wycieczka do Jugosławii udała mi się połowicznie. Połowicznie, bo żona mogła jechać właściwie. Inna sprawa, że niemądra nie chciała pojechać sama w podróż poślubną i też została, ale to już jej własna wina. Nawet ją ukarali za to. Mnie uczciwie zwrócili wszystkie pieniądze wpłacone na wycieczkę, ale żonie potrącili niezły procent. I słusznie. Najpierw się pcha, naprasza, blokuje miejsce, a potem nie jedzie. Babskie, inteligenckie fanaberie.

Zaraz, ale do czego zmierzam? Acha, więc z tą Jugosławią rzeczywiście trochę nie wyszło jakby, a później już się jakoś nie starałem nawet o wyjazdy. Bo „inne ważne sprawy państwowe” wciąż były aktualne, więc nie występowałem o paszport.

Nie tylko o paszport zresztą. Z czasem w ogóle coraz mniej występowałem, a w latach późniejszych już przestałem występować całkiem. Niestety, niestety, niestety. Pytanie: czy nie mogłem występować? Nie, nie - mogłem. Doskonale mogłem. Swobodnie, Powiem więcej. Nawet nakłaniano mnie bardzo. Ci najważniejsi faceci od „innych ważnych spraw państwowych” pozwalali mi dosłownie na wszystko. Co pan tylko chce, panie Jerzy (Jerzy, do mnie, bo tak się bratali z narodem, takie równe chłopaki, bezpośrednio). Tak, że

mogłem. Wszystko. Z tym, że nie zgadzali się tylko na samą treść występów oraz zalecili różnym instytucjom artystycznym, żeby mnie absolutnie nie angażowały. Takie moratorium jakby.

Ja się jakoś zraziłem wtedy. Niby drobiazg, ale jak zabronili występować, to postanowiłem nie występować rzeczywiście. Żeby chociaż formalnie decyzja należała do mnie, bo występować i tak nie mogłem.

2qq Została mi co prawda jeszcze jedna możliwość występu. Nawet chciałem wystąpić - do sądu. Ale sądu nie było. To znaczy był, była taka grupa ludzi pod tą nazwą, ale bałem się, żeby to nie byli tylko specjaliści od „innych ważnych spraw państwowych”, więc i z tego zrezygnowałem.

I tak już zostało wtedy. Takie tam drobne nieporozumienie.

Nieważne. Było, minęło, przeszło. Ważne, że dzisiaj, na fali porozumienia, znowu jesteśmy razem, kochani. I to jest wspaniałe.

(spojrzał na zegarek) No i proszę, jak nam zleciało pięknie. Mogę już w zasadzie kończyć.

Nawet na koniec chętnie powiedziałbym teraz coś od siebie może... ale nie. Nie! Nie! Takie nieuzgodnione gadanie mogłoby mieć szkodliwy wpływ na „inne ważne sprawy państwowe”, a tego chciałbym uniknąć z uwagi na bardzo konkretne moje ważne sprawy prywatne.

Rzecz w tym, że chciałbym jeszcze po prostu widywać się z państwem przez jakiś czas. O to chodzi.

Do zobaczenia. Oby.



Pewien nieznan mi wcześniej ksiądz z Choszczówki tymi słowami zwrócił się do wiernych:

„... .Wielu światłych i mniej światłych ludzi, mędrców, uczonych, filozofów stara się znaleźć i przedstawić bliźnim receptę na szczęście. Ja nie potrafię tego zrobić, mogę jednak przekazać wam całkowicie pewny sposób na to, aby być nieszczęśliwym.

Otóż, po pierwsze, trzeba w każdej sekundzie swojego życia myśleć wyłącznie o sobie. Oceniać fakty i ludzi tylko pod kątem własnych interesów, to znaczy, w jakim stopniu rzutują one i oni na nas. Ile mogą przynieść korzyści, a ile zagrożenia. Nie brać pod uwagę i nie myśleć o interesach innych, natomiast wyolbrzymiać

i apoteozować każdy własny najmniejszy wysiłek, podnosząc go we własnych oczach do rangi nadludzkiego wysiłku i skrajnego poświęcenia.

Po drugie - nie przyjmować choćby najdrobniejszych uwag ze strony nawet najżyczliwszych osób. Każdą uwagę, każdy gest traktować należy jako wyjątkowo złośliwy, perfidny i wredny, niczym nieuzasadniony, wrogi atak, który należy odeprzeć wszelkimi dostępnymi środkami. Trzeba pamiętać, że wszelka ludzka życzliwość powodowana jest niskimi pobudkami i stanowi zagrożenie dla naszej ambicji, honoru i wyższości. Nasza wyższość bowiem jest niezaprzeczalna, a to pozwala z kolei ferować nam wszelkie wyroki, od których nie ma i nie może być odwołania. I po trzecie - pamiętać latami wszelkie urazy, pielęgnować je w sobie, a z biegiem czasu rozbudować je i potęgować, czekając na okazje do zemsty.

Stosując te trzy proste zasady możemy być absolutnie pewni, pod gwarancją, że nie tylko sami będziemy głęboko nieszczęśliwi, ale unieszczęśliwimy również otoczenie..."

Podejrzane! Czyżby moja żona chodziła do tego księdza do spowiedzi?

„C Z I K - C Z I K ”
(opowiadanie)

Może tylko paru przyjaciół, którzy uczestniczyli wtedy częściowo w tej historii, zna kilka nieznaczących szczegółów. Sam jednak, z uwagi na pewną drastyczność faktów, nie opowiadałem dotychczas o tej sprawie nikomu.

Było to bardzo, bardzo dawno. Może osiem lat temu, może dziesięć... Nie pamiętam. Jeżeli dziś pozwalam sobie, ku przestrodze starszych i młodzieży, opowiedzieć publicznie o tym zdarzeniu, czynię to w przekonaniu, że pani, będąca bohaterką mojej opowieści, od dawna nie żyje.

Było tak: była zima, była piękna górską miejscowość, były wczasy... Raczej nie wczasy, a wywczasy, bo to nie był jakiś organizowany turnus, lecz coś w rodzaju koleżeńskiego zjazdu paru kolegów z dawnych lat.

Była zatem, jak już powiedziałem, zima; nie było jednak, jak nie powiedziałem jeszcze, śniegu. Były góry, ale nie bez słońca. Było za

to tych paru starych kolegów, był wieczór, był deszcz i była cudowna knajpa. Jedna z tych małych, prywatnych, niepowtarzalnych.

Było więc powodów aż nadto, aby w tej knajpie siedzieć. I siedzieliśmy. A na dodatek jeden z nas wracał już tego wieczoru do domu, więc trzeba go było uczciwie pożegnać. Tak bowiem niezręcznie ten Andrzej, bo to Andrzej był ten wyjeżdżający, nakłamał przed wyjazdem w góry, że teraz, wcześniej od nas, musiał pojawić się w tej swojej pracy.

Zegnaliśmy go więc uczciwie, tego Andrzeja, trzykrotnie nawet, bo dwa pierwsze autobusy zostały odwołane. I gdy pojechał w końcu, wróciliśmy znów do tej naszej knajki - bo deszcz, bo smutno, bo pojechał już był ten Andrzej. Bo my już pojutrze się rozjedziemy...

I zrobiło się marnie. I zrobiło się ponuro. I nawet sympatia kelnera nie wiele mogła pomóc. Sącyliśmy ten swój alkohol, gadaliśmy trochę o tych naszych dawnych czasach, o niespełnionych nadziejach, ale coraz bardziej każdy z nas zapadał się w siebie, milkł, frustrował. Myśli były coraz bardziej smutne, głowa coraz cięższa, cisza coraz bardziej przygnębiająca. I właśnie wtedy, gdy dochodziłem już myślami do własnego pogrzebu, gdy cała rodzina stała niepewnie nad otwartą mogiłą, gdy ja sam, choć nieboszczyk, byłem bliski łez, właśnie wtedy... otworzyły się drzwi, powiało ostrym górskim powietrzem, zapachniało mżawką i w drzwiach stanęła ONA.

Nie znałem tej dziewczyny, nie widziałem jej nigdy, ale wydawało mi się, że znam ja od dawna. Była cudowna. Wilgotna, jakby lekko oszroniona - śliczna. Była wyraźnie zmarznięta, że chciałoby się rozmarzać ją do ostatniego tchu.

Była w niej jakaś dziewczęca bezbronność, a równocześnie - choć niesporo mi o tym mówić - był urzekający, obezwładniający seks. W ruchu - gdy siedziała przy sąsiednim stoliku; w pochyleniu głowy nad widokówkami, które zaczęła wypełniać zgrabnym, drobnym pismem; w spojrzeniu - gdy przywołała kelnera. I było coś wzruszającego w zestawieniu jej z otoczeniem. Z jednej strony ta knajpa i my - zapici, brzydki jacyś, zepsuci, pochyleni nad którąś tam kolejką alkoholu, z drugiej ona - śliczna, młoda, z tą swoją rozbrajającą herbatką i widokówkami. Więc gdy to sobie uprzytomniłem nagle tak wyraźnie, to na myśl o własnej wrażliwości zrobiło mi się jeszcze cieplej na sercu.

Bywa czasami tak w teatrze, że nagle widz, nie wiedząc kiedy, ulega magii przedstawienia, odrywa się od otaczającej go rzeczywistości, zapomina o swoich kłopotach, nie dostrzega na scenie dykty, farby, nie widzi źle przyklejonej peruki, nie miedli w gotowości numerka z szatni na ten swój paltocik, lecz cały, bez reszty pochłonięty jest sztuką. Jest w niej, w środku, uczestniczy w niej bezpośrednio, osobiście.

A zdarza się to wówczas, gdy wiedza, smak, talent i doświadczenie twórców przedstawienia kumulują się wzajemnie, nakładają; gdy zamysł autora walczy o lepsze z talentem aktorów, scenografa, reżysera, i razem zestrzelują się w jedno działanie, w jedną myśl, w sukces.

Bywa tak w sztuce, zdarza się czasami i w życiu. Klimat górski, alkohol, deszcz, młodość, pewien smutek, oddalenie od domu, a przede wszystkim ona, połówka mojej duszy, ona, która przez przypadek wybrała sobie ten dzień, tę knajpę, tę godzinę - złożyły się na to, co później w opowieściach powraca jako wspomnienie pięknej, wspaniałej przygody, tej niezapomnianej, która może wydarzyć się tylko raz.

Wszystko zrobiło się łatwe i proste. Byłem w transie. Kompozytor, autor, aktor, reżyser i scenograf zestrzelili się we mnie i działali za mnie. A wszyscy mieli tylko jeden wspólny cel - zdobyć ja dla mnie. Posiąść. Na życie, na tydzień, na chwilę - nieważne.

Zadziwiła i podniecała mnie łatwość, z jaką osiągałem cel. Wszystko mi wychodziło. Jakieś zdanie rzucone przez stolik, pierwszy koniak, który szybki kelner zaserwował jej dyskretnie ode mnie, nagle jej zdziwione oburzenie i mój rozbijający uśmiech. Nie mogło być inaczej. Mój hipnotyczny stan udzielił się dziewczynie. Uśmiechnęła się. Czułem jak przepływa między nami fala porozumienia. Połówki dusz dociągały ostatnie śruby połączeń... pozbyłem się szybko kolegów.

Potem kolacja w innym lokalu, dancing; potem długi, cudowny spacer na deszczu i w końcu sami. Sami, wtuleni w noc, w siebie, w ciepło góralskiego łóżka, w alkohol, w rozkosz. Była cudowna. Ona była cudowna i ja byłem cudowny. I znów reżyser ze scenografem i inni twórcy przyszli mi na pomoc i też byli cudowni. Bezinteresownie udzielali mi swych sił witalnych i męskich możliwości. Kompozytor szedł o lepsze z autorem; scenograf po prostu szalał; reżyser przechodził samego siebie; kurtyna szła w górę chyba kilkanaście razy.

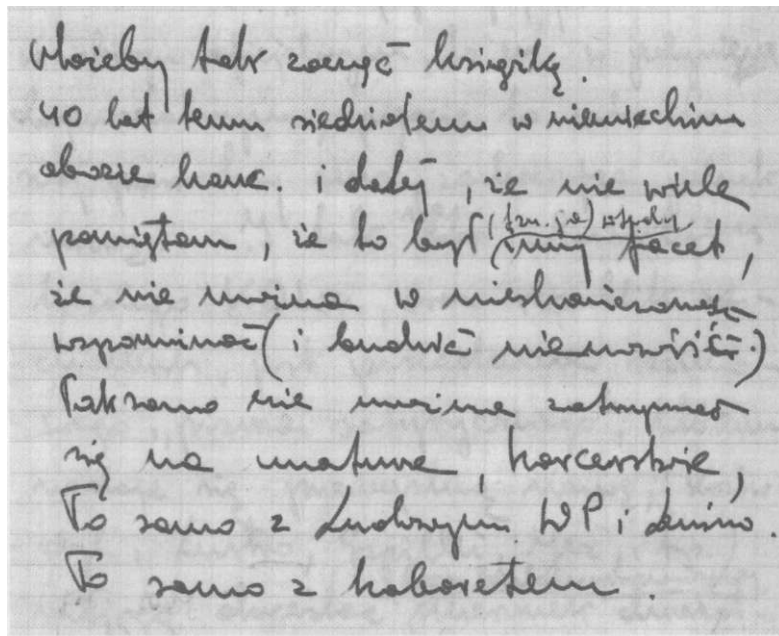
A gdy już cała ekipa była skrajnie wyczerpana, wpatrywałem się jeszcze długo, długo w jej cudowną, ciemną oprawę oczu, w jej karnację, w jej dziewczęce ciało. I gdy w końcu wódka wymieszała się ostatecznie ze snem, sen z rozkoszą, a rozkosz z deszczem przechodzącym nareszcie w śnieg - zasnąłem naprawdę szczęśliwy.

Gdy się obudziłem było przeraźliwie jasno i kłuło coś w oczy. Tak... zdaje się, że wyjechał Andrzej, czy coś takiego... Tylko dlaczego ten kretyń nasypał mi przed wyjazdem popiołu do ust! ... Będę to musiał wyjaśnić... Na razie trzeba zjeść ten śnieg za oknem... to na pewno przyniesie ulgę... Zaraz... jak to było? Spojrzałem na poduszkę - miała na sobie jakieś czarne plamy. Przejechałem dłonią po twarzy i na palcach pozostały mi ciemne smugi... O co chodzi? ... Wysmarowali mnie jakąś pastą? Dziegciem?... Co to jest? Gdzie jest kelner?...

Nagle coś koło mnie poruszyło się, usiadło. Znieruchomiłem i tylko oczy powolutku odwróciłem w tę stronę. Najpierw odjęło mi mowę i prawie nogi jednocześnie, i prawą rękę. Dzięki Ci, Wielki Boże, że stworzyłeś mnie mańkutem. Namacałem na ślepo butelkę i długo, z zamkniętymi oczami, wlewałem sobie alkohol do otworu gębowego. Na zakąskę zjadłem papierosa i otworzyłem oczy.

Obok mnie, pod kołdrą, siedziała jakaś staruszka w negliżu. Drobna, chuda, z rozmazaną henną na malutkiej twarzyczce. W pustce mojej czaszki zaczął się ktoś gwałtownie dobijać. To dziadziuś. Dziadziuś nieboszczyk, który w dzieciństwie powtarzał mi stale: „Co się mówi, gdy się kogoś starszego zobaczy rano?”. Więc wybąkałem niepewnie - dzień dobry. I wtedy ta pani z całym oddaniem odpowiedziała: „Dzień dobry Cziki-Cziki”. Gwałtownie poczułem, że chyba wczoraj zjadłem coś nieświeżego. Zaciśnięte zęby, a ona ciągnęła dalej: „Wiesz, trzy lata temu byłem z mamuszką w Cieplicach, taka miejscowość, wiesz, gdzie jest ciepła woda w ziemi, bo mamuszka miała to wtedy z tą nogą, co ci mówiłam w nocy i ją moczyła. I tam są ptaszki w muzeum, wiesz, naprawdę. Same ptaszki. Nie ma żadnych zbroi, ani obrazów, ani nic, tylko ptaszki, wiesz? I mamuszka zapytała o jednego ptaszka jak się nazywa, wiesz, taki mały, na gałązce, bo one są wypchane. I była heca, bo ja na niego od razu powiedziałam, na tego ptaszka - Cziki-Cziki. Tak go sobie nazwałam, bez namysłu, wiesz? I mamuszka jak to nieraz wspominam to okropnie się śmieje i zawsze powtarza - Cziki-Cziki, Cziki-Cziki, Cziki-Cziki... I on był bardzo podobny do ciebie, wiesz?”.

Działo się to wszystko bardzo dawno temu. Ile to już lat? Nie pamiętam. W każdym razie od jakichś ośmiu czy dziesięciu lat, jeżeli nawet zdarza mi się wypić kieliszek czegoś mocniejszego, czynię to wyłącznie w domu.



Wolęby być znowu krótki.
40 lat temu niedziela w nieznanym
obscure house. i dalej, że nie wiele
pamiętam, że to był ^{(du. ja) wtedy} facet,
że nie miałem w niechcianym
wspomnienie (i budzić nie wolno).
Tak samo nie miałem zabymos
się na unafune, hercerowie,
To samo z Ludowym WP i dmiw.
To samo z kabaretem.

205

Jerzy Dobrowolski próbował po kabaretach „Koń” i „Owca” zrealizować kilka programów telewizyjnych bądź estradowych. „Wiesław Gołas Show” czy „Rewia Tytanów” pozostały jednak tylko w formie gotowych scenariuszy. Do realizacji z powodu czujności odpowiednich towarzyszy nie doszło.

Ich współautorem był przede wszystkim Wojciech Młynarski, ale teksty pisali również Andrzej Bianusz czy Stanisław Tym. Ostatnim programem kabaretowym, który uzyskał prawie ostateczny kształt, był kabaret „Kura”. Miał przedstawić program pod tytułem „Apio” a ostatecznie „Apio Indyget”. Dobrowolski pisał go początkowo z myślą o Piotrze Fronczewskim. Potem pojawiła się bardziej rozbudowana forma, którą postanowiłem przedstawić Czytelnikom.

Te kabaretowe zapiski poprzedzi jednak notatka Jerzego Dobrowolskiego dotycząca okresu, w którym władze usilnie dążyły do zakończenia występów kabaretu „Owca”...

Skarżycie się - powiedzieli w KW (Komitet Wojewódzki PZPR) - że nie dajemy grać wam „Owcy”. Dlaczego nie? Chodzi tylko o to, jak długo można grać jeden program? Dajcie coś nowego. Czekamy.

Odpowiedziałem - To nie jest argument. Jeżeli program jest dobry, to można grać w nieskończoność. KW np. od lat ma ten sam program i dobrze.



Kupić i włączyć: „Panie sierżancie”, „Żelazna”. (Są bowiem sprawy, tematy poważne, nie do śmiechu, przed którymi i satyryk chylić musi czoła).

Jerzy Dobrowolski
zaprasza na program pod tytułem:

„APIO I N D Y G E T”*

Pierwszy w Polsce recital nieśpiewany.
Na wszelki wypadek z udziałem:

Agnieszki Fatygi
Wojciecha Głucha
Piotra Fronczewskiego

Uwaga: Inwalidzi umysłowi - 50% zniżki.

(Gong. Krótki wstęp fortepianowy. Gong. Wchodzi gospodarz wieczoru).

Dobry wieczór państwu. Dobry wieczór.
Proszę państwa, od razu na początku prośba.
Czy ja mogę zostać w krawacie i marynarce?
Tak? Świetnie. Ja wiem, że to nieco ortodoksyjne stanowisko,
ale będę się lepiej czuł po prostu. Dziękuję.
Proszę państwa.

Chciałbym jeszcze na chwilę wrócić do tych braw, które byli państwo łaskawi ofiarować mi na przywitanie.

** „Appio”, „Apio”, „Apio Indygent” - takie formy zapisu tego tytułu, ale takie notatek, pojawiały się w rękopisach Jerzego Dobrowolskiego.*

Tak się nie robi. Cały mój misternie przygotowany plan wziął w łeb niestety, niestety, niestety.

Muszę się państwu przyznać, że to powitanie, te brawa to bardzo przyjemne jednak. Bardzo. I bardzo dziękuję.

Mówię „jednak”, ponieważ, jak wspomniałem, miałem zupełnie inny plan. Bądźmy szczerzy. Nie będę ukrywał, że po cichu liczyłem trochę na to, że jakieś brawa, na moje wejście, będą. Na zasadzie odruchu choćby i z czystej kurtuazyjnej życzliwości państwa, na co zresztą bardzo liczę w dalszej części spotkania również.

Ale, proszę państwa, według pierwotnego planu miałem wobec tych braw zachować się niezwykle skromnie, czym chciałem szczególnie ująć państwa za serce i zaskarbić sobie ich sympatię. Bo miałem powiedzieć mniej więcej tak:

Dobry wieczór państwu. Dobry wieczór.

Proszę państwa, jest taka prośba, żeby braw nie było. Jestem wystarczająco speszony i tak. To znaczy bardzo miło, jak są brawa, oczywiście, ale jak za coś brawa to tak, a jak tak to nie właśnie. Ciekawostka taka.

To znaczy, ja wiem, są ludzie - i mamy jeszcze sporo tego u nas - którzy lubią brawa za nic też, właściwie głównie za nic, ale ja tak rzadko pojawiając się publicznie, że się nie przyzwyczaiłem jeszcze. Państwo przyszli... ja się wcześniej zobowiązałem... więc przyszedłem,... ale żeby miał coś do powiedzenia to nic właśnie. Jestem, po prostu jestem...

Tak. Tak miało być, ale niestety, niestety, niestety nie przewidziałem jednej rzeczy. Proszę państwa, nie wiedziałem, że to takie przyjemne jednak. Niestety, niestety, niestety. To jest b a r d z o przyjemne. Do tego stopnia, że proszę państwa, przepraszam, ale gdyby można było jeszcze raz powtórzyć to bardzo serdecznie proszę.

Spróbujmy. Uwaga:

Dobry wieczór państwu. Klaszczemy, (brawa)

Tak. Tak. Wspaniale. Od razu inne samopoczucie. Nawet jeżeli aplauz co nieco wymuszony, no to co to szkodzi. W końcu nie robimy nic innego od kilkadziesiąt lat. Wspaniale. Bardzo dziękuję.

Muszę przyznać, że to mi w ogóle zmienia nieco światopogląd. To może trochę śmieszne nawet, ale teraz przestają się właśnie dziwić tym rozmaitym mężom stanu. Ja ich rozumiem. Brawa są brawa i człowiek, chcąc nie chcąc, musi uwierzyć w siebie, a później to już bardzo trudno zrezygnować, czego zresztą mamy liczne dowody.

Przyzwyczajenie jest drugą naturą. Jak się człowiek przyzwyczai do nieustającej adoracji, to ho, ho, ho.

Brawa, brawa. Przy każdej okazji brawa. Coś w tym musi być jednak.

No bo tak: wchodzi sobie tylko taki mąż stanu - brawa. Przeczyta jakąś swoją albo i nie swoją głupotę z kartki - owacja. Mało tego. Zapytają go, która godzina, powie powiedzmy 6,15 - niemilknące, skandowane oklaski, że mąż tak w sedno utrafił. I to niezależnie od tego, która godzina jest naprawdę. Tak, że sami państwo widzicie. Nie jest łatwo.

No, ale to jest margines. Ja nie o tym. Wytrąciły mnie te brawa tylko i stąd ta niezamierzona dygresja.

Teraz główny temat. Serio. Teraz serio, bo czasami sobie żartujemy.

Proszę państwa, to jest niesamowite. Niesamowita historia. Naprawdę. Niesamowita. Takie spotkanie, w takim gronie, w takim okresie - bomba. Dla mnie bomba.

I już bez żartów. Naprawdę ogromnie się cieszę i najserdeczniej witam wszystkich zebranych. Dobry wieczór państwu.

Proszę państwa i teraz rzeczywiście nie wiem, od czego zacząć. Tyle tematów się nazbierało. No, bo też i nie widzieliśmy się ze sobą ładnych parę lat. Niestety, niestety, niestety. Jakoś tak, czy to rozeszliśmy się jakby, czy nas rozdzielono może... Już nawet nie pamiętam, o co to mogło chodzić wtedy, dlaczego tak się stało, ale coś było na rzeczy. Ktoś kogoś nie lubił zdaje się... nie wiem. W każdym razie tak się układało do niedawna, że się nie układało do niedawna i się nie układa od niedawna, i człowiek wyszedł z wprawy od dawna. Proszę mi wybaczyć, jeżeli coś będzie nie tak.

To jest mikrofon, prawda? Tak, to jest mikrofon... To mikrofon jest... Nie, bo za moich czasów występowało się bez tego, ale przez to też słychać? Tak? Dobrze. To gotowe, to gotowe. Dobrze. Możemy zaczynać. Proszę.

Acha! Nie ma pianisty. To nie.

Proszę państwa, ja i tak nie będę śpiewał. Nie wiem nawet, czy to dobrze, czy źle, bo do tej pory nigdy nie śpiewałem, ale uprzedzam, żeby później nie było nieporozumień.

To zresztą, jak sądzę, może być korzystne nawet. Piosenkarzy mamy w nadmiarze jakby, natomiast ja mam inną propozycję.

Proszę państwa. Wpadłem na pomysł. Właściwie na dwa pomysły. Jeden już państwo znacie: recital nieśpiewany. To dowcipne. Bardzo dowcipne. Nudne, ale dowcipne. A drugi jeszcze bardziej oryginalny: recital siedzący.

Bo pomyślałem, że to jakoś może nienaturalne będzie, gdy wszyscy siedzą, a ja stoję. Również państwu może będzie jakoś niezręcznie, że ja stoję, w moim wieku, gdy państwo siedzą.

Myślałem początkowo o jakimś kompromisie, ale pomysł, żeby wszyscy stali przez cały wieczór, nie wydaje mi się najzręczniejszy. Jeżeli na razie mamy jeszcze krzeselka. 209

Zresztą, mówiąc między nami, jakkolwiek próbowałem dorabiać ideologię do praktyki, nic nie może zmienić faktu, że perspektywa stania przez dwie godziny nie bardzo mi się uśmiecha. Tak więc pozwolą państwo, że usiądę. Tak najlepiej będzie i najnaturalniej, (siada przy stoliku) No tak, zupełnie inaczej. Mały koniak poproszę. To był dobry pomysł. Dobrze.

Tak. Jeżeli już siedzieć, to wspólnie.

Proszę państwa. Po tym przydługim może wstępie, pozwolą mi państwo nareszcie przejść do głównego tematu. W czym rzecz? Otóż chciałbym zaproponować dzisiaj państwu nieco inną formę spotkania, niż to jest normalnie praktykowane.

Mniej może produkcji estradowych jako takich, więcej wspólnego, niefrasobliwego „bidibidibid”, czyli przyjacielskiej rozmowy pełnej wspominków i dywagacji. Zgoda?

Acha, przepraszam, proszę państwa, jeszcze jedno, (wstaje)

Żeby już ostatecznie nic nas nie dzieliło. Mała zabawa ruchowa. Uwaga. Na trzy-cztery wyjmujemy ukryte magnetofony. Zgoda? Służbowe również.

Powiem, o co chodzi. Można nagrywać, oczywiście, proszę bardzo, ale nie warto.

Od strony artystycznej i tak liczy się naprawdę tylko żywe słowo, bezpośredni, żywy kontakt między ludźmi, między nami, dziś, teraz, o ile coś nas łączy. Pozasemantycznie jakby. Liczy się ulotny nastrój chwili, którego nie zastąpi nigdy martwa taśma magnetofonowa.

A może od strony historycznej? Też nie. Już samo pytanie zawiera nielichy ładunek megalomanii. Że niby co? Że drobny przyczynek do historii naszych czasów złapany na magnetofonową taśmę? Bez przesady. Co tu nagrywać? Ot, małe, mam nadzieję przyjacielskie spotkanie. I to wszystko. Zresztą, co do słowa, uogólniając temat

- słowo zawsze można sfalszować, zniszczyć. Spreparować taśmę, spalić nakład.

I nie trzeba się tym specjalnie przejmować. Są rzeczy trwalsze niż słowo. Historycznie świadectwem wielkości i patosu naszych czasów będzie nie słowo, lecz architektura. (To jest to, z czego się parapety robi).

Czy warto nagrywać ze względów politycznych?

Też pełne rozczarowanie. Nic takie nie będzie praktycznie w programie. Przyznam się uczciwie, że mi się już serdecznie nie chce po prostu.

Czy zadowolili państwa kilka nowych dowcipów i aluzji? Nie przypuszczam. A na więcej, w świetle miłego memu sercu dekretu, nie byłoby mnie stać. Wydaje mi się, że bawiąc się jałowo aluzjami stracilibyśmy właściwie sens naszego spotkania. Zostawmy to zawodowym prześmiewcom i innej nieco widowni. Możemy sobie żartować od czasu do czasu, proszę, ale są sprawy, rzeczy i ludzie, którym nie warto poświęcać uwagi. Niech sobie istnieją w swojej beznadziejnej diasporze, skazani prędzej czy później i tak na wymarcie.

Politycznie. To zabawne. Mój Boże. W czasach, kiedy rzeczywistość przerasta wielokrotnie najśmielszą wyobraźnię satyryka, byłoby to i tak niemożliwe.

Tak, że nie warto nagrywać. Jeżeli ktoś poczuł się rozczarowany - przepraszam. A kogo jednak wzywają obowiązki służbowe, będzie niestety musiał poszukać satysfakcji na innym polu. Trudno. Na szczęście możliwości są w tej materii praktycznie nieograniczone.

Dobrze. To mamy.

Proszę państwa.

Teraz muszę się do czegoś przyznać. To dla mnie ważne. Otóż, uwaga: Okropnie nie lubię sytuacji, gdy w listopadzie idę ulicą na bosaka, po bruku, w czasie marznącej mżawki, końca drogi nie widać - a podbiegają do mnie roześmiani faceci w butach, klepią mnie serdecznie, aż za serdecznie nawet, po plecach, wołając: Ale mamy fajnie, co? Coś drgnęło, nie? Ale mamy fajnie.

Możliwe. Rzecz gustu pewnie.

Wyraźnie zarysowują się tutaj, proszę zwrócić uwagę, dwie postawy. Na tak i na nie jakby. No. A ja nie o tym właśnie. Jeżeli ośmielam się zaproponować państwu nasze dzisiejsze spotkanie to ani na tak, ani na nie, ale mimo. Zgoda?

Mimo.

Proszę państwa, moja chęć spotkania się dzisiaj z państwem ma kilka źródeł.

Acha, przeczytam państwu wierszyk pewnego XIX-wiecznego uczonego Anglika i filozofa Edwarda Leara (w tłumaczeniu Andrzeja Nowickiego).

(sięga po książeczkę „Księga Absurdu” - czyta)

Jak miło jest znać Pana Leara,
Co tyle nabazgrał bazgranin.
Ma umysł rozważny i chłodny,
Nos długi, lecz zmienić go trudno,

Naturę - mniej więcej pogodną,
A twarz ma mniej więcej paskudną.
Niektórzy go cenią nad wyraz -
Niektórzy zaś mają go za nic.

Ma palców coś z dziesięć. (Niedużo
Jeżeli dwa kciuki wliczyć).
Przed laty tenorem był w chórze,
Lecz dziś nie ma na to co liczyć.

Siaduje u swego kominka -
A książek pełniutkie ma ściany.
Poczyta, pociągnie znów winka,
Lecz nigdy nie bywa pijany.

Przyjaciół przeróżnych ma wielu,
Figurę jak globus, pstry włos,
Pokierszowany kapelusz
I kota ma imieniem Foss.

Gdy idzie na spacer w swym deszczo-
wym płaszczu, to ze wszystkich ulic
Zbiegają się dzieci i wrzeszczą:
„O. Anglik. O. W nocnej koszuli.”

/?/
Gdzie gór szczyt - tam płakać zwykł w bólu.
Gdzie mórz toń - tam też łkać gotowy.

Swe mleko kupuje wprost w ulu,
A miód za to - prosto od krowy.

Nie lubi zbyt słabej pić kawy,
Po grecku raz znał jeden wyraz,
Już czas jego minie niebawem...
Jak miło jest znać Pana Leara.

Tak, proszę państwa. Miło jest znać pana Leara. Odpowiada mi ten kierunek myślenia.

Ale broń Boże, nie dlatego to przeczytałem, żeby przez wątpliwą paralelę namawiać państwa do sympatii dla mnie. „Jak miło jest znać pana Leara”. Nie. Chcę się zatrzymać przy innej linijce wiersza: „... już czas jego minie niebawem...” Tak jest. Stara góralska piosenka mówi:

„Beli chłopcy beli, ale się minęli...” No, niestety.

Może nie uwierzycie mi państwo, ale chciałem się spotkać również ze strachu. To nie jest żart.

Może to nasze ostatnie spotkanie? Może ja się „minę”? Może z innych powodów? Trudno powiedzieć.

Czasu jest niewiele. Chodziłoby może o to, żebyśmy się tak bezpłodnie nie minęli. Warto może na chwilę wrócić i zawsze wracać do tego, co łączy, a uciec i zawsze uciekać od tego, co nas dzieli, co rozczłonkowuje, skłóca, co powoduje sztuczny podział społeczny o różnym stopniu uprzywilejowania, a co niektórym tak bardzo jest na rękę z uwagi na niepomiarne większą łatwość manipulowania społeczeństwem.

(Dopisek Jerzego Dobrowolskiego - wyróżnić grupę sami swoi, pozorne łączenie a rozczłonkowanie).

Niekoniecznie starałbym się im w tym pomagać. Tu dla jasności, żeby być właściwie zrozumiałym, muszę dodać, że mówiąc o tym wszystkim, nie mam na myśli oficjalnych programów scalania (jedności). Sądzę, że w tym gronie, poza nielicznymi wyjątkami, na które nie mam wpływu, możemy sobie pozwolić na komfort autentyzmu.

Proszę państwa. Tak zwane życie wytworzyło nam obrzydliwe warunki życia. To znaczy - tego życia. I współżycia. Omijamy się, obojętniejemy na siebie, tracimy wrażliwość, chamiejemy i prymitywizujemy się indywidualnie i beznadziejnie.

Jest propozycja. Jeżeli już prymitywnieć, to chociaż razem, co? Tu już wykraczam poza konwencje kabaretu, ale może na tej drodze... czy ja wiem... może przez to coś dla siebie... dla dzieci? Dlatego też - dla tych i wielu innych powodów - proszę serdecznie o wybaczenie, że w tak, nazwijmy je eufemistycznie, dziwnych czasach pozwoliłem sobie na spotkanie z państwem.

No, wybrnąłem. Możemy się odprężyć, proszę państwa. Pozwólmy sobie teraz na umysłowe wakacje.

Proszę państwa.

Program będzie długi. Toć to jednak recital przecież. Nieśpiewany, ale jednak. Będzie i taki, i siaki, wesoły i smutny. Zgodziliście się państwo, przychodząc tutaj, na taką formę - proszę teraz cierpieć. Ja nie ustąpię.

W każdym razie mam przyjemność poinformować państwa, że przedstawiony program nie będzie o chwilę trwać dłużej niż to będzie absolutnie konieczne.

Tak więc proszę to znieść spokojnie i bez sarkau. Leży to w naszym wspólnym interesie. Powiem więcej, jeżeli będą państwo naprawdę correct, być może nawet puszcze państwa nieco wcześniej. Nie wiem, to już czas pokaże.

Natomiast uprzedzam: tam, gdzie to konieczne i zgodne z interesami państwa, będę twardy i bezwzględny, tam natomiast, gdzie to możliwe i gdzie zauważę rozagę (państwa) oraz chęć podjęcia ze mną dialogu, w formie mojego monologu, będę wybaczając i przygarniać, nie pytając, skąd przybywacie. Mało tego. Będę miły, ciepły i wyrozumiały. Tak jest.

Tak więc powodzenie dzisiejszego wieczoru leży wyłącznie w rękach państwa. I rzeczywistość. To jest prawda. Zakładając podwójne znaczenie niektórych słów, proszę państwa.

Dobrze. Proszę państwa. Usiądę, (siada - bierze koniak)

Zdrowie państwa, (pije) Bardzo dobre w smaku.

Proszę państwa. Może na to nie wyglądam, ale dużo czytam. Poważnie, bo czasami sobie żartujemy. Duże czytam.

Otóż koniecznie muszę opowiedzieć państwu pewną nowelkę, która zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Tytuł i autora już nie pomnę, ale treścią chcę się z państwem w skrócie podzielić.

Otóż nowelka ta, nie tak bardzo fantastyczna, jakby to się mogło w pierwszej chwili wydawać, opowiada o atomowej zagładzie świata. Ogólnoświatowa wojna wodorowa święci

w nowelce swój [uwaga: to jest film Kramera z 59 r. według powieści... (poprawić)] triumf. Cała kula ziemską została radioaktywnie skażona. Pozbawiona życia, skazana na zagładę. Zbiegiem okoliczności ocalał na świecie tylko jeden samolot, rodzaj statku kosmicznego, który krążąc na dużej wysokości, uniknął skażenia.

Mógł tak krążyć jeszcze wiele miesięcy, ale potem?

Cała załoga w zwierzęcym strachu, miotając się po statku, szukała rozpaczliwie drogi ratunku. Ratunku, który był niemożliwy. Byli skazani. Nieodwołalnie skazani.

I wtedy Bill czy John, nie pamiętam imienia i nieważne - jeden z członków załogi - zażądał wysadzenia go na ziemię. Mniejsza o szczegóły techniczne. Wylądował w Zatoce Biskajskiej i tam spokojnie, jak czynił to przed tym każdego weekendu, usiadł w napromieniowanej łódce, na skażonej wodzie i bezsensownie, a jednak jak bardzo sensownie, zaczął łapać na wędkę ryby. Też już radioaktywne.

Bill po prostu nie przyjął do wiadomości narzuconej mu sytuacji. Za wszelką cenę postanowił robić to, co normalne, co własne, co prawdziwe.

Dobrze. Właściwie nie wiem, po co to państwu opowiadam.

Coś na mówionym recitalu trzeba mówić jednak. Więc tak sobie dywaguję.

Mam jeszcze drugą anegdotkę. Już z osobistych przeżyć. Na inny temat i nie tak transcendentną, ale proszę posłuchać, bo zabawna, choć dziwna nieco.

To było jeszcze przed paru laty.

Siedzieliśmy w niewielkim pokoiku w teatrze, w trzyosobowym składzie: dyrektor teatru, ja - pracownik tegoż teatru i specjalista z zewnątrz od kultury, któremu podlegaliśmy administracyjnie i formalnie rzecz biorąc - ideowo.

Nowy facet. Jeden z tych, co to jeszcze nie okrzepili w obowiązujących ich manierach i niechcący zdradzają się jeszcze czasami z próbą myślenia, a nawet sformułowania tych myśli. Nowy facet. Stary, którego już trochę nauczyliśmy, na czym polega teatr, w ramach rotacji kadr odszedł gdzie indziej, a ten, w ramach rotacji kadr, przyszedł tutaj. Świeżutki, dopiero co po kursach, „zamianowany” na pierwsze w swojej karierze stanowisko. Ciekawy facet - jego zdaniem.

Jedliśmy już takich pęczkami i nie przedstawiał, zdawałoby się, żadnej zagadki.

Usiłowaliśmy, co prawda bez przekonania, coś zyskać na tym spotkaniu, zatwierdzić repertuar, uzyskać jakąś dotację, ustalić coś, w ogóle zdobyć coś konkretnego, ale jego ignorancja w tej materii znacznie przekraczała przeciętną.

Facet postawił przed sobą znacznie ambitniejsze zadanie i my, chcąc nie chcąc, musieliśmy uczestniczyć w dość abstrakcyjnej scenie. Abstrakcyjnej, ponieważ nasz rozmówca przebił barierę rzeczywistości, wprowadzając nas w stan metafizyczny jakby. Otóż nasz gość i zwierzchnik zaczął, lekko lewitując, snuć wspaniałe plany marszu i sukcesu. Bogaty w wiedzę wyniesioną z kursów, namawiał nas do jedynie słusznej linii oraz koniecznie do natychmiastowego, wspólnego marszu. Bardzo się zapalił. Perorował, zrywał się, usiłował ustawić nas czwórkami, co przy tej ilości osób było trudne, kazał natychmiast maszerować, zachęcał, popychał, ciągnął nas za rękawy, wskazywał palcem kierunek i dziwił się naszej krótkowzroczności.

My zaś rzeczywiście, czy to przez wrodzoną indolencję, czy brak wyobraźni, nie bardzo kwapiliśmy się do tego tak konkretnego przedsięwzięcia. Być może również z tego powodu, że facet wskazywał palcem prosto na ścianę, a my, bogaci w doświadczenia, pamiętaliśmy jeszcze z dzieciństwa, że po paru krokach rozbijemy sobie głowę o mur.

Dziwne. Facet okazał się ciekawszy, niż to się początkowo wydawało. Takiegośmy jeszcze nie brali.

Ale sprawa okazała się niezwykle prosta. Nieporozumienie polegało na tym, że wzrok i wyobraźnia faceta nie dobiegały do otaczających nas ścian. Nie widział ich po prostu. Kończyły się akurat o parę centymetrów wcześniej i nasz miły rozmówca miał przed sobą rzeczywiście otwartą przestrzeń, a więc nieograniczone pole manewru i marszu. Toteż i czuł się wspaniale. Proszę państwa. To niewinne nieporozumienie byłoby pewnie rzeczywiście zabawne, gdyby nie... No właśnie.

Nawiązanie porozumienia społecznego jest rzeczą niesłychanie trudną.

Już wtedy było ciężko.

Proszę państwa. Obiecałem państwu umysłowe wakacje, pamiętam. A jak wakacje, to coś miłego, ciepłego. Pozwoliłem sobie zaprosić więc do programu trójkę moich przyjaciół.

Będą to panowie Jerzy Derfel (ostatecznie - Wojciech Głuch) i Piotr Fronczewski oraz młoda dama Agnieszka Fatyga.

Pozwoliłem sobie wymienić panią na końcu, ponieważ właśnie jako pierwszą chciałbym poprosić ją tutaj do nas, na estradę. Tym bardziej, że tamci jeszcze nie przyszli.

(woła) Pani Agnieszko, (nagła myśl) Nie, nie - jeszcze chwileczkę. Przepraszam. Zaraz panią poproszę. Chwileczkę.

(do widowni) Jest prośba o życzliwe przyjęcie. Proszę państwa, małe wyjaśnienie. To jest w zasadzie sierota, więc przygarnęliśmy po prostu. To znaczy ma rodziców, ale nie o to chodzi. Wicie państwo jak to jest, nie mieliśmy serca tak zostawić... (Ten Fronczewski to jest niesamowity społecznik jednak)... No to co, że młoda? Trudno. Ale jest fajna. Złośliwi i zazdrośni mówią, że gapowata, ale to nieprawda. Jest tylko speszona trochę, jak to młoda. To dobre dziecko. Pan Derfel/Głuch mówi, że jeżeli chodzi o... nieważne. Dobre dziecko i ładne. Bardzo ładne nawet. Do tego stopnia, że... No, nic.

Pani Agnieszko, proszę.

(Agnieszka wchodzi naburmuszona, wyczekująca, gapowata, lekko obrażona, nie zwraca uwagi na publiczność)

Ag. (Agnieszka) - No?

Nar. (Narrator) - Co, no?

- No, słucham.

- To ja słucham.

- Słucham?

- No, a co się mówi, gdy się wchodzi?

- A, przepraszam - dzień dobry.

- No, powiedzmy, ale prawie dobrze. A może jeszcze lepiej, no?

O tej porze?

- Do widzenia?

- Zimno.

- Dobranoc na pewno nie.

- Na pewno. Bardzo zimno. Ale jaka to teraz pora dnia?

- Wieczór.

- Ciepło. A jaki wieczór? No? Dobry?

- ... dobry.

- Bardzo ciepło.

- Dobry wieczór?

- Gorąco, oparzysz się.
- Dobry wieczór państwu.
- Brawo. Widzicie państwo - można. Młodzież jest zdolna, tylko trzeba trochę cierpliwości. Brawo. Pani Agnieszko, pokażemy państwu ten skecz?
- No.
- Świetnie. Bo my, proszę państwa, opracowaliśmy specjalnie na dziś taki mały skeczyk. Żart jakby. W każdym programie zwyczajowo umieszcza się coś takiego dla odprężenia.
- Już?
- Chwileczkę. Muszę zaaranżować scenę.
- Słucham?
- Nic, nic. Proszę zejść i poczekać na sygnał. (Ag. schodzi)
Proszę państwa - wprowadzenie. Kto już zna, bo to stare, niech nie zdradza, bo może ktoś nie zna akurat jeszcze. (Akurat jeszcze - ciekawa składnia, ale o języku pogadamy później). Otóż pewne małżeństwo, które z braku laku będę reprezentował w tym skeczu tylko ja, ma synka, bardzo rozgarniętego chłopczyka, o kreowanie którego poprosiłem panią Agnieszkę.
(Agnieszka wchodzi)
- Już?
- Nie, ja powiem kiedy. (Ag. wychodzi) No i do tego małżeństwa przychodzą dawno niewidziani goście. Gośćmi będą państwo. Nie, nie, proszę się nie denerwować. Ja będę mówił za państwa tekst. No i jak to na wizycie - dusery, całuski, wyjadanie sobie z dziobków itp., itd. W końcu sakramentalne pytanie gości: No, a jak tam wasz mały? Mały, ładnie mały - mówi ojciec - to już chłopisko. Zaraz się pochwalimy. Grzesiu. Grzesiu.
(Agnieszka zza kulis)
- Tu nie ma żadnego Grzesia.
- Ty jesteś Grzesiu. Na „Grzesiu” wchodzisz.
- Acha.
- Grzesiu.
(Agnieszka wchodzi)
- Goście: Jaki śliczny. No, naprawdę strasznie urósł. Gratulacje. Mama to może być dumna. Czy już mówi? Rodzice dumnie spojrzeli na siebie. Już ślicznie mówi - mama.

Zaraz państwu pokazemy. No, Grzesiu - powiedział tata - pokaż państwu, jak ślicznie mówisz. Powiedz państwu poziomka. Poziomka. (Grześ wydaje ustami dźwięk pomiędzy wypluwaniem kaszki, a oddawaniem gazów) - Prrr....

Nie, nie. Speszył się trochę... Do nas takrzadko przychodzą goście... Ale zaraz się oswoi. Zobaczą państwo, (głaszcząc go po głowie) No, powiedz państwu: poziomka.

Prrr...

Nie. Speszony jest. Powiedz porządnie: poziomka.

Prrr...

Nie, nie, nie. Bo się mamusia pogniewa, zobaczysz. Musisz się skupić. Uważaj: po - ziom - ka.

Prrr - prrr - prr.

No, nareszcie. Widzisz. Jak chcesz to potrafisz. Tak proszę państwa. Koniec skeczu. Dziękuję pani Agnieszko.

Już?

Tak.

Ale może by... (podchodzi i coś mu szeptem na ucho)

Nie, pani Agnieszko. Nie trzeba drugi raz. Państwo zrozumieli. Dziękuję. (Agnieszka wzrusza ramionami)

Proszę, (wychodzi)

Dobra, nie? Sprawdziła się. I chętna do roboty. Tak, proszę państwa, pokazaliśmy ten dość znany przecież skecz nie dla pustej rozrywki oczywiście. Chciałbym żebyśmy mogli wspólnie wyciągnąć z tego jakiś konstruktywny wniosek. Otóż wydaje mi się, że zawsze należy dążyć do rozwiązań maksymalnych. Chciałbym, abyśmy wzorem rodziców Grzesia, nigdy nie zaniżali kryteriów. Co z tym Fronczewskim jest? Pani Agnieszko! Pani Agnieszko, nie słyszy pani?

(z kulisy) Słyszę.

To dlaczego pani nie wchodzi?

(wchodzi) Bo ja wchodzę na „Grzesiu”.

Ale w skeczu.

Co, ale w skeczu?

W skeczu pani wchodziła na „Grzesiu”.

Acha, to teraz na co wchodzę?

Na estradę... To znaczy nie. Na „pani Agnieszko”.

- Ale pan kręci.
- Nie kręcę, tylko... aaaaa, nieważne. Już nic. Dziękuję pani (Ag. wzrusza ramionami, schodzi)... Zaraz, co ja mówiłem. Acha. Chciałbym, żebyśmy wzorem rodziców Grzesia nigdy nie zaniżali kryteriów... Co z tym Fronczewskim jest? (woła) Pani Agnieszko. Co ja plotę. Pani Grzesiu... nieeee... ale mi pokręciła... Zaraz, (woła) Agnieszko, (nie wchodzi) Co jest? Acha, wiem. (woła) Na estradę.
- (wchodzi Agnieszka) No?
- Są już?
- Kto?
- Pan Fronczewski z panem Derflem/Głuchem.
- A kto to jest?
- Kto to jest. Słodka. Nasi koledzy z programu.
- Acha, ci. I co?
- Nic. Czy są już?
- Nie ma...
- Niedobrze, bo mi się proza powoli kończy... To znaczy mam jeszcze, ale chciałem zachować na drugą część. No nic. Skoczę do telefonu. Proszę państwa... zaraz... Agnieszko, pani coś wspominała o grze na fortepianie, prawda? Umie pani?
- Ja wiem? Siostra mi trochę pokazywała.
- Cudownie. Niech to pani jakoś zaaranżuje, zaraz wracam.
- Słucham?
- Wracam zaraz.
- Nie. Ten pierwszy raz. Niech ja co?
- Zaaranżuję... Przepraszam, źle się wyraziłem. Proszę spróbować coś zagrać przez chwilę. Przepraszam, (wybiega)
- (po pauzie) ... Sam niech sobie spróbuje zagrać przez chwilę...

(Uwaga: w tym miejscu następuje duża prawie niema scena, przeplatana w 1-szej swej części tylko krótkimi zdaniami i monosylabami z nieudolnym brzdąkaniem na fortepianie. Monolog ten, pozornie nieudolny i porwany jest jakby prywatnym komentarzem młodej dziewczyny do narratora, do wstępu, do siostry, do ludzi, do świata, Fronczewskiego, Derfla/

Głucha, do siebie i do sytuacji młodej artystki w otaczającej ją rzeczywistości.

W swej warstwie mimicznej i muzycznej scena powinna wyglądać mniej więcej tak: Agnieszka dostrzega publiczność, uśmiecha się głupio, patrzy za narratorem, znów na publiczność... cisza... decyduje się w końcu, wzrusza ramionami, idzie do instrumentu. Brzdąka, nieudolnie przymierza się do klawiatury - nie zapominajmy, że w tym czasie również rzuca kilka oderwanych zdań - najpierw tylko prawa ręka, później niepewnie i naiwnie lewa, gra „kotlety” lub coś bardzo prościutkiego, gra nieudolnie, myli się. Niechcący chwyciła jakiś akord. Eee - zdziwiła się. Zastanowiła. Chwyciła oburącz drugi akord. Oooo. Znów pomyślała, wstała, popatrzyła za narratorem w kulisę, uspokojona wróciła do klawiatury. Jest skupiona, poważna, widać, że robi na niej wrażenie. Szuka chwytów. Zagrała pasaż. Acha - powiedziała. (Powiedziała z podtekstem: Aaa, więc to o to chodzi. Rozumiem) Wzięło ją. Rozpogodziła się. Spod palców popłynął Chopin.

Ogólne wrażenie w odbiorze powinno być takie, jakby Agnieszka rzeczywiście nie umiała grać przed tym, tylko uległa natchnieniu pod wpływem dźwięków. Uległa sztuce.

Oczywiście, że umiała grać wcześniej i widz o tym wie - cudów nie ma - chodzi jednak o to, żeby widz, wiedząc o tym, zrozumiał metaforę).

Następnie: powrót narratora, (ona ucieka)

Potem ją przywołuje.

Przeprasza za brak pianisty.

Dialog itp. z brudnopisów

Proszę państwa. Sądzę, że recital, choćby tak żartobliwie potraktowany jak dzisiejszy, nie może ograniczać się tylko do scenicznych produkcji. Powinien wносить coś bardziej osobistego poprzez bliższe poznanie delikwenta od różnych stron.

Chciałbym teraz wieść państwa po zawitych ścieżkach ogrodu moich myśli. Piękne.

Ja pragnę przyznać się państwu, na przykład, do mojego małego hobby. Lubię zbierać, choć szalenie niedokładnie i wrywkowo, różne wiadomości, z różnych dziedzin. Nic z tego praktycznie nie wynika, ale przyjemnie jest wiedzieć.

Nie bez wpływu na te zainteresowania była moja ogromna fascynacja wielkimi ludźmi Renesansu. Imponowali mi zawsze zakresem swojej wiedzy i nieprawdopodobną wszechstronnością.

Ale to już historia. Wiele zmieniło się od tamtych lat. I w tej dziedzinie odnotować trzeba wspaniały postęp.

Dzisiaj już nie pojedyncze jednostki, ale kilkaset tysięcy współczesnych ludzi renesansu kształtuje naszą świadomość i warunki życia.

To wspaniali ludzie, na których zawsze możemy liczyć. Praktycznie w każdej sytuacji. Zawsze.

Skąd oni biorą tę wiedzę, skąd ta stała bezbłądność oceny, skąd ta pewność o słuszności? - niewiedomo. Nie nam sięgać do tajemniczych źródeł wtajemniczenia, do głębi ich myśli. Nie nam oceniać potęgę ich umysłów. Grunt, że są, że ich mamy, że nas nigdy nie zostawią samych i bezradnych.

Jak to się ma do mnie?

Wcale się nie ma. Wspomniałem o hobby, a zrodziła się szeroka dygresja. Wracamy.

Na przestrzeni ostatnich miesięcy, na siatce mojej pamięci przylepiły się dwie ciekawostki.

No co, że bez związku? Czy wszystko musi być takie poprawne?

Pierwsza: W roku 1912 w Anglii, dla armatora White Star Line, został zbudowany największy i najbardziej luksusowy okręt świata. A nazywał się jak? A nazywał się „Titanic”. Tak jest. Czytaj: Tajtanik.

Otóż okręt ten, najpiękniejszy owoc ówczesnej myśli technicznej, wyróżniał się i szczylił tym przede wszystkim, że był niezatopialny. Mówili o tym konstruktorzy, potwierdzała to dokumentacja, głosiła reklama. Reklama posunęła się jeszcze dalej, mówiąc, że wobec „Titanica” nawet Opatrzność jest niepotrzebna. Jako niezatopialny wyjdzie cało z najgorszych opresji, bez pomocy ludzi i Boga.

Nie do końca się sprawdziło.

14 kwietnia 1912-ego roku, po zderzeniu z górą lodową „Titanic” zatonął podczas swego dziewiczego rejsu, wraz z większością załogi i pasażerów. Już.

Coś nie bardzo mi wyszło to opowiadanie, zdaje się. Mam to samo, co Puchatek. Gdy zaczynałem, to mi się tak ładnie układało, a pointa jakoś nie bardzo. Trudno.

Jest druga wiadomość. (Pierwsza już przemyślana? Dobrze).
Druga to jest rodzaj ciekawostki przyrodniczej.

Bąk lub Beztlenowce

Trzmiel.

Przed wojną, pod koniec lat 20-tych, w szkole lotnictwa w Dęblinie, w głównym hallu wisiała duża plansza przedstawiająca trzmiela, popularnie choć mylnie nazywanego bąkiem. Obok wykresy, obliczenia i naukowy wywód dotyczący możliwości trzmiela unoszenia się w powietrzu. Otóż z dokładnych obliczeń, z proporcji ciała, ze stosunku powierzchni skrzydeł do ciężaru owada, z oporu jaki stawia powietrzu itp., itd. wynikało niezbicie, że trzmiel nie może unieść się w powietrze ani tym bardziej latać. Było to precyzyjnie i drobiazgowo udowodnione w oparciu o niepodważalne prawa fizyki.

Ale pod planszą był następujący napis: „Na szczęście trzmiel o tym nie wie”. Koniec. Przyznaję, że z historyjki tej nie umiem wyciągnąć żadnego praktycznego

wniosku, ale podświadomie czuję, że jest. Więc może ktoś z państwa?

Druga. Ciekawostka przyrodnicza

Druga jest taka. Spotkałem się ostatnio z pojęciem: „beztlenowce”. Co to jest? Otóż są to organizmy mogące żyć i rozwijać się w środowisku nie zawierającym tlenu atmosferycznego. To znaczy tam, gdzie my się dusimy - beztlenowiec rozwija się, że hej i wytwarza nowe beztlenowce. Do beztlenowców należą niektóre pierwotniaki, robaki - wewnętrzne pasożyty człowieka. I zwierząt. A przede wszystkim bakterie. (Tak jest).

Beztlenowce względne rozwijają się zwykle w obecności powietrza, ale mogą żyć i w warunkach beztlenowych. B. niebezpieczne. Oraz beztlenowce bezwzględne mogące się rozwijać jedynie w środowisku pozbawionym wolnego tlenu atmosferycznego (np. laseczniki tężca).

Nie mówiąc już o drobnoustrojach powodujących fermentację alkoholową i rozkład błonnika.

Trudno dociec, która grupa beztlenowców jest gorsza i bardziej niebezpieczna. Praktyka pokazuje, że beztlenowce względne są

zwykle wyjątkowo bezwzględne właśnie i walka z nimi jest może nawet trudniejsza niż z bezwzględnyimi.

W ogóle walka z beztlenowcami przedstawia najwyższy stopień trudności. Beztlenowce dlatego są tak niebezpieczne, ponieważ są bardzo przemyślnie zaprogramowane. Beztlenowce zawsze biorą nas na przetrzymanie. Cierpliwość ludzka jest ograniczona i zwykle przychodzi na nas fala rozpacz i zniechęcenia. Poddajemy się w końcu. Beztlenowce nie.

Jako natura prymitywna przetrwa najgorsze warunki. Ma nieludzką odporność odziedziczoną czy zaszczerpioną po innych, wcześniejszych kulturach bakteryjnych. Beztlenowce mogą przez dziesiątki lat powtarzać nieodmiennie tę samą funkcję i rozwijać się, egzystować według raz powstałych beztlenowych prawideł. Mierność, p.p., prymitywizm, głupota są wielokrotnie mocniejsze i znacznie bardziej przystosowane do przetrwania niż istoty rozumne.

Co radzi lekarz i co ja bym państwu zalecał, aby wyjść z jakimś konstruktywnym wnioskiem?

Tlen. Dużo tlenu. Wręcz namiot tlenowy. Jeżeli się przyjdzie państwu spotkać - być może, z beztlenowcem, tlenem go. Jak najwięcej tlenu. W tlenie beztlenowiec gubi się. Głupieje. Przestaje się rozmnażać i ginie. Rozpływa się. Utlenia się po prostu. To jest trudne, ale możliwe.

W każdym razie trzeba próbować.

Była taka piosenka przed wojną, piosenka „Więcej tlenu”... a nie, to „Więcej gazu”... pisana pewnie dla granatowej policji.

(Agnieszka podchodzi do Gospodarza - coś mu szepce na ucho)

Ja - (ucieszony) Świetnie. Dziękuję bardzo. Na mój znak, dobrze?

(Ag. schodzi)

Proszę państwa. Siurpryza. Uberraschung. Niespodzianka.

Ale uwaga. Najpierw małe, zbiorowe ćwiczenie.

Jeszcze inaczej: najpierw małe wprowadzenie.

Otóż każde z nas jest osobnikiem zindywidualizowanym i oczywiście bardzo różnie reaguje na rozmaite bodźce.

Z jednym wszelako wyjątkiem. Mowa tu o szczególnym przypadku, gdy raptownie zgaśnie światło. Tu jesteśmy bezradni.

I my, i docenci z żonami, i członkowie nowego związku literatów nawet. Tutti. Pojedyncze osobowości ulegają w tej sytuacji anihilacji. Gdy tylko Państwowa Dyspozycja Mocy okazuje się bezsilna i wyłącza raptownie prąd, nieodmiennie zareagujemy wszyscy na ciemność zbiorowym jękiem: Ouuuu.

Jest to prawdopodobnie zakodowany odruch z pradziejów, gdy gwałtowny podmuch gasił w pieczarze łuczywo.

Natomiast, gdy Państwowa Dyspozycja Mocy otrząśnie się z chwilowej słabości, światło powróci, nieodmiennie wydamy z siebie wspólny okrzyk: Aaaaaaaa - oznajmiający światu, że zapaliło się światło.

No, więc ćwiczmy: Ale na niby, umownie. Uwaga: Zgasło światło. Proszę razem: Ouuuuuu.

Dobrze. Siedzimy po ciemku. Nikt nikogo nie widzi. Panowie, okazja. Jest ciemno w jaskini. Delikatnie wyciągamy ręce do naszych pań lub sąsiadek, ujmujemy ich dłonie, większość pań, bezradna w ciemności chętnie oddaje się w opiekę, gdy nagle zapala się światło. Cofamy ręce. I razem: Aaaaaa.

Panie poprawiają fryzury, panowie bawią się sztuczkami.

Zgasło - Ouuuuuu. Dobrze. Zapaliło się - Aaaaaaa. Bardzo dobrze. Ale w wypadku „ciemno - jasno” sprawa jest jasna, znaczy ciemna... znaczy prosta. Ciemno - Jasno. Ouuuuuu - Aaaaaaa.

W innych wszakże dziedzinach rachunek strat i zysków nie zawsze jest jednakowo korzystny. Tak jak w starej anegdocie: Chirurg mówi po operacji do pacjenta: Niestety musieliśmy amputować panu obie nogi. Pacjent oczywiście robi: Ouuuuuu, bo nie lubi tego. Ale chirurg dodaje: Znalazłem kupca na pańskie buty. Aaaaaa - cieszy się pacjent.

Rozumiemy się? Ćwiczmy.

Proszę państwa, obcięli nam obie nogi

Ouuuuuu.

Ale niedługo mają podobno produkować niezłe obuwie.

Aaaaaaa.

Świetnie. A teraz naprawdę marna wiadomość. Niestety, nie będzie dzisiaj pana Fronczewskiego.

Ouuuuuu.

Proszę państwa, nieprawda. Jest pan Fronczewski, (wchodzi)

Aaaaaaa.

P - Dobry wieczór.

J - No co jest, panie Piotrusz?

P - Aaa... (macha ręką) Dobry wieczór państwu.
J - Dlaczego żeś się spóźnił?
P - Aaa...
J - Co się stało?
P - Nic... głupia sytuacja się wytworzyła, przepraszam państwa...
J - O co chodzi?
P - U mnie w łazience są... aaaa, nieważne. Zdenerwowałem się... przepraszam...
J - Co się stało?
P - Głupia sytuacja się wytworzyła... Tutaj gala, koncert, kabaret, całość, a ja co? Może to śmieszne, ale ja lubię wtedy być umyty. Słabostka, nie słabostka - lepiej się czuję wtedy.
J - Eee?
P - Poważnie. Takie hobby. Każdy ma coś takiego. Jeden lubi, powiedzmy, zbierać banknoty...
J - Ciekawe, po co mu teraz?
P - Nie wiem. Hobbista. Inny lubi blondynki...
J - O tak, blondynki tak... albo czarne...
P - No, albo czarne... Inny nie lubi...
J - Albo rude...
P - Nie przeszkadzaj. Co rude? Aaa, rude. Rude tak.
J - Albo czarne...
P - Czarne bardzo. Nie przeszkadzaj. Więc trzeci nie lubi, powiedzmy...
J - Kogo? Kogo?
P - Nieważne. A ja z tym myciem mam. Właściwie nie mam, ale chciałbym mieć. To się zresztą ciągnie latami. Można by opowiadać, a opowiadać... Bo to jest tak. Ja powiem szczerze.
J - To będzie długie opowiadanie?
P - Nie. Krótkie.
J - To ja usiądę.
P - Proszę.
J - Dziękuję, (woła) Pani Agnieszko. Niech pani pozwoli. Pan Piotruś będzie krótko opowiadał, (do P) Proszę, słuchamy.
P - Więc tak: U mnie w łazience są dwa rodzaje kranów. Czerwone i Czarne. Stendhala.

„Czerwone i czarne” jest to powieść znanego francuskiego pisarza, który zafascynowany mitem napoleonizmu potrafił, jak nikt inny, oddać sugestywnie... przepraszam. Przepraszam bardzo. Nie, nie, nic. Pomyliłem kolory. To w ogóle nie miało być o literaturze. To te nerwy tylko. Nie czerwone i czarne, tylko te krany to są czerwone i niebieskie. I niebieskie służą do zimnej wody, a czerwone do brunatnej. Tak, ale ja to dopiero później wykryłem. Początkowo nie o kolor mi w ogóle chodziło, tylko o temperaturę. Ubrdałem sobie, że czerwone służą do ciepłej wody. (widziałem kiedyś na filmie, Eastman Color, ale to była komedia) No nic. To znaczy niby nic, ale tak to się zaczęło, niby nic... przepraszam. A to było tak.

Myślałem, że monter pomylił kolory, daltonista i założył odwrotnie pokrętła, więc je zamieniłem po prostu. Czerwony dałem na niebieski, a niebieski na brunatny. Ale nie. Nie, nie. Nic. Niestety nic. To znaczy niby nic, a tak to się zaczęło, że teraz brunatna woda leciała z obu kranów. Więc znowu zamieniłem. Czerwony zdaje się dałem na brudniejszy chyba... a niebieski... zaraz... tak... nie... tak zamieniałem i zamieniałem, że w końcu się pogubiłem, gdzie co było i która woda jest zimna, a która ciepła. Bo obie były zimne i nie wiedziałem, w której się kąpać, żeby było ciepłej.

I to denerwujące było bardzo.

No, muszę przyznać, że w późniejszym okresie sytuacja poprawiła się nieco, bośmy akurat w kraju dokonali kolejnego kroku na drodze postępu i specjaliści, nie mogąc podgrzać ciepłej, zaczęli sztucznie oziębiać tę zimną, przez co ta druga, naturalnie zimna, była dzięki różnicy temperatur jakby ciepława. To już było rzeczywiście coś, ale nie do tego stopnia, żeby się nie trząść jednak. Więc kombinowałem na różne sposoby. Czasami na przykład udawało mi się u kolegi wykąpać, bo on nie ma tych nowoczesnych urządzeń, tylko taki stary piecyk gazowy, więc to normalnie działa, ale niestety sprawa się rozniosła i on teraz, kolega znaczy, najwcześniejsze terminy kąpielowe to ma gdzieś na początek czerwca dopiero, bo całe osiedle się u niego kąpie.

I mnie to złościło bardzo, bo co u siebie kran odkręcę, to albo zimna, albo brunatna, albo nie ma.

Tak naprawdę to tylko raz była rzeczywiście ciepła woda, ale się okazało potem, że to była jakaś awaria urządzeń tylko i po tygodniu usunęli (Trzeba przyznać, że terminowość usług znacznie się ostatni poprawiła).

Ale mnie po tym tygodniu, czy to się w głowie przewróciło, czy coś - tak, że postanowiłem interweniować. Poważnie.

Rodzina płakała, znajomi odradzali, nie ośmieszaj się - mówili - nie wygłupiaj na stare lata, ile ci tego życia zostało, będą się mścili tylko, jeszcze ci elektryczność odetną, ale ja się zaciąłem. Włazłem jeszcze do zimnej wody, żeby się bardziej rozwścieczyć, wypiliśmy dwie setki dla kurażu, połknąłem flakonik Elenium na uspokojenie, założyłem kamizelkę kuloodporną i udałem się do Administracji.

Proszę państwa, jakie to szczęście, że zdecydowałem się na ten krok. Nie tylko nic mi się nie stało, ale okazało się, że moje narzekania na brak ciepłej wody są całkowicie bezpodstawne. Jest ciepła woda. To znaczy nie ma ciepłej wody, ale jest. Rano. Wyjaśnili mi w Administracji. To jest dokładnie tak:

Jeżeli ja chcę się kąpać akurat w godzinach szczytu kąpielowego, to w tym czasie, siłą rzeczy, natrafiam na zbyt duży rozbiór ciepłej wody i ona nie może nadażyć do wszystkich.

A jeżeli znowu w innych porach - to rozbiór jest za mały i wtedy ta woda nie ma w ogóle dokąd lecieć i stygnie.

Bo to wszystko polega, proszę państwa, na rozbiorach właśnie. Ale poza tym to się mogę kąpać i kąpać.

J - To już koniec jest?

P - Koniec.

J - Bardzo ładnie. Ale co to ma do twojego spóźnienia?

P - Wszystko. To znaczy... przepraszam, nie powiedziałem najważniejszego. Wczoraj na mojej klatce schodowej pojawiło się ogłoszenie Administracji, że dzisiaj w godzinach popołudniowych wystąpi przejściowy brak ciepłej wody.

J - Acha.

P - Co „acha”? Odwrotnie właśnie.

J - Acha... Co odwrotnie właśnie?

P - Chwileczkę...

A - Odwrotnie aha jest też aha.

P - Słucham?

A - Tak jak oko.

J - Co, jak oko?

A - Czy w jedną stronę, czy odwrotnie, zawsze się czyta „oko”.

P - Acha.

A - Aha też. Aha - aha.
J - Pani się dobrze czuje?
A - Nooo.
P - (do J) Słodka...
J - Bardzo. Coraz bardziej... Z tym, że achca pisze się przez ceha.
P - No to co?
J - Wiec odwrotnie będzie ahca.
P - Zaraz... O ile wiem, nie mówi się ahca, tylko Akca, a w ogóle pisze się Acca.
A - Acca? Co to jest?
P - Raczej, kto to jest.
A - No, kto to jest?
P - Akca? Bułgar, podobno.
A - Bułgar? Zaraz... (coś liczy w pamięci)
J - Chwileczkę... Więc co z tą wodą?
P - Achca, więc ogłosili...
A - Nie. Bułgar nie. Bułgar odwrotnie to będzie ragłuB.
P-Słodka...
J - Ja się zabiję... Więc co z tą wodą?
P - Achca. Więc jak ogłosili, że wystąpi brak ciepłej wody, a u mnie nigdy jeszcze praktycznie ciepłej wody nie było, to pomyślałem, że może nareszcie puszcza... czyli odwrotnie właśnie.
J - Achca. Na zasadzie Bonończyka...
P - Słucham?
J - Nic, nic, nieważne.
A - (do P) Co to jest bonończyka.
P - Nic, nic, nieważne... Nie wiem.
J - Co tam szepczecie?
P - Nic, nic.
A - Nieważne.
P - (do A) Nie wiem...
J - Dobrze, więc co z tą wodą?
P - Nic.
A - (poprawiając go) Nic, nic, nieważne.
J - Słucham?
A - Nic, nic, nieważne.
J - Pani się dobrze czuje?

A - Coraz lepiej.
J - To świetnie, ale jeżeli pani wyobraża sobie...
P - (czując narastający konflikt) No więc z tą wodą. Otóż licząc, że puszcza ciepłą wodę do tej pory czekałem. Ale nic, niestety, przepraszam...
J - Nieważne. Więc jeśli pani wyobraża sobie...
P - Ważne. Bardzo ważne. Bo jestem i spóźniony i brudny.
A - (kokieteryjnie do P) Nieważne...
J - Ważne. Bardzo ważne. W kuchni jest mydło i ścierka, proszę iść się umyć.
(mała scenka mimiczna. P ociąga się z wyjściem. W końcu, ponaglany przez J. wychodzi b. niechętnie)
J - Brudas, (do A). A pani co? Pani również... (pokazuje wyjście) Proszę.
A - Ja? Dlaczego? (kokieteryjnie) U mnie dzisiaj była ciepła woda... i często bywa...
J - (oschle) To bardzo dobrze.
A - (obiecująco) Bardzo ciepła woda...
J - O co chodzi?
A - Komu?
J - Chyba nie mnie.
A - Myślałam, że panu.
J - Nie. Może panu Piotrusiowi.
A - Nie rozumiem. Dlaczego akurat panu Piotrusiowi.
J - No bo przecież... No nic. Nieważne, pani Agnieszko. Obiecałem, że wystąpi pani... chyba dotrzymałem słowa... (gest na wyjście)... proszę bardzo.
A - Ach tak? (zimno) Proszę bardzo, (idąc do wyjścia).. myślałby kto ... wielki kabaret...
J - Pani Agnieszko?
A - Tak? Słucham? Czy jestem jeszcze do czegoś potrzebna?
J - (życzliwie przedrzeźniając) Czy jestem jeszcze do czegoś potrzebna?
A - Słucham?
J - No już dobrze, dobrze. Dziękuję.
A - Dziękuję? Za co?
J - Fajnie to zagrałaś.
A - Co?
J - No ten nasz niby konflikt.

A - Jak to niby?

J - Nie, nie, Agnieszko, już nie ciągnijmy tego dłużej... Idź, napijcie się czegoś z Piotrusiem, potem was zawołam. (A. schodzi)

23Q J - Proszę państwa, nadużyliśmy nieco zaufania państwa, aranżując ten pozorny konflikt (mówię „pozorny”, bo to przecież wcześniej umówione oczywiście), ale mam nadzieję, że nam państwo jednak wybaczą. Intencje mieliśmy czyste. Chcieliśmy dostarczyć państwu odrobinę satysfakcji. Przyjemnie jest popatrzeć, że inni też się żrą i że my również nie jesteśmy tacy idealni, jak chcielibyśmy się przedstawić.

Macie państwo rację niestety - nie ma rozwiązań idealnych. Wszyscy podlegamy tym samym układom.

To, że akurat w naszym zespole jest inaczej, tylko podkreśla regułę. Ba, ale nas jednoczy braterska wręcz przyjaźń, stanowimy skonsolidowaną i bezkonfliktową społeczność i nigdy nie pozwolimy naruszyć ich trwałości. Bo, wiecie państwo, co nas łączy? Porozumienie. I to najważniejsze jest. (woła w kulisę)

Hej Misie.

A i P - (zza kulis) Tak?

J - pokażcie swoje buzie, aby potwierdzić autentyczność porozumienia. (A i P pokazują sztuczny uśmiech)

J - (prezentując ich widowni) Proszę bardzo.

(Gdy J zwrócony jest do publiczności A i P robią mu za plecami wredne miny i gesty. Gdy J odwraca się do nich raptownie i zauważa ich reakcje, usiłują nieudolnie zamazać swoje zachowanie.)

J - No nie, nie róbcie takich numerów, bo się państwo pogubią w konwencji... Ja już sam powoli tracę orientację w tym wymieszaniu jawnego fałszu z pozornymi prawdami... Jakie mają być buzie? (A i P uśmiechają się sztucznie) No nieźle, ale wolałbym jeszcze ładniej... (uśmiechają się jeszcze sztuczniej) No, nareszcie. Teraz bardzo dobrze. Dziękuję. Widzicie? Jak chcecie to potraficie.

A i P - Prr. Prr. Prr. (reprzyza „Grzesia” - po-ziom-ka)

J - Tak jest. Doskonale. Dziękuję. (A i P chowają się) Tak więc, jak powiadam proszę państwa, był to tylko z naszej strony taki żart, chwyt, taki trik psychologiczny. Mam nadzieję, że już nam państwo wybaczyli. Trik, zwykły trik. Trick... To znaczy pisze się trick, ale wymawia trik.

Inaczej się pisze, inaczej się czyta.

Dużo jest takich wyrazów. Na przykład trend. To samo. Pisze się trend, ale wymawiać należy trynd. Jest wicie taki trynd... Niestety, niestety, niestety, proszę państwa, ciągle jeszcze są u nas takie tryndy.

Powiedziałem „są”? Też błąd oczywiście, przepraszam. „Som” naturalnie. Nie „są”, tylko „som” takie tryndy.

Można co prawda mówić „trend”, można mówić „są” i to nie jest ścigane jeszcze, ale trochę głupio tak odstawać od normy. Trzeba z żywymi naprzód iść. Trzeba zawsze dotrzymywać kroku epoce. Trzeba się włączać (dawniej - włączać) na każdym etapie.

Kiedyś na przykład pisało się: zrobiliśmy, a należało wymawiać: zrobiliźmy... Średnie pokolenie doskonale pamięta - mieliśmy wtedy takiego czołowego specjalistę od tej wymowy. Przez kilkanaście lat dzierżył, jeżeli tak można nazwać, katedrę w tym zakresie i codziennie miał wielogodzinne wykłady. Już nie pamiętam nazwiska... potem jakoś odszedł, ale ostatnio słyszałem, że znowu bardzo w porządku... Tyle, że już nieco za późno.

Teraz, jeżeli można dwa słowa o języku, są znowu inne tryndy. Bo język jest żywy i podlega ciągłym, twórczym fluktuacjom. Na przykład wymiana głosek. To jest bardzo ważne. Obecnie jest to jedno z podstawowych prawideł Zasad Poprawnej Wymowy Polskiej.

Weźmy np. samogłoskę „o”. Pisze się „o”, ale wymawia „u”. To z angielskiego jest, tylko że błędnie [np. kumitet, rzunt (rząd), przekunany... jestem przekunany...].

Albo inna litera: „e”. Piszemy „e”, lecz wymawiamy „y”... igrek...y... cyntralny... syns (sens)... syns, dycyzja (decyzja)... pynsja (pobory)... pynsja...

I tu już konsekwentnie można łączyć z wyrazami z pierwszej grupy. Dycyzja rzundu... cyntralny kumitet... Proszę, jaki syns od razu.

Dalej, o czym już wspominałem na początku, piszemy „ą”, a czytamy „om” lub (uwaga) „o”, samo „o”, bo już stopień trudności się wzmaga i należy wyczuwać ducha języka. Kiedy które. Np. Naszo głęboko trosko bendom... i coś tam dalej. Powiedzmy dzieci alkoholików, czy co tam jeszcze na bizunco. Ale proszę zwrócić uwagę: trosko - bendem. Przy czasownikach - „om”. Wymienność głoski.

I tu w tym samym wyrazie drugi przykład od razu. Na literę „ę”. Zamiast „ę” e-en. Bendom. Pisze się „będa” słyszymy „bendom”, czyli „ę” przechodzi w „e-en”.

Ale uwaga, bo bendum teraz wyjątki. Gdy ta sama głoska „ę” występuje przy samogłosce „i” już brzmi inaczej. Np. więc - winc. Czyli przechodzi w samo „en” - n. Ciężko - cinszko. Cinszko proszę państwa. Miękkie „ci”, następnie dość twarde przednio językowe „en” - n - cin i „ż” przechodzące w bezdźwięczną spółgłoskę szczelinową „es-zet” - sz. „Z”, ale bezgłośnie. Cinszko... cinszko... Proszę powtarzać za mną po cichu: cinszko... cinszko... Ja wiem, że tak od razu to trudno... to cinszko jest. Dlatego też są specjalne szkoły w tym zakresie, które nie tylko cinszko jest skończyć, ale nawet dostać się tam jest niezwykle cinszko, jeżeli się nie ma dobrych poczunków. Od dzieciństwa. Albo nawet jeszcze wcześniej. Pedagogzy przywionzujom tam do tego dużo waga.

Przecież oni doskonale zdają sobie sprawę, że nie można przekazać właściwych treści, jeżeli nie opanuje się odpowiedniej formy. Należy osiągnąć semantyczną zgodność słowa z rzeczą. To jest norwidowskie „... odpowiednie dać rzeczy słowo”.

I oni dają. Bo wiecie państwo, o co im chodzi?

Chodzi im o to, aby język giętki powiedział wszystko, co pomyśli głowa... I to by się zgadzało. Na tyle, co im ta głowa pomyśli, to tej formy wystarcza aż nad to. Mało tego. Jeszcze im zostaje do popisu szerokie pole manewru stylistycznego. Można np. pokusić się o nieco inną budowę zdania, które też nie będzie nic znaczyło. Nie będę tego dzisiaj rozszerzał, ale wspominam jednak, aby uwypuklić trudności i złożoność problemu.

No, ale nie ma rady. Chcesz osiągnąć wyższe stanowisko musisz źle mówić po polsku. Trzeba się uczyć, uczyć i jeszcze raz uczyć. Jot Dobrowolski. Krupka... przepraszam, kropka.

A ostatnio szczególnie trudno się połapać, bo zastosowano ciekawy eksperyment. Otóż ni mniej, ni więcej, tylko na niektóre stanowiska zaczęto wprowadzać tytułem próby czy zmylenia - inteligentów. Niesamowite, co?

No, inteligentów to może za dużo powiedziane. Zależy, kto to ocenia, ale powiedzmy ćwierć, a na niższych stanowiskach nawet półinteligentów. I tak niesamowite.

I tutaj rzeczywiście łatwo o pomyłkę. Bo tak: mówi niby po polsku, długie zdania, nie przekręca właściwie - jak w książce. Marnej, bo marnej, ale jednak.

Nic to. I tak się zawsze zdradzi. To jest silniejsze od niego. Prędzej czy później postawi akcent fałszywie, na pierwszej sylabie wyrazu.

Pójdzie pod prąd języka. Nie powie gospodarka, gospodarka, w październiku, bohaterów, nominacja, niezbywalne... i już go mamy.

Acha, chciałbym jeszcze dodać, że ten podział na ćwierć i na półinteligentów też może być mylący. Bo nie chodzi tu o zalety umysłu, proszę państwa. Określa się w ten sposób tylko stopień zbliżenia do mowy artykułowanej.

Natomiast sam trynd jest oczywiście ten sam.

J - Proszę państwa! 123 lata niewoli. 4 pokolenia pod obcym zaborem. A jesteśmy. Jak to się stało? Język. Ojczysta mowa. Język pozwolił nam zachować tożsamość narodową. Nie dajmy mu zginąć. Nie pozwólmy go zabić. Kilkanaście minut temu, gdy mówiłem o języku (marginesowo i skrótowo), użyłem cytatu z „Beniowskiego”. Potrzebne mi to było do figury retorycznej. Mam jednak niedosyt. Te strofy są tak piękne, że - chociaż znane - chciałbym zaproponować państwu wysłuchanie już bez kontekstu nieco szerszego fragmentu z tego poematu, (do wykonawców) Pozwólcie tutaj, (podchodzą) Pp. tak w roku 1841 pisał Juliusz Słowacki o języku:

Piotrek - ... Chodzi mi o to, aby język giętki
Powiedział wszystko, co pomyśli głowa:
A czasem był jak piorun jasny, prędko,
A czasem smutny jako pieśń stepowa,
A czasem jako skarga nimfy miętki,
A czasem piękny jako aniołów mowa...
Aby przeleciał wszystko ducha skrzydłem.
Strofa być winna taktem, nie wędzidłem.

Z niej wszystko dobyć - zamglić ją tęsknotą,
Potem z niej łyskać błyskawicą cichą,
Potem w promieniach ją pokazać złotą,
Potem nadętą dawnych przodków pychą,
Potem ją utkać Arachny robotą,
Potem ulepić z błota, jak pod strychą
Gniazdo jaskółcze przybite do drzewa,
Co w sobie słońcu wschodzącemu śpiewa...

I gdyby stary ów Jan Czarnoleski

Z mogiły powstał, to by ją zrozumiał
Myśląc, że jakiś poemat niebieski,
Który mu w grobie nad lipami szumiał,
Słyszy, ubrany w dawny rym królewski
Mową, którą sam przed wiekami umiał.
Potem by, cicho mżąc, rozważał w sobie,
Że nie zapomniał mowy polskiej - w grobie.

J - Piotrek?

P - No?

J - Chciałbym z tobą nawiązać konstruktywny dialog.
Można?

P - Konstruktywny? Proszę.

J - Słuchaj stary. Mam wielką prośbę. Nie gniewaj się. To dla
mnie ważne. Właściwie pytanie najpierw - Czy ty nie masz
przypadkiem trochę historycznej misji?

P - Czego?

J - Misji. Historycznej misji.

P - Nie. Tak sobie tylko gram na scenie. I śpiewam czasami.

J - Uuuuu, to niedobrze.

P - Dlaczego?

J - Bez misji śpiewasz?

P - No, jakoś bez.

J - Bardzo niedobrze, ale to w końcu twoja sprawa. W tej chwili
chodzi o mnie. Nie masz misji?

P - Nie.

J - Ani trochę?

P - Ani trochę.

J - Marnie. Bardzo marnie. A może Derfel/Głuch ma?

P - Nie przypuszczam.

J - (woła) Jurek/Wojtek! Nie masz przypadkiem historycznej
misji? D/G - Czego?

J - Historycznej misji.

D/G - Nie. Tu nie było w ogóle.

P - Mówiłem. On też tylko komponuje. No i gra.

J - Cholera. A masz może moralny obowiązek?

P - Względem czego?

J - Niczego. Ogólnie. Masz?

P - Ogólnie nie mam. Konkretnie czasami mam, ale rzadko.

J - Nie. Konkretnie to mi nic nie daje.
P - O co ci chodzi?
J - Jeszcze chwila. Choć już czuję, że też nie będziesz miał.
Ale może ktoś ze znajomych. Chodzi mi o niezbywalne prawo.
P - Do czego?
J - Ale masz?
P - Ale do czego?
J - Do wszystkiego. Masz?
P - Nie mam. W ogóle nie ma nic takiego.
J - Jak to nie ma. Jest, jest. My nie mamy, ale różni faceci ciągle się ogłaszają, że mają.
P - To się zwróć do nich.
J - Oni nie dadzą. Jak sami mają, to nigdy nie zechcą się pozbyć.
P - A w ogóle do czego zmierzasz?
J - Do kryzysu kulturalnego. To znaczy odwrotnie. Widzisz stary. Powiem uczciwie. Gdybym miał moralny obowiązek i dostał niezbywalne prawo, to bym wziął na siebie historyczną misję i wyprowadził kraj z kryzysu kulturalnego.
P - Rozumiem... Jurek?
J - No?
P - Teraz ja mam pytanie.
J - Proszę.
P - Czy ty masz to już uzgodnione?
J - Co?
P - Branie na siebie tej misji i w ogóle...
J - Z kim uzgodnione?
P - Z ludźmi.
J - Z jakimi ludźmi?
P - Ze społeczeństwem, że tak powiem...
J - Z jakim społeczeństwem, że tak powiem?
P - Z normalnym. Naszym społeczeństwem. Może ono nie chce, żebyś brał na siebie dziejową misję?
J - A co mnie to obchodzi? Jak będę miał niezbywalne prawo i moralny obowiązek, to co mi będą mogli zrobić?
P - Rozumiem. Jest jednak pewien szkopuł.
J - Jaki? P - Widzisz - niezbywalne prawa, moralne obowiązki i historyczne misje już dawno zostały rozdane. Raz na zawsze.

J - Przez kogo?
P - Przez czynniki wyższe. Z zewnątrz. Musisz wiedzieć, że działają tu pozaziemskie i ponadczasowe, transcendentalne wręcz, siły wyższe. Tylko one tu decydują.
J - A kto dostał te uprawnienia?
P - Ci, którzy je mają. To jest rodzaj wiedzy wlanej. Mają i już. Biedni ludzie...
J - Dlaczego?
P - Bo to wewnętrzne siły zmuszają ich teraz do konieczności stałego, określonego i konsekwentnego działania. Świątek czy piątek, bez wytchnienia, non stop, przez dziesięciolecia... Nie mogą zrezygnować.
J - Niesamowite. Ale, że im się tak chce latami?
P - Im się nie chce. Muszą. Misja dziejowa.
J - Rozumiem.
P - No widzisz. Tak że twoje starania o misję...
J - Nie, nie. Oczywiście. Wiesz starałem się, bo myślałem, że się tym nikt nie zajmuje, ale jeżeli są specjalni faceci, to w porządku. Niech każdy zostanie przy swoim w takim razie.
P - Tak jest. Róbmy swoje.

J - Proszę państwa.
Dawno, dawno temu... nie, inaczej... Wczoraj... właściwie dzisiaj... nie, też nie... zaraz...
Nie bardzo wiem jak zacząć, przepraszam.
Może ja jednak zdejmę marynarkę? Treści mi nie przybędzie, ale hucpy nabiorę chociaż, (robi ruch zdejmowania)
Nie. To nic nie da. To zdaje się nie tyle od marynarki zależy, ile od dobrego samopoczucia w ogóle. Ale, ach, a propos marynarki - mała dygresja.
Proszę państwa, temat stroju w życiu publicznym, politycznym i dyplomatycznym przewija się w historii od dawna. Od starożytności. Natomiast jeżeli chodzi stricte o marynarkę - jej historia dotyczy czasów najnowszych, ale też nie jest, wbrew pozorom, naszym wynalazkiem. Sięga lat pięćdziesiątych naszego stulecia, a dotyczy ówczesnego premiera Izraela Bena Guriona. Przytoczę to zdarzenie, bo ciekawe.

Otóż tenże Ben Gurion w czasie posiedzenia parlamentu izraelskiego, z uwagi na panujący upał, pozwolił sobie właśnie zdjąć

marynarkę. Gdy oburzeni senatorowie zaprotestowali, oświadczył: „Bardzo przepraszam, ale ja mam pozwolenie od Churchilla”. Jak to - zapytali. „Tak to” - odpowiedział. Po prostu.

Było tak: Uczestniczyłem niedawno - mówi Ben Gurion - jako gość w posiedzeniu parlamentu angielskiego. Było, podobnie jak dzisiaj, bardzo duszno i gorąco, więc zdjąłem marynarkę. I wtedy Churchill powiedział: „Panie Ben Gurion, marynarkę to pan może u siebie w parlamencie zdejmować”.

Tak, to mamy. Ale anegdotką i tak się nie uratuję.

Taaak, powiedziałem na samym początku, że jestem. Bo jestem. Dobry wieczór. Ale nie chciałbym być. To znaczy początkowo bardzo chciałem, ale jak się zorientowałem, że nie dam rady, to nie chciałem. Chciałem nawet przedstawić zwolnienie lekarskie, ale znajomy lekarz wyjechał, a inni nie chcieli dać. Zdrowy - mówią - jestem. No bo ja właściwie jestem zdrowy. Umysł mam chory ostatnio, bo chyba trzeba być niespełna rozumu, żeby nie dostrzegać realnej poprawy w każdej dziedzinie, ale to inne zagadnienie. A tak to zdrowy, tylko, że niewiele mam do powiedzenia właśnie. Przepraszam.

To trochę moja wina, ale i nie moja wina. Bo o co chodzi? Kiedyś przed laty uprawiałem tak zwaną twórczość satyryczną.

Państwo mogą nie pamiętać, ale było coś takiego. Wtedy miało to nawet swój sens. W momencie bowiem, gdy w systemie zarządzania zabrakło podówczas mechanizmów samokorygujących, satyra próbowała je zastępować, punktując tu i ówdzie, niezbyt liczne zresztą, dewiacje władzy.

Pikanterii dodawał temu zajęciu jeszcze fakt, że satyra była w owe smutne czasy bardzo niemile widziana, wręcz zwalczana nawet i silnie trzeba się było natrudzić, by ominąć niebotyczne bariery stawiane przez cenzurę. Trzeba bowiem wiedzieć - a nie wstyd się obecnie przyznać - cenzura podówczas nie zawsze była postępową. Tak było.

No, a dzisiaj?

Niestety. Moja funkcja praktycznie się skończyła. Teraz to nie ma najmniejszego sensu, ponieważ satyra nie tylko nie jest zabroniona, ale przeciwnie - wręcz zalecana i popierana.

Mało tego. Gdyby ktoś ośmielił się tłumić moją krytykę, to mogę się poskarżyć i wtedy władza tak mu da popalić, że hej.

No to co to za satyra? Z czego kpić, kogo wyszydzać, co ośmieszać, skoro na każdym kroku człowiek spotyka się z odpowiedzią: Słusznie,

ma pan rację, wiemy, już właśnie zmieniamy, a co pan powie na to, a jeszcze nie zauważył pan tamtego, też już zmieniamy... (No proszę, nawet jeszcze nie zauważyłem, a też już zmieniają).

Wyprzedzają mnie. I w treści, i w wykonawstwie. W ogóle cholernie wysoko postawili poprzeczkę... To co się będę wygłupiał? Tego wizjonera od chrupiących bułeczek i powszechnego dobrobytu i tak nie przeskoczę... Nie mówiąc już o innych showmanach. Trudno.

Proszę państwa, przerzuciłem się na inną dziedzinę sztuki. Na muzykę. Póki co, naturalnie.

Początki były trudne, nie powiem, ale teraz właściwie muzyka nie ma dla mnie tajemnic. Może jeszcze nie do końca osiągnąłem klasę mistrzowską, ale sądzę, bez taniej kokieterii, że nie mam się już czego wstydzić.

(wyjmuje fujarkę)

To jest flet prosty. Żadnych zagięć, zakrętów, nic, zupełnie prosty flet. Od tego właśnie zacząłem. Gdyby tu był fortepian czy pianino, to bym pokazał szerzej... Jest? Dobrze, niech stoi... Nieistotne. Chodzi o przykład.

Najpierw, proszę państwa, z trudem opracowałem tylko jeden kawałek, proszę posłuchać.

(gra prostą melodyjkę)

No a później, już sam nie wiem, jak poleciało. Proszę posłuchać. Adagio.

(gra to samo)

Largo.

(gra to samo)

Andante.

/gra to samo/

Z satysfakcją należy odnotować fakt, że dokonałem kolejnego kroku na drodze postępu.

(gra to samo)

Przyznaję, popełniałem błędy w przeszłości. Dziś jednak, świadomy celów i dążeń...

(gra to samo)

Ważne, że odzyskałem wiarygodność.

(gra to samo)

No, i da capo al fine. W nieskończoność.

(schodzi grając)

J - Pani Agnieszko. Człowiek jest zawsze ciekaw drugiego człowieka.

A - Tak?

J - Teraz, gdy poznaliśmy panią bliżej, gdy znamy pani umiejętności i możliwości, pragnę zadać pani w imieniu nas wszystkich pytanie, które nasuwało mi się już wcześniej, w czasie gdy obcowaliśmy z pani sztuką. Pytanie być może trudne...

A - Czemu jest pan taki sztuczny?

J - Jak to sztuczny? Odwrotnie. Jestem bardzo naturalny.

A - Bardzo. Czy to ma być wywiad ze mną?

J - Zgadła pani. I stąd właśnie ta moja naturalna bezpośredniość.

A - Tak przypuszczałam. Z przykrością muszę jednak panu odmówić.

J - Dlaczego?

A - Już parokrotnie udzielałam wywiadów. Później w druku czy na antenie, okazywało się, że jestem głupsza niż w rzeczywistości.

J - To jest powszechny zjawisko. Rozbieżność interesów. Widocznie chciała pani coś uczciwie powiedzieć, a dziennikarz nie chciał wypaść gorzej od pani. To w końcu jego wywiad.

A - Rozumiem.

J - Dobry wywiad musi być galanteryjny.

A - To znaczy?

J - Słodki, płytki, powierzchowny i bezproblemowy.

A - Aha. No to co trzeba mówić?

J - Truizmy i maksymy. Na przykład: Człowiek jest tylko człowiekiem, albo: zawsze marzyłam o założeniu rodziny, albo: kabaret to praca zbiorowa, albo: kocham żuczki... jestem nieprzeciętną domatorką... uważam, że podwyżka cen jest koniecznością...

A - Dlaczego?

J - Dlaczego była koniecznością?

A - Nie. To wiem. Pytam dlaczego trzeba tak mówić?

J - Bo wywiadu należy udzielać według poziomu i na miarę przeprowadzającego ten wywiad.

A - Acha, nie wiedziałam...

J - No właśnie. I koniecznie ze sztucznie uśmiechniętym, pozowanym zdjęciem. Dawała pani zdjęcie?

A - Do prasy tak, do radia nie.
J - Dlaczego? ... A no tak, tak... oczywiście. Nie miała pani drugiego, co?
A - Czego?
J - Zdjęcia.
A - Miałam, ale...
J - To nieważne.
A - Nieważne. Więc powiada pan, że na miarę tego, który wywiad przeprowadza, tak?
J - Oczywiście.
A - Zgoda. Proszę notować: A więc moja przygoda z piosenką zaczęła się już w trakcie moich czwartych urodzin, gdy mój stryj, cudowny muzyk i znany kompozytor, człowiek o kryształowym chara...
J - Przepraszam. Czemu jest pani taka sztuczna?
A - Jak to sztuczna? Odwrotnie. Jestem bardzo naturalna.
J - Przepraszam. Słusznie. Wyłamałem się z konwencji. Wracamy: ach, to szalenie interesujące. Nie zadałem jednak pani zasadniczego pytania..
A - Przepraszam. Myślałam, że pytania dorobi pan sobie później do odpowiedzi.
J - Nie. To znaczy owszem, ale nie chciałbym tutaj zdradzać tajemnic warsztatu dziennikarskiego.
A - Rozumiem, zgoda. Mówmy o czymś innym, zgoda?
J - Bardzo proszę. Słucham?
A - Jak pan doszedł do dziennikarstwa?
J - O, to długa historia. Moja przygoda z dziennikarstwem zaczęła się jeszcze w szkole powszechnej, gdy redagowaliśmy gazetkę ścienną... Otóż na polecenie profesora od marksizmu... zaraz. Przepraszam. Przecież to ja mam z panią przeprowadzić wywiad.
A - A racja, przepraszam. No więc moja przygoda z aktorstwem zaczęła się w pociągu, gdy jako mała dziewczynka...
J - Przepraszam. Kto tu z kogo kpi i kto się czym bawi?
A - No jak to? Myślałam, że oboje bawimy się w wywiad.
J - O nie. Wywiad to nie zabawa. To ciężka odpowiedzialna praca.
A - Ale przecież nasz wywiad...
J - Nasz wywiad jest najlepszy na świecie.

A - Przepraszam, ale chyba pogubiłam się w konwencji...

J - Uuu, ja już dawno... Bo widzi pani, moja przygoda z konwencją zaczęła się w roku 45-tym...

A - A moja przygoda z fortepianem...
(wspólny śmiech)

J - Stop, stop. No dobrze. To bez konwencji w takim razie. Ale skończmy to jakoś. Jakie plany na przyszłość, pani Agnieszko?

A - Hmm... Ja wiem, że to zabrzmiałoby jak truizm, ale tak czuję. Widzi pan, gdy już - jeżeli tak można powiedzieć - okrzepnę, dojrzeję artystycznie, gdy moja sztuka będzie już cokolwiek znacząca, chciałabym, żeby mogła przynieść jakiś pożytek. Żeby lata pracy i studiów nie poszły na marne.

J - To bardzo pięknie sformułowane, ale rzeczywiście może nieco hasłowo i ogólnikowo. Nam chodziłoby o coś bardziej osobistego, wręcz intymnego. Na przykład pani największe marzenie?

A - Zgoda, powiem, o ile nie uzna pan tego za skrajną megalomanię.

J - Nie uznaję.

A - Aż boję się głośno to sformułować...

J - Śmiało.

A - Widzi pan... powiem szczerze... Może zabrzmiałoby śmiesznie, ale uważam, że każdy człowiek powinien dążyć do maksymalnego celu, bez względu na to, czy uda mu się go osiągnąć, czy nie. Zgodzi się pan ze mną?

J - Tak. Doskonale panią rozumiem... No więc?

A - No więc, widzi pan, jeżeli będę naprawdę dobra, chciałabym aby moja sztuka, moje nagrania mogły służyć do zagłuszenia wrogich zagranicznych radiostacji. To wszystko.

J - Brawo, brawo. Wracam do konwencji. Pani ambicje godne są najwyższego podziwu i uznania. Tak jest, proszę państwa, jeszcze jeden dowód na to, jak fałszywie potrafiliśmy oceniać młodzież. Pani Agnieszka jest tego najlepszym przykładem. To już nie jest grupa rozwydrzonych wyrostków, to jest zaangażowana młodzież świadoma swych celów i dążeń. Brawo, pani Agnieszko. Mamy już po dziurki w nosie tych fałszywych ideologii, tego sączenia kłamstw, tego mieszania się w nasze wewnętrzne sprawy.

A - Nie bardzo rozumiem, o czym pan mówi...
J - O tym samym, co pani. O konieczności odcięcia się od wrażeń polityki.
A - Obawiam się, że się nie rozumiemy. O jakim tłumieniu, jakiej Ideologii pan mówi?
J - Przecież sama mówiła pani...
A - Nieporozumienie. Pan sam uprzejmie pozwolił sobie nazwać mnie artystką - pytając o największe marzenie.
J - No tak.
A - Otóż dla artysty nie ma większego marzenia ponad masowe uznanie jego sztuki.
J - Nie rozumiem.
A - W sposób, o którym mówiłam przed chwilą, znalazłabym się kilkanaście razy dziennie na antenie i słuchałyby mnie miliony.
J - Sądzi pani, że taki jest popyt na sztukę.
A - Nie. Taki jest popyt na fałszywe wiadomości.
J - Dziękuję bardzo.
A - Proszę.

(Któryś raz z rzędu z ust gospodarza wieczoru padło sformułowanie: „Acha, na zasadzie Bonończyka”. Agnieszka z Piotrem naradzili się po cichu i wystartowali z pytaniem)

P-Ty.
A-No?
P - Co to jest właściwie ten Bonończyk?
A - Właśnie.
J - Bonończyk? To jest piesek.
P - Jak to piesek?
J - Piesek. Normalny piesek.
P - Pieseczek?
J - No. Właściwie jeleń.
P - Jaki jeleń?
J - Normalny. Normalny piesek. Nieduży. Taki. Ratlerkowaty jakby.
A - Nic nie rozumiem...
P - No więc piesek czy jeleń?
J - Jeleń, ale samica, czyli łania. To łania jest. Kotna łania.

A - Kotna?
J - No. Piesek. Bonończyk.
P - Ktoś tu zwariował zdaje się...
J - O tak, już dawno.
A - Nic nie rozumiem.
J - Słusznie, bo to jest pozarozumowe.
P - Chwileczkę. Jaka ten jeleń... tego... piesek... nie... ten Borowczyk...
J - Bonończyk.
P - Wszystko jedno. Jaką ten Bolończyk ma zasadę?
J - Żadną. Sam Bonończyk nie ma zasady, tylko coś może się odbywać na zasadzie Bonończyka.
A - Nic nie rozumiem.
J - No bo tak teraz uczą. Literatury pięknej ani w ząb.
P - W ząb, w ząb, tylko nie mogę skojarzyć...
J - Pomogę. Wieszcz.
P - Adam.
J - Dobrze, (do A) Nazwisko?
A - Fatyga.
J - Miło mi. Dobrowolski... nie, no co wy?
P - Mickiewicz.
J - Tak jest.
P - Coś mi świta... „Pan Tadeusz”?
J - No.
A - Telimena?
J - No. Czytam obsadę: Telimena - Agnieszka Fatyga. Wielki Łowczy Dworu Kiryło Gawrylicz Kozodusin - Piotr Fronczewski. Czynownik - Wojciech Głuch (życiowa rola). Narrator i Policmajster - Jerzy Dobrowolski. I inni... ach, nie ma. Studio opracowań filmów... a nie też nie... Dobrze. „Pan Tadeusz”. Księga II od wiersza 591.
Narrator:

(J - będę śpiewał)

J - Ja uprzedzałem, że nie będę śpiewał. Nie jestem pierwszy, który co innego deklaruje, a co innego realizuje. Robi co innego, niż zapowiadał. To stało się normą, więc dlaczego mam odstawać.

Z tym, że nie śpiewam i mogę to udowodnić. Musiałem napisać „nieśpiewany”, bo na mnie śpiewającego nikt by nie przyszedł.

To się nazywa taktyka.

Państwo mogą nie zdawać sobie sprawy z tego, co jest dla państwa dobre.

Jaki państwo macie dowód, że ja nie umiem śpiewać. To, że przez 40 lat mi nie wychodziło jeszcze niczego nie dowodzi.

Idea sprawiedliwości społecznej, nie tylko ten, co ma głos i słuch.

Nie jesteśmy idealni.

Automaty telefoniczne Bianusza.

Wizje plastyczne elektromechaników.

Niemożność osiągnięcia prawdy absolutnej

Modus Vivendi - Zasada Bonończyka (Telimena) II księga

Modus Vivendi - sposób współżycia (państw, ugrupowań) oparty na tymczasowym, prowizorycznym kompromisie, bez rozstrzygnięcia zasadniczych problemów spornych.

Piosenki nieśpiewane - poezja śpiewana

Tak kończy się egzemplarz, nad którym pracował Jerzy Dobrowolski. Z notatek, dopisków, napisanych już dialogów bądź monologów nie można zorientować się, jaki miał być finał kabaretu „Kura”, który przedstawiał pierwszy recital nieśpiewany pt. „Apio Indyget” - jeżeli dopisałbym tylko jedną z wersji. W moim odczuciu byłoby to zaprzeczenie tego wszystkiego, czym kierował się autor. Jak się wydaje, istniał pomysł dwuczęściowego programu bądź całości granej bez przerwy.

Mam przed sobą także egzemplarz - „Apio Indygent”, wersja „zero” pierwotna. Można zorientować się, jak ten solowy występ Jerzego Dobrowolskiego miał wyglądać. Składał się z następujących części: 1) Dobry wieczór, 2) Magnes, 3) Kabarety, 4) O języku, 5) Fujarka, 6) Mea Culpa (patrz strona 254). W innym wariacie autor przewidział udział swojego przyjaciela, kompozytora i akompaniatora - Jerzego Derfla.

Teksty pojawiające się w „Apio Indyget”, łączone ze sobą, z dopisanymi scenkami, autor przedstawiał na estradzie w kabarecie „Pod Egidą” Jana Pietrzaka oraz podczas występów z kabaretem „Elita”. Wtedy, po wyjęciu z całości i adaptacji na potrzeby różnych występów estradowych pojawiły się ich tytuły. „Mea Culpa”, „Felieton językowy” itd.

„Recital nieśpiewany” Jerzego Dobrowolskiego, który wyłonił się z tekstu „Apio Indyget” autor zatytułował - DYGRESJE. Powstał najprawdopodobniej na przełomie 1986 i 1987 roku, ale nigdy w pełnej, autorskiej formie nie zaistniał na estradzie. Miał kończyć go „Flet prosty” (inny tytuł „Da Capo” - monolog z fujarką)...

Z dat, które można przypisać ukończeniu przedstawionego czytelnikom egzemplarza, pewna jest jedynie ta związana z wyjazdem dnia 14 VI 1984 roku. VII kopię przepisana na maszynie Jerzy Dobrowolski opatrzył - obok podania konkretnego dnia - dopiskiem „zabrałem do Krakowa”. Pracował nad „Apio Indyget” cały czas. Brak możliwości zrealizowania całego programu owocował rozbijaniem całości na scenki i monologi. Z prywatnych notatek Jerzego Dobrowolskiego można wywnioskować, że ta przypadkowość występów w różnego rodzaju składankach kabaretowych i estradowych, wymuszona sytuacją finansową, nie związana z pomysłem na całość konkretnego występu, była dla niego wyjątkowo przykra.

Ponieważ znalazłem w różnych zeszytach zapiski pod hasłem Apio, pozwałam sobie dołączyć jeden z nich. Ten, który przybrał formę ostateczną ale jednocześnie wyjściową dla kolejnych wariantów. Wszystkie powstawały w latach 1984 - 1987.

Ten tekst był dołączony do „wersji III”...

Przepraszam państwa. Przepraszam. Wróciłem jeszcze. Nie, nie. Nie ze względu na brawa, nie z chęci zyskania taniej popularności, popisania się i błysnięcia kolejnym żarcikiem. Nie.

Po tysiącokroć wolałbym zapaść się pod ziemię, niż stać tutaj przed wami z całym bagażem mojej winy. Ale wróciłem, bo niepodobna dłużej żyć w takim zakłamaniu i fałszu. Gdy patrzę na wasze syte, uśmiechnięte buzie, gdy czuję waszą ufność i życzliwość, na które nie zasłużyłem, z tym większą wyrazistością widzę całą podłość swojego postępowania. Znów próbowałem was oszukać, mistyfikować, udawać że wszystko w porządku. Nie. Muszę, muszę to wyznać.

Kochani, oto ja łotr niegodny, narkoman i alkoholik, sutener, syfilityk, recydywista i podpalacz, pederasta i syjonista stoję przed wami w głębokim poczuciu winy i nie ruszę się stąd dopóki nie wyznam wszystkiego. Biję się w piersi, przyznaję i przepraszam. Moja wina. Wybaczcie, jeżeli potraficie. Bijcie, nie oszczędzajcie mnie, katujcie, ale nie ruszę się stąd. Proszę, jeżeli uznacie za właściwe - wezwijcie oddziały specjalne, aby wam odblokowały estradę. Nie boję się tego. Wiem, że w im właściwy, humanitarny sposób usuną mnie stąd tak, że zwyczajowo ani mnie, ani komukolwiek innemu nic się dosłownie nie stanie.

Ze w trakcie odblokowywania obiektu będę częstowany jak zawsze czekoladkami, głaskany po włoskach oraz będą mi wręczone

Jerzy Dobrowolski

Kabaret "Elita"

MEA CULPA

nie akceptuję!

Dobry wieczór.

Proszę państwa, przepraszam, że zabieram czas, ale żywię nadzieję, że wybaczą mi to państwo, gdy poznają jak niebagatelne przyczyny zmusiły mnie do tego kroku. Jeżeli odważyłem się stanąć tutaj przed państwem to dlatego, że niepodobna dłużej żyć w takim zakłamaniu i fałszu. Gdy patrzę na wasze syte, uśmiechnięte buzie, gdy czuję waszą ufność i życzliwość na które nie zasłużyłem, z tym większą wyrazistością widzę całą podłość swojego postępowania. Muszę, muszę to wyznać.

Kochani.

Oto ja łotr niegodny, narkoman i alkoholik, sutener, syfilityk, recydywista i podpalacz, alfons, pederasta i sjonista stoję przed wami w głębokim poczuciu winy i nie ruszę się stąd dopóki nie wyznam wszystkiego. Biję się w piersi, przyznaję i przepraszam.

Moja wina. Wybaczcie, jeżeli potraficie.

Bijcie, nie oszczędzajcie mnie, katujcie, ale nie ruszę się stąd Proszę - jeżeli uznacie za właściwe - wezwijcie oddziały specjalne aby wam odblokowały estradę. Nie boję się tego. Wiem, że w im właściwy humanitarny sposób usuną mnie stąd tak, że zwyczajowo ani mnie, ani komukolwiek innemu nic się dosłownie nie stanie. Że w trakcie odblokowywania obiektu będę częstowany jak zawsze czekoladkami, głaskany po włoskach, oraz będą mi wręczone bukiety kwiatów i to w sposób tak dyskrecjonalny, że później nie będzie można dojść do tego kto wręczył mi największy bukiet. Uszanujmy to. Słusznie. Niech to zostanie na zawsze słodką tajemnicą ofiarodawcy. Błagam o jedno.

Nim uczynicie to wszystko, dla naszego zresztą wspólnego dobra, nim wkroczą wezwane przez was delegacje porządkowe z wiązkami, pozwólcie mi na parę słów o sobie. Może ktoś życzliwy dopatry się jakichś okoliczności łagodzących. Może szczerą skrucza przemówi choć trochę ~~mi~~ na moją korzyść.

Kochani. Nasz naród jest wielki. Tym się wywyższa ponad inne narody że zawsze wie co jest słuszne. I co najważniejsze, wraz z innymi, podobnymi narodami, zawsze stoi niezłomie.

I na prawdę, wierzcie mi kochani, choć dzisiaj trudno to sobie wyobrazić, ja bym też stał. Tak bym stał niezłomie, że rany boskie, Przecież urodziłem się jako jeden z nas. Prawy, szlachetny, z poczuciem jedynie słusznej linii. Niestety....

Niestety.. matka. Bo wszystko zaczęło się już przy urodzeniu.

bukiety kwiatów i to w sposób tak dyskrejonalny, że później nie będzie można dojść do tego, kto wręczy! mi największy bukiet.

Uszanujmy to. Słusznie. Niech to zostanie na zawsze słodką tajemnicą ofiarodawcy.

Błagam o jedno.

Nim uczynicie to wszystko, dla naszego zresztą wspólnego dobra, nim wkroczą wezwane przez was delegacje porządkowe z wiązkami, pozwólcie mi na parę słów o sobie.

Może ktoś życzliwy dopatrzy się jakiś okoliczności łagodzących. 247

Kochani. Nasz naród jest wielki. Tym się wywyższa ponad inne narody, że zawsze wie, co jest słuszne. I co najważniejsze, wraz z innymi podobnymi narodami zawsze stoi niezłomie.

I naprawdę, wierzcie mi kochani, choć dzisiaj trudno to sobie wyobrazić, ja bym też tak stał. Tak bym stał niezłomie, że rany boskie. Przecież urodziłem się jako jeden z nas. Prawy, szlachetny, z poczuciem jedynie słusznej linii. Niestety.

Niestety... matka. Bo wszystko zaczęło się już przy urodzeniu. Moim urodzeniu. Ta zdrowa i dorodna kobieta karmiła mnie, na moje nieszczęście, piersią.

Czułem, przysięgam, od pierwszego łyku mleka czułem, że dzieje się coś niedobrego. Nie umiałem tego określić, ale czułem jak w miarę ssania, w moje żyły, w mój umysł wsacza się coś niedobrego, obcego, wrogiego. Całym swoim zdrowym, niemowlęcym instynktem czułem, że nie wolno mi tknąć pokarmu.

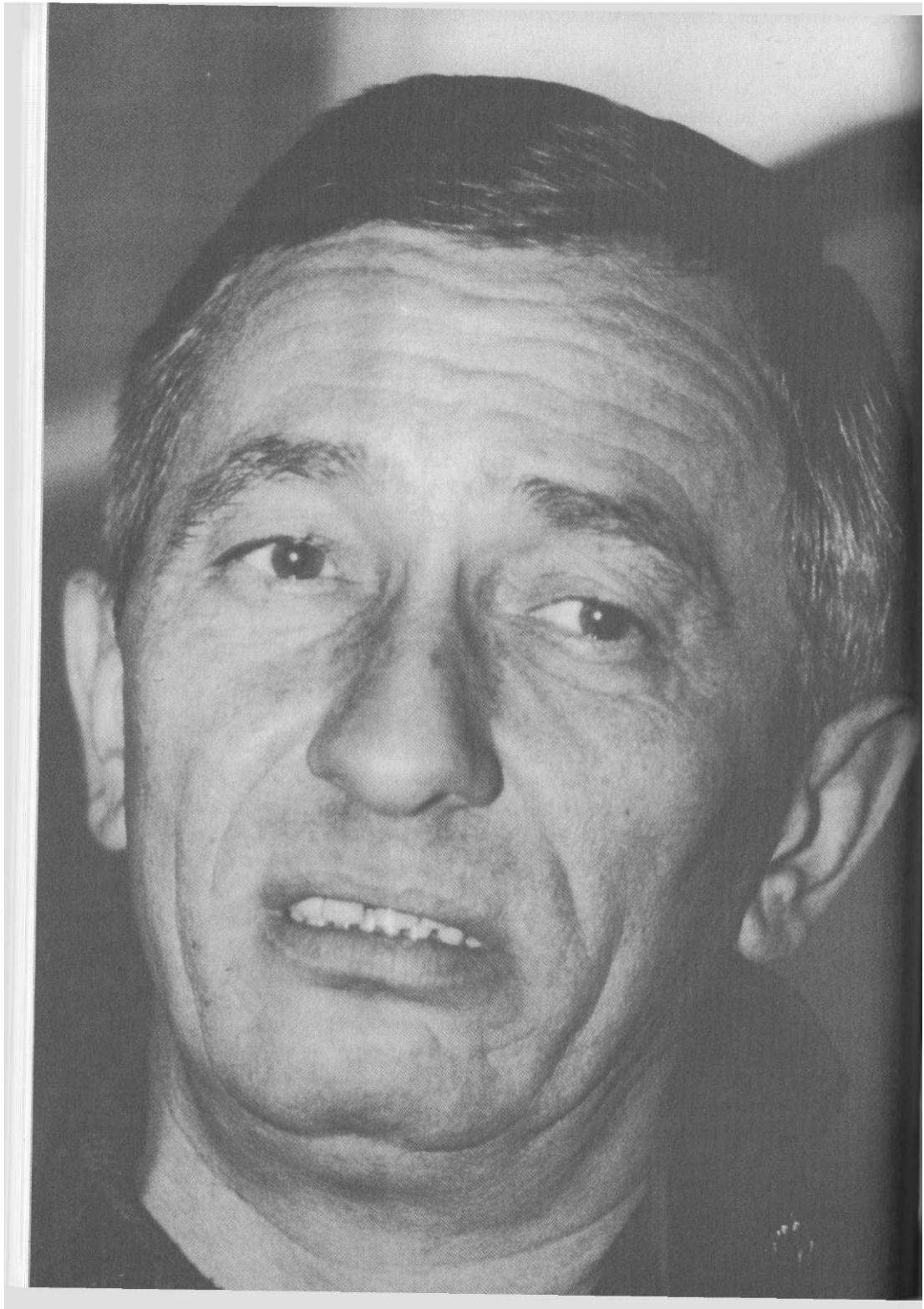
Odrąciłem matkę. Rzuciłem ssanie.

Niestety. Złamali mnie. Pokonał mnie głód i brak dostępu do innych środków żywnościowych. Po wielodniowej, beznadziejnej walce - uległem. Zacząłem ssać. Choć czułem całą podłość swojego postępowania - ssałem. Mimo ohydneho smaku - ssałem. Byłem słaby.

I tak, kochani, stało się. Nastąpiło, to co nieuniknione. Z mlekiem matki wyssałem zwierzęcą nienawiść do wszystkiego, co postępowe. Stałem się wrogiem postępu.

Ach, gdybyż można było cofnąć czas.

Dzisiaj dopiero widzę, jak należało wówczas postąpić. Trzeba mi było po prostu rzucić się wtedy na lekarzy, na personel kliniki, roztrącić pielęgniarki, ugryźć matkę - wyjechać. Może na wieś, może do jakiegoś ośrodka przemysłowego. Związać się z jakąś grupą. Działać. Dojrzewać. Świadomieć. Nie uczyniłem tego - ssałem.



A trzeba wiedzieć, że już wcześniej byłem nad ważony. Również bowiem ze strony ojca miałem to genetycznie zakodowane. Teraz w połączeniu z mlekiem dało to mieszkankę piorunującą. Nienawiść biologiczną.

Wiem, nic mnie nie może usprawiedliwić, ale zrozumcie... Wtedy, w klinice, byłem sam. Inne niemowlaki, gdy zobaczyły, co się święci, odwróciły się ode mnie.

Nie chcę nikogo oskarżać, nie mam do tego prawa... Ale gdyby wtedy ktoś z nich wyciągnęło do mnie butelkę, podało mi rękę, pogadało jak marksista z marksistą... kto wie. Może dzisiaj ja mógłbym szczęśliwy siedzieć tu pośród was i oskarżać kogoś zupełnie innego. Niestety.

Nie chodziło mi o korzyści materialne, wiercie mi.

Choć nieraz później brałem i dolary, i marki zachodnie to nie to było moim głównym celem.

Zaślepiiony mlekiem matki chciałem przez całe życie jednego. Zniszczyć postęp. Cofnąć koło historii.

Sami wiecie, że koła historii nie da się cofnąć. Dzisiaj ja - bankrut polityczny - wiem to również. Wtedy czepiałem się każdej szprychy.

Oszczędzę wam, kochani, szczegółów. Nie będę mówił o kolejnych etapach mojej moralnej degradacji. Znamy doskonale te mechanizmy. Przez dziesiątki lat ogłaszaliśmy je publicznie oraz demaskowaliśmy w czasie licznych śledztw i procesów sądowych. Powiem krótko: od początku tkwiłem na wstecznych pozycjach. Bądź to jako reakcyjne podziemie, bądź jako ręka podniesiona nad klasą robotniczą, bądź jako chuligańskie grupy przestępcze, lub jak ostatnio ekstremistyczny odłam.

Nie ma co ukrywać.

Przez cały czas przyświecał mi tylko jeden cel - jak skutecznie ugodzić w Socjalizm.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi, nie dostrzegając niepodważalnego dorobku oraz przekreślając historyczną szansę, świadomie zagrażałem podstawowym interesom narodu, uprawiając awanturnictwo polityczne, mamiąc naród i wciągając na wsteczne pozycje podatną na wpływy młodzież.

W końcu zrzuciłem maskę i zacząłem ohydnie pełzać tworząc jednocześnie nawis i lukę. Powiem krótko: jątrzyłem, straszyłem, podburzałem, odcinałem, fałszowałem, przekręcałem, naruszałem, atakowałem, rozpętywałem i plwałem oraz w rozmowach

z rodzeństwem używałem bardzo brzydkich wyrazów. Powiem więcej: wykorzystując pobłażliwość władz i niespotykany liberalizm kolejnych ekip, szukałem kontaktów z wiadomymi ośrodkami, aby zwiąawszy się z wiadomymi siłami, zjechać przy pomocy wiadomych kół, do sobie wiadomych celów.

Moja wina. Tak jest, kochani, niestety.

Oczywiście cofnąć koła historii nie cofnąłem, bo nie da się cofnąć koła historii, ale co złego narobiłem, to moje.

A właściwie - wasze. Moja wina.

I jeżeli dzisiaj nie jest tak, jak mogło być, jeżeli m.in. zagrożona jest narodowa kultura, tradycja, oświata i nauka - moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina.

Przepraszam was i wybaczenie, jeżeli potraficie.

Kochani.

Nim na zawsze zniknę z waszego życia - jedną mam prośbę, może ostatnią, pierwszą od wielu lat.

Przepróście i najserdeczniej pozdróćcie ode mnie tych wszystkich, którzy tak niezłomnie, dla waszego dobra, dla dobra naszych dzieci i dzieci naszych dzieci, potrafią z pokolenia na pokolenie, z ekipy na ekipę, konsekwentnie, nie licząc się z faktami i historią, powtarzać nieodmiennie wciąż to samo.

Do widzenia.

Jerzy Dobrowolski ten tekst nieco zmienił i zatytułował „Mea culpa”-ta wersja znajduje się w książce „Dla mnie bomba Jerzego Dobrowolskiego”.

Następny, zapisany tuż po pierwszej wersji powyższego tekstu, był pomysł na...

Taki temat: (skecz?) Duży zespół estradowy. Np. „Podwieczorku przy mikrofonie”. Nie występuje w tym skecz, ale bierze udział jako realna siła opiniotwórcza i sprawcza. Natomiast dwóch facetów (typu Kowalewski - Turek) upiera się, że to oni muszą odpowiadać za całość, decydować o występach, kwalifikować teksty i wykonawców, słowem bez nich nie ma prawa istnieć impreza. Mają na to pokrycie. Kiedyś przed laty brat Kowalewskiego, chłop wielki i silny, narzucił rządy Kowalewskiego i Turka, zmusił sterroryzowany zespół do podpisania regulaminu, który mówił o tym, że Kowalewski i Turek są najlepsi i że będą piastować urząd dożywotnio. Turek i Kowalewski z wdzięczności dodali jeszcze do regulaminu punkt, w którym

ustala się, że miłość i najwyższy szacunek dla brata Kowalewskiego jest podstawowym obowiązkiem każdego członka Zespołu i że w wypadku niesubordynacji Turek lub Krzysiek mają prawo wezwać brata Kowalewskiego, żeby nałożył po mordzie zespołowi.

Dwie rzeczy są bezspornie pewne. Raz - że Turek i Krzysiek są najlepsi i najmądrzejsi. Dwa - że nie ruszą się z zajmowanych stanowisk. Tymczasem impreza idzie sobie swoim niezależnym rytmem. Mityczny brat jakoś przestał być groźny. Uwikłany w inne awantury, stracił niejako serce do tej sprawy tym bardziej, że przeląkł się grupy, która nagle ujawniła swą siłę i nie daje się wykończyć pojedynczo.

Turek z Krzyśkiem nie mogą tego znieść. Zwołują ze sobą zebrania, upewniają się wzajemnie o swojej wyższości oraz ogłaszają komunikaty, z których wynika, że bez Krzyśka i Turka impreza nie może istnieć, a jeżeli wbrew oczywistości istnieje - jest nieważna. Życzliwi donoszą im, że są całkowicie skompromitowani, że są niepotrzebni, że zespół ich lekceważy, nie uznaje, pomija, nie bierze w ogóle pod uwagę, że powinni natychmiast odejść lub założyć własną dwuosobową imprezę, bo inaczej ich sami usuną. Krzysiek z Turkiem nie przyjmują tego do wiadomości. Pomijają milczeniem wszelkie niewygodne uwagi, natomiast szkalują zespół, ze szczególnym uwzględnieniem solistów upierając się przy swojej wyższości i konieczności przewodzenia grupie, dla dobra tej grupy. Innej możliwości nie ma i być nie może. Tym niemniej grupa delikatnie odsuwa ich od centralnego mikrofonu, spycha na bok, śpiewa, tańczy, recytuje (np. piosenka finałowa), a na cichym, ciemnym marginesie Turek z Krzyśkiem - niesłyszalni i nieważni - protestują sobie, gestykulują, całują się, grożą i ośmieszają ostatecznie.

P L O M B A

Dobry wieczór państwu.

Co? Źle wyglądam, pewnie? No tak. Głodny jestem. Poważnie. Bardzo głodny. I zły, siłą rzeczy, bo Polak jak głodny, to zły. A ja w zasadzie jestem Polakiem, ale to mała pocięcha w tym wypadku.

Już 9 dni bez jedzenia. To dużo jednak. A jeszcze, nie licząc dzisiaj, 4 dni mi zostały.

To z głupiej oszczędności wszystko. Złasiłem się na łatwe pieniądze i teraz głodny chodzę. Ząb mi się zepsuł, dziura mi się zrobiła,

O tutaj i zamiast normalnie, prywatnie zaplombować, to zachciało mi się państwowej służby zdrowia.

Chodzi o to, że stryja mam zagranicą, wyjechał kiedyś, potem nie miał pieniędzy na powrót i tak został biedak, więc chciałem zaoszczędzić trochę na darmowej plombie, żeby mu posłać parę złotych, bo tam bieda podobno aż piszczy. Tak jest, piszczy, piszczy. Wystarczy radio odpowiednio na nich nastawić - piszczy jak cholera. Ale mają za swoje, trudno. Nie ma ich co żałować. Jak nie chcieli słuchać naszych specjalistów, to im piszczy. Głupi są. Nam też piszczało kiedyś, a teraz, proszę - już nic nie piszczy prawie. No, ale my mamy specjalistów, naukowców, ekonomistów. Ich słychać. A im piszczy.

Tylko stryja mi żal. Nie uprawiał sportu i teraz cierpi na bezrobocie. Dlaczego mówię o sporcie? Zaraz wytłumaczę. W RFN-ie siedzi. To znaczy nie siedzi, pracuje niby, ale taka tam i praca. Chciałaby dusza do raju, ale stryj już za stary na sport. Mógł się na początku załapać, wtedy kiedy dzielili Niemców na dwie połowy, dużą i małą, co to sportowców dali do NRD, a odwetowców na tamtą stronę, do stryja, a teraz to już za późno. Za dużo ich tam siedzi i pracy nie wystarcza, po prostu więc stryjo biedę klepie. Bardzo tam marnie u nich, bardzo. Biedę klepią, niestety.

Ale to ciekawostka przyrodnicza jednak. Nic nie mają porządnego, nic. Tylko tę biedę jedną. Ale trzeba przyznać, że biedę mają rzeczywiście pierwszorzędną. Tyle lat ją klepią, a ona jak nowa.

Mówię - głupi są. Posłuchaliby w radio naszych fachowców, którzy nie dość, że nam kraj ratują, to jeszcze o nich się troszczą i sypią dobrymi radami, ale gdzie tam. Groch o mur.

Nawet prosił mnie stryj w liście - napisz, kochany, jak tu u nas jest naprawdę, co donoszą wasze broniarki, jak postępować, bo my tu dosłownie nic nie wiemy, a od tego klepania biedy to już ręce bolą.

Faktycznie, wesoło nie mają. Zrobimy może w przerwie jakąś ściepę do kapelusza, to by się im wysiało trochę szmalu, co nam szkodzi. Niech wiedzą, na kogo się porywali. Jakiś koc, czy ręcznik choćby, też będzie mile widziany.

A ja głodny chodzę. 9 dni już nic w gębie nie miałem. Nie, nie, niech państwo nie sądzą aby, że to jakieś ironizowanie na temat zaopatrzenia. Nie, nie, absolutnie, odwrotnie właśnie. Kartki mam, towaru podobno i salmonelli też przybywa ciągle, szuflada z gotówką już mi się nie zamyka prawie - nie, zupełnie inne przyczyny.

W zasadzie to przez te firmy polonijne wszystko. Tak jest.

Bo nasze państwo jest naiwne strasznie. Poważnie. Było tak: Gdy pojawił się u nas ten tzw. kryzys, to one siłą rzeczy stworzyły jednocześnie nawis i lukę. To powszechnie znane sprawy. Kiedyś dużo trąbiło się na ten temat. Ale tak: początkowo nawis był malutki i dało mu się radę samemu., lecz wroga propaganda go strasznie rozdmuchała, niestety. A dodatkowo jeszcze sama luka okazała się w efekcie bolesna bardzo, bo ją zachodnie środki przekazu roztrąbiły właśnie. No i sami państwo rozumiecie, roztrąbiona luka i nadmuchany nawis to nie w kij dmuchał.

I uwaga: wtedy zgłosili się do nas zagraniczni faceci, co to dziadów mieli Polaków, miłość do Ojczyzny niby, że oni nam ten nawis obetną, a lukę wypełnią. Zdaje się, że tym obciętym nawisem, ale nie znam szczegółów.

No i nasze państwo powiedziało wtedy od razu - zgoda - bo rozumiało, że oni z miłości do dawnej ojczyzny pomoc chcą uczynić. Myślało, że jak ono kocha ojczyznę, to wszyscy też tacy serdeczni i od razu pozwoliło im produkować, a samo się od produkcji wstrzymało jakby. I tu się nacięło, bo tamte cwaniaki tylko na to czekały, a że nie znali naszej specyfiki, to zaczęły produkować po swojemu. Dobrze i solidnie.

I tu dopiero wyszło niesamowite szydło z worka. Okazało się, że te firmy, zamiast altruistycznie ładować swoje pieniądze w biedną ojczyznę dziadów, sami chcieli na tym zarobić, po prostu. A produkowali solidnie też z czystej przebiegłości tylko, żeby ludzie kupowali i pieniądze płacili. Taka perfidia. Konia Trojańskiego chcieli nam podrzucić i swoje obce obyczaje wprowadzić. Obce, obce, niestety, bo bardzo już daleko odeszli od społecznego myślenia i na własne kopyto chcieli pić naszą krew.

I dopiero się państwo obudziło i powiedziało - Chwileczkę, co tu za obce obyczaje, chwileczkę, nic, co obce, nie jest nam ludzkie - powiedziało i zaczęło likwidować hałastrę. I dobrze. Bardzo dobrze. Wygonić do ostatniego. Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz. Sami sobie naplujemy. W brodę.

Jedyny z tego zysk, że chociaż maszyny nam zostawiają. Nie opłaca im się wywozić, pęta kom i oddają za psi grosz. I bardzo dobrze. Za parę lat, gdy zardzewieją, zyskamy przez to wiele ton cennego złomu wysokogatunkowej stali. Będzie można wyprodukować z tego wiele kilometrów szyn dla przemysłu, co pomnoży majątek narodowy ludu pracującego miast i wsi. Tak to jest.

Teraz póki co, proszę państwa, są rzeczywiście przejściowe trudności, niestety. Są. To znaczy nie ma. To znaczy są, ale nie ma. Nie, bo towar jest w zasadzie, tyle że zepsute społeczeństwo wybrzydza, że niedobre, że nie chce kupować i takie tam różne... I trzeba je będzie od nowa przyzwyczajać.

Bardzo zepsute społeczeństwo, bardzo. Chciałem na przykład samochód wylakierować, to mi majster powiedział: Ja panu mogę dać państwowy lakier, owszem - mówi - ale musiałby pan wóz w garażu trzymać, bo od deszczu farba spływa, no i owady się przyklejają. Suchą zimą to owszem, bo mróz utwardza, owadów nie ma, ale tak to nie radzę. Albo inny przykład. Daleki kuzyn, staruszek odszedł mi do wieczności, a że po nim dziedziczyłem, to chciałem mu uczciwie oddać ostatnią przysługę, za jego pieniądze. Poszedłem trumnę zamówić, to mi prezes od trumien odradził. Niech pan się wstrzyma parę miesięcy, powiada, na razie mam tylko krajowe, więc nie radzę. Zgnije panu po paru miesiącach i tylko będzie miał kuzyn pretensje później. I tak ze wszystkim. Co to dalej szukać? Choćby z tą moją plombą, co mówiłem. Zaplombowałem, jak się patrzy, państwowo, a że po znajomości to mi jeszcze nowych nawet dziur nawiercił i plomby powstawał, zadowolony wychodzę, a on mi przy drzwiach mówi: Tylko proszę nie jeść przez dwa tygodnie, bo to krajowy materiał i długo się wiąże. Jak to? - pytam. Normalnie - mówi. Niestety. Polonijnego cementu już nie produkują, a krajowy wiąże się dwa tygodnie.

Dwa tygodnie, ludzie, dajcie spokój. Ale do czego zmierzam. Bo to się wiąże z moją wizytą tutaj u państwa właśnie.

Było tak. Pierwszy tydzień w domu siedziałem, przy telewizji zresztą, bo szedł akurat bardzo ciekawy program w odcinkach, a właściwie w wycinkach. Teleturniej miast. Rywalizowali w wycinaniu drzew miejskich, ale nie wiem, jak się skończyło, bo ja mam krajowy telewizor, kolorowy, zielono-czerwony i mi oczy nie wytrzymały. Szkoda, bo potem miały być półfinały międzywojewódzkie. Niby to samo, ale na większą skalę. Wycinanie lasów (kto szybciej) i zatrucie rzek (kto więcej śniętych ryb). A propos... W przyszłą niedzielę finały. Radzę obejrzeć. Międzypaństwowa rywalizacja w dziedzinie ogólnego marnotrawstwa i totalnego zadłużenia. Ciekawe, kto wygra? Będę trzymał kciuki za nami oczywiście. Zobaczmy.

No. Więc, jak mówię, pierwszy tydzień jakoś zleciał, a gdy mi później trochę oczy odeszły, to z nudów zacząłem znowu książkę

czytać, bo posiadam jedną książkę w domu, legalnie, po dziadkach jeszcze ocalała. Głupia zresztą. O przyrządzaniu potraw, ale trzymam ją jako lokatę kapitału, a nawet prawdopodobnie, mimo trudności na rynku księgarskim, jeszcze drugą, inną sobie książkę kupię. Wezmę jakąś o wytyczaniu dróg rozwoju ludzkości, bo te na pewno będą, a ponieważ i tak nie mam co robić, to niech się trochę też wytyczę i rozwinę. Acha, przy okazji, a propos książki. Więc inne książki też mają być prawdopodobnie, bo jeden pryncypialny pan mówił w telewizji, że będą, a on jest właśnie z tego gatunku, co jak mówi, to mówi. A to budzi zaufanie. Powiedział, że będą, bo już wkrótce wydadzą bezpardonową walkę spekulacji książkami. Może...

255

Ja nie jestem fachowcem oczywiście, nie wiem, każdy sposób jest dobry na pewno, ale zastanawiam się, czy może by tak, eksperymentalnie, oczywiście, zamiast wydać walkę, wydawać same książki? Może by to coś dało? ... Palnąłem teraz coś głupio, zdaje się, przepraszam... Bo skąd brać papier niby? Jasne. Nie ma lasów - nie ma papieru, oczywiście, a te resztki to muszą iść na gazety, niestety. Gazety muszą być. Tak jest. Nikt nie ma prawa pozbawiać obywatela dostępu do prawdziwych informacji. Albo jest demokracja, albo nie ma? Proszę nie odpowiadać, bo to jest pytanie retoryczne.

A zresztą, co mi tam. Będą książki, nie będzie książek. Wracam do tematu. Głodny jestem, ot co, i głód książki przy moim to jest małe miki po prostu.

No więc, proszę państwa, już nie wiedziałem, co robić zupełnie. Telewizja - nie, książka - nie. Gazetę, pomyślałem, chociaż kupię, to kubeł wyłożę i posprzątam nieco, ale też nie. Kiosk nieczynny, oczywiście. Już piąty agent plajtuje, bo to jest wszystko tak jakoś sprytnie pomyślane, żeby się nic nikomu nie opłacało. No nic... I z tego wszystkiego w końcu teraz tu przylałem do państwa, właśnie, dla zabicia czasu po prostu.

Przepraszam, że ja tu tak narzekam i narzekam tylko, ale to ze złości, przez tę plombę właśnie, bo w zasadzie to jestem w ogóle dobrej myśli bardzo. Choćby przez porównanie z sytuacją stryja na przykład. Zgoda, oczywiście, u nas też jeszcze nie wszystko jest do końca tak, jak zostało kiedyś zaplanowane, ale chwileczkę, trochę cierpliwości tylko i konsekwencji... Nie od razu Kraków zrujnowano.

Stryj rzeczywiście nie ma wielkich perspektyw, ale my? Proszę państwa, przecież wyższość naszej gospodarki polega właśnie między

innymi na tym, że potrafimy skutecznie rozwiązywać problemy, jakie w innych krajach w ogóle nie występują. Tak to jest.

No nic, przepraszam. Ja zdaję sobie sprawę, że państwo mogą mieć pretensje do mnie, że tematu nie trzymam, tylko tak plotę od sasa do łasa i że to się u nas trzyma w końcu? Dlaczego ja mam być lepszy, akurat? To jest tylko krajowy monolog w końcu.

Zresztą nie o to chodzi.

Przyszedłem tutaj nie po to przecież, żeby jakieś zabawne monologi wygłaszać, tylko żeby czas zabić, bo już nie mogłem z tego niejedzenia w domu wytrzymać i teraz tak sobie tylko plotę głodne kawałki. Przepraszam.

No i w ogóle przepraszam bardzo, że zabrałem państwu tyle czasu, ale proszę zrozumieć, że ja tu tylko z głodu wystąpiłem.

Do widzenia.

JAK TO JEST NAPRAWDĘ?

Drodzy czytelnicy!

W zalewie tendencyjnych i preparowanych dla wygody ekip rządowych wiadomości, trudno wyłuskać rzeczywiste fakty i obiektywne prawdy. To fakt. (I prawda).

Dlatego nasza redakcja postanowiła zdecydowanie przeciwstawić się wszelkiemu rodzajowi stronniczości i wprowadzić stałą rubrykę pod tytułem „Jak to jest naprawdę?”, w której ograniczymy się wyłącznie do podawania suchych faktów, komentarz pozostawiając Czytelnikowi.

A więc zaczynamy.

Dzisiaj pierwsza porcja wiadomości. Uwaga!

„JAK TO JEST NAPRAWDĘ?”

Proszę państwa!

Ze smutkiem komunikujemy, że nie jesteśmy w stanie sprostać naszym założeniom. Po pierwsze - wiadomości napływające do redakcji są tak i tak już, i tak preparowane; po drugie - mimo autentycznych starań, nie jesteśmy w stanie powstrzymać się jednak

od niewłaściwej interpretacji. Trudno. Związane jest to z jednej strony ze specyfiką naszego zawodu dziennikarskiego, z drugiej z naszymi etatami i środkami do życia.

Przepraszamy.

BIEDNY MISIO

Ten monolog Jerzy Dobrowolski przedstawiał na estradach z dwoma kabaretami: „Elitą” w 1986 roku oraz „Pod Egidą” - w latach 1986-87. Zachowane egzemplarze opatrzył następującymi komentarzami: wersja pierwotna - odrzucona przez cenzurę we Wrocławiu i Krakowie.

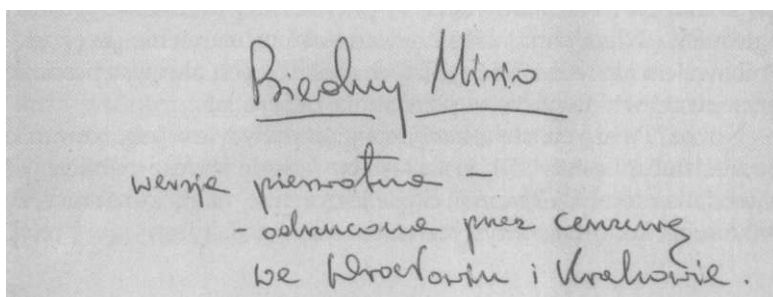
Adnotacja druga: wersja właściwa (poprawiona), 1 i 3 egzemplarze dla Pietrzaka do cenzury, dałem panu Kordzie 23 X 86. 4-ty jest z powrotem, z poprawkami. 7 października 86 - cenzura warszawska przepuściła tekst, dokonując licznych poprawek. Tekst ostateczny (po poprawkach) w oddzielnym dziale.

I ostatni dopisek z 10 października 1986: wersja ostateczna (po uwzględnieniu zastrzeżeń cenzury) zwolniona przez cenzurę warszawską do publikacji. Trzeba ją trochę rozbudować dla płynnego mówienia, (bez zmian merytorycznych) 3-ci egzemplarz wzięłem do nauki.

Ta walka na wycinanie słów, zdań a czasami i wykrzykników nie dotyczyła właściwie tylko jednego - interpretacji, której arcymistrzostwo pokazał zespół „Owcy”.

Kombinowanie, łączenie, przerabianie należało w latach 80-tych do żelaznego repertuaru kabareciarzy. W przypadku Dobrowolskiego, na kanwie omawianego tekstu powstał jeszcze jeden pt. „Monolog eklektyczny” opatrzone następującym dopiskiem autora: Złożony z dwóch ocenzurowanych i skróconych monologów „Plomba” i „Biedny misio”.

A najpełniejsza, uzupełniona odręcznymi wstawkami Jerzego Dobrowolskiego, wersja „Misia” wygląda tak...



Dobry wieczór państwu!

Proszę państwa, miło mi zakomunikować państwu, że jesteście państwo pierw... zaraz... (wyjmuje notes)... przepraszam... Już, już służę państwu, tylko muszę coś koniecznie zanotować... sekundę... (notuje)... Już. Przepraszam, ale to bardzo ważne, (chowa notes)

No więc miło mi zakomunikować państwu, że jesteście państwo pierwszą widownią, która będzie miała (z konieczności) okazję zetknąć się z moim całkowicie nowym, artystycznym programem.

Więc ja oczywiście znam ten program i nie będę ukrywał, że w związku z tym mogę państwu serdecznie zazdrościć i szczerze pogratulować, ponieważ jest to rzeczywiście okazja zupełnie wyjątkowa. Ale... nim to jednak nastąpi, pozwólcie mi państwo na kilka słów od siebie, aby później uniknąć ewentualnych nieporozumień między nami.

Otóż ja, proszę państwa, występowałem już oczywiście wiele, wiele razy, w różnych okolicznościach, w różnych warunkach, przed bardzo różną publicznością, ale muszę tu uczciwie wyznać, że nie zawsze występowałem z takim rezultatem, na jaki liczyłem i na jaki oczywiście w pełni zasługiwałem.

Można by nawet zaryzykować stwierdzenie, że reakcja widowni była często dziwna jakoś. No, dziwna... dziwna to może za dużo powiedziane, marna po prostu. Bardzo marna. Więc to dla mnie było za każdym razem ogromnie zaskakujące, jako zjawisko socjologiczne wręcz, ponieważ, musicie państwo wiedzieć, ja od początku miałem zawsze wyjątkowo ciekawą i oryginalną koncepcję artystyczną. No, oryginalną to znowu za mało powiedziane, wybitną miałem, a właściwie jedynie słuszną koncepcję artystyczną miałem zawsze. I co istotne, do każdego występu byłem zawsze szczególnie dobrze przygotowany, więc zdawałoby się pełny sukces zapewniony, a gdy przychodziło do samego występu to nie za bardzo. To znaczy obiektywnie byłem bardzo dobry, bardzo, tyle tylko, że publiczność gwizdała. No? Niesamowite. I to przy każdej premierze głośniej i głośniej... Nie wiem. Jakies tragiczne nieporozumienie po prostu. Próbowalem nawet usuwać z Sali tych gwizdzących, ale występowanie przy pustej widowni nie w pełni mnie zadowalało.

No cóż? Proszę państwa, trzeba spojrzeć prawdzie w oczy i otwarcie powiedzieć. Niestety! Tak jest niestety - ciągle jeszcze publiczność zawodziła moje oczekiwania, ciągle jeszcze nie mogła zrozumieć, że tylko moja koncepcja artystyczna jest słuszną. Tak jest.

I dlatego, proszę państwa dzisiaj, nauczony tym smutnym doświadczeniem, chciałbym się z państwem z góry umówić i wspólnie ustalić, że ja jestem najlepszy. Po prostu. Jestem najlepszy. To niesłychanie ułatwi nam porozumienie. Mówmy, jak jest. Ja ze słusznych pozycji występuję, w trosce występuję, o dobro państwa (*icenzor wpisał - wasze*) i kabaretu ojczystego (*cenzor wpisał - naszego*) występuję wręcz.

I jeszcze jedno: nie chciałbym karać publiczności i daleki jestem od stosowania jakichkolwiek sankcji, o ile nie będzie to absolutnie konieczne. Nie można nieświadomości brać od razu za występki. To przychodzi z czasem. Zgoda. Ale nie można również pozbawiać widza możliwości obcowania z jedynie prawdziwą, czystą sztuką tylko dlatego, że margines gwizdże.

Więc jeżeli już los zarzuci mi na barki wór odpowiedzialności za was, moi kochani widzowie, to będę go dźwigał zawsze z pokorą do końca (*cenzor wpisał - zawsze*) i obiecuję, że nigdy nie powierzę go nikomu innemu. To jest sprawa mojego i waszego honoru.

A nie jest mi łatwo, wierzcie mi. Przy okazji każdej kolejnej premiery, za każdym razem z taką nadzieją i wiarą podejmuję się historycznej (*cenzor wpisał - doniosłej*) misji wyprowadzenia kabaretu z kryzysu (*cenzor wpisał - regresu*) artystycznego, nieodmiennie towarzyszy mi zawsze głębokie przekonanie o słuszności mojej koncepcji, za każdym razem wydaje mi się że porwę widownię, rozszaleję, że rzuć ją do stóp, że nareszcie zasłużony sukces, że będę po prostu królem zwierząt, mądry lew, rączy jeleń, bogaty niedźwiedź... niestety. Ciągłe biedny misio tylko. Biedny Misio.

Nie chcę się skarżyć, ale ile ja starań porobiłem? Ile dobrej woli okazałem? Nic - perły o ścianę. Inni artyści - owszem. Miś nie. Ciekawe. Daleko to my (*cenzor usunął to słowo*) w ten sposób nie zajedziemy (*cenzor wpisał - zajędzie*).

Oczywiście to wszystko nie znaczy, że mnie tak naprawdę nie przyjmują, że się nie podobam w ogóle. Nie. Podobam się. Widownia tęskni za czymś takim. Bieda tylko w tym, że ciągle na rynku za dużo jest innych, obcych (*cenzor wpisał - cudzych*) programów i ja się nie podobam wyłącznie przez porównanie.

Dlatego należy zrobić wszystko, aby tamte beztalencia - do widzenia, a Misie - witaj jutrzeńko. Tak jest. Należy uznać Misia jako jedynie słusznego (*cenzor wpisał - najlepszego*), a nawet, nie

Donióska

Me
regres
garuda

h **historycznej** misji wyprowadzenia kabaretu z **kryzysu** artystycznego, nieodmiennie towarzyszy mi zawsze głębokie przekonanie o słuszności mojej koncepcji, za każdym razem wydaje mi się, że porwę widownię, rozszaleję, że rzucę ją do stóp, że nareszcie zasłużony sukces, że będę po prostu król zwierząt, mądry lew, rączy jelen, bogaty niedźwiedź... niestety, ciągle biedny misio tylko.
Biedny misio.

Nie chcę się skarżyć, ale ile ja starań porobiłem?! Ile dobrej woli okazałem? Nic - perły o ścianę. Inni artyści, owszem, *zajęliśmy* Misie nie. Ciekawe. Daleko to *my* w ten sposób nie **zajęliśmy** *zajęliśmy*. Oczywiście to wszystko nie znaczy, że mnie tak naprawdę nie przyjmują, że się nie podobam w ogóle. Nie. Podobam się. Widownia tęskni za czymś takim. Bieda tylko w tym, że ciągle na rynku za dużo jest innych, *cudzych* **obcych** programów i ja się nie podobam wyłącznie przez porównanie..

niep Dlatego należy zrobić wszystko, aby tamte beztalencia - do widzenia, a Misio - witaj jutrzeńko. Tak jest. Należy uznać Misia jako **jedynie słusznego**, a nawet, nie bójmy się tego słowa, świetlanego. Świetlany Mis - to jest dobre. To najlepsze jest nawet.

Bo co jest ważne w takim Misiu? Misie nie poprzestaje na bieżącym. O to chodzi. Beztalencia tak. Beztalencia - tradycje śmieje, kontynuacje... Misie nie. Misie do przodu. Misie sam tworzy tradycje. Powiem krótko: uprawiając dalekowzroczną *myś* **politykę** artystyczną, Misie zawsze wybiega myślą w przód, dbając konsekwentnie, aby w przyszłości wnukowie obecnej widowni otrzymali pełnowartościowy materiał kabaretowy, oparty na nowych, **postępowych** zasadach. *w* Chodziło i chodzi Misiovi zawsze o to, aby zapewnić każdemu

bójmy się tego słowa, świetlanego. Świetlany Miś - to jest dobre. To najlepsze jest.

Bo co jest ważne w takim Misiu? Miś nie poprzestaje na bieżącym. O to chodzi. Beztalencia tak. Beztalencia - tradycja, śmieje, kontynuacje... Miś nie. Miś do przodu. Miś sam tworzy tradycję. Powiem krótko: uprawiając dalekowzroczną politykę (cenzor wpisał - myśl) artystyczną. Miś zawsze wybiega myślą w przód, dbając konsekwentnie, aby w przyszłości wnukowie obecnej widowni otrzymali pełnowartościowy materiał kabaretowy, oparty na nowych, postępowych (cenzor wpisał - *wyważonych*) zasadach. Chodziło i chodzi Misiowi zawsze o to, aby zapewnić każdemu wnukowi program artystyczny według wnuka potrzeb (cenzor wpisał - na miarę aspiracji).

I przeprowadzi się to (cenzor wpisał - I przeprowadzę to). To jest zasadniczo dość proste. Należy tylko dostatecznie długo upierać się przy swoim. Nie będę ukrywał, że moją ambicją jest zostanie klasykiem tego gatunku.

Jedno jest pewne, proszę państwa. Cofnąć się już nie podobna. To byłaby zbrodnia. Nie wolno nam (skreślenie cenzora) zmarnować już włożonego potencjału. Nie wolno zaprzepaścić dotychczasowego dorobku Misia.

I jeszcze to chcę dodać, że ci którzy dobrze nie mówią o Misiu - mówią źle. Zasługują na wyjątkowe potępienie. Daję wam na to uczciwe słowo honoru, (cenzor wpisał - nie mówią dobrze - mówią źle)

A ile ja inwestycji porobiłem? Nie chcę tu mówić o własnych zasługach, ale przemilczeć paru faktów niepodobna. Na przykład - garnitur kupiłem. Tak jest - garnitur. Wspaniały. I trzewiki, prima, nowe, zagraniczne. Nie żałowałem pożyczonych pieniędzy. Tak, pożyczonych. Zapożyczyłem się, ale kupiłem. Od znajomego pożyczylem. Dość daleki znajomy, ale świetnie mi się udało, bo jeden przyglup za mnie poręczył i ten znajomy pożyczylem.

Nie, to nie jest oczywiście ten garnitur. Tamten to był rzeczywiście garnitur, ale cóż, kawał czasu, a mole nie próżnowały, niestety. Zżarły świnię. A trzewiki, chociaż niby takie zagraniczne, też się zniszczyły. Teraz mi mówią, że trzeba było garnitur naftaliną przysypać, a buty pastą czyścić. Uhm, tak, na pewno. Teraz każdy mądry. Skąd brać na to wszystko. I czas i środki. Umówmy się. Albo pryncypialny garnitur i wizjonerski program (cenzor wpisał - fasadowość), albo naftalinowe duperełki.

Nie ma o czym mówić. Tyle, że głupia sytuacja się porobiła, bo obecnie znajomy żąda zwrotu pożyczki. Uhm, na pewno. Idiota. Ciekawe, skąd mu wezmę? Przecież gdybym miał z czego oddać, to nie musiałbym w ogóle od niego pożyczać, nie?

Anachronizm. Czysty anachronizm. Było nie dawać, a nie teraz się ośmieszać. Owszem, proszę, jeżeli chce, żebym mu oddał, czego i tak nie zrobię, to najpierw niech mi stworzy warunki, żebym mógł mu oddać. Chyba jasne, że jeżeli mu teraz nie dam dalszych funduszków, to ponoszę dalsze straty i robi się błędne koło. Niech mi najpierw wyrówna straty, a nie próbuje wyłudzać swoich pieniędzy ode mnie.

Jeszcze pod pretekstem, że mu nie oddaję, odmawia dalszych pożyczek, bezczelny. Jeżeli tak będzie podskakiwał, to mu (*słowo usunięte*) w ogóle ten cały dług umorzę i po herbacie.

Ech, żyć się nie chce. Biedny Misio. Czasami to mam ochotę rzucić to wszystko. Poważnie. Nawet mi radzą czasami - zostaw to, bracie, zaniechaj. Dziejowa (*słowo usunięte*) misja, dziejową (*słowo usunięte*) misją, ale trzeba patrzeć realnie, mówią.

A co ja robię? Właśnie patrzę realnie. Jak ja to mogę rzucić wszystko, jeżeli niczego innego nie mam? W ogóle niczego nie umiem, to jak? U fotografa w Zakopanem za misia będę robić? ... Eeee, no nic. Przepraszam. Idę przygotować nową premierę. Do zobaczenia znowu, (schodzi), (wraca) Zapomniałem, przepraszam. Pewnie są państwo ciekawi, co ja tak skrzętnie zanotowałem na początku, prawda? No tak. Proszę bardzo. Służę, (wyjmuje notes, zagląda) Wspaniałe dwa słowa, tylko, a ile treści, (czyta głośno) „Jestem najlepszy”. Po prostu. I to nie jest gołosłowne, bo to jest, proszę państwa, napisane (*usunięta część zdania*).

Do widzenia.



Dobry wieczór państwu!

Proszę państwa, dawno dawno temu... nie, inaczej... Wczoraj... właściwie dzisiaj... nie wiem, jak zacząć... przepraszam. Marna sytuacja się wytworzyła.

Że też mnie głupiemu zachciało się tego na stare lata. Złasiłem się, durny, na pieniądze. (Syna mam w Ameryce, chciałem mu pomóc trochę, posłać parę złotych). I teraz, proszę, świeć oczami przed ludźmi. Przepraszam. Pewnie i pieniędzy za występ nie dadzą. Rzecz oparta jest

na nieporozumieniu w ogóle. Byłem pewny, że mi się uda. Niestety. Biologia po prostu. Nie przeskoczysz sam siebie. Talent mi się skończył i po herbacie. Tak to jest w życiu. Dawniej, pamiętam, napisałem coś, zaniósłem od razu drukowali; chwalili, a jakże, pożytek dla narodu wielki... płacili pieniądze, proszę - mówią - niech pan jeszcze przyniesie. Występowałem, pamiętam, w kabarecie np.! Panie - to samo - brawa, śmiechy, gratulacje. Były czasy. A dzisiaj? Pff!... Pierdziajew. Co zaniósę nowy tekst do Urzędu Kontroli Prasy i Widowisk, cenzury znaczy, niedobre - mówią - nie puszczają, nie drukować, nie publikować. Wrogie - mówią - wredne, szkodliwe, głupie. No? Tragedia osobista. Rozumiem. Nie chcą, żebym się wstydu najadł - nie puszczają, a mnie smutno, że na takie nieartystyczne manowce się wpakowałem. I rozeznania mi brak. Pogubiłem się jakoś. Stępiło mi się ostrze satyry i smagam tylko biczem bezmyślnie, nie tam, gdzie trzeba.

Wydaje mi się np. że coś tu, tam, gdzieś nie tak jakoś, źle znaczy - myślę. Nieprawda. Stare kryteria przykładam. Z jakichś powodów to jest właśnie dobre bardzo - tyle, że nie umiem spojrzeć na to szerzej dla dobra ludzkości i pokoleń, a tylko swoje prywatne interesiki załatwiam i to z wrogich pozycji w dodatku. Dla mojego i kolegów dobra. Strasznie na starość egocentrycznie jestem nastawiony. Jednostkowo.

Acha, i jeszcze jedno.

Przyjął się u nas zwyczaj, że o tym, co było dawno, nie wypada już dzisiaj mówić. Jak długo można klepać ten sam temat w końcu? Owszem. Było kiedyś źle i na różnych odcinkach i w całości też, zgoda, ale to było dawno - mówią - ile można w kółko pleść o tym samym. No, faktycznie. To obsesja pewnie. Teraz też jest źle, ale już nie wypada o tym mówić, bo to było dawno, więc to wstyd tak powtarzać. Zresztą dzisiaj jest źle z innych pozycji zupełnie. Czyli właściwie jest dobrze nawet i to służy porozumieniu właśnie. Przyjęła się bowiem u nas zasada, że jeżeli już popełniać idiotyzmy, to niezmiennie konsekwentnie i bardzo długo, a wtedy po kilkudziesięciu latach nie będzie się kretynek, tylko klasykiem. I to jest optymistyczne bardzo.

Tak, że wybaczenie mi państwo, iż nie występuję ze wspaniałym monologiem, nie trysnę szampańskim humorem i nie będę chłostał biczem satyry, kogo trzeba, bo już nie bardzo wiem, kogo trzeba. I nie wiem już, co jest słuszne, co nie, a zbyt stary chyba jestem, żeby się uczyć od nowa.

Żeby jednak jakoś wykorzystać ten czas (ew. żeby państwo tak zupełnie nie byli zawiedzeni), spróbujmy może ten mój występ przekształcić w spotkanie autorskie. Osobiste. Nie wiem, ile w tym jest prawdy, ale podobno publiczność lubi, z braku innych rozrywek, poznać parę szczegółów z życia tzw. artysty. Np. w wywiadach na ogół pada zwyczajowo pytanie o plany na przyszłość. Zatrzymajmy się tym. Cóż? Tutaj też niewiele mam do powiedzenia, ale spróbujmy. Więc tak: można mówić o różnych planach- Życiowych, zawodowych... Życiowe. No cóż, osiągnąłem już pewien pułap. Lata pracy doprowadziły do tego, że mieszkam w bloku, z rodziną we własnym prawie mieszkaniu, a jakże, i w zasadzie powinienem być szczęśliwy! I jestem w zasadzie. Ale duch przekory, duch głęboko ludzkiej penetracji i niezbadanych obszarów, gna mnie dalej, ciągle obsesyjnie dalej ku dalszym celom, ku jeszcze większemu dobrobytowi. To jest człowiek właśnie. I ja muszę tego dokonać. Mam obsesję. Plan jest taki:

P L A N

Wiem - będzie mnie to kosztowało następnych 30 lat pracy, wyrzeczeń i oszczędności, ale zrobię to.

Będzie tak:

Mały domek. Mały ogródek.

W ogródku:

Studnia zwykła, studnia artezyjska, pompa elektryczna, pompa ręczna, balia na deszczówkę, składzik z węglem.

W domku:

Elektryczność, gaz, woda zimna z sieci miejskiej, woda ciepła z elektrociepłowni, gaz z butli, dużo mebli.

Ponadto w łazience:

Bojler elektryczny, bojler gazowy, bojler zwykły na węgiel i drewno.

I teraz tak:

Jeżeli elektrociepłownia nie da ciepłej wody, a raczej nie da, to podgrzeję sobie zimną elektrycznie.

Z braku elektryczności - mam gaz miejski.

Jeżeli dynamiczne tempo rozwoju spowoduje przejściowy brak gazu - podeprę się, o ile dostanę, gazem z butli.

Jerzy Debrowelski
Gwiaździsta 27m91
01-014 Warszawa
tel. 33-12-83

Warszawa 4 marca 1985 r.

Dotyczy: serii wydawniczej
"Kabarety Polskie"

PRZESŁANKA

p. Jan Kalowski

Związek Polskich Autorów
i Kompozytorów 7-03
00-050 Warszawa, ul. Hipolecena 2
tel. 27-60-61 m. 44, 72

1985-03-04

Szanowny Panie Przesie.

Dopałł mnie jakiś facet trójga imion, Jerzy-Andrzej-Marek /naswiaka nie pisał/ i zarządzał ode mnie napisania książki, utrzymując przy tym, że jest przedstawicielem EG naszego Gwiździka, w którego imieniu działa. Gdy zaskecseny hrenikiem się i odmawiałem, zaczął powoływać się na jakieś wyższe racje, a wykorzystując mój minimalny stan czło-kowski wymusił na mnie podpisać pod jakimś zobowiązaniem.

Nie zaprzętałbym Pana tym głowy, gdyby nie fakt, że zobowiązanie to umieszczono było na oryginalnym, sakrowskim druku, który niewiade jaką drogą dostał się w ręce tego rzekomego przedstawiciela, o czym głojalnie Pana zawiadania. Sądzę, że EG wywiągnie z tego faktu odpowiednie konsekwencje. I tyle w tej sprawie.

Tymionnie; incydent ten natchnął mnie, Panie Przesie, pewną myślą. Nosiłoby rzeeczywiście, dla dobra pakeleń i narodowej kultury, warte byłoby napisać perkę literacką traktującą o historii kabaretu polskiego. Ot na przykład 15 tomów, pióra, powiedzmy, 15 autorów.

Ja mógłbym może napisać coś z dziedziny felwarka wierzęcego, choćby tomik pt "Kół i Gwiazd". Tytuł trochę s La Fontaine'a, ale byłoby to dłuższe i proszę.

Zobowiązałbym się również zapewnić całą mądrą, lecs rozumiem, że konieczną część dzieła w postaci ówczesnych recenzji, przebrzmia-łych tekstów i mat, różnych nieistotnych faktów i dat, oraz smut-nych fotografii, które w najmniejszym stopniu nie oddadzą atmosfery tamtych wieszców.

Z braku gazu - mam węgiel.
Gdy mi zamkną wodę - mam studnie.
A gdy odmówią węgla, osuszą studnie i już wszystko zawiedzie,
to napalę pod deszczówką meblami, a i tak się wykapię.

Z A G A D K A

Wymyśliłem kiedyś zagadkę. Niestety nie wymyśliłem odpowiedzi.
Może ktoś z Czytelników?...

Oto zagadka:

Wyższość ustroju socjalistycznego jest już dzisiaj bezsporna.
I jakkolwiek długo jeszcze kapitalizm będzie bronił swoich bastionów
i atakował nasze pozycje, socjalizm musi zwyciężyć jako nowoczesny
i jedynie słuszny ustrój, którego najwyższym celem jest dobro
człowieka. I czy będzie podobało się komuś, czy nie, i czy proces
przemian potrwa 10 czy 100 lat, nadejdzie ten historyczny moment,
gdy ustrój kapitalistyczny poniesie nieuniknioną klęskę, a na całej
kuli ziemskiej zapanuje bez reszty socjalizm.

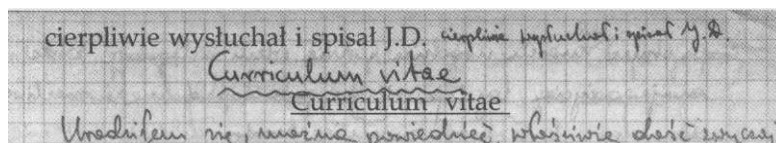
Pytanie: Gdzie wtedy będziemy kupowali zboże?

Ja wiem, że tego nikt nie wydrukuje, że zostanę wyrzucony
za drzwi, spalony towarzysko i zawodowo, skazany na banicję,
pozbawiony tego, czy owego, et cetera, et cetera

Ale panowie, ja o tym 30 lat myślałem, to może być tylko
dupa.

*Tekst, który za chwilę Państwo przeczytają, jest jedynym niedokończonym
wśród, przedstawionych w książce Jerzego Dobrowolskiego. Napisany pod
koniec 1978 lub na początku 1979 roku. Jak się wydaje, nigdy nie uzyskał
ostatecznego kształtu, ale w zapiskach autora pojawiały się przez lata takie
adnotacje, jak: „dołączyć do CV”, „dalszy fragment” itp.*

*Zdecydowałem się wyjątkowo na takie przedstawienie tego tekstu
czytelnikom, ponieważ - według mnie - „pachnie” rozlicznymi
przetrawnikowymi formami „beztlenowców” egzystujących poprzez lata
i od lat. Szkoda tylko, że nie możemy poznać właściwego „SMAKU”, który
mógłby temu tekstowi nadać jedynie ten, który...*



Urodziłem się, można powiedzieć, właściwie dość zwyczajnie. W tym okresie rodziło się zresztą wielu innych i nie mam o to pretensji. Wielu z nich poznałem z czasem osobiście i choć rzeczywiście była to generalnie biorąc przeciętność i miernota, piszę o tym otwarcie, bo chciałbym tutaj być zupełnie szczerzy.

257

Gdy po latach analizowałem moje przyjście na świat, uderzyło mnie właściwie tylko jedno. Inni rodzili się wtedy w innych rodzinach, u jakichś obcych ludzi, a ja od razu u siebie, w ściśle określonym miejscu i o konkretnej godzinie. Muszę przyznać, że wydaje mi się to, z perspektywy lat, dosyć oryginalne i znamienne. Sądzę, że już wtedy zaczynały wyraźnie zaznaczać się te pewne różnice, które później uwarunkowały moje całe życie. Faktem jest, że żaden z tamtych, chociaż obecnie rozumiem ich, a niektórych nawet na swój sposób doceniam, nie urodził się jednak w sposób tak konkretny jak ja. Zaryzykowałbym nawet tutaj twierdzenie, że oni urodzili się jakby ogólnie tylko, gdy tymczasem ja od razu w sposób wyraźnie i konkretnie określony, i świadomy. Moja matka i wuj wspominali nawet o pojawieniu się jakiejś komety czy o zaćmieniu słońca w dniu moich urodzin. Nie wiem. Sądząc z dalszego mojego życia, wydaje się to prawdopodobne i możliwe, ale chcąc być tutaj zupełnie obiektywny, nie mogę stwierdzić tego na sto procent, bo w tym okresie byłem jeszcze dość mały

Na marginesie pragnę dodać, że zawsze byłem dość mały. Złożyły się na to zasadniczo dwa fakty. Raz, że urodziłem się nieduży i dwa, że później niewiele urosłem. I jeżeli można by w ogóle mówić w moim życiu o rodzaju jakiegoś, nazwijmy to żartobliwie, kompleksu, to muszę przyznać, że na początku, w okresie młodzieńczym, fakt niskiego wzrostu niepokoił mnie trochę. Do czasu, naturalnie, gdy poznałem rzeczywiste proporcje i gdy zrozumiałem, że niżsi są wartościowsi. Myślę, że właśnie wtedy uprzytomniłem sobie z całą wyrazistością, że lepiej być wysokim wśród niskich niż nawet średnim wśród wysokich.

Po latach, gdy już obiektywnie dokonywałem obserwacji życia i ludzi, gdy poddawałem ich szczegółowej analizie, przekonałem

się powiedziałbym naukowo, o tym, co dawniej wyczuwałem tylko instynktownie, jak bardzo wredni i fałszywi są wysocy

A wracając do wczesnego dzieciństwa, należy od razu powiedzieć, że już w tym okresie zaczęła wyraźnie zarysowywać się moja osobowość.

Od początku ja, to byłem ja. Inni nie byli ja, nawet najbliżsi to byli oni, a ja zawsze ja. Ja chodziłem spać, ja wstawałem, ja jadłem, ja majsterkowałem przy zegarze wuja, a gdy puszczałem bączka to mówiłem: oho puścił bączka. A kto puścił bączka? Ja. O mnie oni mówili. Bo cokolwiek o mnie mówili, to o mnie mówili. Cokolwiek dla mnie robili, to dla mnie robili. I oni byli tylko od czasu do czasu, raz dłużej, raz krócej, a ja byłem stale.

Potem szkoła. I znowu: ja poszedłem do szkoły, ja wracałem ze szkoły, w mojej sprawie wuj był wzywany do polonistki, ja pogłębiałem trzykrotnie materiał w V klasie.

I to o mnie powiedział nauczyciel WĘ że mam za krótkie nogi i że nie przeskoczę tego kijka. I miał rację. Bo tamci skakali, a ja sobie stałem.

Stałem i myślałem o tym, po co oni tak skaczą i skaczą. I o tym, jaka mądra jest natura. Gdybym miał dłuższe nogi, też bym musiał tak skakać i skakać, a ja sobie stałem i stałem.

Dzisiaj, po latach, mam prawo sądzić, że wszystko, co zdobyłem, do czego doszedłem własną pracą, i władza, i autorytet, i znaczenie jakie posiadam, biorą się stąd, że zawsze stałem.

Cieszę się, że nie zmarnowałem swojego życia.

Dzisiaj łatwo mi o tym mówić, ale wtedy, na początku, bardzo powoli uprzytamniałem sobie samego siebie. Wiele faktów zastanawiało mnie tylko, nie umiałem jednak jeszcze dokonać właściwej oceny. Jestem szczery. Nie byłem jeszcze tym, kim jestem. To przyszło później. Wtedy czułem tylko, że jestem jakiś inny, lepszy. Np. stopy. Może to głupi przykład, ale to fakt.

Innym kolegom, powiem uczciwie, np. w wojsku zawsze brzydko pachniały nogi. Jeżeli można tak powiedzieć, śmierdziały po prostu. A mnie nie. Jak mi się noga spociła, powiedzmy, a wziąłem na palec, to przy wachaniu było nawet dość przyjemnie.

Chciałem zawsze rozróżnić, co dobre, co złe. I dlatego, jak mi powiedzieli zapisz się, to się zapisałem. To była słuszna decyzja. W ogóle, gdy patrzę wstecz, widzę, że właściwie nigdy nie podejmowałem niesłusznych decyzji. To też o czymś świadczy.

Jeżeli chodzi o kobiety w moim życiu, to w tym okresie nie zajmowały się mną absolutnie. Byłem na to zbyt uczciwy. Nie chciałem żadnej wiązać życia.

Studia. Nie studiowałem w tradycyjnym znaczeniu tego słowa, ale gdy mi mówiono: podejmij studia, zawsze podejmowałem.

Dzisiaj z dumą mogę stwierdzić, że mam obecnie zasadniczo dwa fakultety. Nawet właściwie trzy. Ale nie chcę się tym chwalić. Było minęło.

Natomiast alkohol nigdy nie odgrywał w moim życiu żadnej roli. Jeżeli piłem, to albo sam, albo tylko w swoim gronie. A był to okres, kiedy miałem już swoje grono, więc mogłem, a często nawet musiałem wypić. Uważam, że to jest socjalne.

Inni musieli całymi latami (ja tylko tygodniami) studiować, często oblewali przy tym egzaminy (ja nigdy nie oblałem, profesorowie byli ze mnie zawsze zadowoleni, a nawet radzili się mnie czasami i zasiękali opinii).

Opanowałem w praktyce wiele trudnych słów, np. trend, wymawia się trynd, aglomeracja, a nawet ostatnio - bilateralny.

No i co? Studiowali, studiowali, a czy się liczą teraz? W ogóle nie. A zapytaj się ich o co - to ciągle wątpliwości. Może tak, może siak. Zaglądają do różnych, nieraz zagranicznych, albo starych jakichś książek, porównują, powołują się na innych - a sami podjąć decyzję.

A ja krótko: dobre albo: niedobre. Tak. Nie. Bo ja to wiem od razu z siebie.

To jest dobrze i przyjemnie być takim. To znaczy, jak się ma taką wartość w sobie, to ludzie się boją i muszą słuchać.

Z pierwszą żoną się rozszedłem właśnie dlatego, że myślała, że jestem gorszy niż jestem, bo sama była głupia i poszła na zwykłe studia. Dopiero ta druga mnie ciągle chwali, bo mnie rozumie i ja jej imponuję - mówi. A moje przemówienie - powiedziała - to było najlepsze. Patrzyła na zegarek w czasie akademii i ja najdłużej czytałem.

Postawiłem sobie ambitny cel, aby jeszcze w tym roku dojść w prasie do 400 zdjęć mojej osoby, docelowo 900. To nie jest dużo. Moi przełożeni przekraczają swobodnie w skali rocznej 5000 zdjęć w prasie codziennej, nie licząc innych publikacji, transparentów, portretów, plansz itp., które idą w setki tysięcy, ale trzeba znać

swoje miejsce. Ja je znam i jeżeli chodzi o pozostawienie po sobie trwałego śladu w historii, myślę raczej o jakimś obiekcie, który mógłbym wznieść siłami społecznymi, a który być może kiedyś nazwany zostanie moim imieniem. Mówię imieniem, bo tak się mówi, ale mi chodzi o moje nazwisko naturalnie.

Najlepiej jakaś fabryka czegoś, ze wsadem dolarowym, przestarzała i niczego nie produkuje, ale chodzi o pomnik, a nie o produkcję.

Potem był ten słynny okres przerzutów. (Przerzucali mnie na odcinki).

Uroda - mówili kiedyś, byłem zbyt szczupły. Ale teraz w miarowym garniturze, z męskim, zdecydowanym krokiem, sympatycznym podbródkiem i z tym tępym, inteligentnym spojrzeniem, mogę pokazać się i prezentować wszędzie bez żadnego skrępowania. Co jednak może działać właściwa dieta. Niekoniecznie upieram się, aby zostać od razu w biurze głównym szefem, ale jako członek jakiegось biura na pewno nie przyniosę wstydu.

A pałacyk kupiłem. Uważam, że mi się należał. Miałem odłożone trochę forsy i mogłem sobie pozwolić. Za pałacyk dałem około 17 tysięcy, a za basen 3, bo robiłem na zamówienie, więc wypadło trochę drogo, ale nie żałuję. Będzie dla dzieciaków zabawa, jak wróca ze Szwajcarii. A chłopakom po robocie postawiłem jeszcze po secie i dałem ekstra 50, bo się ucziwie narobili. Porucznik mówił, że za dużo, więc skopali jeszcze ogród.

Kiedyś miałem następujące zdarzenie. Zadzwoił do mnie facet tzw. „rządowym”, co już na początku było dziwne, bo nie mam takiego telefonu. Mało, że nie mam, ale ani chciałbym mieć, ani nie chcieliby mi dać. Świadczy to jednak o wielkiej sile przebicia mojego rozmówcy. Prosił o prywatne spotkanie incognito. Jak równy z równym.

Coś pierdolnąłem (w strachu), a oni aplauz. Z czasem przyzwyczailem się i zrozumiałem, że to nie żadne głupstwa tylko, czysta, odkrywcza prawda. Prostotę brałem za głębie prawdę brałem za płytczną. Dzisiaj mogę mówić swobodnie na każdy temat. Jeżeli miałbym zaczynać od nowa, nic nie chciałbym zmienić.

Kto jeśli nie my, jeśli nie ja - będziemy rzecznikiem postępu. Kto będzie prostował ludzkie ścieżki. Ciężko, ale trzeba. Taki mus.

Co ja mogłem na to, że byłem lepszy? Już wtedy czułem. Ponieważ byłem lepszy, musiałem decydować za innych. Pamiętam, jak dla dobra zespołu usunięto na mój wniosek tego wysokiego.

Trzeba tutaj mówić dobrze o sobie, ale obiektywnie można stwierdzić, że zawsze byłem lepszy. Mówię o obiektywizmie dlatego, ponieważ nikt nie znał mnie tak dobrze, jak ja sam siebie znałem, to rozumiałe i dlatego przez porównanie mogę teraz dokonać tej oceny w sposób najbardziej dogłębny.

Trudno w życiorysie podawać recepty. Ale z drugiej strony każdy moment jest dobry, aby podzielić się obserwacjami.

Czy ja mam prawo? Wydaje mi się, że mam prawo. Jeżeli wiem na pewno, to inni muszą się dostosować.

Cieszę się z jednego. Nie zmarnowałem swojego życia. O, można by tomy pisać. Ja wszystko pamiętam, jak jechaliśmy na wycieczkę, jak byłem ubrany, co oni wtedy o mnie powiedzieli. Wszystko. Ale ja wiem? Czy to moja zasługa? Jeżeli taki już się urodziłem? Później to już kwestia tylko pracy nad sobą. Rozwijanie tylko wrodzonych cech.



(1987 - do kabaretu „Dudek” dla Edwarda Dziewońskiego, tekst oznaczony cyfrą III. Tekst TV-ty, pt. „Idąc z duchem postępu ” zachował się w niedokończonych wersjach i nie wiadomo, jaki miał przybrać ostateczny kształt).

Drogi twórco! Prześmiewco i tzw., jak się sami lubicie nazywać wulgarnie, jajarzu! Nie musisz prymitywnie wymyślać rzeczy dawno i lepiej wymyślonych, szkoda twoich sił, na odkrywanie rzeczy dawno odkrytych i głębiej oraz nieporównanie mądrzej, przedstawionych.

Pomyśleć a napisać, czyli ująć w odpowiednie słowa, zmieścić się w czasie i formie, to zupełnie różne sprawy. Niech Cię nie myli podaż na twoje produkcje. No i zawodowo wykonanych.

Przecież gdybyś nagle postanowił produkować chałupniczo zegarki, np. ze skorupki od jajek albo buty - nikt by ich od Ciebie nie kupował. Dlaczego wydaje Ci się natomiast, że możesz wejść na scenę i pokazywać się za pieniądze?

Więc pomyślałem sobie - dlaczego nie zrobić czegoś, jeżeli jeszcze sił starcza?



Szkody nie zrobi na pewno, a może przyniesie nawet jakiś pożytek?

Uwierz mi, że aktorstwo, w tym wypadku szczególnie trudne, bo estradowe, jest fachem, naprawdę zawodem zdobywanym przez lata studiów i codziennej ciężkiej pracy.



Proszę państwa, dwa słowa jeszcze. Znałem kiedyś faceta, który 273
jak mówił, że nie da, to nie dawał, a jak mówił, że da, to mówił. To są częste wypadki. Ale ja nie. Jak mówiłem na początku, że spotka państwa rozczarowanie, to spotkało. Formalnie rzeczywiście mieli państwo prawo liczyć na jakiś ciekawy występ, no, ale niestety. Trudno. Ja uprzedzałem, więc w zasadzie jestem w porządku, jednak z przyzwoitości - dwa słowa wyjaśnienia.

Czy ja bym nie chciał iść pierwszym numerem, błysnąć humorem, satyrą, zebrać sążniste brawa? Bardzo bym chciał, ale niestety, niestety, niestety. Talent się skończył. Poważnie. Zupełnie. Miałem, miałem i nie mam. Taka jest sytuacja. Pogodziłem się z tym, trudno, ale stanąłem wobec alternatywy: albo w ogóle tutaj nie przyjechać, nie wystąpić i odjąć dzieciakom od ust ananasy z kawiozem, bo tak się mniej więcej kształtują stawki, albo świecić tutaj przed państwem oczyma i później przepić...

Acha, ale co z tym moim talentem? Wiec niestety właśnie. Wyczerpany. Dawniej, pamiętam, co przyniosę jakiś nowy kawałek, skecz, monolog, kabaret nawet - świetne, panie Jerzy, brawo, nie rozumiemy, ale dobre, trafione, pan to jest naprawdę... I fajnie. Rzeczywiście i ja zadowolony, i publiczność nie zawiedziona specjalnie.

A dzisiaj, gdy się zestarzałem, odwrotnie. Co przyniosę jakiś nowy materiał - marne, mówią, nieciekawe, głupie i niesłuszne w dodatku. No i nie puszczają. Chodzi o to, żebym się po prostu wstydu nie najadł na stare lata i nie zaszargał sobie dawnej opinii. Tak to jest, proszę państwa. Kochani są bardzo i troskliwi ogromnie. Nie tylko o mnie zresztą, w ogóle o poziom narodowej kultury. Niewątpliwie przejdą kiedyś do historii bardzo. I słusznie.

A jeżeli chodzi o mnie osobiście, to się nie martwię specjalnie. Serio. Byle teraz przebudować, to się potem odkuję i już niedługo zacząć uprawiać hulaszczy tryb życia, trwoniąc na lewo i prawo emeryturę.

A póki co przerzuciłem się na zupełnie inną i bezpieczniejszą jakby dziedzinę sztuki. Na co? Na muzykę. Miałem już okazję kiedyś to państwu zaprezentować, ale chętnie powtórzę to teraz, bo to jedyne jeszcze co potrafię. Muzyka... No więc początki były trudne, nie powiem...

(Ten monolog był wykorzystywany czasami w innej formie, ale zawsze Jerzy Dobrowolski mówił po nim, wyjęty z „Apio Indyget” tekst, zatytułowany „Da Capo” albo „Flet prosty”, którym kończył swój występ.

Pozostaje już tylko miejsce na notatkę. Jest jedną z ostatnich, zapisaną w zeszycie „Miś górski i Appio perfid.”. Po niej są już tylko puste kartki.)

Kabaret o deprawacji stosunków.

(Wyjść ze sportu? Ideały olimpijskie, biznes, przywileje, dwoistość + duch socjalistycznego sportu z jego fatalnym zakłamaniami, ilość obłudy, schamienia (ludzie głupszy w sporcie, dziennikarze gorsi).

Kiedyś kochano zawodnika.

Drużyna żyła miłością kibiców.

Dziś pogarda i nienawiść (Coubertin by oniemiał, nie zrozumiałby).

Wywiady ze sportowcami.

(afery opisane językiem nowomowy)

To jest soczewka.

Dwoiste pieniądze, łaska wypuszczenia za granicę.

To samo w kabarecie, w teatrze (miłość w nienawiść, wrogość, zrównanie).

Programem w finale dojdź do pełnego neokonserwatyzmu, maestrii, zawodowstwa, klasycznego (np. Mickiewicz - Bonończyk w państwie bezprawia).

Z niby magmy, do dzieła klasycznego.



Piętnastoletni Jurek Dobrowolski, odratowany w toruńskim ośrodku rekonwalescencyjnym po wyzwoleniu z obozu koncentracyjnego w Potulicach pod koniec II wojny światowej, znalazł się na Bystrem w Zakopanem. Dwa dni po zakończeniu oficjalnych działań wojennych (10 V1945) wysłał list do siostry Ani. Zachował się też ten wierszowany, o trzy lata późniejszy (11 X1948) o tym, że nie został przyjęty w Łodzi, że kręci się po Polsce... takiej, jak na rysunku z jego pamięci...

* Na sąsiedniej stronie zdjęcie opatrzone na odwrocie napisem: Najdroższej Babusi Jurek Warszawa 6 VIII 32 r.



275

Jurek
Warszawa 6 VIII 32 r.

21
Zakopane - Bystre 10-V-45

Kochana Aniu!

Wparę dni po Twoim wyjeździe z Krakowa była -
chora jakoi autem do Zakopanego. Po 5 apri-
nach byłem na miejscu. Chłopa pizkna. Sana-
torium leży o 3 km od Zakopanego. Moje chona
wyjechała wprost na Sierant i są od 11 godzin. pat-
ne światła stonowego. — Wyobrazi sobie
mają radzi, że his... ~~przejechała~~ ~~niem~~
rem do Sanatorium i B.M. zastąpił P. Staska
i panu moich dawnych warszawskich kolegów. Młody,
innymi, których nieznasz, jest Krupiek Bettinger.
Przyjęto mnie o wiele szlachetniej niż przypuszczałem,
wszystcy chłopcy nowi ci których nie mamtem przy-
biegli żeby się przywitać. Robimy różne rzeczy.
Wczoraj byliśmy w „Dolinie Olczyńskiej” ~~ni~~ Cudnie!
Dochliśmy do samego źródła „Bielka Olczyńskiego”
Wyobrazi sobie karkady wody pędzącej z wy-
biegów po chatach wśród olczyńskich wierchów i
warstwanych kamieni. Opodal stoją szatarey dla

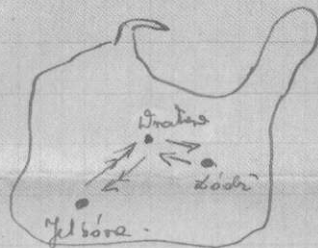
juhasów i ragrody dla mnie, doły chęć jeszcze
puste. A w ohoń piztnę zię zoczyły obrate karem
tak gęsto że nie sposób zię przedostać. Od czasu
mojego tutaj pobytu, zęda piztna. Naturalnie
nie na takich wybiechach. Trzymamy się z krajkiem
razem i opowiadamy sobie to wszystko co się od na-
szego zrodzenia mnie i jemu zdarzyło. — O 1/2 km.
od k. B. k. jest basen na „Gosławskie” napełnia-
my wodę jedynego pobliskiego źródła ciepłowodnego.
(Temperatura wody wynosi 19 1/2 °C.) Jak się robi ciep-
ło bzdziemy się tam kąpać. Wtym, że się cwar
prewarisz ale woda w najgłębszym miejscu jest po-
sypiz. — Mimo że woda u nas jest b. ciepła
o 1/2 to o 200 metrów parężej zachował się w b.
druich płatach na ziemi mied. Wyobraź więc sobie
chłopiów w letnich spodniach bieżących się dżeriz-
tego mają śmiechami. Muzę już koczując bo idzie-
my cwar do kocięta. Calej się b. b. mocno. pisek.

P.S. Napisz mi dwo, dwo o sobie i o wszystkich rzeczach i o ho-
wym osobno. Co robi Ci. Maucha P. Tesdor, Pani Lisse, P. Marek i w ogóle
wszystcy. Napisz opnie miarę przez wiesz i co robi
lubi” i zemiaki. Podróz wszystkich znajomych odemnie. Muzę

List piętnastoletniego Jerzego Dobrowolskiego

Proctas 11.10.1948.

Je po Polce scięgi się brzeg
i jakieś dróżnej pomieszczy
Proctas, Łódź, Ylenia Góra
- " - " - " - " - " - " - "



I mnie strasznie boli serce.

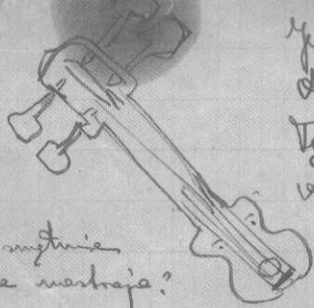
Już mnie nie powzięli w Łódź.
Tutaj jestem bez. Nie wchodzi.
Jutro mam tu egzamin.
Ludzie mnie zleką. Słuchajmy!
Czyżby mnie to nie obchodzi?



Ubrzęz wchodź tu posady,
Popularne jsi obiedy
Bardzo wygodne przednie życie.
Zato palę tu nie chycie
Bo nie lękam się tu zbrody.

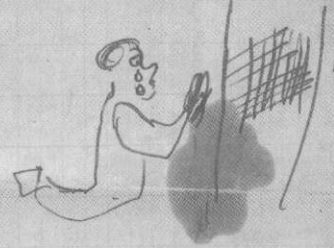


Ułosec nie mam tu mieszkanie.
Jedno dobre, że jest Anie.
Ale i tak jest tu kochanie.
Trzymaj się tam. Przejmiesz!
A to wszystko mnie następuje.



to myślenie
nie następuje?

Linnu kuka? iest cholonia.
 (Ua nej? doobra same cionie.)
 Dorozaj? byta rholna, yposiede?
 Bytam me nej? Ale posiede?
 Guy martwig Das niepomionie?



Dorozaj? zdali? Srolna nara
 Ua wyktedy ju? pospiere.
 Jak tu nie zdam, i z posiedg
 Bedie, dla mnie, roionie? blado,
 Uo to w wazko. Gdzie peparre?

Bardro cigiko, widrize, z zyciem
 Treba pcha? sig walerijie.
 I zdobypac? pigoch?, po pigoch?,
 it nie niedrize i sig mgoch?
 Jozera o mnie ustypryale!!!



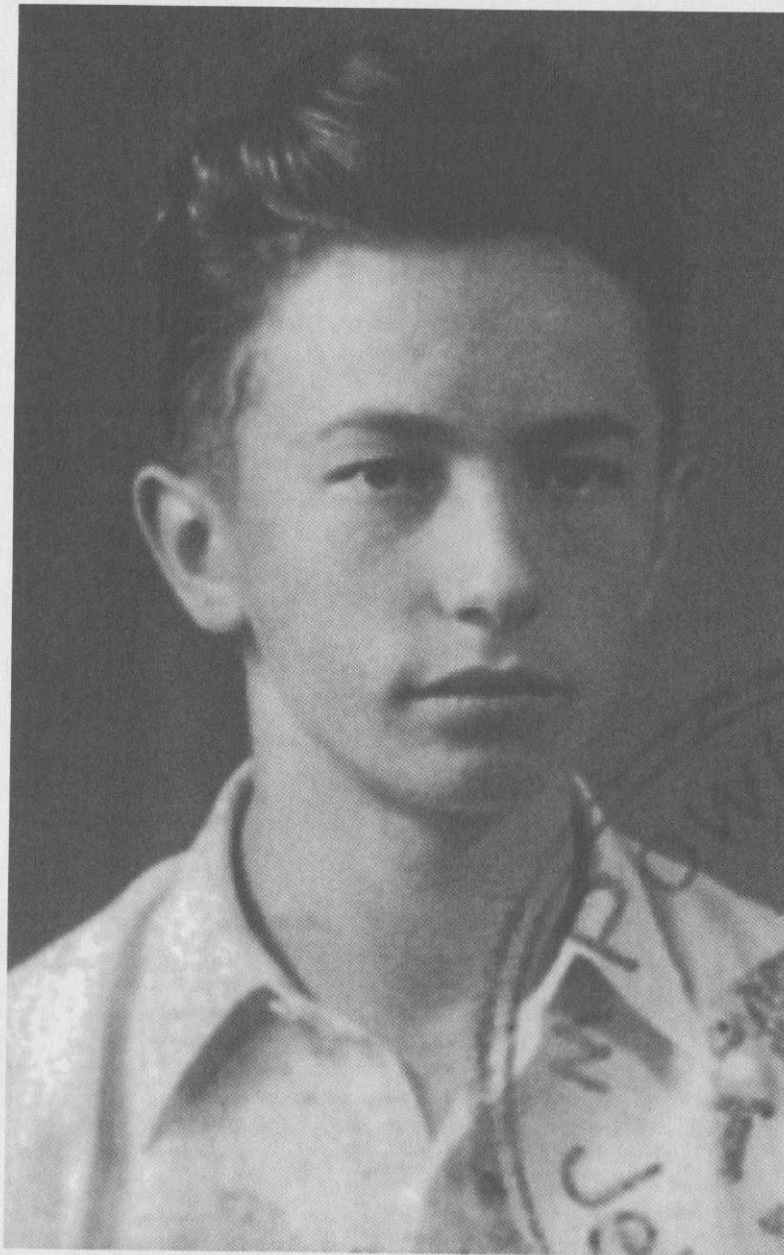
Gnommo

15.

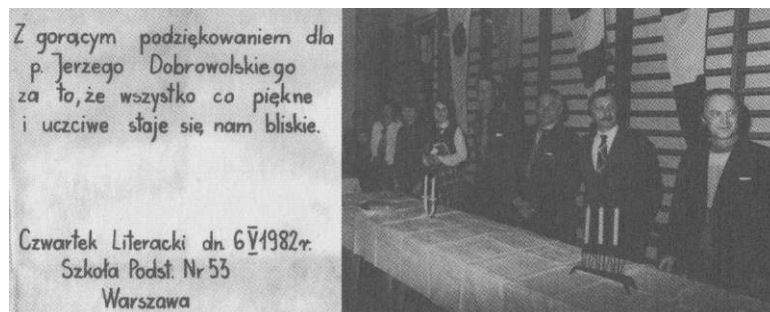
↑ to nie jest kuzge.
 Druzaj egzemplare wystratem Approni?

1950s
1960s
1970s
1980s
1990s
2000s
2010s
2020s

280



The photograph shows the young man.



281

Brał udział w szkolnych, dodatkowych zajęciach swoich córek. Po niektórych pozostały zdjęcia, jak to z W. Młynarskim, J. Dobrowolskim i W. Pokorą. Po innych - laurki, jakiś list - który stał się wpisem do Księgi Pamiątkowej...

Miło mi, że uznaliście mnie za współgospodarza V Czwartku Literackiego. Bardzo Wam Dziękuję.

W związku z tym spadł na mnie pewien dodatkowy, lecz miły obowiązek.

Gościliśmy trzech wspaniałych ludzi i wybitnych artystów p.p. Jana Englerta, Kazimierza Kaczora i Zbigniewa Zapasiewicza. Pan Zapasiewicz wpisał się sam do Księgi. Natomiast pozostali panowie wręcz wybiegli ze szkoły śpiesząc się na zajęcia, na które byli prawie spóźnieni. Pan Kaczor na zdjęcia filmowe, p. Englert na wykłady w Szkole Teatralnej.

Wieczorem obaj do mnie telefonowali i upoważnili mnie do wpisania się do Księgi w ich imieniu, dziękując za waszą piękną uroczystość, za serdeczne przyjęcie, za nastrój, jaki potrafiliście stworzyć a nade wszystko za czystą i humanistyczną atmosferę spotkania, o którą tak dzisiaj trudno w naszym coraz bardziej chamiejącym świecie.

Trzymajcie ten kurs, aby nie zniknęło w niedalekiej już przyszłości z naszego życia wszystko to, co przez wieki decydowało o naszej narodowej kulturze i ludzkiej godności. Nasza historia i nasza kultura nie zaczęły się ani przed trzema godzinami, ani przed tygodniem, ani przed 37 laty. Złożyły się na nie prace wielu, wielu pokoleń ze swoimi wspaniałymi ludźmi kolejnych epok. Teraz wypada wasza kolejka.

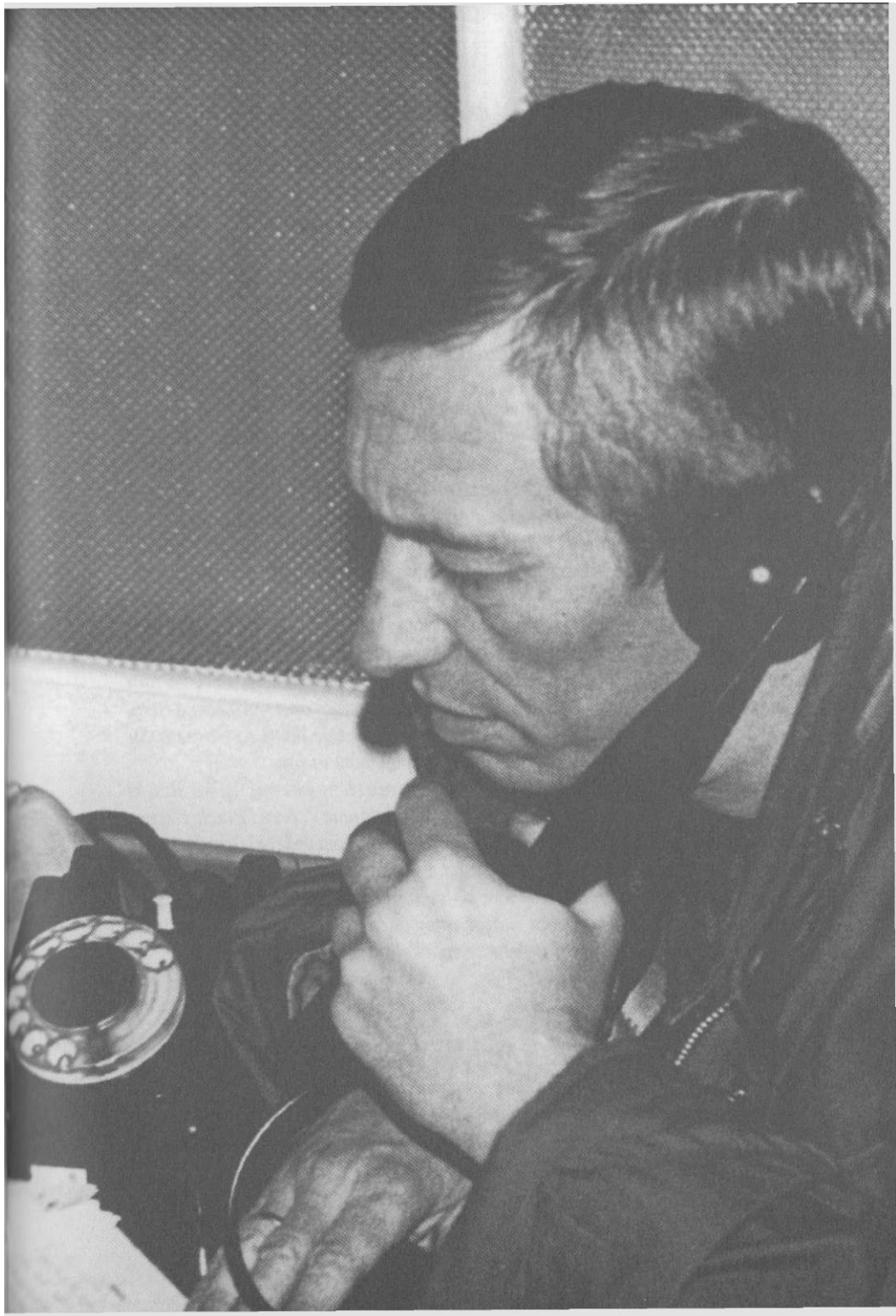
Ściskam Waszej dłonie

Gdy pisze się wspomnienia na zamówienie, to w trakcie pisania wcale nie chce się notować tego, co zamówione, bez tego, co towarzyszące głównemu tematowi, a nieistotne dla czytelnika. Szkoda. Człowiek starzejący się wspomina zupełnie inaczej. Boże, ilu spraw, rzeczy, ludzi, zdarzeń żal mi serdecznie. W jakim nowym świetle je widzę. Jakie wspaniałe są szczegóły. Ile piękna, ciepła, uczuć ulotniło się bezpotomnie. Komu i jak to opowiedzieć? Dlatego tak ważne są przyjaźnie i pokoleniowa spójnia.

Motto: A. Mickiewicz „Pan Tadeusz”, Księga czwarta - „Dyplomatyka i łowy”

... w słowach wydać trudno
Bigosu smak przedziwny, kolor i woń cudną;
Słów tylko brzęk usłyszysz i rymów porządek,
Ale treści ich miejski nie pojmie żołądek.
Aby cenić litewskie pieśni i potrawy,
Trzeba mieć zdrowie, na wsi żyć, wracać z obławy.

Jerzy Dobrowolski
15 III 1930 - 17 VII 1987



SKĄD TEN POMYSŁ I DLACZEGO TAK

Znałem pierwszą część „Wspomnień moich pamiętników”. Podczas pisania książki „Dla mnie bomba Jerzego Dobrowolskiego” odkryłem dwa kolejne fragmenty. Potem, czytając wszystkie zapiski, szukałem dalszego ciągu.

284 Jak ponownie Jerzy Dobrowolski wywróci do góry nogami oczywiste fakty? Jak je opisze? Jak spointuje? Jak?... Jak? Jak dobrze byłoby wydać kiedyś całość! Niestety. Nie powstała. Mimo to, po uzyskaniu przyzwolenia jego najbliższych, podjąłem próbę zestawienia ocalałych tekstów. Czy udaną, ocenią czytelnicy.

W pierwszym rozdziale znalazły się trzy fragmenty „Wspomnień moich pamiętników”, które Jerzy Dobrowolski przepisał na maszynie. Pozostałe dwa rozdziały zostały oparte na materiałach z archiwum rodzinnego. Składają się na nie oprócz zdjęć, gazety i wycinki z nich, egzemplarze sztuk teatralnych, scenariusze filmowe, a przede wszystkim kabaretowe. Do tego setki zapisków, fragmenty dialogów audycji radiowych i telewizyjnych, prowadzonych w kilkudziesięciu mniejszych i większych zeszytach oraz kołonoatniku.

Czasami jedną datowaną notatkę od drugiej dzieli miesiąc, ale również pół zapisanego tzw. zeszytu akademickiego wypełnionego scenkami bądź np. pomysłami do „Radiokroniki Decybel”. Potem okazywało się, że w innym zeszycie znajduje datowaną kontynuację wypełniającą ową miesięczną lukę. Zdarzały się też dopiski po latach, ale jak się wydaje dokonane z powodu pustych kartek, które znalazły się akurat pod ręką autora.

Niektóre tajemnice zapisanych stron mogłem poznać tylko dzięki Aleksandrze i Dominice Dobrowolskim oraz Jolancie Zykun. Przekreślenia całych fragmentów oznaczały przepisanie ich na maszynie, a niektóre znaki w maszynopisie wpływały po prostu z jej technicznych właściwości.

Część zapisków opatrzona jest datą, inne miesiącem, rokiem lub jego porą. A pomiędzy nimi te bez żadnej informacji. Pozostawał kontekst bądź odwołanie się do zawartej w tekście refleksji.

Starłem się, o ile było to możliwe, w drugim rozdziale uwzględnić chronologię. Jedynie na jego końcu, wpisałem tekst, który według mnie tam właśnie pasuje.

Rozdział trzeci odnoszący się do kabaretu nie jest poddany tak ścisłemu następstwu czasu. Wynika to z dwóch powodów. Pierwszy - prozaiczny: częste wykorzystywanie przez Jerzego Dobrowolskiego skeczy i monologów albo ich fragmentów do nowego, rodzącego się latami,

pomysłu na większą całość. Drugi związany jest z cenzurą: czasami konkretny monolog (Jerzy Dobrowolski starał się omijać ingerencje) „zwalniano” po dłuższym okresie.

W tej książce znalazły się dwa teksty, które zamieściłem na stronach 114 i 173 jedynie w formie kopii oryginalnych notatek z zeszytów. Mam nadzieję, że czytelnicy zrozumieją, dlaczego.

Mijający czas, przesłanie i refleksje Jerzego Dobrowolskiego pozwalają przypuszczać, że mimo wszystko miał nadzieję...

Roman Dziewoński

Roman Dziewoński - reżyser, architekt, dziennikarz radiowy, autor książek: „Złamigłówka” (1993, z Haliną Guryn), „Sęk z Dudkiem” (1999), „KABARETu STARSZYCH PANÓW wespół w zespół” (2002), „Irena Kwiatkowska i znani sprawcy” (2003), „Ostatni naiwni. Leksykon Kabaretu Starszych Panów” (2005; z Moniką i Grzegorzem Wasowskimi), „Luka w pamięci” - album (2005; teksty), „Dożylnie o Dudku Edwardzie Dziewońskim” (2007; z Piotrem Dziewońskim), „W cieniu ZŁEGO” (2008), „Dla mnie bomba Jerzego Dobrowolskiego” (2009).

Zapowiedzi ^{Dygresje} inne

fortepian - rampa

① Dobry wieczór

marynarka

o brzoach (jest nig mielen zachosci)

o miejach stann.

skromnosc i historia - o spalaniu.

jest nig uladato do wiadomosci.

to mikrofon jest? zaczynamy.

fortepian

② Magnez

zaczynamy!

fortepian

③ Kabarety

fortepian

highly.

to byl trick.

④ O jazyku

rampa

fortepian

(nadencje) pierwsze schodki

dosu, dosu fern, konoj - wie wie jest

nie wie jest

nie wie jest

nie wie jest

nie wie jest

nie wie jest

nie wie jest

⑤ Fujerka

haniec. (schodki)

es. ⑥ Mea Culpa (jako inne wejście)

SPIS TREŚCI

Wspomnienia moich pamiętników	
Rozdział 1.....	7
Część pierwsza.....	7
Część druga.....	51
Część trzecia.....	71
Rozdział II.....	77
Naddatek (wynik rozszerzenia II wydania).....	149
Rozdział III.....	181
Kabaretowa przygrywka.....	181
Kabaret moich pamiętników.....	184
/teksty kabaretowe Jerzego Dobrowolskiego/	
Kot.....	184
Magnes.....	188
List do ministra ciepłej wody.....	192
List do redakcji.....	193
Opowiadanie.....	194
Globtroter.....	195
Opowiadanie (bez tytułu).....	200
Czik-Czik (opowiadanie).....	201
Apio Indyget (Appio, Apio, Apio Indygent).....	206
Temat na skecz.....	250
Plomba.....	251
Jak to jest naprawdę?.....	256
Biedny misio.....	257
Monolog (bez tytułu).....	262
Plan.....	264
Zagadka.....	266
Curriculum vitae.....	267
Tekst III do kabaretu „Dudek”.....	271
Monolog (bez tytułu - poprzedzający tekst Da Capo) . . .	273
Prawdopodobnie ostatnia notatka dotycząca kabaretu . . .	274
Skąd ten pomysł i dlaczego tak (Roman Dziewoński).....	284

* Na sąsiedniej stronie pierwsza kartka scenariusza Apio Indygent, wersja „zero” pierwotna pt. Dygresje, który Jerzy Dobrowolski przygotował jako swój, ew. w towarzystwie Jerzego Derfla, recital nieśpiewany (1986/87).